



CECILIA GRANT

*„Ta książka to cudowny klejnot,  
pokochałam ją”  
MARY BALOGH  
Bestsellerowa autorka według  
New York Times*

*Grzeszna  
namietność*

# Grant Cecilia

## Grzeszna namiętność

*Marta Russell w wieku dwudziestu jeden lat została wdową. Niestety mąż nie potrafił obdarzyć ją dzieckiem. Kobieta wkrótce odkrywa, że co gorsza pozbawił ją także domu. Gdyby urodziła syna, odziedziczyłaby posiadłość, lecz w tej sytuacji wszystko przypadnie bratu jej męża, pozbawionemu skrupułów mężczyźnie, o którym mówi się, że lubi uwodzić służące, rujnując im życie. Pragnąc uratować swoje służące, i samą siebie, dama o nieskazitelnym manierach wymyśla skandaliczny plan urodzenia dziecka i przedstawienia go jako dziedzica zmarłego męża. Po koniecznych intymnych kontaktach nie oczekuje żadnej przyjemności, jednak mężczyzna, którego wynajmuje do wykonania tego „zadania”, ma więcej do zaoferowania, niż wydawało się Marcie możliwe.*

## Rozdział 1

Ani razu przez dziesięć miesięcy małżeństwa nie życzyła mężowi śmierci. Nigdy też, ani przez chwilę, nie cieszyła się z tego, że mąż nie żyje. Nawet teraz. To nie przystoi.

Marta jeszcze bardziej wyprostowała się na krześle, wygładzając czarną spódnicę. Istotnie, czasem nie wypada okazywać emocji, ale należy zachowywać się zgodnie z obowiązującymi zasadami. Na zasadach można się oprzeć. Zasady pozwalają przetrwać, kiedy emocje sprawiają tylko, że grzęźnie się w bagnie.

Splotła dłonie i położyła je na stole.

- No cóż - powiedziała, przerywając ciszę panującą w jej oświetlonym słońcem salonie. - To wszystko jest bez wątpienia zgodne z prawem.

Pan Keene skłonił się lekko ze swojego miejsca na końcu stołu, ukazując łysinę na czubku głowy. Nie spojrzał jej w oczy, podobnie jak nie zrobił tego od chwili, w której zaczął czytać. Leżące przed nim kartki zaszeleściły lekko, gdy wygładził ich rogi i wykonał kilka innych nerwowych ruchów.

Doprawdy powinien przestać.

Po drugiej stronie stołu z zaciśniętymi ustami siedział jej brat, mięśnie jego szczęki pracowały intensywnie, jakby próbował przełknąć coś o przerażających rozmiarach. Najpewniej własną irytację. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że zawsze próbował.

- Mów, Andrew. - Dobrze wiedziała, co miał do powiedzenia. - W innym wypadku możesz zrobić sobie krzywdę.

- Zrobiłbym krzywdę Russellowi, gdybym wiedział, co zamierza. Tysiąc funtów! - Wypluł tę kwotę jak nieświeżą owsiankę. - Tysiąc z dziesięciu tysięcy posagu. Co za mężczyzna spekuluje uposażeniem żony?

Najwyraźniej mężczyzna, który zatracił się w picciu, żeby wymienić tylko jeden przykład. Odetchnęła, by dodać sobie odwagi.

- Nie zostaję bez grosza. Mam spadek po mężu.

- Ale nie masz domu i tylko jedną dziesiątą tego, co wniosłaś do małżeństwa. Chciałbym wiedzieć, czym się Russell kierował. - Te słowa wypowiedziane sarkastycznym tonem skierował do pana Keene'a.

- Ja nie proponowałbym takiej inwestycji - powiedział piskliwie radca prawny, wciąż przekładając papiery. - Jednak pan Russell gustował w takich rozwiązaniach. Testament dotyczący pierwszej pani Russell był podobny: jej posag został zainwestowany w papiery wartościowe, a reszta majątku - zabezpieczona w nadziei na pojawienie się dziedzica.

Dziedzica, oczywiście. Jeśli na ziemi był jakiś mężczyzna bardziej niecierpliwie oczekujący dziedzica, chciałyby go zobaczyć.

A raczej nie. Właściwie nie dbała o zobaczenie tego mężczyzny. Rozplotła dłonie i dotknęła obrusa. Bardzo ładnego obrusa. Lnianego, z Belgii i już nienależącego do niej.

- Żałuję, że twojej umowy małżeńskiej nie sporządzili moi prawnicy. Nie zgodziłbym się na ten zarząd powierniczy. - Kolejna porcja nieświeżej owsianki. - Ludzie ojca byli kompletnie bezużyteczni. Powinienem był sam się tym zająć.

- Jak miałeś to zrobić? - Człowiek nie ma czasu ani cierpliwości na tego typu nonsensy. - Miałaś pełne ręce roboty z porządkowaniem spadku po ojcu. To były trudne dni dla nas wszystkich. Co się stało, to się nie odstanie. Nie musimy kontynuować tego tematu.

Andrew powstrzymał cisnące mu się na usta słowa, lecz jego oczy - duże, błyszczące i ciemne jak ziarna kawy - lśniły od silnych emocji. Odwróciła wzrok. To takie niestosowne pozwalać, by gwałtowne emocje tak wyraźnie odmalowywały się na twarzy. Co za brak opanowania. Choć miała takie same oczy, już dawno temu nauczyła się kontrolować emocje, a jej oczy wyrażały jedynie nieprzenikniony spokój. To naprawdę nie było trudne.

- Kiedy zatem siostra musi opuścić dom? - zapytał Andrew bliski wybuchu. - Jak szybko ten drugi pan Russell spodziewa się przejąć posiadłość? Oczywiście zamieszkaż ze mną i Lucy -dodał, zwracając się do Marty i nie czekając na odpowiedź radcy. -Kiedy wyjedziemy na wieś, możesz nawet zająć swój stary pokój.

I znowu żyć jak dziecko zależne od innych, mimo że miała dwadzieścia jeden lat. Być ciężarem dla niego i jego żony. Gdzieś głęboko w sercu poczuła formujący się maleńki załazek buntu, równie bezsensowny jak próba osłonięcia się szalem w środku szalejącej wichury.

Pan Keene pochylił głowę, jakby znowu chciał jej pokazać łysinę na czubku głowy.

- W takich sprawach zazwyczaj nie zaczynamy działać, dopóki wdowa nie zapewni nas, że nie ma już możliwości przyjscia na świat dziedzica.

No cóż, nie było takiej możliwości. Jej ciało rozwiało wszelkie wątpliwości w tej kwestii trzy dni temu, informując ją o tym w zwykły sposób. Chociaż pan Russell z wigorem starał się począć dziedzica, to, podobnie jak podczas pierwszego małżeństwa, nieskutecznie. I teraz dziecko już się nie pojawi na świecie.

Czy spodziewano się, że odpowie od razu? Postanowiła się zbuntować i milczała. Jeśli będą jakieś wątpliwości w tej sprawie, być może uda jej się zostać w domu jeszcze trochę. Może nawet miesiąc. Oczywiście, jeśli naprawdę zamierzała się zbuntować... Słyszała opowieści o tym, do czego uciekały się zrozpaczone bezdzietne wdowy. Szokujące opowieści, w które trudno uwierzyć. Jaka kobieta mogła być aż tak zdesperowana? Prawdopodobnie to tylko historie, które opowiadają sobie mężczyźni pragnący, by to była prawda.

Marta uniosła podbródek.

- Wyślę panu wiadomość, gdy będę mogła odpowiedzieć na to pytanie. - Przynajmniej będzie mogła się zatroszczyć o służących. James Russell i jego małżonka zapewne sprowadzą swoją służbę, część służby Seton Park stanie się niepotrzebna. Marta będzie miała czas na znalezienie im nowego miejsca pracy.

Andrew wiercił się nerwowo, zachowując milczenie przez kilka minut, w czasie których pan Keene zebrał swoje papiery i pożegnał się uprzejmie. Gdy radca wreszcie został odprowadzony do drzwi przez służącego, brat zerwał się z krzesła z wściekłością.

- Na miłość boską, sestro, czy ty nigdy nie zaczniesz walczyć o swoje? - Szybkim krokiem przeszedł wzdłuż stołu. - To, jak cię potraktowano, nie jest w porządku. Dlaczego tylko ja mam odwagę to powiedzieć?

- To nie jest kwestia odwagi. - Mówiła spokojnie, ponownie splatając dłonie. - Mogłabym mówić o niesprawiedliwości i pozwolić sobie na manifestowanie oburzenia, ale to nie zmieniłoby mojej sytuacji, prawda? - Jej głos stawał się coraz bardziej płaski jak coraz mocniej rozwałkowy wane ciasto.

- Teraz już nie, to prawda. - Andrew machnął niecierpliwie ręką. - Jednak tych problemów można było uniknąć. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego go poślubiłaś. Dlaczego jakakolwiek młoda dziewczyna miałaby wychodzić za dwa razy starszego od niej wdowca, podczas gdy mogła...

- Miał trzydzieści dziewięć lat. Nie był starcem. I nie, prawdopodobnie nigdy nie zrozumiesz.

Który najstarszy syn mógłby to zrozumieć? Najstarsi synowie nie mają w perspektywie pasożytniczej egzystencji. Nie muszą przeprowadzać kalkulacji, w których nie ma miejsca na marzenia. Andrew mógł jedynie jej współczuć, w irytujący sposób, i wyrzucać jej zły wybór.

Jakby zawierano tylko małżeństwa z miłości! Jakby ludzkość nie prosperowała od niezliczonych pokoleń dzięki związkom innego rodzaju; dzięki małżeństwom godnych szacunku ludzi, którzy wyżej od nieokiełznanego uczuć cenili inne wartości!

Nie zauważyła, kiedy znowu rozplotła ręce i zaczęła wodzić po wzorze na spódnicy. Uspokoila dłonie. Zaplotła palce. Siedziała w milczeniu.

Nagle jej brat westchnął ciężko.

- Przepraszam, Marto. - Słyszała zmianę w tonie jego głosu, wzrok wciąż miała utkwiony w obrusie. Andrew podszedł i stanął za jej krzesłem. Położył jej rękę na ramieniu. Uniosła głowę i wbiła wzrok w ścianę naprzeciwko, w tapetę w radosne czerwono-białe piwonie.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem - powtórzył brat z wahaniem, szukał sposobu na pocieszenie jego małej przekornej siostrzyczki. - Przykro mi, że spotkało cię to nieszczęście, i przykro mi, że nie mogłem nic zrobić. Jednak teraz ci pomogę, jeśli mi pozwolisz. Będzie ci dobrze u mnie i u Lucy. Piwonie na tapecie rozmazały się na chwilę i groziło im utonięcie. Równie dobrze mogła mieć znowu siedem lat, a Andrew osiemnaście, co było równie dziwne jak indyk siedzący na grzędzie dla gołębi. Już kiedyś była taka sytuacja, gdy brat dodawał jej otuchy. Wtedy siedzieli obok siebie na murku, on położył jej rękę na ramieniu i ją pocieszał. Zapewniał, że dusza ich matki jest w niebie.

Mnie też jest przykro. Chciałabym pragnąć tego, co mi oferujesz. Nie wiem, dlaczego tak nie jest.

Marta przełknęła z trudem ślinę i powiedziała cicho:

- Byłeś dla mnie taki dobry. I w rzeczy samej bardzo mi pomogłeś. Ostatnie dni mogły być znacznie trudniejsze, gdyby cię tu nie było. Napiszę do ciebie, gdy... Napiszę do ciebie. - Zanurzyła palec w spienionych wodach uczuć i szybko go cofnęła.

Andrew wrócił do Londynu. Machała mu, dopóki powóz nie wyjechał z podjazdu na drogę, po czym opuściła rękę. Nie skierowała się do domu, ruszyła w stronę pobliskich wzgórz. Sierpniowe słońce nie miało litości dla kobiety w żałobnej sukni, zwłaszcza idącej tak szybko. Trudno.

Zwolniła, gdy dotarła pod szczyt najwyższego wzniesienia. Gdzieś niedaleko beczały owce, na zmianę płaczliwe i rozdrażnione. Słyszała szczekanie psa i męski głos wykrzykujący krótkie komendy: jeden z jej dzierżawców szkolił nowego psa, każąc mu okrążyć trzy wyraźnie niezadowolone owce. Pan Farris zobaczył ją i zdjął kapelusz; zatrzymała się, by zamienić z nim kilka słów.



Istnieje ograniczona liczba pochwał, jakimi można obsypać owczarka pasterskiego. Marta powiedziała je wszystkie, a dzierżawca obracał rondo kapelusza w grubych palcach, potakując z mądrą miną.

- Moja Jane nalegała, bym zapytał, gdybym panią spotkał

- odezwał się po wymianie uprzejmości - czy możemy oczekiwać, że pani tu zostanie?

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne. - Nawet więcej niż mało prawdopodobne, jednak dzierżawcy musiała odpowiedzieć tak samo jak panu Keene'owi.

- Wielu osobom będzie przykro to usłyszeć. - Pan Farris zagwizdał i pies zmienił kierunek, obracając się niemal w miejscu. - Jane mówi, że to pani zawdzięczamy nowy dach.

- Cóż, głównie hojności pana Russella. - Marta pochyliła głowę, strzepując z rękawa jakiś pyłek.

- Pierwsza pani Russell nigdy nie interesowała się wprowadzaniem ulepszeń. Pan Russell też nie, dopóki nie pojawiła się pani. Tak mówi Jane. Twierdzi, że to pani zasługa.

- Jej dobre zdanie o mnie przynosi mi zaszczyt. Ma się dobrze, mam nadzieję? A dzieci?

- Tak, wszyscy są zdrowi. - Dzierżawca dał znak ręką i pies zaczął biec w przeciwną stronę. - Ben i Adam z niecierpliwością czekają na otwarcie szkoły.

- Szkoły? - Ogarnęła ją radość, poranne rozczarowanie odeszło w niepamięć i powiedziała dziwnie wysokim głosem:

- Bena i Adama nie było na liście pana Atkinsa, kiedy ostatnio z nim rozmawiałam. Jednak będą uczęszczać do szkoły?

- Przez trzy dni w tygodniu na początek. Moja najmłodsza córka też będzie się uczyć. W gospodarstwie trochę pomogą mi chłopcy Everetta, a moi pomogą jemu i jakoś damy radę.

- Czy to oznacza, że dzieci Everestów też pójdą do szkoły? - Zmusiła się, by z powrotem nadać głosowi ton, który nie płoszy owiec.
  - Zgadza się, przez trzy dni w tygodniu. W zimie może częściej.
  - Bardzo mnie to cieszy. Oddajecie dzieciom ogromną przysługę, posyłając je do szkoły.
  - Mają nieco rozumu. - Wzruszył ramionami i jeszcze raz obrócił w palcach kapelusz. - Jeśli doda się do tego edukację, to chłopak może zdecydować o swoim losie.
- Rozpoznała jeden z wielu argumentów, które przeciwiczyła z panem Atkinsem, i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zrobiła coś dobrego w Seton Park, mimo że była tu tak krótko. Była użyteczna. Kiedy zacznie ją przytłaczać rozgoryczenie, pomyśli o nowych dachach i swojej roli w powstaniu szkoły dla dzieci dzierżawców, o czym od dawna marzył wikariusz.
- Z przyjemnością wspomni też swoje ulepszenia jego pomysłu.
- A co z Laurą i Adelaide? Mam nadzieję, że będą uczęszczały na niedzielne zajęcia.
  - Niestety nie. - Przechylił głowę i potarł brodę wierzchem dłoni. - Będziemy ich potrzebowali w domu jeszcze bardziej, gdy ich bracia będą chodzili do szkoły.
  - Oczywiście. - Już nieraz słyszała tę zniechęcającą odpowiedź. - Jednak to tylko jedna lekcja raz w tygodniu. Może z czasem znajdą państwo na to czas.
  - Może. Teraz uczę Laurę tej pracy. - Pan Farris wskazał głową psa. - Zaczyna to lubić, wie pani. Szkolenie zwierząt.
  - To z pewnością umiejętność warta podziwu. - I rozwijania. Dziewczyna mająca taki talent zasługuje na coś więcej niż tylko nauka czytania i liczenia, do czego ogranicza się edu-

kacja kobiet. Marta porozmawia jutro z panem Atkinsem. Tym rodzinom trzeba przedstawić mocniejsze argumenty. Skoro ona musi wyjechać, zajmie się tym pan Atkins.

Dwa tygodnie temu, jak w każdą niedzielę w czasie trwania jej małżeństwa, siedziała obok pana Russella w pierwszej ławce po prawej stronie nawy kościoła Świętego Szczepana. Tego ranka usiadła w trzecim rzędzie po lewej stronie przejścia - decyzja zrozumiała tylko dla niej. Ławka w pierwszym rzędzie była przeznaczona dla właścicieli Seton Park. Nie będzie już tam siadała.

Z trzeciego rzędu sprawy wyglądały inaczej. Na przykład widziała stamtąd, jak przez wąskie gotyckie okno na wschodniej ścianie na wyłożoną kafelkami podłogę padają promienie słońca. Mogła dokładnie obejrzeć tyły głów siedzących w rzędach przed nią. Z pierwszego rzędu nie zobaczyłaby, którzy z jej sąsiadów myli się za uszami, a którzy nie.

Z pierwszego rzędu najprawdopodobniej nie zauważyłaby nieznajomego. Może by usłyszała w ciszy, jaka zapadła na widok wikariusza wychodzącego z zakrystii, jak pośpiesznie idzie on przez kościół. Jednak z pewnością nie odwróciłaby się i nie zobaczyła wysokiego, elegancko ubranego mężczyzny zajmującego miejsce w ławce po przeciwnej stronie nawy.

Teraz też się nie odwróciła. Ludzie, którzy spóźniali się na mszę, nie zasługiwali na uwagę, co dobrze byłoby uświadomić jej sąsiadom, którzy teraz rzucali w kierunku nieznajomego ukradkowe spojrzenia. To, że kątem oka widziała, jak mężczyzna sięga po modlitewnik i kartkuje go energicznie, było już wystarczające. Przestała zwracać na nieznajomego uwagę, gdy zaczęło się nabożeństwo.

Pan Atkins wygłaszał poważne, nieafektowane kazania, może nieco zbyt długie, ale zazwyczaj z celną puentą. Na dzi-

siejsze czytanie wybrał historię o Marii i Marcie, siostrach, które nie zgadzają się co do sposobu przyjęcia w domu Zbawiciela - dość konfundujący fragment, którego tematem, jak się wydaje, jest zaniedbanie swoich obowiązków.

Po kilku minutach jej uwagę od kazania odciągnął stłumiony chichot jakiegoś dziecka. Chłopczyk w ławce przed nią wyciągał szyję, by dojrzeć coś z tyłu. Marta podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła mężczyznę pogrążonego we śnie.

Jak on się zachowuje?! Marta postanowiła okazać dezaprobatę drzemiącemu po drugiej stronie nawy nieznanemu, a chłopcu posłała karcące spojrzenie - malec pospiesznie się odwrócił.

Mężczyzna spał dalej, głowa opadała mu pod takim kątem, że doskonale widziała jego włosy, które układały się w lekkie fale i miały odcień świeżo rozłupanego drewna. Jakie miał rysy twarzy, Marta mogła sobie tylko wyobrazić, bo był odwrócony w drugą stronę. Ale oczywiście nie zamierzała niczego sobie wyobrazić!

Poza nieznanego sugerowała, że jest leniwy. Jego długie nogi były wygięte jak u pasikonika, jakby chciał się schować między ławkami. Dłonie zacisnął na książeczce z hymnami leżącej na jego kolanach, wciąż otwartej na stronie, którą czytał, zanim usnął. Bez wątplenia był jednym z tych mężczyzn, którzy przychodzili do kościoła przede wszystkim po to, by narazić zebranych na słuchanie ich śpiewu.

Teraz osoby siedzące blisko niego były narażone na słuchanie chrapania, cichego i delikatnego jak brzęczenie zabłąkanego owada, jednak chrapania. Znowu zachrapał!

Po co w ogóle przyszedł do kościoła? Odwróciła od nieznanego wzrok. Pan James Russell i jego żona będą mieli przyjemność zwrócenia temu człowiekowi uwagi na niesto-

sowność jego zachowania, natomiast jej myśli powinny teraz zajmować co innego. Na przykład kazanie. Albo modlitewnik, który pachniał stęchlizną, nawet w słoneczny dzień. Wszystkie modlitewniki w kościele Świętego Szczepana miały ten zapach, a ten, jak się okazało, kiedy go kartkowała, był poza tym poplamiony i pomięty. Szkoda, że nigdy nie poprosiła męża, by je wymienił...

Marta poczuła mrowienie na całej skórze. Ktoś ją obserwował. Ktoś siedzący z prawej strony. Uniosła głowę, szybko się odwróciła i... spojrzała w ciemnoniebieskie oczy; oczy koloru oceanu. Nieznajomy właśnie się obudził, jego twarz nosiła ślady snu. Na policzku odcisnęła mu się kłapa surduta, niesforny lok opadł na czoło. Jednak miał arystokratyczne rysy twarzy, czerwone pełne usta i długie rzęsy. Mężczyzna zamrugał. Potem uśmiechnął się szeroko, leniwie, zupełnie jakby dostrzegł ją po drugiej stronie sali balowej i liczył, że zostanie jej przedstawiony.

Nie. Jeszcze gorzej. Odwróciła się szybko, a na jej policzki zaczął wypływać rumieniec. Kobiety, które budziły się w jego łóżku, oglądały ten uśmiech. Zaspany. Nieco zaskoczony ich widokiem. Odłożyła modlitewnik i skrzyżowała ramiona, ukrywając przed jego wzrokiem tyle, ile mogła. Podmuch wiatru na jej nagim karku nagle sprawił wrażenie niechcianej pieszczoty. Sierpień czy nie, pożałowała, że nie wzięła szala.

Znowu poczuła mrowienie na skórze, jednak patrzyła przed siebie, nawet kiedy nabożeństwo się skończyło i ławki obok niej opustoszały. Ostatnia wyszła przez próg kościoła, ostatnia uścisnęła dłoń wikariusza i podziękowała za budujące kazanie.

Z bliska, może nawet bardziej niż kiedy stał na ambonie, pan Atkins wyglądał tak, jak powinien wyglądać duchowny.

Szczupła sylwetka dodawała godności jego skromnej ciemnej szacie. Można by go narysować, mając tylko kartkę i kawałek węgla: ciemnobrązowe oczy i włosy, grube czarne brwi, których końce opadały, nadając jego bladej trójkątnej twarzy wyraz melancholii.

- Uważam ten fragment za doskonały - stwierdził, odpowiadając na jej komplement; delikatna złośliwość była ledwo widoczna w jego uśmiechu - choć może powinienem w przyszłości wybierać, ze względu na pana Mirkwooda, bardziej dynamiczne opowieści. Jeśli prześpi moje kazanie o Dawidzie i Goliacie, to pewnie będę mógł winić tylko siebie.

- Jest jednym z tutejszych mieszkańców? - Ponad ramieniem wikariusza widziała nieznajomego, który pokonał już połowę ścieżki prowadzącej do głównej drogi. - Nie znam go z widzenia ani z nazwiska. - Szedł sprężystym krokiem, z rękami wciśniętymi w kieszenie.

- Mirkwoodowie są właścicielami posiadłości na wschód od Seton Park. Rzadko się ich widuje. Od kiedy pani tu jest, nie pojawili się, jak sądzę. Zresztą teraz przyjechał tylko młodszy pan Mirkwood. Proszę mi wybaczyć, mówię zbyt długo, zamiast zapytać o pani samopoczucie. - Głos pana Atkinsa się zmienił. - Nie spodziewałem się, że tak szybko wróci pani do codziennych zajęć.

W jego oczach zobaczyłaby przenikliwość, gdyby odważyła się w nie spojrzeć. Zachęcałyby do zwierzeń, całkowicie przyzwoitych zwierzeń, jak między parafianką a duchownym.

- Mam się dość dobrze. - Osłoniła twarz ręką, śledząc wzrokiem oddalającego się pana Mirkwooda. - Dziękuję za zainteresowanie. Mogę pomóc pozbierać modlitewniki?

- Jak najbardziej. - Wikariusz rozumiał powściągliwość Marty i odpowiadał z pełnym wdzięku szacunkiem.

Wrócili do kościoła, pan Atkins zajął się papierami na ambonie, a ona zebrała śpiewniki i modlitewniki z ławek. Pan Russell uważał, że pani na Seton Park nie powinna się do tego zniżać. Jednak teraz nie musiała brać pod uwagę zdania męża.

Podniosła śpiewnik, którego używał pan Mirkwood.

- Muszę wyznać, że chciałabym z panem porozmawiać na temat szkoły.

- Ach, tak. Spodziewałem się tego. - Zszedł z ambony. - Proszę usiąść. - Wskazał ręką pierwszą ławkę i stanął naprzeciwko, krzyżując ramiona. - Rozumiem, że wczoraj był u pani pan Keene.

- To prawda. Posiadłość najprawdopodobniej przejdzie w posiadanie brata mojego męża, Jamesa. Ja zapewne zostanę tu jeszcze jakieś cztery tygodnie.

- Jednak jest jakaś szansa, że to pani odziedziczy posiadłość? - nachylił się lekko w jej stronę.

- Bardzo niewielka. - Na skutek niemówienia prawdy to stawało się skomplikowane. - Sprawa powinna się wyjaśnić w ciągu miesiąca.

- Och. - Zrozumienie zabarwiło jego policzki na czerwono i duchowny nagle zainteresował się podłogą.

- W każdym razie musimy się liczyć z tym, że wyjadę. - Dalej. Nie ma czasu, by pozwalać sobie na zażenowanie. - I dlatego chciałabym zalecić pewne działania w sprawie szkoły.

- Tak, oczywiście. - Kiwnął głową, wciąż mając spuszczone wzrok, jakby spodziewał się, że parafianka powie coś poważnego.

- Nie liczyliśmy na to, że na zajęcia będą uczęszczać młode kobiety. Jednak mam pewien pomysł. - Co zaskakujące, rzeczywiście miała. - Gdyby wskazał pan miejsca w Biblii, w których jest mowa o kształceniu kobiet, to, jak mniemam,

parafianie zapewne rozważą tę kwestię, czego inaczej by nie zrobili. - Wikariusz spojrzał jej w oczy; jego brwi unosiły się coraz wyżej, co sprawiło, że Marta mówiła coraz szybciej. - Weźmy na przykład dzisiejsze czytanie. Chrystus powiedział Marii i Marcie, by porzuciły kobiece czynności i uczyły się od niego jak uczniowie mężczyźni. Gdyby przy kolejnej wizycie u Farrisów czy Cheathamsów wspomniąłby pan o...

- Proszę mi wybaczyć, pani Russell. - Na twarzy wikariusza malowały się rezygnacja i ubolewanie. - Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, że szkoła nie może zostać otwarta, zważywszy na to, co mi pani powiedziała.

- Nie może zostać otwarta! - Serce podeszło Marcie do gardła. - Ależ dlaczego?

- Jeśli pani nas opuści, decyzja o prowadzeniu szkoły będzie należała do pana Jamesa Russella, a on może nie uznać tego za właściwy sposób wykorzystania jego funduszy.

Jak mógł tak szybko zrezygnować z tego, o co tak długo zabiegał?

- Pan Russell zapewne zjawi się w rezydencji dopiero za kilka miesięcy. Jeśli szkoła będzie już działała, wtedy być może jej nie zamknie.

- A być może zamknie. - Jego głos był łagodny, współczujący i nieustępliwy. - Niech pani pomyśli o rozczarowaniu dzieci i ich rodziców, jeśli otworzę szkołę tylko po to, by zamknąć ją po kilku miesiącach. Nie mogę tego zrobić.

Miał rację. Jednak Marta nie mogła się z tym pogodzić. Włożyła serce w powstanie tej szkoły. Z czegoś takiego nie można tak łatwo zrezygnować.

- A gdybym... - Wbiła wzrok w podłogę, myśląc intensywnie. - A gdybym napisała do pana Jamesa Russella i opowiedziała mu o szkole? Być może w ten sposób zdobyłabym jego zgodę?



Zerknęła na duchownego i dostrzegła w jego twarzy nadzieję; oczywiście kontrolował swoje emocje, ale widziała, jak chętnie uchwyciłby się najmniejszej nawet szansy.

- Dobrze go pani zna? Sądzi pani, że istnieje prawdopodobieństwo, iż poprze ten projekt?

- Mój mąż czasami mówił o swoim bracie, dość, bym nabrała przeświadczenia, że to sympatyczny człowiek. - To może być prawda. Dlaczego nie miałby być sympatyczny?

- Gdyby podjęła się pani napisania do niego... - W głosie wikariusza słyszała ogromną nadzieję. - Mam największe uznanie dla pani umiejętności przekonywania, jednak wie pani, że przez kilka miesięcy starałem się przekonać pana Russella o korzyściach płynących z edukacji tutejszych mieszkańców, jednakże nie sędzę, bym uzyskał jego zgodę, gdyby nie pani wstawiennictwo.

Dwie książki zsunęły się jej z kolan na podłogę. Schyliła się, by je podnieść, i niemal zderzyła się z panem Atkinsem, który nagle znalazł się obok niej na kolanach.

- Przepraszam - powiedziała niezbyt mądrze, skoro przecież nie doszło do zderzenia.

Podniósł wzrok. Poczula delikatny zapach migdałów; musiał używać mydła o tym zapachu. Uśmiech - skromny, obyczajny, miły - błąkał się w kącikach jego ust.

- To ja powinienem przeprosić. - Podniósł książki. - Pracowała pani na próżno, właściwie nie zbieram śpiewników po nabożeństwie.

- A powinien pan. - Przeciągnęła palcem po jednym z rozpadających się grzbietów. - Zwłaszcza w zimie. Wilgoć szkodzi kartom.

- Rzeczywiście powinienem. - Wstał, otrzepując z roztargnieniem sutannę.

- Trzeba je wymienić na nowe. Być może poproszę pana Jamesa Russella, by wyraził na to zgodę. - Zmusiła się do uśmiechu, wikariusz go odwzajemnił, a w jego oczach malowała się pełna zaufania wdzięczność, której już dawno Marta przestała być godna.

- W kościele był dzisiaj nieznajomy mężczyzna - powiedziała tego wieczoru pokojówka Marty, rozczesując jej włosy. - Widziała go pani?

- Masz na myśli pana Mirkwooda. Mirkwoodowie są właścicielami Pencarragh, na wschód od nas. - Wskazała głową, gdy służąca wyjmowała spinki z włosów. Gdyby tak Sheridan mogła wraz z nimi wyciągnąć z niej głupotę... Co ona sobie myślała, proponując, że napisze list do Jamesa Russella?

- Mirkwood, zgadza się. - W lustrze jej toaletki mignęła blond głowa pokojówki. - Sir Theophilus. Odziedziczy tytuł, gdy wpędzi ojca do grobu.

- Widzę, że wiesz więcej niż ja. Czy to plotki z kuchni? - Nie mogła wymyślić mocniejszej reprymendy, gdy jej umysł był tak zajęty czym innym.

Musiał być jakiś sposób, by szkoła działała, jakiś pewniejszy sposób niż prośba. Mimo pochlebnej jej wiary pana At-kinsa, nie miała daru przekonywania. Jego podziękowania należą się niedoskonałej pamięci jej męża po alkoholu. Nigdy nie wiedział, na co zezwolił, a czego zabronił. Bez tego nic by nie osiągnęła.

- Zna pani Sarah, która robi sosy? - Głos Sheridan przebił się przez jej myśli; był jak niczym niezrażony trzepoczący skrzydełkami radosny ptaszek. - Jej siostra pracuje w Pencarragh i powiedziała, że pan Mirkwood nie przyjechał z własnej woli, ale został zmuszony przez ojca.

- Przyjechał za karę? - To nareszcie zwróciło uwagę Marty. Co za pozbawiony rozumu ojciec i bezmyślny syn mogli postrzegać pobyt w wiejskich okolicach Sussex jako pokutę?

- Za karę, na pewno. - Garść spinek spadła na srebrną tacę. - Z dala od londyńskich pokus, w miejscu, gdzie jest mała szansa na nieczne występki. Został też odcięty od pieniędzy, jak słyszałam, więc nie będzie wypraw do Brighton w poszukiwaniu rozrywek.

Nieczne występki. Rozrywki. Tego Marta mogłaby się sama domyślić.

- Przykro mi to słyszeć. - Spojrzała w lustro, napotykać wzrok pokojówki. - Jednakże nie musimy przedłużać trwania niegodnych czynów człowieka poprzez dyskusowanie o nich. Możemy tylko żywić nadzieję, że pobyt w Sussex okaże się dla pana Mirkwooda korzystny. - Choć to mało prawdopodobne, jeśli będzie przesypiał msze.

Sheridan podniosła grzebień i przeciągnęła nim po włosach Marty. Pochyliła głowę zawstydzona, lecz jej uśmiech kazał podejrzewać, że wciąż folguje miłym myślom o panu Mirkwoodzie i jego postępach.

Bez wątpienia w ciągu dziesięciu miesięcy można było zdziałać więcej, by oduczyć pokojówkę powtarzania plotek i wpoić jej podstawy obyczajności. Jednak szkoda teraz czasu na żałowanie, że się nie udało. Być może Marta mogłaby wykorzystać zamięłowanie Sheridan do plotek.

- Wiesz coś o bracie pana Russella, Jamesie? - zapytała. - Czy starsi służący o nim wspominają?

- Pan James Russell. - Na policzku służącej drgnął mięsień, ale miała kamienny wyraz twarzy. - Dlaczego pani pyta?

- Ma odziedziczyć Seton Park i jest kilka kwestii, które chciałabym z nim omówić, zanim to nastąpi. - Tym razem

Sheridan znieruchomiła na chwilę. - Nie był na pogrzebie mojego męża, nie był też na naszym ślubie, muszę więc polegać na opinii innych. - Trzy, cztery, pięć minut ciszy. - Jak sądzę, słyszałaś jakieś opowieści o nim.

- Czasami starsi służący wspominali o nim. - Służąca spojrzała przelotnie w oczy Marty w lustrze i od razu spuściła wzrok.

- Co mówili? Proszę, byś była ze mną szczerą. - Przeszedł ją dreszcz. Co mogło wywołać milczenie Sheridan, która tak chętnie gawędziła o niecnym postępkach pana Mirkwooda?

Pokojówka zacisnęła usta. Wpatrywała się we włosy Marty. Wreszcie się odezwała.

- Mówią, że zhańbił dwie pokojówki, kiedy był młody.

- Co takiego? - Marta zadrżała. - Kto tak mówił?

- Pani Kearney. Była wtedy drugą pokojówką. Powiedziała, że uratowała ją jej dziobata twarz. - Sheridan znowu zacisnęła usta.

- Uratowała przed... pokusą hańbiącego związku, to masz na myśli? - Czy uratowała przed czymś gorszym?

- Nie było zbyt wiele pokus. - Słowa padały z ust Sheridan jak złowieszczy grad z nieba. - Wszedł w nocy do pokoju służby i zagroził pokojówkom, że zostaną odprawione, jeśli pisną słowo. A potem obie i tak zostały zwolnione z powodu sytuacji, w jakiej się znalazły.

- Czy pan Russel został ukarany? - Ochrypły szept pasował do kobiety, którą zobaczyła w lustrze, bladej jak biała batystowa koszula, którą miała na sobie. A pytanie było niemądre. Nikt nie pociągał takich mężczyzn do odpowiedzialności. Kobiety mogły tylko błagać o litość i znosić to, co im przyniesie los.

Służąca pokręciła głową, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Na mnie i tak nigdy nie spojrzysz - odezwała się po chwili. - Nie będzie tu dla mnie miejsca, jeśli pani wyjedzie. - Odłożyła grzebień i zajęła się splataniem rozczesanych włosów w warkocz. - Miałam tylko nadzieję, że pani zostanie. Cała służba na to liczyła. Pewnie sprawy ułożyłyby się inaczej, gdyby została pani pobłogosławiona synem.

- Z pewnością inaczej. - Marta spuściła wzrok, by nie patrzeć na swoje zarumienione odbicie w lustrze. - Jednak jak wszyscy wiemy, te ostatnie kilka dni, szansa na to jest... - Przerwała. Znowu poczuła bunt, drżący gdzieś głęboko w niej sprzeciw plątał jej język.

Uniosła podbródek, jej oddech był płytki i urywany, spojrzała na swoje odbicie. I na odbicie Sheridan, słodkiej, świeżej buzi i oczu, które widziały już zbyt wiele.

Kobiety mogły tylko błagać o litość... To nie była prawda. Kobiety mogły zrobić znacznie więcej. Zdesperowana kobieta mogła zrobić znacznie więcej.

Kobiety mogą tylko znosić to, co im przyniesie los. Ale pojawiła się szansa. Pojawiła się szansa i tego ranka spojrzała jej w oczy.

Rumieniec zniknął z policzków Marty, jej rysy złagodniały; podjęła decyzję i odzyskała spokój. To mogło się skończyć katastrofalnie na kilka różnych sposobów. Nie ma gwarancji sukcesu. I jak zrealizować plan, nie łamiąc wszelkich zasad, jakie jej wpojono, nie potrafiła sobie wyobrazić. Niech tak będzie. Mogła czekać, aż opatrność przyjdzie tym kobietom na pomoc, lub też wykorzystać to, co opatrność już jej dała.

- Sheridan - odwróciła się, by spojrzeć służącej prosto w twarz - opowiedz mi jeszcze raz o panu Mirkwoodzie. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

## Rozdział 2

Kim jest pani Russell i jaki interes może ją do mnie sprowadzać? - Theo Mirkwood trzymał wizytówkę, pierwszą, która pojawiła się na jego tacy, od kiedy przyjechał na wieś, w smukłych palcach i obracał ją na wszystkie strony. Czarne litery wygrawerowane na białej karcie. Żadnej oblamówki, żadnego ozdobnego liternictwa, żadnych małych zawijasów ani kwiecistych wzorów; krótko mówiąc nic, co mogłoby stanowić najmniejszą choć informację na temat właścicielki, z wyjątkiem jej nazwiska. A właściwie nazwiska, które nosi po mężu.

- Jest pańską sąsiadką - powiedział pan Granville - panią na Seton Park.

Theo odchylił się na krześle i zjadł kawałek posmarowanego masłem tostu, wciąż trzymając wizytówkę między wskazującym a środkowym palcem. Po drugiej stronie stołu siedział zarządca jego majątku, nie, zarządca majątku jego ojca, pilnie sortujący liczne, wyglądające na nudne, dokumenty, które ze sobą przyniósł.

- Musiała ją zostawić dziś o jakiejś nieludzkiej godzinie - stwierdził Theo, stukając kciukiem w kartę wizytową. Porządny papier. Szorstki. - Zna ją pan?

- Trochę. - Zarządca niemal nie oderwał wzroku od dokumentów. - Jest tutaj krócej niż rok i nieszczęśliwie owdowiała nieco ponad tydzień temu.

Mirkwood przestał przeżuwać. Może to jakaś inna wdowa? Nie, Seton Park, jak pamiętał, było nazwą posiadłości na wschód od nich, tam gdzie znajdował się kamienny kościółek.

- Tydzień mówisz. - Przełknął. - Dlaczego do diabła składa komukolwiek wizytę, o nieżonatym dżentelmenie nie wspominając?

- Pani Russell jest najprzyzwoitszą z kobiet. Jestem pewien, że to kwestia jakiegoś interesu, jak pan powiedział. I uważam, że nowy sąsiad powinien czuć się zaszczycony wiadomością od niej i przymknąć oko na jakiekolwiek naruszenie żałoby.

- Zaszczycony. Jestem oczywiście. - Co innego mógł powiedzieć? Długość jego pobytu tutaj zależała od raportów, które ten człowiek będzie składał jego ojcu. Jeszcze raz spojrzął na wizytówkę. - Co się stało z panem Russellem?

- Spadł z konia i złamał kark. Nieszczęśliwy wypadek. Jest pan gotów zacząć?

- Tak, dlaczego nie? - Westchnął i położył kartę wizytową obok talerza. „Wciągnij mnie głębiej w tę przymusową wiejską egzystencję”, mógłby wytwornie dodać, gdyby był w bardziej nonszalanckim nastroju i nie pamiętał o robieniu dobrego wrażenia.

Jednak po krótkiej chwili przestał słuchać brzęczenia zarządcy. Pokój śniadaniowy wypełniały promienie słońca, dając przyjemne, usypiające ciepło. Herbata i tost, który można było posmarować trzema różnymi rodzajami dżemu, też były ciepłe.

Musiał tylko kiwać głową i od czasu do czasu unosić brew, udając zainteresowanie między kolejnymi kęsami, podczas gdy jego myśli wróciły do wczorajszego poranka w kościele.

Co to była za dziwna sprawa: ta wdowa i wszystko inne. To, że się spóźnił. Zasnął. To, że tak się zapomniał z tym uśmiechem.

Jak wiele innych rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały się jego winą, to wcale nią nie były.

Wykształcenie nowych zwyczajów wymaga czasu. Poranne msze były tak wcześnie, poza tym spodziewał się, że jednak będzie więcej śpiewu, a mniej słów kazania.

- ...A tu widzi pan oszczędności, jakie osiągnęliśmy dzięki zamuirowaniu niepotrzebnych okien i obniżeniu podatku okiennego<sup>1</sup>. - Granville podsunął mu jakiś dokument.

- Imponujące. - Theo zerknął na papier i wziął kolejny tost. Czy ktoś kiedyś słyisał o oknie, które nie jest potrzebne? W swoim londyńskim mieszkaniu zawsze odsłaniał okna. Światło było wyjątkowo dobre o tej porze roku, łagodniało w oczekiwaniu na nadchodzącą jesień. W niektóre poranki zwabiało go z powrotem do łóżka z równą słodyczą co kobieta w nocy.

Nie powinien był się uśmiechać do tej wdowy, skoro już mowa o kobietach i ich wabieniu. Jednak kto mógłby go winić? Taki czarujący widok zaraz po przebudzeniu; taka poważna i surowa w swoich wdowich szatach, ale przeglądająca śpiewnik jak dziecko szukające obrazków. A potem, kiedy odwróciła głowę w jego stronę i zobaczył jej spłoszone

<sup>1</sup> Podatek okienny - podatek obowiązujący w tamtym czasie w Wielkiej Brytanii. Obciążano nim właścicieli budynków, a jego wysokość zależała od liczby okien wychodzących na ulicę (przy. tłum.).



sarnie oczy, jeszcze bardziej mu się spodobała. Mógł sobie wyobrazić, jak droczy się z nią z powodu jej błędzenia myślami i jak on słucha jej łajania za to, że zasnęła. Mógł sobie wyobrazić niezwykle przyjemny sonet składający się z przekomarzania i poddawania się kończący się w najdokładniejszym...

Granville milczał. Jak długo? Theo złapał leżący przed nim dokument.

- Proszę o wybaczenie - powiedział. - Przyglądałem się tym okiennopodatkowym kalkulacjom i obawiam się, że nie usłyszałem ostatnich pańskich słów. - Skupił się. - Mówił pan coś o placach? - Jednak dlaczego o placach? Place kojarzyły mu się jedynie z szermierką. Z pewnością w odległości kilku mil nie ma placu do szermierki, a poza tym ostatnio ten sport nie jest zbyt modny. Dżentelmeni uprawiają teraz boks.

- Niektóre ogrodzenia placów wymagają napraw, zgadza się. W dodatku dwa lub być może trzy domy wymagają położenia nowej strzechy przed zimą.

- Nowej strzechy, oczywiście. - Chryste. Nie mógłby brzmieć bardziej tępo, nawet gdyby specjalnie się starał. W ten sposób nigdy nie zobaczy Londynu.

Odłożył dokument o oknach i jego ręka trafiła na prostą wizytową kartę. Podniósł ją.

- Czy w tych okolicznościach wypada złożyć rewizytę? - Och, to mu się udało. Odwołanie do osądu zarządcy w połączeniu z troską o przyzwoitość.

- Sądzę, że tak nakazuje dobre wychowanie. Może pan znajdzie na to czas dziś po południu.

- Dziś po południu. Właśnie. Czy kończymy już z tymi dokumentami? - Nieco poweselał. Uprzejma wizyta nie przekracza jego możliwości. Zrobi na tej wdowie lepsze wrażenie niż w kościele, a dodatkowo zrobi też dobre wrażenie na

Granville'u. A im więcej dobrego wrażenia, tym szybciej wróci z tego wygnania do Londynu, gdzie było jego miejsce.

Wdowa Russell najwyraźniej wzięła sobie do serca żalobę tak bardzo, że nie tylko wycofała się z życia towarzyskiego, ale nawet nie przyjmowała gości w salonie: Theo wprowadzono do pokoju na piętrze, wyłożonego różową tapetą, gdzie siedziała w fotelu obitym tkaniną z delikatnym wzorem w róże.

Była oczywiście od stóp do głów ubrana w czerń i przez moment widział w wyobraźni pajaka czającego się w koszu róż. Jednak wiedział, że nie można jej winić za ten kolor. Z pewnością byłaby ozdobą tego pokoju ubrana w jakiś inny odcień, ale ozdoby nie są tym, co w pierwszej kolejności zaprzęta umysł wdowy.

Wstała z fotela, by podać mu dłoń. Spojrzała mu w oczy, po czym spuściła wzrok gdzieś w okolice jego kołnierzyka i kiedy się przywitali, odwróciła się, wskazując mały stolik z drzewa różanego, gdzie stały dzbanek kawy i talerz z dwoma rodzajami ciasta.

- Piłam herbatę, kiedy pana zapowiedziano - powiedziała, siadając i wygładzając spódnicę. - Napije się pan?

- Z ogromną przyjemnością, dziękuję. - Dość bezpośrednia propozycja - żeby podzielić się swoim posiłkiem - z jej strony. Choć może takie są zwyczaje na prowincji. A ciasto wyglądało bardzo apetycznie. Usiadł w drugim z perkalowych foteli i zdjął rękawiczki. Lokaj przyniósł drugą filiżankę i talerz, a ona podniosła dzbanek, by nalać gościowi herbaty. Czy mu się wydawało, czy unikała jego spojrzenia?

Odchrząknął.

- Powiedziano mi, że straciła pani męża bardzo niedawno. - Może powinien był powiedzieć to wcześniej. - Przykro mi to słyszeć.

- Rzeczywiście niedawno, a także nagle. - Nalała herbaty, obserwując, jak wypełnia szklanę. - Pańskie kondolencje są bardzo uprzejme. Mleka lub cukru?

- Nie, dziękuję. - Cóż, to było interesujące. Granville też nie przejawiał specjalnego żalu, mówiąc o wypadku pana Russela. Jednak ludzie nie zawsze obnoszą się ze swoimi uczuciami. Jeśli odczuwała przeciwieństwo smutku, również tego nie okazywała.

- Przyjechał pan z Londynu, jak słyszałam - podniosła wzrok, by podać mu herbatę, i wreszcie spojrzała mu w oczy.

Przez najkrótszą z chwil Theo poczuł zmieszanie. Prześliznęło się po jego skórze i przeniknęło do środka. Ależ ona miała oczy! Ciemne i nieufne jak jakieś leśne stworzenie; pamiętał to z kościoła. A teraz popatrzyła na niego jakby... cóż, naprawdę nie miał pojęcia jak co.

- Tak, z Londynu. - Podniósł filiżankę, ukłoniwszy się.

Theo napił się herbaty, wykorzystując to, żeby odzyskać panowanie nad sobą. - Czy pani spędziła trochę czasu w mieście? - zapytał, kiedy zniknęli służący.

- Tylko jeden sezon, podczas którego poznałam męża. - Za jej opanowaniem kryła się koncentracja, a za nią... tajemnice. Wiele, wiele tajemnic tłoczących się i kipiących za tym słodko-gorzki czekoladowym spojrzeniem. - Obawiam się, że Sussex może wydawać się nudne w porównaniu z tym, do czego musi być pan przyzwyczajony. - Powoli uniosła filiżankę do ust i napiła się, cały czas patrząc mu w oczy. Dobry Panie. Czy miała najbłedsze pojęcie, jak to wyglądało z punktu widzenia mężczyzny? Najwyraźniej nie. Gdyby to właśnie miała na myśli, zaproszenie wysyłałoby również jej ciało; słodkie niedomówienie igrałoby w jej głosie. A poza tym cieszyła się powszechnym szacunkiem. I była wdową. Czegokolwiek dotyczyły jej tajemnice, nie chodziło o niego.

- Jest tu bardziej spokojnie niż w Londynie, to na pewno. -Zmienił pozycję, odsuwając się lekko od niej. - Ale mam dość zajęć.
- Ma pan na myśli to, że zapoznaje się pan z obowiązkami baroneta. Tak przynajmniej słyszałam. - Jej ręce w porównaniu z rękawami czarnej sukni wydawały się uderzająco białe. Odstawiła filiżankę i nałożyła dwa kawałki ciasta na talerzyk. Miała zręczne, delikatne palce. Ale nieco chłodne; zauważył to, gdy podała mu rękę. Mężczyzna mógłby ogrzać te dłonie własnymi, a potem...  
A potem nic. Nie pozwoli swoim myślom wędrować w tym kierunku. Z pewnością stać go było na lepsze zachowanie.
- Zarządzanie majątkiem i inne tym podobne sprawy. -Przyjął od niej talerzyk i srebrny widelczyk, który mu podała.
- Naprawianie ogrodzeń. Zadbanie o okna. Podatek okienny. Upewnienie się, że w tych sprawach wszystkie decyzje są optymalne. W każdym względzie. - Wepchnął sobie do ust kawałek ciasta, głównie po to, by powstrzymać się od mówienia, zanim zacznie brzmieć jak jeszcze większy bufon. Pani Russell też włożyła kawałek ciasta do ust zaciśniętych ponuro. Szkoda, ponieważ w ten sposób nie było widać jej pełnych warg, a poza tym nawet osoba, która dopiero co przywdziała żałobę, powinna się cieszyć dobrym ciastem.
- Odpowiada to panu? - zapytała, przełknąwszy kęs.
- Och, tak, ciasto jest wyśmienite, dziękuję. - Rzeczywiście było. Cytrynowe, słodkie i orzeźwiające równocześnie.
- Nie - powiedziała, przez jej twarz przemknął wyraz bólu.
- Mam na myśli pana naukę. Poznawanie przyszłych obowiązków. Czy to się panu podoba?
- Och, całkowicie. Bez wątpienia. - Może pani Russel powtórzy ich rozmowę Granville'owi, gdy go spotka. -Stwierdzam, że to mi bardzo odpowiada.

W milczeniu zjadła jeszcze trochę ciasta. Jej spojrzenie wędrowało od twarzy gościa do talerza, co sprawiło, że Theo poczuł się jak kolejna pozycja w menu i to wątpliwej proveniencji.

- Jestem pewna, że uzyska pan przychylną opinię - odezwała się wreszcie i pozwoliła sobie na sugestię uśmiechu. -Gdybym była na pana miejscu, to, no nie wiem, planowałabym pewnie wyprawę do Brighton.

- Do Brighton? - To było... zaskakujące. A uniesiony w górę kącik jej ust sprawił, że zaczął być szczerze spragniony jej uśmiechu.

- Do bardziej interesującego otoczenia. - Mówiąc, dzieliła ciastko na talerzyku, znowu unikając patrzenia na niego. -Do miejsca, w którym jest towarzystwo bardziej... ciekawych osób.

Dostarczającego bardziej zróżnicowanych zajęć. Gdybym była przyzwyczajona do takich rzeczy, to wyobrażam sobie, że bym to wołała. Gdybym była młodym mężczyzną. - Biedne niewinne stworzenie przypisujące modnej letniskowej miejscowości blask, jakiego musi brakować w jej życiu.

- Jestem pewien, że w Brighton musi być cudownie. -Theo odstawił ciasto i wypił kolejny łyk herbaty, by ukryć pobłażliwy uśmiech. - Na pewno jest to miasto zarówno dla młodego mężczyzny, jak i dla młodej damy.

To nie była właściwa odpowiedź. Wyczytał to z jej twarzy. Jednak jaka odpowiedź byłaby właściwa w takiej rozmowie? Działo się tu więcej, niż pojmował, to pewne.

- Mówiono mi, że sklepy w Brighton są doskonałe. - Zabrzmiało to tak, jakby chciała sprawić, żeby podniósł się z krzesła i w tej minucie ruszył do Brighton.

- Nie wątpię. - Bezgłośnie odstawił filiżankę na spodeczek. O co, na ognie piekielne, mogło jej chodzić? Czy sugerowała,

że powinien zniknąć z tej okolicy? Ale przecież dopiero go poznała. Czy jeden uśmiech w kościele mógł zrodzić aż taką niechęć?

- I że są tam różne rozrywki. - Pani Russell podniosła sitko i dołała mu herbaty. - Mówi się, że rozrywki w Brighton są tym, co młodym mężczyznom sprawia największą przyjemność.

Rozważył jej słowa, gdy nalewała herbatę. Przyjrzał się też jej gorsetowi, skoro mowa o tym, co sprawia największą przyjemność młodym mężczyznom. Nie miała żadnej chusty czy szala i widział dość dużo, by ocenić, że jej pierś zmieściłaby mu się w dłoni. Z łatwością. Jej krągłości nie były zbyt obfite, a on miał duże dłonie. Nic w tym złego.

To oczywiście nie miało znaczenia.

- Gdybym mógł służyć pani informacjami o rozrywkach w Brighton i potwierdzić te doniesienia, z radością bym to zrobił. - To niesamowite, jak spojrzenie na kobiecie dekolt mogło poprawić jego samopoczucie. - Jednakże w czasie mojego tu pobytu raczej się tam nie wybiorę.

- Ponieważ brak panu funduszy, teraz, gdy został pan pozbawiony dochodów. - Powiedziała to miękko, odkładając sitko na małe talerzyk.

Ach. Plotka. To rzucało nowe światło na jej poranną wizytę w jego domu, niepochlebne dla nich obojga. Czyżby miała ochotę pogapić się na londyńskiego hulakę i wyciągnąć z niego kilka nowych opowieści, by podzielić się nimi później z przyjaciółkami? Cóż, musi gdzieś indziej poszukać czegoś, co ją w tym względzie zadowoli.

- Wyznam, że nie pojmuję, dlaczego miałoby to panią interesować. - Nadał głosowi ton równie zimny co woda ze studni i spróbował drugiego ciasta. Orzechowe, dużo mniej smaczne niż cytrynowe. To nie wpłynęło pozytywnie na jego nastrój.

- Proszę mi wybaczyć. - Siedziała nieruchomo, z dłońmi splecionymi na podołku. - Nigdy nie poruszyłabym tematu pieniędzy, lecz tym razem to mnie interesuje.

Co to za nonsensowna gra w zgadywanki?

- Nie jestem delikatnym człowiekiem, pani Russell. Cokolwiek ma mi pani do powiedzenia, proszę mi to powiedzieć bez ogródek. - Zostawił ciasto i napił się herbaty.

- Zatem bez ogródek. Bez ogródek. - Wzięła głęboki, uspokajający oddech i skupiła na nim całą uwagę. - Mogę panu zapewnić fundusze, panie Mirkwood, w zamian pan... - urwała. Po chwili dokończyła - Muszę być w błogosławionym stanie.

Tylko dzięki heroicznemu wysiłkowi woli i szybkiemu użyciu chusteczki powstrzymał się przed parsknięciem herbatą i zalaniem sobie spodni. Zakrztusił się i parsknął, sięgając po nową chusteczkę, którą mu podała, gdy niezgrabnie i głośno odstawił filiżankę.

- Jestem gotowa zapłacić panu pięćset funtów za pana pomoc w tej sprawie i kolejne tysiąc pięćset funtów, jeśli urodzę syna.

- Chwileczkę. Chwileczkę. - Wytrzeł usta. - Czy dobrze panią zrozumiałem?

Ściągnęła brwi.

- Naprawdę nie mam możliwości, by to wiedzieć. Mam nadzieję, że tak.

- Jak rozumiem, właśnie zaproponowała mi pani zatrudnienie jako pani prostytutki. - Odkaszlnął po raz ostatni. -Zgadza się?

Z dezaprobatą zacisnęła usta.

- Lepszą analogią byłoby zwierzę rozplodowe. Interesuje mnie tylko poczęcie. Nie spodziewam się przyjemności.

- Niewielka różnica. - Wbił w nią twarde spojrzenie. - Chce mi pani zapłacić za pójście z nią do łóżka.

- Jeśli nie zna pan jakiegoś innego sposobu, bym zaszła w ciążę, tak, to będzie konieczne - powiedziała, wyraźnie niezadowolona, że mężczyzna tak wolno orientuje się w sytuacji. Jednak wolno czy nie, wszystko stawało się dla niego jasne. Ten prywatny pokój. Zniknięcie lokaja. Jej gorliwe skupienie. Prawdopodobnie nawet brak chusty i ten jej dekolt. Dobry Boże. Jak mógł tego nie zauważyć?

Musiał się roześmiać. Podniósł chusteczkę do oczu i pokręcił głową. Wstał z fotela i przespacerował się po pokoju.

- Proszę mi wybaczyć utratę panowania nad sobą - powiedział. - Nie codziennie człowiek staje się aktorem tak niezwykłego melodramatu. - Stał za fotelem, na którym wcześniej siedział, opierając się łokciami o oparcie. - Nie powinna mnie pani najpierw uwieść? Albo dodać czegoś do mojej herbaty i pozwolić mi się obudzić, gdy już będę przykuty do łóżka?

Gospodyni oblała się rumieńcem, a jej mina wyrażała jeszcze większą dezaprobatę.

- To układ biznesowy. I tak chciałabym go traktować.

- Układ biznesowy. Tak nazywa pani obchodzenie ostatniego życzenia męża przez sprowadzenie na świat oszukańczego dziedzica? - Jeśli sądziła, że on tego nie pojmie, to powinna ponownie to przemyśleć.

- Tak - uniosła głowę, spojrzała na niego spokojnie. - Wiele zależy od obejścia jego ostatniego życzenia.

W jej spojrzeniu tańczyły tajemnice jak drobne pyłki w promieniach słońca. Och, ależ ona była ładna. I intrygowała go. I zupełnie nie tak zamierzał spędzić czas w Sussex.

- Piekło i szatani - mruknął i odwrócił głowę. Z roztargnieniem wodził palcem po róży wyszytej na perkalowym obiciu. - Dlaczego ja? Podejrzewam, że słyszała pani, że będę



spółkował ze wszystkim, co się rusza. - Rzucił na nią okiem. Teraz przydałaby się odrobina delikatności.

- Jeśli mam być szczerą, słyszałam, że jest pan lubieżnikiem.

- To słowo brzmiało grzesznie, rozkosznie grzesznie w jej pruderyjnych miękkich ustach. - Zakładam, że utrzymywał pan kochankę w Londynie. Musi pan sobie zdawać sprawę, że tutaj o kochanki raczej trudno, a gdyby nawet było inaczej, jak zdołałby pan ją utrzymać, nie mając odpowiednich funduszy? Oferuję panu zasadnicze korzyści wynikające z posiadania kochanki bez ponoszenia kosztów. W dodatku dostanie pan zapłatę, o której wspomniałam. - Mógł sobie wyobrazić, jak ona ćwiczyła te słowa. Prawdopodobnie nawet wcześniej je sobie zapisała.

Oczywiście nie powinien się na to godzić. Jednak dlaczego? Stał przed obrazem wiszącym na przeciwległej ścianie; lepiej pozbyć się rozprasających myśli o jej ustach. To nie był jeden z tych pokoi z pretensjonalnymi portretami przodków zajmującymi każdą możliwą powierzchnię. Właściwie wisiał tu tylko jeden obraz: przedstawiał skąpaną w słońcu łąkę ciągnącą się aż po horyzont.

Umiejętnie wykonany, ale kto chciałby na niego patrzeć, gdy wyglądając przez okno, można zobaczyć prawdziwą łąkę i fruujące nad nią motyle?

- Pani plany są uzależnione od narodzin syna, jak rozumiem. - Stał do niej tyłem. - A jeśli będzie córka?

- Będzie pan bogatszy o pięćset funtów.

- A pani o tyle biedniejsza z kolejną gębą do wykarmienia.

- Tak, to były solidne podstawy, by odrzucić jej ofertę. - Nie odpowiada mi to. - Pokręciwszy głową, ruszył w kierunku fotela. - Zadbalem o to, by do tej pory nie uczynić żadnej kobiety matką, żeby nie sprowadzić dziecka na świat, gdyby miało cierpieć niedostatek. Domyślam się, że testament męża

stawia panią w prawdziwie niekorzystnej sytuacji, skoro jest pani gotowa uciec się do takich działań.  
- Moje dziecko nie będzie cierpieć niedostatku. - Była przygotowana na tę wątpliwość. - Córka będzie otrzymywała rentę i będziemy żyły całkiem dostatnio z moim bratem lub siostrą. W rzeczy samej mój brat oferował mi już dom.

- Dlaczego w takim razie decyduje się pani na to? - Usiadł i sięgnął po filiżankę. - Dlaczego od razu nie przyjmie pani propozycji brata?

Gospodyni, złożwszy ręce na kolanach, zamarła bez ruchu, światło zamigotało w jej ciemnych oczach.

- Ponieważ tak zdecydowałam. - Słowa te miały tak ostre krawędzie, jakby pocięte malutką gilotyną. - Mam swoje powody i nie chodzi o moją chciwość. Nie będę o nich rozmawiać z nieznanym, lecz może pan wierzyć, że je mam.

- Hm. Bardziej przemówiłaby do mnie chciwość. Lubię kobiety, które sięgają po to, czego pragną. - Powiedział to, patrząc do środka filiżanki, choć jego głos zabrzmiał niepewnie nawet w jego uszach. Ponieważ z jakiegoś powodu ta kobieta stała się nagle wspaniała; silna wola i determinacja skryte za powściągliwym sposobem zachowania. Jak jakaś groźna, mroczna wróżka z baśni pozwalająca, by w krytycznym momencie zniknęło jej łagodne oblicze.

Czy taka była w łóżku? Surowa i wymagająca, ale delikatna i czuła pod pieśczośliwym dotykiem. Do diabła. To mogło być dobre. To mogło być interesujące i bardzo, bardzo dobre.

Usiadł wygodniej w fotelu, zakładając nogę na nogę i odstawiając filiżankę. Pani Russell wciąż siedziała nieruchomo, jakby oszczędzając energię, by odpowiedzieć na jego kolejną odmowę. Lub jego aprobatę. Nie ma nic złego w wyobrażaniu sobie tego. Mógł uwolnić tę kremową skórę od ponurego

okrycia, mówiąc tylko jedno słowo. Mógł odkryć, co te delikatne dłonie potrafią zrobić. Mógł posadzić ją na sobie - spodobałaby się jej pozycja na górze, dzikiej wróżce, szepczącej surowe komendy - jej włosy opadałyby jak kurtyna na jego policzki i...

- Jakiego koloru są pani włosy? - zapytał, ponieważ były ukryte pod czepkiem.

Dwie ledwo widoczne kreski pojawiły się między jej brwiami.

- Czy to coś zmieni?

- Możliwe. - Niegodziwiec z niego. Nie powinien się w ten sposób droczyć z damą. Nie, kiedy znał sto lepszych sposobów. Zmienił pozycję. Jakie jeszcze były powody, by jej odmówić? Cóż, gdyby Granville się o tym dowiedział, gdyby jego ojciec się o tym dowiedział, Theo zostałby wysłany w jakieś jeszcze bardziej odległe miejsce i to prawdopodobnie na resztę życia. Ale poza tym: jaki jeszcze powód?

Uniosła dłoń do tasiemek czepka i się zawahała. Widział, jak opracowuje strategię. Niemal słyszał jej myśli jak obracające się koło młyna w Lancashire. Opuściła rękę i przechyliła głowę, co nadało jej wygląd równocześnie kokieteryjny i prowokujący.

- Może się pan tego dowiedzieć - oświadczyła. - Ale nie za pomocą pytania.

- Och. Teraz zaczyna pani mówić językiem, który rozumiem. - Na jego ustach pojawił się uśmiech zrodzony z czegoś najbardziej pierwotnego, dodając koloru jego słowom. - Jak często wymagałaby pani moich usług? Jeśli miałbym się na to zgodzić? - Jeśli. Ponieważ może się nie zgodzić. Ale, na Boga, była śliczna z odchylną w ten sposób głową i wykorzystująca każdą możliwość, by zaciągnąć go do łóżka.

- Raz dziennie. Będziemy mieli niemal cały miesiąc. - Zaczęła mówić szybciej ze źle skrywanym zapalem. - I miałam nadzieję, że możemy zacząć już dzisiaj.

- Jako, jak podejrzewam, zakończenie tej wizyty. - Dlaczego nie? Do diaska, dlaczego nie?

- Jeśli da pan radę, tak.

Dałby radę nawet teraz, bez żadnego problemu. Dawał sobie radę przez całą wizytę.

- Cóż, pani Russell. Wygląda na to, że kupiła pani sobie prostytutkę. - Szybko, zanim zdążyła sprostować jego słowa, wstał i nachylił się nad nią, opierając ręce o poręczę jej fotela. Jej usta z tej odległości były jeszcze ładniejsze. Czy mógł w jakiś sposób sprawić, żeby jeszcze raz powiedziała „lubieżnik”?

- Co pan robi? - Zamrugła, a jej oczy pociemniały od dezaprobaty.

- Chciałem zacząć od pocałowania pani.

- To nie będzie konieczne. - Nagła niepewność przemknęła po jej twarzy. - Chyba że jest to pański warunek.

- Zupełnie nie. - Wyprostował się. Ta sytuacja stawała się coraz lepsza i lepsza. - Którędy do pani łóżka?

- Przez tamte drzwi, a potem kolejne. - Wstała z fotela i przeszła obok niego, skraj jej sukni otarł się o jego buty. - Pójdę pierwsza. Pan może przyjść za dwadzieścia minut. Na kredensie stoi bordo, jeśli uzna pan, że to panu pomoże.

- Pomoże? - Za jaką ofertę ona go bierze? - Moja droga, w dniu, w którym będę potrzebował bordo, żeby stanąć na wysokości zadania, może pani zacząć kopać mi grób.

Na tak błyskotliwą uwagę nie mogła znaleźć odpowiedzi. Po krótkiej, nieodgadnionej chwili wahania wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Dwadzieścia minut później poszedł za nią.

Musiała w tym czasie zadzwonić po pokojówkę, ponieważ zastał ją w łóżku, przypuszczalnie naga, z kołdrą naciągniętą aż pod brodę. Kiedy wszedł do pokoju, zerknęła na niego przelotnie, po czym przeniosła wzrok na ścianę.

Podszedł bliżej. Jej włosy uwolnione z czepka i świeżo rozplecione, rozrzucone na poduszce, były lekko poskręcane i pofalowane. Włosy w kolorze miodu, w odcieniu między blond i brązem. Włosy, które w słońcu stawały się świetliste, a w pomieszczeniach zachowywały dla siebie swoje tajemnice. Ta kobieta to same tajemnice. A niektóre z nich były przeznaczone dla niego.

- Pani Russell - powiedział, powodując, że spojrzała mu w oczy.

- Tak? - Jeśli w sypialni mówiła innym głosem, to nie był jeszcze ten moment. Jeszcze.

- Przypuszczam na podstawie tego, co do tej pory widziałem, że jest pani piękną kobietą.

- Tak. Bardzo dobrze. Dziękuję. - Dziwnie intonowała słowa i wypowiadała je pospiesznie, jakby mówiła w obcym dla siebie języku.

I prawdopodobnie ten język był dla niej obcy, język uwodzenia. Niewielu mężów zadawało sobie ten trud. Złapał za róg kołdry.

- Proszę mi pozwolić na panią popatrzeć.

Zacisnęła palce na pościeli. Zmrużyła oczy, w których malowała się niepewność.

- Czy to... to będzie... użyteczne w... przygotowaniu pana?

- Użyteczne. Tak. I pomocne. - Uśmiechnął się z pewnością siebie i uspokajająco. - Mogę? Proszę.

Zamknęła oczy, rozluźniła uścisk i pozwoliła mu odchylić kołdrę.

Zamarł z zachwytu, gdy zobaczył jej ciało. Zdarzało mu się to wiele razy - widział nową kobietę nago - że można by pomyśleć, że nauczył się przyjmować ten widok spokojnie, jako coś normalnego.

Można by pomyśleć, że dreszcz emocji zniknie, gdy sytuacja często się powtarza. Ale dobry Panie w niebiosach, za każdym razem odbierało mu dech.

Na tak wiele sposobów kobiety potrafiły być piękne. Piękno pani Russell było rodzajem piękna, które przemawia szeptem, okrywało ją jak mgła. Jakby miała nadzieję zatrzymać je dla siebie, i to prawda, że jej krągłości mogły umknąć nieuwważnemu mężczyźnie, tak delikatnie były zarysowane.

Potrzebowała doświadczonego kochanka. Takiego, który dostrzegał jej zmysłowy potencjał. Takiego, który potrafił pieszczotami wydobyć lubieżność z tego delikatnego ciała.

No cóż, wybrała odpowiedniego mężczyznę. Nie spodziewa się przyjemności, w rzeczy samej. Tutaj, tutaj i tutaj mógł zrobić różne rzeczy, które sprawią jej rozkosz. Tutaj, jej smukłe, jędrne ciało wygnie się z rozkoszy.

Przeciągnął palcem po jej mostku i niespiesznie w dół po żebrach do pępka i dalej do kępki jasnych loków.

- Niech się pani odwróci - powiedział, jego głos stał się już nieco niewyraźny.

Otworzyła oczy.

- Nie zgadzam się na nic wyuzdanego - zaprotestowała, w jej słowach słyhać było sygnał alarmowy.

- Chcę tylko popatrzeć. Obiecuję, że będziemy cudzołożyć twarzą w twarz jak chrześcijanie. - Nie mógł ukryć uśmiechu. - Ale proszę pozwolić mi jeszcze popatrzeć.

Zmarszczyła brwi, ale odwróciła się i nasycił wzrok widokiem jej pleców: zaskakująco wystające łopatki, pełna gracji linia kręgosłupa i cudowne wgłębienie w dole pleców - najlepsze miejsce,

gdzie można dotknąć ubranej kobiety - gdzie jej ciało zdawało się zbierać siły, by zaraz stworzyć kolejne smakowite krągłości.

- Będzie pan tak robił za każdym razem? - Jej głos tłumiała poduszka.

- Ależ jesteśmy niecierpliwi. - Rozwiązał fular. Nie ma powodu, by dama czekała.

- Niecierpliwi, chcemy jak najszybciej zająć w ciążę. Z pewnością musi pan być już gotowy.

Gotowy. Doprawdy. Gdyby raczyła spojrzeć na niego dłużej niż przez pół sekundy, wiedziałyby co nieco o byciu gotowym. Jednak być może jej mąż zawsze przychodził do niej w ciemności, a ona nigdy go nie oglądała. Niektóre małżeńskie łoża tak wyglądały: akt ukradkowy i pożądlivy, satysfakcja zamaskowana wstydem.

Teraz Theo nauczy ją rozkoszy. Ze sprawnością, którą zdobywa się tylko dzięki sporej praktyce, zdjął ubranie.

- Może się pani odwrócić.

Tak zrobiła i popatrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok, jakby była dostatecznie niemądra, by spojrzeć prosto w słońce albo jednego z tych bogów, których widoku nie mógł znieść żaden śmiertelnik. Apollo albo inny podobny. Merkury. Ten, który miał najszersze ramiona i był najhojniej obdarzony.

Przykląkł na łóżku, wodząc po niej spojrzeniem, jakby podziwiał wystawną ucztę przeznaczoną tylko dla niego. Jego pierwsza wdowa - Sussex kryło jednak kilka niespodzianek - i był jej wynajętym kochankiem. Ręka drgnęła mu niecierpliwie; wyciągnął ją i położył na jednej z prześlicznych piersi. Była dokładnie tak duża, jak przewidział, mieściła się we wnętrzu jego dłoni. Chłodna, gładka i z pewnością słodka jak cukierek, dwa cukierki, zrobione specjalnie dla niego. Zrobione i zaoferowane po mistrzowsku w tym jednym mamiącym

przelotnym spojrzeniu zza cienkiej czarnej tkaniny. Zmyślna mała uwodzicielka. Nie miał najmniejszej szansy.

- Układ biznesowy, powiedziała pani. - Powiedział to bez zastanowienia, w ten sposób co zawsze od pewnego momentu, a jego głos nabrał najbardziej intymnego tonu. - Ale chciała pani, żebym je zobaczył, prawda? Zamierzała mnie pani nimi skusić. - Uniósł rękę i dwoma palcami powiódł po wdzięcznym łuku pod jej piersią.

Zacisnęła mocno usta. Wbiła wzrok w baldachim, jej policzki się zaczerwieniły. Nie, nigdy wcześniej nikt tak do niej nie mówił.

- W każdym razie podziałało. - Słowa, głos, palce, wszystko miało ją pieścić. - Zobaczyłem to, co się dało, i wyobraziłem sobie resztę. Tak jak to pani zaplanowała. - Jej piersi uniosły się w odpowiedzi na jego dotyk. - Wyobraziłem sobie pani chłodną, jedwabistą skórę. Wyobrażałem sobie kolory. Kość słoniowa i róża. - Oparł się ręką o materac i pochylił się niżej, by być bliżej niej. - Wyobrażałem sobie pani zapach. - Zamknął oczy i wciągnął powietrze, powoli i głęboko. - Jak świeże kwiaty. - A dokładniej jak puder o zapachu bzu. Czyżby upu-drowała się specjalnie dla niego?

Krótkie, płytkie oddechy - teraz był dość blisko, by je usłyszeć - stanowiły jej jedyną odpowiedź. Była niespokojna i niegotowa. Ale mieli przecież całe popołudnie. No i miał swoje sposoby.

- Zaczniemy powoli. - Położył się obok niej, opierając na łokciu. - Powie mi pani, co lubi, czy woli pani, żebym sam to odkrył, próbując?

Minęła sekunda czy dwie bez najmniejszego znaku, że go usłyszała. Przeniosła spojrzenie z baldachimem na jego twarz.

- Słucham?



- Tak wolno, jak pani sobie życzy. Poświęcę pani tyle uwagi, ile pani chce. - Jego głos nabrał najbardziej kojącej i miękkiej barwy. - Od czego mam zacząć? Od szyi? - Musnął palcami jej szyję. - Uszu? Podbicia stopy? - Kobiety lubią, jak się pieści ich stopy.

Jej oczy otworzyły się szerzej na ułamek sekundy, ale natychmiast znów nabrały ponurego wyrazu.

- Nie zatrudniłam pana dla przyjemności. Nie płacę panu za robienie takich rzeczy.

- Ale ja lubię robić takie rzeczy. - Ta biedna kobieta była szokująco nieświadomiona. - Są czymś normalnym w stosunkach między mężczyzną a jego kochanką. I bardzo pomocne w przygotowaniu kobiety.

- Jestem przygotowana. Może pan zaczynać, kiedy tylko chce.

Jego usta drgnęły, gdy walczył z ogarniającym go rozbawieniem.

- Nie, kochanie. - Dotknął palcem niegotowego sutka. - Mam na myśli to...

- Będę zobowiązana, jeśli wywiąże się pan ze swojego zadania bez śmiania się ze mnie. - Jej twarz pociemniała z gniewu, lecz bez tego głodu, który powinien jej towarzyszyć. - Wiem, co ma pan na myśli. Jednak mężczyźni dają sobie radę bez tego. Pan nie?

Dlaczego, na ognie piekielne, chciałybyś tego? Ugryzł się w język, zanim powiedział to na głos. Już uraził ją śmiechem.

- Czy tak postępował pan mąż? - zapytał, gdy jedną ręką sprawdził, czy sam jest gotowy.

Prawdopodobnie wystarczająco gotowy.

Cisza aż wibrowała od jej niepewności. Przez pełne trzy sekundy wierzył, że pani Russell naprawdę szczerze odpowie.

- To, jak postępował mój mąż, nie jest pańską sprawą - stwierdziła w końcu. Innymi słowy „tak”.  
Zatem musi ją bardzo dużo nauczyć. Jednak w tym momencie, rozmasowując na swojej męskości odrobinę wilgoci, był doskonale gotowy, by podporządkować się jej niecierpliwym życzeniom.

- Jak pani sobie życzy - powiedział i położył się na niej. Rozchyliła nogi, zamknęła oczy i zamarła w bezruchu, zaciskając palce na pościeli. Niewątpliwie się przygotowywała.

- Niech się pani nie obawia - przesunął biodra do przodu, żeby mogła go poczuć. - Wiem, że jest dość duży, ale zapewniam, że żadna z dam nigdy nie miała żadnych trudności z...

- Nie boję się. Na litość boską. - Nie otwierała oczu, a jej policzki stały się tak czerwone, że Theo nigdy by nie pomyślał, że to możliwe. - Proszę zaczynać.

No dobrze. Naparł na nią, napotykać opór. Żadnej miękkości. Żadnego łatwego wejścia. Będzie musiał użyć nieco siły, chyba że... Odetchnąwszy głęboko i urywanie, spróbował po raz ostatni.

- Może pozwoli mi pani zrobić kilka rzeczy, by panią rozluźnić, nawet jeśli tylko przez wzgląd na...

- Nie. Przedyskutowaliśmy to bardziej niż wystarczająco. Może pan po prostu zacząć?

Jej słowa zawisły w powietrzu jak chłodny powiew i nagle poczuł, że nie staje na wysokości zadania. Jak mógł wejść w tak niegościnne miejsce?

Och, do diabła. Przynosił wstyd profesji prostytutek. Jak również zwierzętom rozplodowym. Czy którykolwiek byk martwił się chociaż przez chwilę, czy krowa naprawdę go pragnie? Pospieszenie przyjął odpowiednią pozycję. Podparł się jedną ręką. Nabrał powietrza w płuca. Jednym mocnym

pchnięciem wszedł w nią. Natura zrobi resztę. Dostateczna liczba pchnięć doprowadzi go do końca. Była tak ciasna - czy kiedykolwiek było mu tak wspaniale? - że dojdzie szybko.

Ale powinna go dotknąć. Jej prawa ręka leżała bezwładnie na materacu; lewą dalej zaciskała na pościeli.

- Może mnie pani dotknąć? - zapytał ochryple. Co za głupota grzecznie prosić, gdy sytuacja wymaga rozkazu.

Jednak zrobiła to, o co prosił. I potem żałował, że to zrobiła. Położyła ręce bezwładnie na jego plecach, poruszały się w rytm jego ruchów jak dwie śnięte ryby wyrzucone na brzeg. A raczej jedna śnięta ryba. Druga dłoń była cały czas zaciśnięta w pięść jak muszelka, w której delikatne stworzenie całe się skurczyło.

To nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia. Zaczynała zalewać go fala przyjemności, musiał tylko utrzymać rytm; oraz wyrzucić z umysłu obraz jej beznamietnej twarzy i zamkniętych oczu; wyrzucić z umysłu nieprzyjemne nowe uczucie bycia niepożądanym. Mógł patrzeć na jej włosy. Albo lepiej: na jej piersi, podskakujące zachęcająco przy każdym pchnięciu. Dobrze. Idealnie. Teraz reagowały na niego, te same, którymi go kusiła. Z czasem całe jej ciało też zacznie odpowiadać na jego pieszczoty, będzie tańczyło do jego melodii, na jej twarzy będzie się malować rozkosz, tak, dzika ekstaza. Widział to tak wyraźnie, niemal słyszał jej rozpustny krzyk i wreszcie zalało go słodkie spełnienie, gdy po raz pierwszy dał jej to, do czego go wynajęła.

Boże! Oddychał ciężko. W końcu trochę się napracował. Przetoczył się na bok, a jego oddech powoli się uspokoił. Cały miesiąc. Niech to diabli porwą. Jak on się w to wpakował?

- Czy to zwykle tyle trwa? - usłyszał jej głos.

Uniósł głowę z poduszki i zerknął na leżącą obok kobietę.

- Czy to nie za krótko? - Na jej czole pojawiły się delikatne zmarszczki. Znowu wpatrywała się w draperię wokół łóżka.

- O ile dobrze pamiętam, spieszyło się pani, by dostać nasienie i mieć to z głowy. - Opadł z powrotem na poduszkę.

- Jeśli pragnie pani maratonu, musi pani poprosić o maraton.

- Ha. Mało prawdopodobne.

- Nie, nie skarżę się. Właściwie byłam miło zaskoczona. Cóż, przynajmniej jedno z nas było mile zaskoczone. Nie

powiedziałałby tego na głos. Usiadł i podniósł swoją poduszkę.

- Proszę. Niech się pani na niej położy. - Jej twarz złagodniała, gdy odmalowała się na niej niepewność. Theo wsunął poduszkę pod dół jej pleców.

- Och - ułożyła biodra na poduszce. - Rozumiem.

Oparł się na łokciach. Jak długo powinien zostać w sypialni? Nie lubił być nieuprzejmy. Być może powinien był nieco głębiej przemyśleć tę całą sprawę.

Nie mając nic specjalnego do powiedzenia kobiecie leżącej obok, rozejrzał się po pokoju. W tym pokoju też królował róż. To był maleńki jasny pokój, białe zasłony odsłaniały wykuszowe okno, a na każdej ścianie znajdowała się jasnoróżowa tapeta w kwiaty w ciemniejszym odcieniu różu. Wyglądały jak naparstnica. Trująca. Dziwny wzór w sypialni.

- Byłam mężatką przez dziesięć miesięcy - odezwała się wdowa niepytana. - I nie poczęliśmy dziecka.

- Nie straciła pani przedwcześnie dziecka?

Pokręciła głową z zaciśniętymi ustami i wzrokiem wciąż wbitym w draperie.

To w najmniejszym stopniu nie było obiecujące.

- Odbywała pani z mężem regularne stosunki?

Na jej twarzy pojawił się już zbyt dobrze znany wyraz dezaprobaty.

- Nie może się pan spodziewać, że będę o tym rozmawiała.

- Zapewniam panią, że nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany szczegółowym opisem. Chciałbym tylko wiedzieć, czy nie zostałem wysłany na poszukiwanie złotego runa. Zakładam, że musi mieć pani jakieś podstawy, by sądzić, że problem leżał po stronie pani męża.
- Miał wcześniej żonę i przez dziesięć lat nie doczekali się dziecka. Sądzę, że problem leżał po jego stronie. Nie uważa pan? - Za jej słowami, w jej przenikliwym spojrzeniu wyczuł potrzebę potwierdzenia. Potrzebowała zapewnienia, że może mieć dziecko i poza nim nie miała nikogo, do kogo mogłaby się po nie zwrócić.
- Tak. - Nigdy nie był odporny na kobiece potrzeby. - Z pewnością na pani miejscu doszedłbym do tego samego wniosku.
- Usiadł, by sięgnąć po kołdrę zwiniętą w nogach łóżka i, podciągnął ją, by przykryć wdowę.
- Dużo pan wie na ten temat? - Obserwowała, jak mężczyzna podciąga kołdrę tak jak ona wcześniej, niemal pod brodę. - O płodzeniu potomstwa?
- Nieszczególnie. Jak już mówiłem, moje wysiłki zawsze były skierowane raczej w przeciwnym kierunku.
- A jednak wiedział pan, że należy podłożyć poduszkę. To więcej niż ja. - Poruszyła się, układając się wygodniej.
- No cóż, słyszy się o rzeczach, które mogą mieć na to wpływ. - Wygładził kołdrę, którą przykryta była wdowa. -Pora dnia. Faza księżyca. To, czy kobieta jest zaspokojona.
- To ostatnie to nieprawda - rzuciła, patrząc przez siebie, jakby chciała przekonać baldachim. - Naprawdę nie sądzę, żeby to mogła być prawda. Wiedział już, że nie ma sensu się kłócić.
- To, co pani je lub pije, też może mieć wpływ - powiedział.
- Pietruszka. Pokrzywa. Różne inne rzeczy. Prawdopodobnie

dość się pani więcej, pytając kobiety. - Wygładził ostatnią nierówność nad jej udem i usiadł. - Jednak na pani miejscu bym się nie martwił. - Jego ubrania leżały porozrzucane na dywanie; spieszyło mu się, przypomniał sobie, żeby wejść do łóżka i zacząć. - Jest pani młoda i najwyraźniej cieszy się świetnym zdrowiem i ma mnie za partnera. Będzie pani brzemienna bez żadnego problemu. - To pragnęła usłyszeć. - No dobrze, czy mam panią odwiedzić jutro o tej samej porze? -Wstał.

- Jeśli to panu odpowiada. - Jej oczy prześliznęły się po jego ciele, a na czole pojawiło się kilka srogich zmarszczek.

- O co chodzi? Widzi pani coś nieodpowiedniego?

- Nie, ja tylko... - Spojrzała na niego poważnie. - Mogę mieć pewność, że nie zgodziłby się pan na moją propozycję, gdyby zaraził się pan jakąś chorobą rozpustników?

Oto nagroda za jego życzliwość.

- Powiedziałem pani, że byłem ostrożny. - Pochylił się, podniósł koszulę i włożył ją przez głowę. - Odwiedzałem tylko renomowane kurtyzany i przyzwoite cudzołożące żony. - Podniósł spodnie i strzepnął je, na co zareagowały gniewnym trzaskiem. - I na miłość rozumu, następnym razem proszę zadać to pytanie, zanim nieznajomy sprowadzi panią na drogę rozpusty.

- Nie powiedziałabym, że sprowadził mnie pan na drogę rozpusty - wymamrotała tylko w odpowiedzi. Theo nie mógłby temu zaprzeczyć, nawet gdyby jego życie, jej życie i życie każdego mieszkańca Imperium Brytyjskiego od tego zależało.

## Rozdział 3

Czy w Seton Park naprawdę były zatrudnione te wszystkie kobiety? Marta nawet nie pamiętała, żeby widziała niektóre z nich. A jednak były tutaj, siedziały wokół stołu w jadalni, zwrócone twarzami do niej i patrzące wyczekująco.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - jej głos był wysoki; brzmiał nienaturalnie. Życzyłaby sobie władczego kontraltu podobnego do tego, którym zawsze z taką skutecznością przemawiała w szkole panna York. - Jestem pewna, że zastanawiacie się, jakie zmiany was czekają z powodu śmierci mojego męża. - Kilka starszych kobiet pokiwało głowami. Młodsze były oszołomione tym, że zwraca się do nich osobiście pani domu.

To spotkanie było z pewnością niezwykle. Jednak słowo „niezwykłe” nabierało dość osobliwego znaczenia, jak stwierdziła, gdy wynajęło się lubieżnika do usług erotycznych.

- Bez wątpienia będziecie słyszeć różne plotki i być może nic z tego, co wam dzisiaj powiem, nie będzie dla was nowością. Jednak zaprosiłam was na to spotkanie, by było jasne, jakie jest moje stanowisko. By nie było między nami niedomówień

w pewnych kwestiach. - Przerwała, by napić się herbaty. A właściwie nie herbaty, tylko wywaru z pokrzywy, który przygotowała dla niej Sheridan. Pokojówka siedziała teraz w drugim rzędzie za stołem i posłała Marcie delikatny zachęcający uśmiech, gdy ta na nią spojrzała.

Stanowczo potrzebowała każdego wsparcia, jakie mogła dostać.

- Fakty są takie - powiedziała i czując przyspieszone bicie serca, opowiedziała o testamencie i nadziei na dziedzicę, oczywiście legalnego, bo prawda nigdy nie powinna wyjść na jaw, i konsekwencjach, jeśli ta nadzieja zawiedzie. Informacja o Jamesie Russellu nie była dla nikogo zaskoczeniem. Pani Kearney, gospodyni, najwyraźniej zadbała o to, by jego skandaliczne zachowanie było powszechnie znane.

- Pamiętajcie też, że to było lata temu i nie mam żadnych dowodów, że w dalszym ciągu jest tak zdeprawowany. - Jej serce wciąż łomotało mocno, ale biło równomiernie. Bardziej jak galopujący koń niż uciekający zając. - Jeśli charakter mu się zmienił na lepsze, to być może skrzywdziłam go podejrzeniami. - Odstawiła filiżankę i położyła dłoń na białym adamaszkowym obrusie, po czym pochyliła się do przodu.

- Trudno. Szybciej podejmę to ryzyko, niż zaryzykuję bezpieczeństwo którejkolwiek, pozostawiając was w niewiedzy. Dlatego wam o tym mówię. Przyjrzała się kolejnym twarzom.

- Ponieważ gdybym była jedną z was, wolałabym wiedzieć. Cóż za dziwne uczucie: jakby wybuchła mała fontanna

iskier. Wydawało się, że coś - ktoś może powiedzieć co? - pękło w niej i te iskry zaczęły płynąć razem z krwią w jej żyłach, rozgrzewając ją całą i dodając twarzy kolorów.

- Co dalej zrobicie, to już wasz wybór. - Te słowa przysły jej tak łatwo, jakby czekała całe życie, żeby je powiedzieć.



- Jeśli chcecie od razu szukać nowego miejsca zatrudnienia, dam wam rekomendacje i wszelką pomoc, jaką jestem w stanie. Jeśli wolicie poczekać, dopóki kwestia ewentualnego dziedzica się nie wyjaśni, poinformuję was, jak tylko sama będę wiedziała. Obiecuję, że niezależnie od tego, co się okaże, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ochronić was przed takim mężczyzną. Gdyby tylko „wszystko, co w mojej mocy” mogło przybrać jakiś wspanialszy kształt! Gdyby na przykład mogła stawić czoła Jamesowi Russellowi z mieczem w ręku i armią za plecami. Albo przeprowadzić każdą z tych kobiet przez płomień i dym w jakieś bezpieczne miejsce. Zaryzykowała uśmiech, rozglądając się po pokoju - wszystkie kobiety przyglądały się jej, jakby była nieznaną osobą o szalonym spojrzeniu, który udawał ich panią - i sięgnęła po wywar z pokrzyw. Zrobi, co będzie musiała. Będzie leżała nieruchomo i znosiła bezczeszczenie jej ciała przez obcego mężczyznę, i miała nadzieję, że ten obcy mężczyzna uczyni ją brzemienną. Poświęcenie w przypadku kobiety przybiera różne formy i jeśli przyniesie odpowiedni rezultat, to będzie musiało jej wystarczyć.

- Ustawiłem wszystkie książki, które będą dla pana najbardziej przydatne w tym rzędzie. - Jak smutno wyglądała biblioteka, gdy w posiadłości nie mieszkała rodzina, która wypełniłaby półki powieściami i zostawiła porozrzucane w różnych miejscach czasopisma. Kolekcja Granville'a zajęła tylko dwie i pół półki i bez wątpienia jedna książka była nudniejsza od drugiej.

- Podoba mi się ten sufit. - Theo odchylił głowę do tyłu, by się mu przyjrzeć; stał z rękami w kieszeniach i na rozstawionych nogach. - Sklepienie kolebkowe. Nie widuje się go

często. Nadaje temu miejscu nieco romański wygląd, nieprawdaż? - Wbudowane w ścianę półki na górze wyginały się w łuk, dopasowując się kształtem do sufitu, a meble miały proste, klasyczne formy. Mógłby spodobać mu się ten pokój, gdyby nieco go ożywić i może dodać wzorzysty dywan.

- Romański, owszem. - Granville machał czymś; Theo widział to kątem oka. - To praca, która jak sądzę będzie dobrym ogólnym wstępem i po niej może pan przejść do którejkolwiek z pozostałych pozycji.

Wziął broszurę od zarządcy i spojrział na okładkę. *Użyteczność wiedzy rolniczej dla synów angielskich właścicieli ziemskich i młodzieńców zamierzających zostać zarządcami. W załączniku raport uczniów rolnictwa z Oxfordshire. Napisana przez szkockiego rolnika i zarządcy posiadłości, mieszkańca tego kraju.* Niech Bóg ma go w swojej opiece.

- Doskonale pasuje do okazji, czyż nie? - Opadł na najbliższy fotel i przerzucił kilka stron. Strona po stronie nużącego tekstu.

- Właśnie to sobie pomyślałem. - Granville pękał z dumy, jakby sam napisał to przekłete dzieło. - Czy będę panu przeszkadzał, jeśli zostanę tutaj i zajmę się pracą? - Wykonał nieokreślony gest ręką. - Chciałbym skończyć tę mapę działek możliwych do ogrodzenia, a obawiam się, że w domku zarządcy nie ma powierzchni odpowiedniej do wykonania takiego rysunku.

- Nie, oczywiście, proszę zostać i pracować. - Działki? Jakie działki? Czyżby przespał jakąś rozmowę na ten temat? I czy Granville oczekuje, że Theo złoży wniosek o ogrodzenie? Wspaniale. Kolejna okazja, żeby obnażyć swoją ignorancją. Pochylił głowę nad książką i obserwował z ukosa, jak zarządca usiadł przy pochyłym stole, na którym położył wielką płachtę papieru pokrytego rysunkami wykonanymi ołówkiem. Rysowanie map wyglądało na znacznie bardziej interesujące niż

studiowanie *Użyteczności wiedzy rolniczej*. Ale z drugiej strony, co nie wydawało się bardziej interesujące?

- Odwiedziłem wczoraj tę wdowę - odezwał się po przekart-kowaniu kilku stron.

- Panią Russell? - Zarządca podniósł wzrok. - I jak się miewa? Nie widziałem jej od tego nieszczęśliwego zdarzenia. Zapewne jest bardzo przygnębiona.

- Tak sędzę. - Nie widział jeszcze jej uśmiechu, jak teraz o tym myślał. To udawane wygięcia ust, którym wciągnęła go w dyskusję o Brighton, się nie liczyło. - Jednak nie sędzę, że mogę to ocenić, skoro dopiero ją poznałem. Robi wrażenie osoby o poważnym usposobieniu.

- To na pewno. - Granville uniósł kilka piór, przyglądając się ich końcówkom pod słońce. - Porządna, rozsądna kobieta. Niezbyt zainteresowana płochymi sprawami jak niektóre kobiety.

- Ja również odniosłem podobne wrażenie. - Theo przewrócił stronę, szelest kartek punktował jego myśli, choć nie poznał zawartości żadnej z nich.

- Miała do omówienia jakiś interes? - Wybrawszy najlepsze pióro, zarządca odłożył pozostałe na bok i wyjął korek z kałamarza.

- Tak, miała kilka rzeczy do powiedzenia. - „Czy to zwykle tyle trwa? Czy to nie było za krótko?”. - Dotyczących posiadłości, zarządzania majątkiem i tym podobnych.

- Bardzo dobrze. - Zarządca zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął poprawiać tuszem zaznaczone ołówkiem linie. - Chyba nie pozwolę sobie na zbyt wiele, gdy stwierdzę, że właśnie takie znajomości miał na myśli sir Frederick, gdy wysyłał pana tutaj.

- Doprawdy? - Theo pochylił się nad *Użytecznością*.

- Jeśli mogę sobie pozwolić na tę uwagę - cichy chrobot pióra po papierze towarzyszył słowom Granville'a - sir Fre-

derick miał nadzieję, że towarzystwo godnych szacunku osób wywrze na pana zbawienny wpływ.

Nikt nie jest bardziej godny szacunku niż pani Russell. Czy omawiał pan może kwestię dachów?

- Nie, nie przypominam sobie, by ta kwestia znalazła się wśród poruszanych przez nas tematów. - „Nie zaraził się pan jakąś chorobą rozpustników?”

- Szkoda. W Seton Park tego lata wymieniono dachy domów dzierżawców. Wysłuchanie jej relacji na ten temat może być dla pana pomocne.

- Cóż. Może następnym razem. - A może kiedy piekło zamarznie. To byłby bardzo smutny dzień, w którym nie miałby nic ciekawszego do przedyskutowania z kobietą niż wymiana dachów.

Dzisiaj pójdzie mu lepiej z panią Russell. Oczywiście raczej nie mogło pójść gorzej. Jednak im dłużej o tym rozmyślał, tym wyraźniej widział, że większość, jeśli nie wszystkie wczorajsze trudności mogły zostać przypisane jej zdenerwowaniu. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie była z mężczyzną, wyłączając tego głupca jej męża; z pewnością nie z nieznanym, i tak denerwowała się tym, czy on przyjmie jej ofertę, że nie miała szans się rozluźnić. Dzisiaj będzie dla niej już kimś znanym, kogo współpracę ma już zapewnioną. To powinno wszystko zmienić.

- Pańskie odwiedziny też zapewne miały na nią dobry wpływ. - Granville przerwał na chwilę rysowanie, by sprawdzić coś na kartce, na której najwyraźniej zanotował sobie jakieś informacje. - To, moim zdaniem, smutna sprawa, że wdowa powinna pozostawać w odosobnieniu, akurat kiedy towarzystwo może być jej najbardziej potrzebne. Sama nigdzie nie bywa, czeka tylko, aż ktoś ją odwiedzi. A nie wydaje mi się, by miała wielu znajomych.

- W takim razie dołożę starań, by nie czuła się zaniedbywana. Na tyle, na ile pozwala dobre wychowanie, oczywiście. - Potarł usta wierzchem dłoni, by ukryć nieroztropny uśmiech. Cnotliwi ludzie tego świata zmówili się przeciwko niemu. Najwyraźniej nie chcieli go w swoich szeregach. No cóż, jak mógł z tym walczyć, skoro po przeciwnej stronie były tak wielkie siły? Kiedy godna szacunku pani Russell przekupywała go, by poszedł z nią do łóżka, a zacny pan Granville właściwie nakazywał mu do niej wrócić, co on, Theo, mógł zrobić poza poddaniem się temu nakazowi?

Tym razem patrzyła, jak Theo się rozbiera, z łóżka, do którego położyła się pierwsza. Jego ubrania wyglądały na drogie - prawdopodobnie jedna z tych zachcianek, które tak wzburzyły jego ojca - ale przynajmniej były gustowne. Zdjął nieskazitelnie skrojony surdut z wełny o miętowym odcieniu, potem kamizelkę, której bardziej żywy zielony całkiem ładnie pasował, trzeba to przyznać, do jego jasnych włosów i ciemnoniebieskich oczu.

- Czy to irlandzki len? - zapytała, mając na myśli jego koszulę, po prostu, żeby coś powiedzieć.

- Tak, zgadza się - odpowiedział, po czym zdjął ją dość wolno przez głowę.

Wyraźnie spodziewał się, że będzie podziwiany. Na pewno tak dobrze zbudowany mężczyzna był do tego przyzwyczajony. Jego muskulatura bardzo się różniła od tego, co Marta widziała u męża, choć pan Russell nie stawiał zbyt wysoko poprzeczki. To miało znaczenie dla niektórych kobiet. Mięśnie i tym podobne. Te napięte i płaskie na jego brzuchu na przykład. Albo te wyraźnie rysujące się na jego ramionach. Kobiety, które nie uważały, że najważniejszy jest charakter mężczyzny, bez

wątpienia spowodowały, że pan Mirkwood stał się próżny z powodu swojego wyglądu. Nawet kobieta z zasadami musiała podziwiać, ze względów czysto estetycznych, tego mężczyznę, gdy zdjął koszulę. Potem zdjął spodnie i to był koniec podziwiania.

Zamiast podziwu pojawiła się ta sama konsternacja, w którą wprowadził ją widok nagiego mężczyzny jakieś dziesięć miesięcy temu. Czy to naprawdę była udana kreacja? Po co te dziwne kanty i do czego niby potrzebne są te wszystkie włosy? Jeśli uwierzyć, jak mówiły Biblia i mity greckie, że mężczyzna został stworzony najpierw, a kobieta później, to nasuwa się wniosek, że drugie dzieło Stwórcy było znacznie lepsze.

Tam, gdzie kobieta miała delikatny kształt, mężczyzna był toporny jak kawałek z grubsza ociosanego drewna. Tam, gdzie kobieta miała krągłości, nie wspominając już o tym, że narządy rozrodcze kobiety były schowane, mężczyzna był smukły, niesymetryczny, a jego organy wyglądały jak dodane później w nieodpowiednim miejscu. Jak ostatni kawałek gliny, z którego ulepiono prymitywne kształty, a na środku doklejono klejnoty w niezgrabnym czerwonym worku i to nieprawdopodobne coś dyndające z przodu.

Albo niedyndające, a stojące w gotowości i wyrażające żądanie z męczącą częstotliwością. To coś jej męża sztywniało i wchodziło w nią, nie zważając na to, co ona czuje lub myśli, i to ostatni powód, dla którego nie mogło jej się podobać, jak został stworzony mężczyzna.

Nie mógł jej się też podobać pan Mirkwood, mimo jego pewności, że zawsze miło się na niego patrzy i z przyjemnością przyjmuje. Jego męskość podniosła się raz czy dwa, gdy zdejmował ubranie, a potem zastygła w bezruchu. Marta spojrzała

na niego. Przyglądał się jej, oparłszy ręce na biodrach, zadowolony, że jest obiektem kobiecej uwagi. - To wszystko twoje, moja droga, za to zapłaciłaś - rzucił, jak się wydawało, z rozwiązłym uśmiechem. Co, na niebiosa, można na to odpowiedzieć? To nawet nie była prawda - jeszcze mu nie zapłaciła - ale doprawdy, im mniej będą o tym rozmawiać, tym lepiej. Wczoraj ta część była wyjątkowo i boleśnie męcząca. „Ma pani skórę jak jedwab. Pachnie pani jak kwiaty”. W uwodzeniu musi polegać przede wszystkim na swoim wyglądzie. Nie mógł mieć nadziei, że zdobędzie jakąkolwiek damę inwencją poetycką.

Odrywając od niego wzrok, przesunęła się trochę i uniosła róg kołdry. Mirkwood położył się obok niej, jego męskość wskazywała mu drogę, podobnie jak zapewne wskazywała mu kierunek działania w większości spraw w jego życiu. Jednak zamiast zabrać się do dzieła, oparł głowę na dłoni, a łokieć na poduszce.

- Gdzie pani dorastała? - zapytał. Co znowu?

- W północnej części Cambridgeshire.

- W takim razie jesteśmy sąsiadami. Moja rodzinna posiadłość znajduje się w Lincolnshire. - Położył rękę na jej plecach. - Zostałem zesłany do jednego z mniejszych gospodarstw tutaj. Ma pani jakieś rodzeństwo?

- Trzech braci i siostrę. Dlaczego pan pyta?

- Chciałem, żeby się pani rozluźniła. - Jego głos był beztroski, konwersacyjny. Swobodnie trzymał dłoń na jej boku. - Myślę, że jeśli trochę porozmawiamy i oswoimy się ze sobą, pani ciało nie będzie się opierać tak mocno jak wczoraj.

Poczuła, jak palący rumieniec oblewa jej policzki.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby po prostu pan zaczął. Jeśli będzie pan zwlekał, później może pan mieć problem. - Poza

tym poznanie go bliżej może nie pomóc w tej sprawie. Ale tego nie dodała.

- Mogę mieć problem? - Uśmiechnął się, jakby Marta powiedziała jakiś dowcip, który tylko on zrozumiał, nachylił się do jej ucha: - To się nazywa erekcja - wyszeptał - i zapewniam panią, że nie grozi mi jej brak.

Miała mu pogratulować? Przy okazji z pewnością komplementując jego ogromny rozmiar?

Mężczyźni mieli przedziwne mniemanie o sobie.

- Naprawdę wolałabym zacząć już teraz. Możemy porozmawiać później, jeśli będzie pan chciał. - Rozsunęła nogi i zamknęła oczy. Usłyszała stłumione odgłosy: Mirkwood musiał się przygotowywać podobnie jak wczoraj. Chwilę później się zaczęło.

Marta westchnęła lekko. Znowu to. Przypuszczalnie to było przyjemne z mężczyzną, którego kobieta pożądała. Bez pożądania czuła tylko ciężar innego ciała. Obcą skórę z włosami w dziwnych miejscach. Biodra przyciskane do jej bioder i wszystko inne wciskające się w nią. Szukając wejścia, szukając i... znajdując je jednym długim pchnięciem.

Wszedł w nią łatwiej niż wczoraj, jej ciało najwyraźniej poddało się losowi. Reszta była bardzo podobna do tego, co działo się dzień wcześniej i bardzo podobna do tego, jak wyglądało to z jej mężem. Te same groteskowe ruchy, które doprowadziły go do szczytowania: pośladki unoszące się w sposób przypominający spółkującego psa albo barana, albo jakiegokolwiek inne zwierzę, od którego, jak zawsze myślała, człowiek stał wyżej w hierarchii. Nachylił głowę w stronę poduszki, jego oddech był ciepły i wilgotny i słyszała go w swoim uchu. Słyszała też inne dźwięki, które z siebie wydawał: naliczyła dziś pięć mruknięć i cztery jęki, wydawane coraz częściej i coraz



bardziej nagłące w tonie, dopóki z ostatnim ochryplym zwierzęcym jękiem doszedł i skończył na dzisiaj.

Znowu podsunął jej poduszkę pod nogi, ręką podparł jej plecy. To miłe z jego strony. Podobnie jak w ogóle powiedzenie jej o poduszce. Powinna być dla niego przynajmniej uprzejma. Odetchnęła.

- O czym chciałby pan porozmawiać? - Kątem oka widziała, jak odwrócił głowę, by na nią spojrzeć, choć sama wbiła wzrok w baldachim.

- Jest pani dość młoda, prawda? - powiedział. - Ma pani niewiele więcej niż dwadzieścia lat, jak sędzę. Dobre wychowanie, trzeba pamiętać, oznacza co innego w tego typu relacjach. Mężczyzna mógł oczekiwać takiej zażyłości od kobiety, z którą sypiał.

- Dwadzieścia jeden lat. - Odchrząknęła. - Chociaż moja siostra mówi, że nigdy nie byłam młoda.

- Pani mąż musiał być sporo starszy. Wspominała pani, że przez dziesięć lat był żonaty. - Jego ciekawość była jak zuchwały dotyk badający kształt jej policzka, jej szyi, jej ramienia. - Jak panią zdobył? Pani ojciec był mu coś winien?

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Choć może to być dla kogoś tak młodego niezrozumiałe, niektóre damy wybierają starszego mężczyznę z własnej woli. Niektóre cenią inne sprawy niż tylko sentymenty i rozkosz, gdy dokonują tego wyboru.

- Mam dwadzieścia sześć lat. Nie jestem aż tak młody. - Albo nie zauważył przygany, albo słyszał ich tak wiele, że mógł przyjąć kolejną bez mrugnięcia okiem w kolorze oceanu. - Co więc pani ceni?

Proszę nie mówić, że bezpieczeństwo. Zważywszy na wynik pani decyzji, musiałbym pani współczuć.

- Proszę zachować dla siebie swoje współczucie. - Te słowa dochodziły z jakiegoś polarnego regionu, spokojne, chłodne i odległe. - Mój ojciec umierał. Matka umarła wiele lat wcześniej. Musiałam szybko wybrać albo zamążpójście, albo zamieszkanie z bratem i bycie od niego zależną.
- Przykro mi. - Jego oczy błyszczały. Przy bliżej obserwacji zauważało się w błękitach złote plamki.
- Dziękuję. Jednak nie byłam tak mocno związana z rodzicami, by bardzo głęboko odczuć ich stratę.
- Teraz jeszcze bardziej mi przykro. - Ten złoty błysk w jego uważnym wzroku był jak promienie słońca tańczące na morskich falach.
- Niepotrzebnie. Miałam bardzo kompetentną guwernantkę.
- Przykro mi, że musiała pani decydować o zamążpójściu w takich okolicznościach. To musiało być trudne. - Jego ostentacyjna ciekawość była jak ręka niewidomego próbującego dotykiem dowiedzieć się, kim ona jest.
- Prędzej czy później musiałabym wyjść za mąż. I nie jestem romantyczką. Jestem pewna, że jeden mąż jest podobny do drugiego. - Chciała pociągnąć kołdrę, by lepiej ukryć się przed jego badawczym wzrokiem, ale nie mogła; ciało leżącego obok mężczyzny przygniotło pościel.
- Wątpię. Kobiety bardzo się między sobą różnią. Spodziewam się, że mężowie podobnie. - Poruszył się i Marta poczuła jego zapach. Przede wszystkim coś ostrego. Cytrusowego. Najpewniej jego krem do golenia. Za nim kryły się inne zapachy, męskie. Jej łóżko będzie nim pachniało, kiedy już sobie pójdzie. Ona też.
- Czyli nie tęskni pani za nim. Za panem Russellem.
- Nie twierdziłam, że tak jest. - Znowu pociągnęła kołdrę. - I muszę powiedzieć, że nie podobają mi się takie impertynenckie pytania.

- Impertynenckie? - Jego zuchwały klasyczny profil ustąpił zuchwałemu obliczu en face. Nawet kątem oka widziała złote plamki w jego oczach tańczące wesoło. - Które z nas płaci temu drugiemu, żeby znalazł się nagi w jego łóżku? Nie mówiłbym o impertynencji na pani miejscu.

- Proszę mi wierzyć, że jestem boleśnie świadoma, jak bardzo się poniżyłam, i nie potrzebuję przypominania mi

o tym. Niech pan jednak zauważy, że powstrzymałam się od pytania o powody pańskiego wygnania albo czy tęskni pan za ostatnią kochanką. Nie jestem impertynencka bez potrzeby.

- Moje wygnanie nie jest tak interesującą opowieścią, jak pani przypuszcza. - Znowu klasyczny profil i tym razem uniósł dłoń, by mówiąc, przyglądać się swoim smukłym palcom. - Żadnego męża rogacza żadnego mojej krwi. Żadnych pamiątkowych rodzinnych sreber przegranych w karty. Po prostu wydawałam za dużo i cierpliwość mojego ojca się wyczerpała. - Przejechał kciukiem po jednym z paznokci, w tę

i z powrotem, jakby znalazł tam jakiś ostry kant. - Kroplą, która przelała czarę, była tabakiera.

Wydałem na nią dwumiesięczne dochody. W Sèvres. - Zerknął na Martę. Nie zdając sobie z tego sprawy, odwróciła się w jego stronę, słuchając.

- To rzeczywiście wydaje się ekstrawaganckie. - I rozrzutne, i niebywale głupie.

- Zwłaszcza że nie używam tabaki. - Powiedział to do swojej ręki, dotykał teraz kciukiem kolejnych palców. - Mój ojciec też tak uważał, choć wyraził to w mocniejszych słowach. No i tak się tu znalazłem. - Opuścił rękę. - I „nie” w odpowiedzi na to drugie.

- Słucham? W odpowiedzi na co?

- Moja kochanka. Nie tęsknię za nią. - Przeciągnął się w sposób ogromnie przypominający kota, tym samym wreszcie uwalniając kołdrę. - Nigdy nie tęskniłem za kobietą, z którą się

rozstałem. Mam w zwyczaju zapominanie o wszystkich kobietach z wyjątkiem tej, która akurat stoi przede mną.

- To... - Rozważyła kilka zbyt mocnych słów, poprawiając przykrycie - niefortunne.

- Zależy, którą z tych kobiet jesteś. - Nie powinien być aż taki zadowolony z siebie.

- Sądzę, że to niefortunne dla każdej kobiety, która liczy na pana stałość.

- Tak. Takich z zasady unikam. - Usiadł i spuścił nogi z łóżka. - O tej samej porze jutro? - zapytał przez ramię.

- Od tej samej porze, ale w innym miejscu. - Niemal zapomniała mu powiedzieć. - Od tej pory będziemy się spotykać w innym pokoju, w przeciwległej części domu. Może pan wchodzić bocznym wejściem i użyć schodów dla służby, tak że nie będzie pan przez nikogo zauważony.

- Bardzo dobrze. - Wstał, podnosząc przy tym ubranie. - Mam bogate doświadczenie w tego typu sprawach.

Nie powinno się odpowiadać na takie uwagi, by nie zachęcać do ich wygłaszania. Leżała na poduszce i w milczeniu obserwowała, jak wkłada bieliznę, spodnie i koszulę z irlandzkiego lnu. Dopiero kiedy usiadł, by włożyć buty, Marta znalazła temat do rozmowy.

- Ma pan jakieś oficerki? - zapytała. - Lepiej nadają się na wieś niż pańskie buty.

- Bardziej się pani podobają? - uśmiechnął się przebiegle. - Tak się składa, że sprawiłem sobie parę i z przyjemnością włożę je następnym razem, jeśli pragnie mnie pani w nich zobaczyć.

Jak wielu jeszcze nonsensownych uwag będzie zmuszona wysłuchać?

- Miałam na myśli wyłącznie względy praktyczne, chodzenie przez pastwiska na przykład. Nie obchodzi mnie, w co pan jest ubrany.
  - W takim razie najwyraźniej nie włożyłem jeszcze odpowiedniej rzeczy. - Wyciągnął obute nogi, jakby chciał jej sprawić przyjemność tym widokiem. - A teraz proszę mi powiedzieć, jak znajdę ten pokój, w którym będziemy kontynuować schadzki.
  - Mogłaby pani ogłosić, że urodziła chłopca i przebierać dziewczynkę w męskie stroje. Słyszałam o takich przypadkach. - Dzięki niebiosom za służącą, której nic nie może zaszokować. Sheridan ani razu nie kwestionowała zasadności przedsięwzięcia ani nawet nie uniosła ze zdumieniem brwi. Podsunęła też pomysł, by Mirkwood mógł w przyszłości wchodzić niezauważony do sypialni w nieużywanym wschodnim skrzydle domu.
  - Ale prawda musi w końcu wyjść na jaw, zgadza się? -Marta zmarszczyła brwi, patrząc na swoje odbicie. Po tym jak jej gość wyszedł zaspokojony, usiadła przy toalecie, czekając, aż pokojówka upnie jej włosy. - Dziewczynka nie mogłaby przeżyć całego życia, udając chłopca. Prędzej czy później prawda dotarłaby do pana Jamesa Russella i straciłabym posiadłość oraz znalazła się w wielkich kłopotach.
- Służąca zacisnęła usta i spojrzała na włosy pracodawczyni.
- Słyszałam, że dokonuje się też zamian.
  - Zamian? - Marta była niemal pewna, że wolałaby się o tym nie dowiedzieć.
  - Kiedy koniecznie potrzebny jest dziedzic - oczy kobiet spotkały się w lustrze - znajduje się nowo narodzonego

chłopca. Kiedy nie rodzi się dziedzic, lecz dziewczynka, podmienia się dzieci.

- Nie mogłabym wymienić swojego dziecka na cudze. - Bezwiednie położyła rękę na sercu. - Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógłby zrobić coś takiego.

- Ludzie, którzy pragną pieniędzy, są zdolni do wielu różnych rzeczy. - Sheridan przypięła pierwszy warkocz. - Niektórzy, zwłaszcza rodziny, gdzie jest zbyt wiele dzieci, mogą z radością oddać jedno z nich w zamian za opłatę. Jeśli urodzi pani córkę, może pani w ten sposób zdobyć chłopca i powiedzieć, że urodziła pani bliźniaki. W ogóle może pani w ten sposób dostać chłopca. - Jej głos był delikatny, oczy spuszczone.

- Jeśli nie zajdę w ciążę, to masz na myśli. - Wtedy oddałaby się Mirkwoodowi na próżno.

- Słyszałam o takich przypadkach. Kobieta wypycha sobie suknię, żeby wyglądało to tak, że ma coraz większy brzuch i...

- Tak, rozumiem, jak to można zorganizować. Przemyślę to. - Marta podniosła z blatu lusterko i zaczęła obracać je w dłoniach. Droga opatrności, proszę, niech do tego nie dojdzie. Kupić dziecko jakiejś zdesperowanej kobiety. To może być więcej, niż jest w stanie znieść.

A jednak to mogła być rozsawniejsza droga. Kobiety czasami od tego umierały. Oczywiście przykładem była jej matka. Kobiety słabego zdrowia nie wstawały z połogu.

Niczego nie można zyskać, rozwodząc się nad tym.

- Wywietrzyłaś pokoje we wschodnim skrzydle? - zapytała i od tej pory rozmawiały o prozaicznych sprawach.

Gdy Sheridan ułożyła jej włosy, Marta poszła się przejść. Późnym popołudniem słońce ogrzewało ziemię ciepłymi promieniami i nogi same zaprowadziły ją, jak to często się zdarzało, do niskiego, niezamieszkanego budynku przeznaczonego

na szkołę pana Atkinsa. Jak się okazało, drzwi stały otworem, a w środku był wikariusz. Pochylał się nad stołem i coś piłował.

Musiał zauważyć Martę kątem oka; uniósł wzrok, uśmiechnął się i zaprosił gestem do środka, odkładając piłę, by sięgnąć po surdut wiszący na oparciu stojącego obok krzesła.

- Proszę nie przerywać pracy z mojego powodu. - Zawahała się, stając na progu.

- Och, to nic pilnego. - Włożył surdut. Na stoliku leżało kilkanaście tabliczek dla uczniów.

- Będzie pan ich używał na lekcjach? - Wytarła buty o trawę i weszła do środka. Wikariusz spędził co najmniej godzinę na kolanach, szorując podłogę.

- Jakaś szkoła na pewno będzie miała z nich pożytek. Jeśli nie nasza, znajdę inną, w której się przydadzą. - Powiedział to przez ramię, ponieważ odwrócił się, by zapiąć surdut. Ten objaw skromności sprawił, że Marta poczuła bolesne ukłucie w sercu. Wciąż jeszcze czuła na sobie zapach cytrusów.

- Cóż, wysłałam list do pana Jamesa Russella i mam nadzieję, że otrzymam przychylną odpowiedź. - Wyrzuciła to z siebie szybko, zanim mógł się do niej odwrócić, a kiedy podeszła do stołu, pochyliła głowę, by popatrzeć na jedną z tabliczek. Okłamywanie duchownego to było co innego niż okłamywanie kogoś, kto nie nosi sutanny.

- Pani jest tak dobra, że nie potrafię znaleźć właściwych słów, by wyrazić swoją wdzięczność. Ale jestem ogromnie wdzięczny. - Podeszedł do stołu.

- Robi pan do nich ramki? - Głupie pytanie. Oczywiście, że to robił.

- Tak, żeby były jednakowe. - Z radością podjął nowy temat. - Pozyskałem je z różnych miejsc i niektóre nie miały ramek. Niektóre ramki były połamane. - Podniósł jedną, żeby jej po-

kazać. - Nie chciałbym, żeby któryś uczeń miał gorszą tabliczkę. To wydaje się błahostką, ale ostatnie badania wskazują, że takie rzeczy mają znaczenie. - Wyglądził stos cienkich drewnianych listewek. Wyraźnie chciał wrócić do pracy.

- Rozumiem, dlaczego może to mieć znaczenie. - Marta zdjęła rękawiczki. - Jak mogę pomóc?

Uśmiech pojawił się najpierw w jego oczach, a potem na ustach. Podniósł wzrok znad stołu.

- Potrafi pani używać scyzoryka?

- Nie bardzo. Lepiej, żeby powierzył mi pan jakieś mało ważne zadanie.

- Żadne zadanie nie jest mało ważne. Proszę pamiętać, że rozmawia pani z duchownym. - Poniósł nożyk leżący wśród kilku innych narzędzi. - Moje skromne tabliczki mają wysłużone rysiki. Byłaby pani tak miła i zaostrzyła je?

Przysunęła sobie krzesło i zaczęła ostrzyć jeden gruby rysik za drugim, podczas gdy on odmierzał nowe listwy, przykładając je do tabliczek, odpiłowywał nowe kawałki i układał je po cztery.

Czy można było przyjemniej spędzać czas w towarzystwie mężczyzny? On miał do wykonania swoją pracę, ona swoją i nic nie zakłócało atmosfery między nimi, z wyjątkiem cichego skrobienia nożyka i od czasu do czasu szelestu piły i szlachetnej wspólnej sprawy.

Żona wikariusza będzie miała szczęście. Spędzi w ten sposób wiele godzin. A swoje prawa małżeńskie duchowny zapewne będzie egzekwował ze stosowną skromnością i powściągliwością.

Bez tego całego zamieszania i fanfar, które inni mężczyźni uznawali za konieczne. A po wszystkim on i jego żona leżeliby obok siebie i rozmawiali. Mógłby wygłaszać fragmenty kazań, jakie przygotowywał na dany tydzień, i zasięgać jej rady. Ona opowiadałaby mu o swoich obserwacjach po od-



wiedzinach u rolników. Naradzaliby się wspólnie i zastanawiali się, jak polepszyć życie wszystkich mieszkańców parafii.

Poczuła cytrusowy zapach, jakby chciano jej przypomnieć, że nie ma prawa myśleć o cnotliwym mężczyźnie. Jednak nie przyjmie tej wskazówki. Mogła myśleć, jeśli tak zdecydowała, o obiektywnych zaletach małżeństwa z duchownym, zwłaszcza uczciwym i troskliwym. Takim, który mógłby odwiedzić w nocy żonę tylko po to, by porozmawiać. Żeby poznać jej myśli i pomysły i podzielić się z nią swoimi.

Żona mogłaby z radością czekać na takie wizyty. A potem może i na inne wizyty. Mógłby dotykać jej w różnych miejscach i znaleźć takie, których dotykanie sprawi jej przyjemność. Potem chciałby ją zadowolić i mogłaby mu pomóc odkryć jak.

Marta zmieniła nieco pozycję i lekko pokręciła głową. Ona nie zrobi żadnej z tych rzeczy. Widziała, że pan Atkins spojrzał w jej stronę, ale kiedy nie odezwała się ani nie podniosła wzroku, wrócił do pracy. Tak będzie lepiej. Lepiej jest w ten sposób. Lepiej, żeby kobieta sama decydowała o swoich przyjemnościach, gdy to konieczne, i była tak niezależna od mężczyzn, jak tylko można.

Podniosła świeżo naostrzony rysik i zdmuchnęła z niego wiórki.

- Mówił pan, że czytał o badaniach z których wynika, że pomoce szkolne powinny być dla wszystkich uczniów jednakowe. Chciałabym usłyszeć, co jeszcze może mi pan powiedzieć o tej lekturze? - Jeśli jej plan się powiedzie i uda jej się tutaj zostać, będzie mogła dzielić się pomysłami i opiniami z wikariuszem, kiedy tylko będzie chciała. Nie będzie miała żadnego powodu, by zazdrość jego żonie ani w ogóle żadnej innej żonie.

## Rozdział 4

Ludzie tu mieszkają? - Theo otwarcie gapił się na pierwszy z domków. - Widziałem lepiej wyglądające chlewy.

- Nie wątpię - odpowiedział Granville. - I jestem głęboko przekonany, że nie będzie pan powtarzał tej opinii w obecności ludzi, którzy, tak się składa, naprawdę tu mieszkają.

- Oczywiście. - To upomnienie go ubodło, a potem zirytowało. Nigdy nie miał najmniejszego zamiaru obrażać swoich robotników, wyrażając się w ich obecności niepochlebnie o ich domach.

Jednak dom robił odpychające wrażenie. Nie miał żadnych konkretnych oczekiwań co do tego, jak powinny wyglądać te budynki, skoro pomyślał o nich, dopiero gdy zarządca o nich wspomniał, ale miał ogólne wyobrażenie jakiegoś pasterskiego domku, jak te należące do dzierżawców w posiadłości w Lincolnshire. Małe, czyste podwórka, a za nimi pola z dojrzewającymi zbożami. Pełne energii dzieci biegające w prostych, ale czystych ubraniach. Świeży zapach trawy i polnych kwiatów albo może przynoszony przez wiatr smakowity zapach potrawy gotowanej na obiad.

To, czego się nie spodziewał, to przede wszystkim gęsi. Gęsi i to, co zostawiają. Szare stwory biegały po tym, co zostało z trawy, i gdy przeszli przez bramę, pomyślał o radzie pani Russell, by zmienić swoje buty na oficerki. Żeby dojść do budynku, unikając wszystkich paskudnych pozostałości po gęsiach, musiałyby odtańczyć taniec świętego Wita, co byłoby absolutnie nieodpowiednie jak na pierwsze spotkanie z mieszkańcami jego posiadłości. Dlatego też skierował wzrok przed siebie i ruszył naprzód. Jedna z gęsi zbliżyła się do niego, wyciągnęła szyję i zasyczała, a na jej dziobie malował się dobitnie triumfujący wyraz.

- Mieszka tu rodzina Weaverow - rzucił Granville.

- Weaverow - powtórzył Theo, by pokazać, że słucha. - Co to za dom? Wygląda, jakby był zrobiony z błota. - To było uprzejme stwierdzenie. Ściany wyglądały, jakby oblepiono je czymś wyciągniętym z kloaki.

- To dość bliskie prawdy. Słupy są drewniane, a między nimi glina zmieszana ze słomą. Konstrukcja nie jest być może tak mocna jak kamień lub cegła, ale dostatecznie trwała. Wytrzymała ponad sto lat. Podejrzewam, że kiedyś ściany były bielone wapnem.

Byli już dostatecznie blisko, że słyszał płacz dziecka - ten dźwięk sprawił, że włosy stanęły mu na karku - i, gdyby obraz nędzy potrzebował jeszcze jakiegoś uzupełnienia, zza rogu wyłoniła się pokaźnych rozmiarów świnia i ruszyła w kierunku drzwi domu, najwyraźniej zamierzając wejść za nimi do środka.

- Dlaczego, pana zdaniem, świnia może chodzić po podwórku? - zapytał ściszym głosem, zanim Granville zapukał do drzwi. - I gęsi?

- To cała należąca do nich ziemia. - Mężczyzna rzucił mu zagadkowe spojrzenie. - To najemni robotnicy, a nie dzierżawcy, do których pan zapewne przywykł w Broughton Hall. Ach. Robotnicy. Kolejny ważny fakt, który mu umknął. Mimo to wydawałoby się, że mogliby zrobić ogrodzenie dla gęsi.

Zarządca zapukał do drzwi. Świnia podeszła bliżej. Płacz dziecka stał się głośniejszy, jakby ktoś, kto trzymał je na rękach, podszedł do drzwi. Theo zdjął kapelusz i Granville zrobił to samo.

- Dzień dobry, pani Weaver - powiedział zarządca nieco podniesionym głosem ze względu na jeszcze głośniejszy płacz dziecka po otwarciu drzwi. Świnia ruszyła naprzód, ale Theo zagroził jej drogę nogą. - Czy mogę pani przedstawić pana Mirkwooda, najstarszego syna właściciela Pencarragh? Oprowadzam go dziś po posiadłości. - Z zaskakującą zwinnością świnia odchyliła się w lewo, po czym skoczyła w prawo. Theo ledwo dał radę znowu zagrozić jej drogę, a ona zaczęła kwiczeć i chrząkać.

- W takim razie proszę wejść - zaprosiła ich pani Weaver. - Miło pana poznać - dodała bez żadnego zauważalnego wysiłku, by zabrzmiało to szczerze.

Cóż, on też niespecjalnie cieszył się z tego spotkania. Z nią czy też z kwilącym dzieckiem albo skoro już o tym mowa z każdym z licznych dzieci, które można było zobaczyć we wnętrzu obskurnego domku. Prawdopodobnie byli zacnymi ludźmi, ale co mógł mieć im do powiedzenia? Niewiele więcej, niż mógł powiedzieć świni, która wykwikiwała swoje żale po drugiej stronie zamkniętych drzwi.

Granville i pani Weaver rozmawiali o pogodzie i ostatnich zbiorach, a on mógł się rozejrzeć po pomieszczeniu. Domek miał tylko jedno piętro, był tu duży pokój z przodu i dwoje

drzwi na tylnej ścianie prowadzących do innych pomieszczeń. Prawdopodobnie do sypialni dla tych członków rodziny Weaverów, którzy zasłużyli na coś lepszego niż prycza w tym pokoju i jakaś spiżarnia. Przydałoby się tu porządnie posprzątać, poczynając od kuchennego stołu, na którym stały resztki kolacji, którą obsiadły muchy. Można by pomyśleć, że jedno z licznych dzieci mogłoby zadać sobie trud pozmywania naczyń.

Theo naliczył dziesięcioro dzieci. Kilka dziewczynek, kilku chłopców i kilkoro młodszych o nieokreślonej płci w długich koszulach i z nieostrzyżonymi loczkami. Dzieci przysiadły z obojętnymi minami na pryczach i innych ubogich meblach. Jedno czy dwoje rzuciło mu ponure spojrzenie.

Większość go zignorowała.

Jak można pochwalić takie dzieci, które nie okazują żadnych znaków pracowitości lub dziecięcej radości?

Z pewnością brak im wielu rzeczy, którymi on cieszył się w dzieciństwie, ale czysty dom mógłby ogromnie podnieść je na duchu, a to przynajmniej było w ich mocy. Ktoś powinien im o tym powiedzieć.

Jedno z mniejszych dzieci kilka razy zakaszłało, po czym apatycznie opadło na pryczę. Pewnie było chore na coś zaraźliwego. Prawdopodobnie ten cały pokój był pełen zarazków. Gdyby to on był rodzicem, kazałby pozostałym dzieciom wyjść na dwór i oddychać zdrowszym powietrzem.

Kątem oka zauważył jakiś ruch: któreś z dzieci nie siedziało beczynn timer. Dziewczynka o okrągłej twarzy, miała może z piętnaście lat, siedziała na krześle z pochyloną głową, skupiając całą uwagę na czymś na swoich kolanach. Może coś szyła? Trzymała jakieś malutkie zwierzę? Nie - trzymała w rękach kawałek złotego papieru i składała go skoncentrowana cał-

kowicie na tym zadaniu. Ulubiony sposób spędzania czasu przez młode dziewczęta, jeśli za przykład wziąć siostry Theo. Poświęcały temu zajęciu wiele godzin, robiąc najcudowniejsze rzeczy: łąbędzie, zamki, przemyślnie małe ludziki ze zginającymi się kończynami. Jednak wyrosły z tego, zanim osiągnęły wiek tej dziewczyny.

Kiedy patrzył, złożyła papier na pół, wygładzając krawędzie. Potem znowu na pół. Potem zrobiła to jeszcze dwa razy, uzyskując mały kwadracik grubości szesnastu kartek. Popatrzyła na niego, odwróciła go i z powrotem rozłożyła: na ośmiokrotnie złożony, czterokrotnie, dwukrotnie i rozłożyła go zupełnie. Miejsca zgięć były niemal przetarte na wylot. Dziewczyna wygładziła papier, położywszy go na kolanach, i znowu zaczęła go składać, dokładnie tak samo jak wcześniej, z tą samą uwagą i zaangażowaniem.

Pani Weaver musiała na chwilę zająć się trzymanym niemowlakiem, więc Theo pochylił się do Granville'a i spytał cicho:

- Najstarsza córka jest lekko niedorozwinięta?

- Tak - odpowiedział zarządca, lekko skinął głową i tym samym udało mu się dać do zrozumienia, że lepiej by było, gdyby z zadaniem tego pytania rozmówca poczekał, aż znajdą się na zewnątrz.

Zatem Theo nie drażył tego tematu. Dom jednak wyglądał teraz nieco inaczej w jego oczach, gdy już wiedział, że mieszka tu nieszczęście. W tym wieku jego siostry zajmowały się już bardziej skomplikowanymi rzeczami - miał gdzieś pudełko, które zrobiła dla niego Mary, pokryte kawałkami papieru zwiniętymi w ładne spirale. Interesowały się sukniami i balami, na które te suknie włożą, i nadającymi się na męża kawalerami, których tam poznają, jednak ta prosta dziewczyna być

może pozostanie w tym domku na zawsze, obserwując, jak jej młodsze siostry dorastają i zakładają własne rodziny.

Te siostry, które dożyją wieku dorosłego. Musiał uczynić w myślach tę poprawkę, kiedy dzieckiem leżącym na pryczy znowu wstrząsnął atak kaszlu. Arogancki głupiec z niego, że tak łatwo osądził tych ludzi. Prawdopodobnie połowa tych dzieci nie dożyje szesnastu lat.

Zanim wyszedł z domu robotników najemnych, jego nastrój stał się absurdalnie ponury i niemal potknął się o świnie, która zadbała o to, by znaleźć się na jego drodze.

- Ile płacimy panu Weaverowi? - zapytał, gdy razem z zarządcą szli przez podwórze.

- Osiem szylingów tygodniowo, tak samo jak reszcie robotników.

Osiem szylingów wydawało się nędznym zarobkiem. Jednak nie mógł być pewien, skoro nie znał ceny bochenka chleba ani, skoro już o tym mowa, ceny żadnego innego produktu.

- Czy to wszystkie pieniądze, jakie mają na życie?

- Pani Weaver i starsze dzieci pracują przy żniwach i wtedy zarabiają więcej. A dzieci mogą zarobić kilka pensów, zbierając kamienie dla sąsiada lub odganiając ptaki od upraw. Żadnej większej dodatkowej kwoty. Otrzymują też dodatek z podatku na ubogich.

Zatem była to licha płaca.

- Dlaczego po prostu nie zapłacimy im więcej i nie przestaniemy liczyć na to, że to parafia uratuje ich przed ubóstwem?

- To trudna sprawa. - Granville wyglądał starzej, gdy znaleźli się na zewnątrz. Musiał mieć ze czterdzieści lat, a promienie słońca nadawały mu zmęczony wygląd. Może była to też wina tematu, jaki poruszyli. - Pszenica w tym roku kosztuje jedynie sześćdziesiąt sześć szylingów za ćwiartkę. Jej

cena drastycznie spadła w porównaniu z zeszłym rokiem. Nie wiadomo, jak to się dalej potoczy.

- Ta ziemia nie przynosi dochodów? - To była dla niego całkowita nowość. Po co trzymać posiadłość, która nie przynosiła przyzwoitych dochodów?

- Teraz bardzo niewielkie. Nie jest jej dostatecznie dużo, by kiedykolwiek uprawianie jej było dochodowe. Nie w porównaniu z posiadłością w Lincolnshire.

- Rozumiem - powiedział Theo i zamilkł. Czy przyłączenie sąsiadujących działek mogło pomóc? Być może zada to pytanie później, kiedy przeczyta nieco na ten temat i przyjrzy się mapie Grenville'a. Więcej godzin w bibliotece. Znakomicie. Naprawdę stanie się moim książkowym do czasu, gdy zostanie uznany za wystarczająco odpowiedzialnego, by wrócić do Londynu.

Poznał inne rodziny: Knightów, Tinkerów, Rowlandsonów i Quigleyów, wszystkie mniej liczne niż rodzina Weaverów i lepiej pilnujące świń. Ostatni mijany przez nich dom należał do kawalera, który był w polu z resztą mężczyzn.

Czy mogło być coś mniej interesującego niż pszenica i jej uprawa? Być może zmieniłby zdanie, gdyby zobaczył pola przed zbiorami, falujące rzędy złotych traw przecinające zieleni Sussex. Ale dziś, gdy razem z zarządcą podeszli do nich, pokonując wzniesienie, zobaczył pszenicę powiazaną w snopy ustawione na rzysku. Było tego tak wiele, a wciąż nie dość, by przynieść dobry dochód.

Granville przedstawił Theo mężczyznom, mężom i dorastającym synom rodzin, które odwiedził. Byli na polu krzepcy i ogorzali od słońca, z wyjątkiem starszego, dość wolno poruszającego się mężczyzny, który, jak się okazało, był panem Barrowem, kawalerem. Ich ręce wydawały się szorstkie



i stwardniałe, a pan Barrow był dodatkowo nieco zgarbiony. Z pewnością niewiele lat będzie jeszcze w stanie pracować.

Przez kilka minut rozmawiali na tematy rolnicze. Coś o spodziewanych cenach i jak to może wpłynąć na krajowe uprawy. Więcej uwag o pogodzie. Nic wartego uwagi. Theo stał z rękami założonymi na plecach i uniesioną głową, trochę wyłączony z rozmowy stosownie do jego pozycji właściciela, dopóki nie nadszedł czas, by wszyscy się ukłonili, a on z powrotem włożył kapelusz.

- Mniej liczne rodziny ze starszymi synami mają szczęście

- powiedział, gdy on i Granville ruszyli w drogę. - Dwie wypłaty lub więcej i mniej ludzi do podziału.

- Skład rodziny ma ogromne znaczenie, prawda? Przykro mi, że Weaverowie nie mają dorosłych synów. - Szli ścieżką wzdłuż płotu i zarządca od czasu do czasu stukał w którąś z belek, zapewne, by sprawdzić czy porządnie się trzyma.

- Pan Barrow nie ma żadnej rodziny? To znaczy chociaż jakichś siostrzeńców?

- Nie. Wiem, że miał siostry, ale już dawno temu powychodziły za mąż i osiedliły się gdzieś daleko na północy.

- W takim razie nikt nie zadba o niego.

- To nie jest tak rzadki przypadek, jakbyśmy chcieli. Przypomina mężczyźnie, jak ważne jest małżeństwo. Nie dla człowieka niezależnego, oczywiście, pan może sam zadbać o siebie, a potem płacić za to innym, jeśli tak pan zdecyduje.

To dość ponura perspektywa. Musi pamiętać, by poważnie pomyśleć o małżeństwie, za pięć, dziesięć lat, a tymczasem przypocholebić się dzieciom sióstr.

- Jednak przyjdzie taki czas, i to prawdopodobnie niedługo

- powiedział - kiedy pan Barrow nie będzie mógł już pracować.

- Zgadza się. Potem nie będzie mógł zatrzymać domu i sam sobie poradzić. - Granville zatrzymał się, znalazłszy miejsce które mu wydało odpowiedniego odgłosu, gdy w nie zapukał. Znowu zapukał, a potem wyjął ołówek i kawałek papieru i coś na nim zapisał.

Theo czekał.

- Co się dzieje wtedy z takimi mężczyznami? - zapytał kiedy zarządca skończył pisać.

Granville pokręcił głową, nie podnosząc wzroku.

- Jeśli dożyje takiego wieku i nie ma żadnych krewnych trafia do przytułku.

- Przytułku. - To było wszystko, co mógł z siebie wykrztusić

- Jeden jest w Cuckfield, kawałek stąd na północny zachód - Na chwilę zapadła cisza, a potem zarządca dodał. - To trudne jak można sobie wyobrazić, dla człowieka, który całe życie sam się utrzymywał i zdołał nie popaść w długi. - Granville schował ołówek i ruszył dalej.

Co więcej można było powiedzieć na ten temat? Zupełnie nie. Słońce świeciło już mocno, letnie powietrze bez najmniejszego powiewu wiatru było gorące i kiedy dotarli do domu Theo czuł się tak, jakby przeszedł dziesięć mil z czymś ciężkim, na przykład świnia Weaverow, na plecach.

Na szczęście czekała dziś jeszcze na niego wdowa. Człowiek mający obowiązki potrzebował miejsca, do którego mógł przed nimi uciec.

Zjawił się punktualnie, wchodząc do pokoju bez pukania jakby był u siebie.

- Znalazł pan pokój - stwierdziła Marta.

- Kiedy w środku czeka na mnie kobieta? Oczywiście że znalazłem. - Zamknął drzwi i zaśmiał się z własnego dowcipu - Tak dogodny, jak to tylko możliwe. W lesie łączącym nasze

posiadłości jest ścieżka, która kończy się tylko kilka stóp od bocznych drzwi pani domu. Bardzo dyskretnie. - Dzieląc się tą informacją, rozglądał się po pokoju, mrugając z powodu panującego tu mroku. Zastłony były prawie szczelnie zasłonięte z powodu konieczności zachowania dyskrecji. To, czy spodoba mu się wystrój, nie przyszło jej do głowy, kiedy wybrała te pokoje, ale gdy teraz o tym pomyślała, stwierdzała, że dobrze wybrała. Salon był większy niż ten należący do niej, z wielkim marmurowym kominkiem i utrzymany w odcieniach błękitu i szarości. Niebiesko-szary dywan, niebieska boazeria, szafirowo-srebrne adamaszkowe obicie masywnych foteli i kanapy. W lepszym świetle jego oczy prawdopodobnie ładnie by wyglądały na tle tych kolorów.

- To zdecydowanie bardziej bogato urządzone pomieszczenia niż pani - powiedział, podchodząc w jej stronę i siadając w stojącym naprzeciw niej fotelu. Pasował do tych mebli. Nie wyglądał tu, jakby był za duży i ledwo mieścił się w fotelu, jak w jej salonie urządzonym delikatnymi meblami.

- Moje pokoje mi odpowiadają. I jestem pewna, że dla wielu, wielu ludzi reprezentują bogactwo nie do wyobrażenia.

- Zapewne. - Położył łokcie na oparciach fotela, złączył dłonie i zapatrzył się na swoje palce. Jeśli o czymś myślał, nie podzielił się tym z nią.

Wyprostowała się.

- Widzę, że włożył pan dzisiaj oficerki.

- Tak. Włożyłem też długie spodnie. - Natychmiast rozpromienił się i wyciągnął przed siebie jedną nogę. - Czego im brak w elegancji, nadrabiają w męskim wyglądzie, nie sądzi pani?

- Naprawdę nie wiem. Mam nadzieję, że nie włożył ich pan ze względu na mnie.

- Nie, moja droga. - Cofnął nogę i rozprostował ramiona. - Obchodziłem dzisiaj moją posiadłość i z tego powodu je włożyłem.

Oto obiecująca zmiana tematu.

- Ma pan na myśli to, że pracował pan na powietrzu? Pokręcił głową.

- Obszedłem tylko posiadłość z moim zarządcą i zapoznawałem się ze związanymi z nią sprawami. - Jego spojrzenie powędrowało gdzieś za jej plecy, być może na pasek słonecznego światła między zasłonami. - Hodujemy pszenicę, jak się okazuje - dodał po chwili. Jedną ręką cały czas stukał w oparcie fotela.

- Niektórzy z moich dzierżawców również uprawiają pszenicę. I oczywiście hodują owce.

- To ma pani dzierżawców? Nie najemnych robotników? - Zamyślił się, marszcząc brwi, co nadało jego twarzy nowy wyraz, zniknęła z niej beztroska. - Na mojej ziemi są tylko robotnicy, nie dzierżawcy. I żaden z nich nie hoduje owiec.

Czy on spodziewał się jakiejś odpowiedzi? Nie można było mieć pewności.

- Sądzę, że nie ma tam zbyt wiele miejsca na owce, poza pańskimi. Pańska posiadłość nie jest zbyt duża, jak pamiętam.

- W obecnej chwili tak. - Spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. - Nie ma pani przypadkiem wiedzy o ogradzaniu?

- Obawiam się, że nie. - Pochyliła się do przodu. - Ale mogę sprawdzić w bibliotece męża. Mógł mieć książki na ten temat albo jakieś zapisy dotyczące budowania ogrodzeń w naszej posiadłości.

- Nie, dziękuję. Mam własne książki. - Znowu odwrócił wzrok od niej i wbił spojrzenie w oparcie fotela, gdzie wciąż

wodził palcem po srebrnych paskach między błękitem. Co zajmowało jego umysł? Spodziewała się, że przystąpi już do realizowania celu swojej wizyty. Przecież wcześniej zabierał się do tego z ochotą. Nagle jego dłoń opadła za oparcie, przestał już bawić się tkaniną.

- Dowiedziałem się, że niektórzy z naszych robotników utrzymują się dzięki zapomodze z podatku na ubogich przyznawanej im przez parafię - powiedział i spojrzał wdowie prosto w twarz. - Czy u pani też tak jest?

Czy on był... zażenowany? Ta myśl wywołała dziwną, niepożądaną czułość. Może rzeczywiście był zażenowany i poruszony warunkami, w jakich robotnicy mieszkali na jego ziemi.

- Nie słyszałam, żeby ktoś żył z zapomogi. - Postarała się, by jej słowa zabrzmiały łagodnie. - Jednak inne rodziny w tej parafii korzystają z niej, jestem pewna. Jeśli pan sobie życzy, mogę zapytać o to mojego wikariusza...

Mirkwood pokręcił głową.

- Nieważne. Chodzi tylko o to, że nie podoba mi się ta sytuacja, wie pani. Proszenie wszystkich właścicieli ziemskich w tej parafii, by utrzymywali moich robotników, za których tylko ja powinienem odpowiadać.

- I dzierżawców - te słowa wyrwały się Marcie, zanim mogła ocenić ich efekt. - Dzierżawcy też płacą podatek na ubogich.

- Jeszcze lepiej. - Zaśmiał się ostrym, pozbawionym radości śmiechem. - Widzi pani, jak wielka jest moja ignorancja. Ale przynajmniej mam jakieś pojęcie o tym, co dżentelmen powinien, a czego nie powinien tolerować, i to po prostu wydaje mi się nędznym sposobem działania. Nie uważa pani? - Uniósł głowę, a w jego oczach zaślniła szczerą prośbą.

Nie mógł powiedzieć nic bardziej odpowiedniego; nic nie mogło skuteczniej zaskarbić mu jej sympatii, jej wsparcia, jej lepszej o nim opinii. Samo zapytanie o jej zdanie by ją zmiękczyło, ale jego godne podziwu odczucia domagały się najcieplejszej możliwej odpowiedzi.

- Odnosi się pan do obowiązków. - Przesunęła się do przodu na fotelu i splotła ręce, kładąc je na kolanach. - I tak, poza obowiązkami, jakie wszyscy mamy względem siebie nawzajem, wierzę, że właściciel ziemski ma szczególne powinności wobec swoich najemców i dzierżawców. Powinien dbać o uczynienie ich życia wygodnym i przyjemnym na tyle, na ile ma taką możliwość. - Poczowała przyływ satysfakcji, wiedząc, że ona też mówi to, co należy. Wpatrywał się w nią spokojnie, a zmarszczka na czole zaczęła się wygładzać. - Mamy tak wiele okazji, by zrobić dla tych ludzi coś dobrego. Może teraz uważa się pan za ignoranta, ale to przecież początek mądrości, prawda?

- Tak? - Niemal się uśmiechnął. - Nie jestem tego pewien.

- Oczywiście, że tak. Gdyby uważał się pan za świetnie poinformowanego, nie byłby pan otwarty na naukę. I nauczy się pan. - Musiał to usłyszeć. Potrzebował zachęty. - Jest ogromna szansa, że pozytywnie się pan wyróżni na tym polu, skoro się już pan do tego przyłoży. Jestem pewna, że wielu młodym mężczyznom się to udało. Nawet młodym podążającym za modą mężczyznom. To ostatnio modna pasja, prawda? Nauka rolnictwa?

- Mam nadzieję, że tak. - Teraz uśmiechał się, z całą pewnością jego twarz rozpromieniła się tym światłem, które może wywołać kobieca wiara i przychylność. - Proszę mówić dalej.

- Poczucie obowiązku jest pod każdym względem godnym pochwały początkiem. Nawet jeśli nie wie pan, jak zwiększyć

dochody z majątku, obowiązek może pana doprowadzić do poprawienia jakości życia robotników - odwiedzając ich, poznając ich nazwiska i przywiązując wagę do innych rutynowych czynności, które mówią osobom o niższym statusie społecznym, jak mogą... - przerwała nagle. Gdy mówiła, Mirkwood nagle zerwał się ze swojego fotela, by przed nią uklęknąć. Złapał jej splecione ręce i delikatnie je rozdzielił, odwracając wnętrzem do góry, i przejechał kciukami po wewnętrznej stronie jej nadgarstków.

Och. Jednak nie nowe światło. Zwyczajnie to samo co zwykle. Rozczarowanie było jak kamień spadający na jej duszę, do spółki z rozgoryczeniem z powodu własnej głupoty.

- Proszę mówić dalej - poprosił Mirkwood, choć z jego zachowania można by wywnioskować, że prosił jej nadgarstki o coś zupełnie innego.

- Nie sądzę, żeby pan słuchał. - Ton jej głosu stał się chłodniejszy o dobre kilkanaście stopni.

- Nie słów. - Pochylił głowę, by musnąć ustami jej delikatną, przeciętą niebieskimi żyłkami skórę. -

Ale wygląda pani uroczo, kiedy o tym mówi. Z taką żarliwością i wiarą w misję.

Czy którakolwiek kobieta mogła z radością przyjmować takie uwagi? Może kobieta z wrażliwymi na dotyk nadgarstkami. Pewnie był przyzwyczajony do kobiet, które tak całkowicie oddawały się rozkoszom cielesnym, że z radością witały każdą jego bezmyślną uwagę.

Pozwoliła, by jej dłonie opadły bezwładnie. To było łatwe. W całym ciele czuła nieznośny ciężar.

- Rozmowa skończona - oświadczyła. - Możemy iść do łóżka, jeśli jest pan gotów.

Ten pokój Mirkwood również obrzucił uważnym spojrzeniem, gdy zdejmował ubranie. Obejrzał niebieskie, ozdo-

bione haftem zasłony, wzór na tapecie, ogromne łóżko, własne odbicie w kilku lustrach znajdujących się w sypialni. Kiedy wydawało się, że obejrzał już wszystko, położył się na łóżku.

Był szybki. To trzeba mu przyznać. I w porównaniu z jej mężem schludny. Przynajmniej nie pocił się obficie, a pot nie kapał na nią, jak wówczas gdy pan Russel rzucał się na nią gwałtownie. Robił swoje bez ociągania, tak jak Marta chciała, i w przyszłości musi pamiętać, żeby być za to wdzięczną i nie marnować czasu na życzenie sobie, żeby był lepszy.

Jednakże mógł być gorszy. Czwartego dnia nalegał, by nie wzywała Sheridan, chciał ją sam rozebrać. Protestować, że to niewskazana zażyłość, byłoby absurdem, zważywszy na sytuację. Posłuchała go więc z tym samym sto-icyzmem, który pomógł jej przetrwać różne zachcianki pana Russella.

Mirkwood musiał odebrać to jako zachętę, ponieważ następnego dnia również chciał ją rozebrać. Tym razem robił to z rozmysłem, nie spiesząc się, jakby sądził, że w ten sposób pobudzi jej apetyt. I mówił bez przerwy, gdy to robił. Jeszcze raz jej skóra została przyrównana do jedwabiu, a jej kończyny i inne części ciała były wychwalane z powodu ich kształtu i proporcjonalności. Potem, zupełnie jakby sama nie mogła dojść do tego wniosku, uważał za konieczne poinformować ją o tym, w jaki dokładnie sposób uroki jej ciała działają na niego. A zatem lubił wywnętrzać się przed nią. Jednak zamiast

dzielić się z nią swoimi troskami i rodzącymi się pomysłami

i zostać nagrodzonym ciepłymi i uspokajającymi słowami wsparcia, zdecydował się mówić banalne rzeczy, które mogłoby powiedzieć wielu mężczyzn i otrzymać w nagrodę zbliżenie, w którym uczestniczyło tylko jej ciało. Mogła być jaką-



kolwiek inną kobietą, leżącą pod nim z rozłożonymi nogami, a jego przyjemność byłaby z pewnością taka sama.

To i tak nie miało znaczenia, pomyślała później, odpoczywając na poduszce. Tak długo, jak dostarczał nasienia, ona będzie znosić wszystko inne, co się z tym wiąże. Zniesie z cierpliwością i wszelkie poniżenia od Mirkwooda, by osiągnąć cel.

Miesiąc. Pięć dni minęło, zostało jeszcze jakieś dwadzieścia i pięć, licząc dzisiejsze spotkanie.

Dwadzieścia i pięć dni. Jak do diabła miała to przetrwać?

- Niech mnie pani obejmie nogami - mruknął Theo, a ona na chwilę zacisnęła ręce na jego ramionach. Zmarszczyła brwi, gdy ją podniósł ubraną, i posadził na komodzie o akurat odpowiedniej wysokości, ale nie zaprotestowała. Potem patrzyła na swoje dłonie, gdy on rozebrał się, stojąc przed nią, i na sufit, kiedy uniósł jej spódnice i wszedł w nią. Jeden Pan wiedział, na co patrzyła teraz.

Najprawdopodobniej na wewnętrzną stronę swoich powiek.

Komplementy nie sprawiały jej przyjemności. Nie obchodziło jej, czy jest rozbierana. Nie chciała, by jej dotykał, w żadnym miejscu. Co mężczyzna miał zrobić z taką kobietą?

Przechylił głowę, by uniknąć widoku jej spokojnej i cierplivej twarzy, i zobaczył ich odbicie w największym lustrze w sypialni: jasny pośpiech na tle ponurej czerni. Nie tak trudno wyobrazić sobie z pewnej odległości, że ten żywy obraz przedstawia zupełnie inną sytuację. Nie tak trudno zobaczyć bezwstydną wdowę i mężczyznę, którego musi posiadać za wszelką cenę. Nie tak trudno wyobrazić sobie gorączkową żądzę narastającą w niej, gdy patrzy, jak on zrzuca ubranie, głód, który sprawia, że zapomina o łóżku i oddaje się mu w żalobnych

szatach, kalając pamięć swojego męża i świętość samego wdowieństwa. Tak bardzo go pożąda.

- Jak długo mam tak trzymać nogi? - Jakby pozowała do przekłętego portretu i zaczynał ją łapać skurcz. Czy chciała, żeby nie stanął na wysokości zadania?

- Tak długo, jak będzie potrzeba - powiedział przez zaciśnięte zęby. Ale to było niekulturalne. - Proszę przestać, jeśli zacznie boleć. Albo będzie pani niewygodnie. - Zwolnił, by łatwiej jej było opuścić nogi, gdyby chciała.

- Nie, w porządku. Zastanawiałam się tylko, czy to wciąż potrzebne. - Niech jej mąż będzie przeklęty za to, że pozwolił jej rozmawiać w ten sposób w sypialni. Za chwilę zapyta, czy spodziewa się, że zaraz skończy.

- Jest potrzebne. - Wydyszał jej w ucho. - Ale mocniej. Niech mnie pani mocniej obejmie nogami. Jej nogi zacisnęły się na nim rozkosznie, gdy uniosła kolana nieco powyżej jego bioder. W lustrze obserwował swoje palce przesuwające się, by dotknąć uda między pończochą a podwiniętymi spódnicami.

- Ma pani pojęcie, jak podniecająco wygląda ta część pani ciała? - wyszeptał tuż przy jej policzku, namawiając ją, by odwróciła głowę i też to zobaczyła. - Jedwabście biała skóra, naga na tle czerni sukni. Widzi to pani?

Cisza. Najwyraźniej mówił sam dla siebie. Dlaczego wciąż próbował? Dlaczego jej przyjemność miała dla niego znaczenie, skoro zwyczajnie nie miała znaczenia dla niej?

A co, gdyby przesunął dłoń na wewnętrzną stronę uda, dalej i dalej, dopóki nie znajdzie najśladszego jej miejsca? Kobiecie w lustrze by się to podobało. Westchnęłaby i uniosła biodra, by prosić o jeszcze. Do diabła, kobieta w lustrze już obejmowała go nogami, zachęcając go, żeby ją tam dotykał.

Z taką kobietą mógł się droczyć. Zabrał rękę z jej nogi i złapał brzeg jej sukni. Drugą ręką też złapał suknię, przytrzymując w ten sposób kochankę i odzyskując równowagę, gdy zwolnił; wyszedł z niej niemal cały, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Dobrze. Pozwólmy jej czekać i się zastanawiać.

- Czy coś się stało? - Ten ton głosu. Gdyby teraz spojrział, zobaczyłby, że kobieta przypatruje mu się pytającym, pełnym dystansu wzrokiem. Ten widok mógł zniszczyć wszystkie jego wysiłki.

- Nic się nie dzieje. Proszę nic nie mówić. - Och, pożałuje tego później. To niebezpieczne odzywać się w ten sposób do kobiety. Jednak musiał zachować w umyśle obraz wdowy z lustra, widzieć, jak jej oczy otwierają się szerzej, kiedy wchodził w nią boleśnie wolno, głębiej i głębiej, dopóki nie dotknął pachwiną tam, gdzie ona lubi. Potem znowu się cofnął, by cały czas była go głodna, i niech go piekło pochłonie, to było cudowne uczucie.

Odetchnął, drżąc z podniecenia, i opuścił głowę. Jego wzrok padł na chustkę, czarną i odpychającą, zatknietą za gorsetem sukni. Bez słowa pochylił się, złapał chustkę zębami - łatwo mógł sobie wyobrazić, jak kochanka z podnieceniem łapie powietrze - i próbował ją wyciągnąć.

Nie dał rady. Przypięła chustkę szpilkami. Przypięła. Na wszystkie świętości, co za kobieta przypinała chustę przed schadzką?! Nieważne, znalazł, wyciągnął szpilkę i pozbył się chustki. Teraz mógł w lustrze podziwiać więcej nagiego ciała, jej biust unosił się i opadał z każdym delikatnym oddechem. Odwrócił się i obsypał pocałunkami jej piersi. Tak jak tego chciała. Tak jak marzył, od kiedy po raz pierwszy wysłedziła go w kościele i postanowiła go mieć, w łóżku i wszędzie indziej, mieć go, mieć go, mieć go, niech diabli wezmą przyzwoitość.

Powoli zaczął znowu się w niej poruszać i równocześnie wsunął język za brzeg jej gorsetu, by polizać jej sutek. Cała zeszywniała, z wyjątkiem brodawki. Dobry Boże. Czy kiedykolwiek w swoim życiu spotkał tak nieposłuszne sutki? Czy mogły pozostać tak całkowicie obojętne na wszystko, co robił? Z jękiem pociągnął ręką w dół jej dekoltu i wziął sutek do ust.

Wstrząsnęło nią wyraźne obrzydzenie.

- Czy to konieczne? - zapytała tonem, jakim matrona z towarzystwa mogłaby zwrócić się do mężczyzny, który zacząłby śpiewać pijackie szanty przy stole.

- Nie. - Gwałtownie uniósł głowę, zostawiając urażone piersi. - Niech się pani nie odzywa. Błagam. - Jak on się wplątał w ten cały koszmar? Jedno jej nieodpowiednie słowo mogło spowodować jego porażkę; przerażającą, bezprecedensową porażkę. Nawet zerknięcie na nią groziło zamarzeniem. Dlatego zamknął oczy i, niech mu Bóg pomoże, pomyślał o innych kobietach.

O pani Cheever, o tym, jakby się w niego wpijała, gdyby to ona siedziała na tej komodzie. O Elizie, która odchyliłaby się do tyłu omdlała, bezsilna wobec ogarniającej ją rozkoszy.

O kobietach, które drapałyby go paznokciami po plecach, i kobietach, które gryzłyby jego nagie ramię. Wdowa płaciła za nasienie. Da jej nasienie, wykorzystując wszelkie możliwe sposoby. Zatem zaczął poruszać biodrami, czysto mechanicznie, myśląc o kobietach, które szeptałyby mu nieprzyzwoite słowa do ucha. Rozkosznie grzeszne prośby, słowa zachęty i rozkazy.

Lepiej. Dużo lepiej. Położył głowę na ramieniu wdowy

i pchnął mocniej. Gdyby trzymał głowę wyżej, może by tego nie usłyszał, jednak gdy jego ucho znalazło się na tym samym poziomie co jej usta, nie mógł nie usłyszeć tego cichego westchnienia wyrażającego dezaprobatę.

Ten dźwięk przeszył go na wylot, jak strzała z łuku... kogokolwiek, kto był przeciwieństwem Kupidyna. I potknął się jak ranione zwierzę. Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Czy może pani... nie... - Jak mógł w ogóle wyartykułować tę prośbę? „Czy może pani spróbować ukryć swoją odrazę? Czy może pani nie dawać tak jasno do zrozumienia, że tylko czeka pani, żebym skończył?”. Zaczął ruszać się szybciej. Gdyby tylko dał radę skończyć, gdy wciąż miał...

- Nie mówić, o to chodzi? Już to pan mówił. I nie odzywałam się. - Nie miała pojęcia.

- Nie, nie to miałem na myśli... - Zbyt mało energii, by ją marnować na słowa. - Przepraszam, tylko...

- Do diabła, naprawdę groziła mu porażka; czuł, że zaczyna się kurczyć. - Tylko sprawia pani, że to... - Niemożliwe. To kara. Wyczerpująca harówka. - Takie oporne - wykrztusił wreszcie.

Podskoczyła.

- Nie ma potrzeby opisywania tego aktu krok po kroku - powiedziała, a jej ton był lodowaty.

Najświętsza Panienko. Czy ona naprawdę mogła być tak głupia?

- Nie, chodzi o to, że to takie trudne. Sprawia pani, że... trudno mi... kontynuować. - Nie mógł na nią spojrzeć. Przyznanie tego na głos było znacznie gorsze, niż mógłby sobie wyobrazić.

Znowu poczuł jej szarpnięcie; gwałtowny ruch, gdy zrozumiała swoją pomyłkę. Przez długość trwania jednego oddechu wydawało się, że może zrozumiała swój błąd i zrobi coś, cokolwiek, by mu pomóc i by mógł dokończyć. A potem się odezwała.

- Nie wydaje mi się, że można mnie o to winić. - Jej głos był tak zimny jak zwykle. - Przecież nie zrobiłam nic, by powstrzymać pana przed dokończeniem.

To był koniec. Wsunął się z niej, tyle wiedział; wysunął się jak martwy węgorz. Reszta wydawała się nieco zamglona. Odepchnął na ślepo jej nogi wciąż obejmujące go w pasie. Musiał się uwolnić, ponieważ potknął się, czując cały ogrom męskiej hańby. Oparł się ręką o ścianę. Jej fatalna ostatnia uwaga dźwięczała mu w uszach. Nie - pomyślał - przecież nie robi pani zupełnie nic! Równie dobrze mógłbym kopulować z opartym o ścianę trupem!

Tak pomyślał. A może... powiedział to na głos.

Oddychał ciężko, urywanie, w milczeniu i próbował skupić wzrok na fleur-de-lis na tapecie zdobiącej ścianę. Chryste. Niech to diabli. Czyżby powiedział to na głos?

Zaryzykował zerknięcie na nią. Niech będzie przeklęty. Powiedział to na głos.

- Do diabła - mruknął, teraz opierając czoło o ścianę. - Przepraszam. - Jeszcze raz na nią spojrzął.

- Nie, to... - Wdowa siedziała zupełnie nieruchomo, z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wbiła wzrok w podłogę. - To ja przepraszam. Bardziej się postaram.

- Nie! - odepchnął się od ściany. - Na litość boską, nie rozumie pani? Jaką przyjemność pani zdaniem może mieć mężczyzna z kochania się z kobietą, która musi bardziej się postarać, żeby to znieść?

Nie usłyszał odpowiedzi. Oczywiście, że nie. Powstrzymywała się przy każdej okazji; dlaczego teraz miałyby przestać? Wydawało się, że nie oferuje mu nawet spojrzenia; siedziała tylko, patrząc na czubki swoich pantofelków; całą sobą dając do zrozumienia, że czeka, aż mężczyzna skończy z tym wybuchem złości i z powrotem zabierze się do pracy.

Tego nie mógł znieść. Kręcąc głową, schylił się i podniósł spodnie z podłogi.

Zauważyła to.

- Co pan...

- Już po wszystkim. - Z przyjemnością przerwał jej pełne paniki słowa. Niech panikuje. Niech to ona choć raz poczuje się niekomfortowo w tym układzie.

- Czy nie ma sposobu, żeby pan...

- Nie. Żadnego. Już po wszystkim i koniec. - Obserwował ją kątem oka, wkładając spodnie; myślała intensywnie.

- Sądzę, że w bibliotece jest kilka erotycznych powieści - powiedziała w końcu, cały czas wpatrywała się w swoje pantofle. - Może mógłby pan...

- Nie. Nie mógłbym. - Jedną ręką przytrzymał spodnie; drugą złapał koszulę, kamizelkę i fular. - Jeśli mój członek nie jest w stanie pozostać twardy w kobiecie, z pewnością nie znajdę na to lekarstwa w erotycznych powieściach.

Skrzywiła się, słysząc to. Dobrze. Trzymając swoje ubrania, podszedł do lustra. Widział jej odbicie. To był dziwaczny sprośny widok, jej spódnice wciąż były podwinięte wysoko nad pończochy, nogi wciąż miała rozłożone. Jeśli miała inne pomysły, jak mógł się ponownie podniecić, nie zaproponowała ich. Siedziała tylko z pochyloną głową i wreszcie złączyła kolana i pociągnęła spódnice, by się zakryć.

Wyglądała... tak krucho, siedząc tam sama. Theo zamknął oczy. Nie żałuj jej, idioto. Nie waż się. Jednak złość zawsze szybko mu przechodziła; gdy zapiął ostatni guzik kamizelki, pożałował, że jego zachowanie sprawiło, że wdowa wygląda tak smutno.

Wciąż milczała. Zawiązał fular bez normalnych zawijasów. Ile musiało ją kosztować wspomnienie o powieściach erotycznych? I skąd o nich wiedziała? Czy pewnego dnia trafiła na nie przypadkiem?

Czy zostały specjalnie pozostawione na widoku, by na nie trafiła?

Niech szlag trafi jego współczujące serce. Co ona kiedykolwiek dla niego zrobiła? Gdyby był jej mężem, prawdopodobnie wcześniej czy później też sięgnąłby po erotyczne powieści. Jednak żałował, że nazwał ją trupem. Ten wybuch nie złagodził jego przerażenia, nie mógł też obudzić w niej żadnych uczuć, które mogłyby mu pomóc w - jak się okazało - pracy godnej Heraklesa. I powinna nią być, pomyślał, usiadłszy w fotelu, by włożyć buty. Pierwsza z prac, by wszystkie kolejne wydawały się łatwe. Nawet walka z Hydrą wydawałaby się dziecinną zabawą w porównaniu ze wspomnieniem zapładniania pani Russell.

Skończył się ubierać, nie włożył tylko kapelusza. Siedział jeszcze przez chwilę. Może wymyśli, co mógłby powiedzieć. Może ona się odezwie.

Kolejne sekundy mijały w milczeniu. W końcu nie zostało nic do zrobienia, jak tylko wstać i sięgnąć po kapelusz. Odchrząknął.

- Mam panią jutro odwiedzić? - Te słowa poniosły się echem wśród lodowatej ciszy w pokoju.

- Jeśli pan sobie życzy - powiedziała do swoich stóp. Wyszedł, a w drodze towarzyszyły mu ciężkie myśli o jutrze.

Jutrze i następnych jutrach, prawie całym ich miesiącu, który musiał przetrwać, zanim wypełni warunki umowy.



## Rozdział 5

Z pewnością ci wierni wyrzuciliby ją z kościoła i ścigali z pochodniami, gdyby wiedzieli, o co się modli. Ale liczyła się z tym od początku.

Proszę, wybacz mi, ile jesteś w stanie. Marta otworzyła oczy, zobaczyła białe kłykcie swoich mocno zaciśniętych dłoni i z powrotem zamknęła oczy. Proszę, weź pod uwagę, że nie jestem, jeśli dokładnie zdefiniujemy to słowo, winna lubieżności. Proszę, zrozum, dlaczego muszę to zrobić i co jest stawką w tej sprawie. I jeszcze, proszę, każ panu Mirkwoodowi zerknąć w tę stronę, by zauważył, że nie zasłoniła dekoltu chustą.

Nie spodziewała się, że ten widok zelektryzuje go tak, że jego pożądanie utrzyma się do ich popołudniowego spotkania. Ale, jak miała nadzieję, odbierze to jako sygnał jej gotowości do... nie próbowania, ponieważ nie chciał, żeby próbowała... ale krok w jego stronę i możliwość spotkania się z nim gdzieś pośrodku drogi oddzielającej jej pragnienia od jego.

Czy to było to samo co próbowanie? Dlaczego ta sprawa musi być tak skomplikowana? Nie próbuj. Ale też musisz coś

robić; inaczej jesteś nie lepsza niż trup. Nawet przywołane w jej umyśle to słowo było jak uderzenie. Nie tak bolesne jak wczoraj, kiedy trafiło ją jak mocny policzek. Z czasem jego moc może osłabnie. Można mieć taką nadzieję.

Znowu otworzyła oczy, lekko przechylając głowę. Nie patrzył na nią. Dzisiaj siedział prosto i słuchał uważnie, był ubrany dość skromnie, miał poważny wyraz twarzy, a jego modlitewnik był otwarty na właściwej stronie. Nikt by nie zgadł, że to mężczyzna, który sadzał kobiety na meblach i oczekiwał, że będzie im się to podobało.

Jej nie mogło się to podobać. Nieprzyzwoite doznania z nieznanym pozbawionym zasad moralnych. Nie powinien się tego po niej spodziewać. Jednak miał prawo oczekiwać uprzejmości i to, trzeba przyznać, zaniedbała. Następnym razem zachowa się lepiej. Będzie miła i troskliwa, zdławi wszelkie nieprzyjemne uczucia na czas trwania jego wizyty.

Gdyby tylko na nią spojrzeł! Mogłaby się nawet uśmiechnąć, szybko i dyskretnie, i wiedziałby, że może oczekiwać cieplejszego przyjęcia.

Ale on na nią nie patrzył. Kiedy msza się skończyła, wstał i ruszył do drzwi, ani razu nie zerkając w jej stronę.

Czy w ogóle dziś przyjdzie? Musi - zapytał, czy powinien -a jednak co będzie, gdy po zastanowieniu zdecydował, że nie może już tego kontynuować?

Siedziała nieruchomo w swojej ławce, znowu ostatnia opuściła kościół. Pan Atkins może zauważył brak chusty i spojrzył na nią ze zdziwieniem. Powinien. Była niedelikatną, zachłanną kobietą zmuszoną do przyścia na niedzielne nabożeństwo niewłaściwie ubrana w nadziei na zwrócenie uwagi mężczyzny. Okryła się hańbą, uciekając się do takich sztuczek, i nie zyskała nic w zamian. To było rozpaczliwe działanie, ale niewystarczające.

Theo, wracając do domu z kościoła, rwał gałęzie z żywopłotu, miażdżył liście i rzucał na ziemię. Ktoś będzie miał piekielnie trudne zadanie z czyszczeniem jego rękawiczek. Być może je zniszczył. Ta myśl, co dziwne, zupełnie go nie poruszyła.

Westchnął głośno i wyrzucił garść zmiażdżonych liści. Pozbawiła go jedynej rzeczy, w której był dobry, ta wdowa. To było najgorsze. Mógł zbyć śmiechem własną nieudolność w tych sprawach, o które nie dbał, dopóki mógł nazywać się mistrzem w ważniejszych sprawach. Ale co miał o sobie myśleć, każdego dnia stawiając czoła temu, jak ona cofa się z odrazą przed jego wprawnym dotykiem? Jeśli nie był mężczyzną, który potrafił sprawić kobiecie rozkosz, to kim był?

Za nim rozległ się stukot kół powozu: podszedł bliżej do żywopłotu i uchylił kapelusza, gdy minęła go jakaś rodzina rolników wystrojona w najlepsze niedzielne stroje i rozbawiona, jakby jechali na pełne przyjemności przyjęcie, a nie właśnie wyszli z kazania o rolniku, który padł martwy, gdy świętował obfite zbiory. Mężczyzna i kilku chłopców w odpowiedzi unieśli swoje kapelusze. Jedna dziewczynka mu pomachała i schowała się nieśmiało, gdy jej odmachał.

Tak uroczo wyglądający ludzie. Dlaczego tacy jak oni nie mogli mieszkać na jego ziemi zamiast posepnych Weaverów? Niektóre z rodzin najemnych robotników wydawały się dość sympatyczne i być może nawet Weaverowie zrobią lepsze wrażenie, kiedy się ich lepiej pozna. Powinien dać im tę szansę. Może powinien dziś spróbować poświęcić tej kwestii nieco uwagi i zobaczyć, do czego to doprowadzi. Jeśli dzisiejsze spotkanie z panią Russell również zakończy się katastrofą, przynajmniej miałyby poczucie, że w jakiejś innej dziedzinie działa efektywnie.

Gdy Theo dotarł do domu, miał już gotowy plan. Odwiedzać robotników i zwracać uwagę na ich potrzeby, powiedziała wdowa, a tyle z pewnością mógł zrobić. Kazał kucharzowi, by przygotował kilka paczek z wołowiną i herbatą, i nawet kilkoma kostkami cukru, a sam pozbierał różne inne rzeczy. Wypełniło go poczucie dobroczynnego celu i przyniosło mu ulgę, pierwszy raz poczuł prawdziwą ulgę od czasu wczorajszej klęski. Przekona do siebie tych ludzi, a informacje o tym dotrą do uszu Granville'a, co pomoże w najważniejszej dla niego sprawie.

Godzinę później wspinał się na wzniesienie prowadzące do domu Weaverów. Odwiedziny nie wyglądały tak, jak to sobie wyobrażał. Zrobił pierwszy krok, to na pewno. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że skromne gospodynie z przyjemnym zaskoczeniem przyjmowały jego upominki. Jednak nikt nie mógł też nie zauważyć wiszącej w powietrzu nieufności, która towarzyszyła wizycie. Wszyscy mężowie byli w pracy - powinien był to przewidzieć, skoro żadnej z tych rodzin nie było w kościele - a żony przeważnie odpowiadały na jego uprzejme uwagi i pytania z zakłopotaniem i monosylabami. No cóż, jeszcze jedna wizyta wieńcząca jego hołd złożony obowiązkom, nieważne, jaki jest jego wynik. Otworzył bramę i wszedł na podwórze.

Nawet z tej odległości dało się słyszeć płacz dziecka, niespecjalnie zachęcający do wejścia do domu. Najstarsza córka Weaverów stała na podwórku, wylewając zawartość wiadra do koryta dla świni. Uniosła wzrok, gdy Theo otworzył bramę, i z powrotem spojrzała w dół, zanim zdążył uchylić kapelusza. Biedactwo. Musiała przyzwyczać się do braku uprzejmości i tego, że ludzie odwiedzający jej rodzinę nie zwracają na nią uwagi.

Podszedł do niej i zdjął kapelusz.

- Dzień dobry - powiedział.

Dziewczyna dygnęła w milczeniu, nie odrywając wzroku od świni, która zbliżyła się ochoczo do koryta i zanurzyła w nim ryj.

- Jak się miewasz? - Włożył kapelusz. Może dziewczyna była niemową?

- Dobrze, dziękuję. - Powiedziała bezbarwnym głosem, jakby to była ćwiczona odpowiedź, ale wciąż patrzyła na zwierzę.

Theo też przyjrzał się świni.

- Jak się ma twoja świnia? - zapytał po chwili.

To było pytanie, na które dziewczyna nie miała wyuczonej odpowiedzi. Zacisnęła usta, wyraźnie się koncentrując.

- Jest podła - odpowiedziała w końcu.

- Naprawdę? - Z pewnością podle pachniała. - Jakie podle rzeczy robi?

Na ułamek sekundy dziewczyna spojrzała mu w oczy.

- Czasami siada na swoich młodych.

- No to rzeczywiście niegodziwie. - Mało powiedziane. - Co wtedy robisz?

- Uderzam ją patykiem. Wtedy może wstanie.

- Ale nie zawsze?

Pokręciła głową. Theo wyobraziło sobie: wielkie cielsko maciory, piski przerażonych prosiąt i ta dziewczyna, bezsilna, mimo że uzbrojona w patyk. Każdy dzień na wsi sprawiał, że Londyn wydawał się jeszcze lepszy, bez wątplenia.

- No cóż - dość rozmów o świni - przyszedłem odwiedzić waszą rodzinę i przyniosłem wam kilka rzeczy. Jedna z nich jest dla ciebie.

Nie zapytała, co to takiego, ani nie spojrzała na Theo. Tylko jej poza wskazywała wzmożoną uwagę.  
- Nie byłem pewien, wiesz - powiedział, przeszukując swoją torbę - czy lubisz złoty kolor czy papier, więc przyniosłem ci to i to. - Wyciągnął złotą wstążkę. - Nie mam pojęcia, dlaczego u mnie była, pewnie zostawiły ją jakieś damy, które dawno temu mieszkały w moim domu, ale mnie się nie przyda, nie przyda się też panu Granville'owi. - Podał ją dziewczynie.

Bez słowa przeciągnęła ją między dwoma palcami aż do samego końca, a potem z powrotem w drugą stronę.

No, to była bardziej odpowiednia reakcja. Następnym razem skupi swoje wysiłki na oczarowaniu dzieci i w ten sposób zdobędzie też aprobatę ich rodziców.

- Możesz ją zawiązać na kokardę twojej śwince, jeśli będzie się lepiej zachowywała. - Szturchnął zwierzę butem. - Wyglądałaby ładnie z kokardą na ogonie, nieprawdaż?

W policzku dziewczyny pojawił się dołeczek i pokręciła głową.

- Muszę się z tobą nie zgodzić. A oto papier, o którym wspominałem. - Wyciągnął mały plik. - To właściwie kawałki tapety, więc każdy ma jakiś wzór. Kwiatki, ptaki, liście i inne rzeczy. -

Przekartkował plik, żeby jej pokazać. - I są grube. Dobrze się je zagina, jeśli na przykład zechcesz zrobić wachlarz. Czy kiedyś robiłaś wachlarz?

Znowu pokręciła głową ze wzrokiem wbitym w papier.

- Pokażę ci. To bardzo łatwe, inaczej bym tego nie potrafił.

- Wziął jedną z kartek, a resztę podał dziewczynie. - Najlepiej użyć do tego stołu lub jakiejś innej płaskiej powierzchni, jeśli jest taka możliwość - stwierdził, odstawiając torbę i opierając się jedną nogą o koryto - ale można sobie też poradzić bez tego.

- Dziewczyna patrzyła, jak składa papier. - Zaginasz cał albo

coś koło tego z jednej strony, a potem przekładasz i zaginasz z drugiej. Powstaje plisa, widzisz? I potem po prostu przekłada się papier i składa kolejny cał papieru, dopóki nie złoży się całego. - Nie miał sposobu stwierdzić, czy zrozumiała tę instrukcję, ale to była najprostsza rzecz, jaką wymyślił. - Kiedy skończysz, złap mocno jeden koniec, a drugi puść i będziesz miała wachlarz. - Pokazał jej i powachlował się, co znowu wywołało pojawienie się dołeczków w jej policzkach. - Jeśli chcesz, możesz zrobić dziurę tu, gdzie trzymasz wachlarz, i zawiązać ten koniec rzemykiem. Moje siostry przewiązywały je wstążką i nosiły na nadgarstku. - I tym sposobem z pewnością wyczerpał temat, więc złożył papierowy wachlarz i podał go dziewczynce.

Przyjrzała się papierowi, a potem złapała za jeden koniec i powachlowała się na próbę.

- Właśnie tak. - To zdecydowanie poszło dobrze. Teraz jeszcze musi równie dobrze poradzić sobie ze spotkaniem z pozostałymi członkami rodziny Weaverów. Jednak zanim mógł się do tego zabrać, dziewczynka wybrała kolejny kawałek papieru i mu podała.

- Chcesz, żebym zrobił kolejny wachlarz? - zapytał Theo. Kiwnęła głową i podeszła bliżej, żeby popatrzeć.

Zdażył dwa razy zagiąć papier, kiedy usłyszał, jak otwierają się drzwi domu, i pani Wawer zawołała okropnym tonem:

- Christine, chodź tu w tej chwili!

Dziewczynka odskoczyła od niego. W ułamku sekundy zrozumiał, co jej matka musiała zobaczyć: on plecami do domu, córka zbyt blisko niego, a oboje pochylali głowy, by zobaczyć, co on robi.

Dobry Boże. Czy naprawdę mogła pomyśleć... Dobry Boże. Podniósł trzymany kawałek papieru do góry i zaczął szukać

słów, które mogłyby to wyjaśnić, ale kobieta nawet na niego nie patrzyła. Mówiła coś szybko i gwałtownie do córki, która minutę później podbiegła do niego, podała mu wstążkę i resztę papieru, odwracając głowę w drugą stronę. Mógł tylko wziąć te przedmioty i patrzeć, jak odbiega. Poczuł wywołujące mdłości gorąco, które zalało jego twarz kolorem winy. Idiota, idiota, idiota. Dlaczego nie zastanowił się, jak to może wyglądać? A jednak jak mógł przewidzieć taką możliwość? Nigdy w ciągu całego jego życia nikt nie posądził go o taką podłość. Im dłużej stał, czerwieniąc się i nie mogąc znaleźć właściwych słów, tym bardziej wydawał się winny. Jak również tym większe było zagrożenie, że zwymiotuje na ich oczach. Podniósł torbę i zmusił się, by przejść przez podwórko do miejsca, gdzie stała pani Weaver. Ciężką, dławiącą ciszę przerywały tylko wściekłe zawrota głowy trzymanego przez nią dziecka.

- Przepraszam, jeśli panią uraziłem. - Kapelusz, gdy go zdejmował, wydawał się ogromny i nieporęczny; a jego głowa okropnie obnażona. - Odwiedzam dziś mieszkające tu rodziny i przynoszę rzeczy, o których pomyślałem, że mogą się przydać. - Jej szare oczy, teraz kiedy był dostatecznie blisko, by je zobaczyć, nie zdradzały ani cienia sympatii, ani żadnego innego ludzkiego odczucia. - Zauważyłem, że pani córka bawi się papierem, kiedy byłem u państwa ostatnio, a mam trochę niepotrzebnego papieru w domu. Pokazałem jej, jak zrobić wachlarz. - Nawet prawda brzmiała jak jakaś niegodziwa sztuczka, by zwabić do siebie dziecko. - Mogę dać ten papier pani? Żeby mogła pani jej dać kolejny kawałek, kiedy uzna pani za stosowne.

- Christine, wejdź do domu - powiedziała pani Weaver, nie odwracając głowy, a dziewczyna jej posłuchała. - Panie



Mirkwood - ton jej głosu był pozbawiony emocji i odpychający; jej spojrzenia nie powstydzilby się bazylierek. - Nie potrzebujemy pańskiego papieru. Christine nie chce żadnych podarków.

- Jak pani uważa, oczywiście. - Włożył papier z powrotem do torby i wyjął wołowinę i herbatę. - Zostawię tylko to - stwierdził - co przyniosłem innym rodzinom.

- Nie. - Przełożyła dziecko z jednego ramienia na drugie. - Dziękuję, nie.

Powinien być zły. Miał do tego pewne prawo. Miał dobre intencje i rzeczywiście czuł pierwsze iskry gniewu - jednak te szybko przygasły stłumione gęstym, trującym wstydem. Jaki mężczyzna mógł wytrzymać okropne spojrzenie pani Weaver i nie podejrzewać, że jednak czai się w nim potwór? Boże w niebiosach, nikt nigdy tak na niego nie patrzył.

Życzył jej dobrego dnia i ruszył z powrotem do swojego domu, z każdym krokiem coraz bardziej zaciskał mu się żołądek. W torbie, która powinna być już pusta, zostały ostatnie prezenty.

Tyle, jeśli chodzi o dobre intencje. Ta panika w jej głosie, kiedy otworzyła drzwi i zawołała córkę! Nie myśl o tym. Zatrzymał się i zacisnął powieki, jego żołądkiem rzucało jak okrętem na wzburzonym morzu. Myśl o czymś innym. Otworzył oczy i ruszył dalej. Jednak nie mógł zająć myśli żadnym niewinnym tematem; uparcie wracały do sceny na podwórzu, i w końcu się poddał i zwymiotował.

- Pan Farris powiedział, że nie planowaliście zapisać córek do szkoły. - Marta wyrwała chwast spośród pietruszki i wyciągnęła rękę, by wyrzucić go do wiadra.

Po drugiej stronie grządki z ziołami Jane Farris kiwnęła głową. To, że jaśnie pani upierała się pomagać w pracach

domowych za każdym razem, gdy ich odwiedzała, to było pewnie dostatecznie dużo dla żony dzierżawcy. Ta rozmowa była jeszcze trudniejsza dla pani Farris.

Trudno. Pan Mirkwood miał się zjawić dopiero za godzinę i jeśli czekałaby beczynn timer, z pewnością by zwariowała.

- Przykro mi było to słyszeć. Wyznam, że myślałam o Laurze i Adelajdzie, kiedy zasugerowałam panu Atkinsowi, żeby wziął pod uwagę też starsze dziewczęta. Obie są takie bystre.

- Ale obie umieją już czytać. Lizzie pójdzie do szkoły razem z braćmi. Widzi pani jakieś żółte liście tam w pietruszce?

- Nie, wszystko wygląda jeszcze świeżo. - Wrzuciła do wiadra następnych kilka chwastów i przesunęła się do grządki z miętą, gdzie zatrzymała się na chwilę, by poczuć jej świeży zapach. - Chodzi o to, żeby edukacja dziewczynek nie kończyła się na nauce czytania i rachowania. - Kolejny wdech świeżej mięty. Wspaniałe rozjaśnia myśli. - Żyjemy w czasach tak wspaniałych zmian, prawda? - Podniosła łopatkę i zaczęła wykopywać uparty chwast. - Jestem pewna, że pan Atkins nie jest jedynym wikariuszem na wsi, który zauważył to i dostrzegł korzyści płynące z lepszej edukacji chłopców. Jednak nie można się nie martwić. Dziewczynki będą rosły w przekonaniu, że ich przyszłość to małżeństwo z rolnikiem, a potem dowiedzą się, że kandydaci na męża wyjechali do miast i zostali rzemieślnikami, że są od nich znacznie lepiej wyedukowani.

Aha. Trafiła w czuły punkt. Czepek pani Harris zasłaniał jej oczy, ale widać było, jak ściągnęła usta w zamyśleniu. Teraz trzeba wykorzystać zdobytą przewagę.

- Nie jest już tak jak pokolenie temu, kiedy oboje, żona i mąż, uczyli się tylko czytać, pisać i rachować, a dalsza edukacja odbywała się w polu. Spodziewam się, że młody kupiec może szukać wyedukowanej córki handlarza na żonę. - Zdecydo-

wanym gestem wyrzuciła chwast do wiadra i odłożyła łopatkę. - A jeśli wybierze ledwo potrafiącą czytać dziewczynę ze wsi, popełni megalomanię.

- Z tego nigdy nie wynika nic dobrego. - Czepek pani Farris się zakotłosał.

- Nie, nigdy. Nie chciałabym, żeby coś takiego spotkało którąś z dziewcząt z Seton Park. - Zerknęła spod daszka czepka na swoją rozmówczynię. - To tylko godzina zajęć tygodniowo. I tylko w niedzielę, a spodziewam się, że pan Atkins wybierze tematy duchowe na wiele lekcji. Geografia Ziemi Świętej i tym podobne. - Wyssała to z palca. Nie miała zielonego pojęcia, jakie lekcje zamierzał prowadzić wikariusz. - W każdym razie mam nadzieję, że pani to rozważy.

- Zrobię to. - Pani Farris przestawiła wiadro. - Nie chcę, żeby jakikolwiek mężczyzna myślał, że żeni się z kimś gorszym, biorąc za żonę jedną z moich córek. Przemyśle wszystko, co pani powiedziała. Marta w milczeniu wrywała chwasty. Czyżby właśnie udało się jej przekonać jedną osobę do swoich racji? Tak się wydawało. Może przekona za pomocą tych samych argumentów inne żony dzierżawców - jeśli tylko będzie miała czas. Jeśli nie zmarnowała już swojej szansy.

Musnęła ręką płamę z ziemi na sukni. Powinna skończyć pielienie, wrócić do domu i przebrać się w inną żałobną suknię. Chociaż może on i tak nie zauważy. Być może w ogóle nie przyjdzie. Może Marta przesiedzi całe popołudnie w fotelu w towarzystwie jedynie wspomnień o wszystkich błędach, jakie popełniła.

Theo włókł się leśną ścieżką, która prowadziła do bocznego wejścia do posiadłości pani Russell. Pomijając kwestie dobra i zła, zastanawiał się, jak inni mężczyźni mogą sypiać z ko-

bietami, które ich nie chcą? Obojętność wdowy wystarczyła, by stracił chęć na cokolwiek, i skazała go na porażkę. Jak mężczyźni wzbudzają w sobie żądze, gdy znajdują się w łóżku z przerażoną, a może nawet stawiającą zacięty opór damą?

Wzbudzić w sobie żądze. Zatrzymał się i oparł o drzewo. Za kilka minut będzie musiał znaleźć na to sposób. Ale jak? Wspomnienie zimnego spojrzenia pani Weaver oraz pełne winy i zmieszania spojrzenie jej córki, kiedy oddawała prezenty, mogły zabić w nim pożądanie do końca jego dni. A z pewnością do czasu, gdy skończy się jego umowa z kochanką - to słowo było jak szyderstwo - która broniła się przed jakąkolwiek pieśczęcią.

Ruszył dalej. Zanim się obejrzał, otwierał drzwi do salonu, z kapeluszem w dłoni i sercem pozbawionym nadziei.

Wejście po schodach nie trwało tak długo, by jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku panującego w domu i Theo mrugał przez kilka sekund, rozglądając się w poszukiwaniu wdowy. Wreszcie ją dostrzegł.

Nic dziwnego, że jej nie zobaczył. Szukał znajomej postaci ubranej na czarno, siedzącej w pasiastym fotelu. Jednak dzisiaj siedziała na kanapie i nie miała na sobie czerni. W ogóle nie miała na sobie... zbyt wiele. Nie miała czepka: jej włosy luźno opadały na ramiona, ubrana była tylko w szlafroczek. Gdy wstała, Theo upuścił kapelusz. Szlafroczek, jak zobaczył, nie był nawet zapięty.

Zrobiła krok naprzód. Przełknęła. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, stała nieruchomo. Potem bardzo wolno zsunęła szlafrok z ramion i zaczęła iść w stronę Theo.

Na piekło i wszystkie demony. Wszystko inne w pokoju po prostu zniknęło, została tylko ona.

Oczywiście, widział ją nagą już wcześniej, ale... nie, nieprawda, nigdy nie widział jej nagiej. Nie tak. Zrozumiał, że ona się stara - czyli robi dokładnie to,

czego, jak jej powiedział, nie chciał - i wiedział, kiedy zaschło mu w ustach, a włosy na całym ciele stanęły mu dęba, jak nieprawdziwe były jego słowa.

Szła z rozmysłem powoli, co sprawiło, że wyglądała, jakby była pod wodą albo poruszała się we śnie. Przyszło mu na myśl, że wygląda jak francuska arystokratka próbująca z całych sił zachować się odważnie w drodze na gilotynę.

Mógł sobie wyobrazić, jak podnosi jej szlafrok i delikatnym gestem okrywa ją, ale wyobrażenie sobie tego było wszystkim, na co mógł się zdobyć. I dobrze. Uprzejme, opiekuńcze gesty na niewiele się mu ostatnio zdały.

I czy czuła strach, czy nie, szła dalej, a on przyzywał ją w myślach. Da pani radę, pani Russell. Jeszcze tylko cztery kroki... jeszcze trzy... Mógł jej pomóc, oczywiście. Mógł zrobić krok w jej stronę i zmniejszyć dystans, który miała do pokonania, ale wydawało się ważne, by skończyła to, co zaczęła. Już tylko dwa kroki... a teraz jeden... Jego prawa dłoń uniosła się niezależnie od jego woli i dotknęła jej piersi. Sutek był miękki jak zawsze, czuł to przez rękawiczkę, ale to nie miało znaczenia.

Zaplanowała to. Poświęciła czas na myślenie o tym, czego on chciał. Prawdopodobnie wybrała szlafrok, który jej zdaniem mógł mu się najbardziej spodobać, i natychmiast go zdjęła, ponieważ wiedziała, że to spodoba mu się jeszcze bardziej. Obawiała się tego, ale i tak to zrobiła i taki wysiłek męczyzna potrafił docenić.

Nie miała pojęcia, co robić dalej - czuł to - więc położył drugą rękę na jej plecach i przytulił do siebie. Rozluźniła się i to było... Och, to było cudowne uczucie: dotyk jej ciała, nagiego przytulonego do niego. Jej uda ocierające się o jego spodnie. Piers wtulona w jego dłoń. Żadne z nich się nie odezwało, od kiedy Theo wszedł do pokoju, ale nagle on miał coś ważnego do powiedzenia.

- Nie dam rady dojść do łóżka. Ma pani coś przeciwko podłodze?

Pokręciła głową, a on położył się z nią na dywan, jedną ręką rozpinając już spodnie. Przez chwilę wdowa wyglądała delikatnie jak motyl przyszpilony do podłogi ciałem kochanka, miała szeroko otwarte oczy, była niepewna. Stopy oparła

o jego buty i Theo już był w niej, guziki jego rozpiętych spodni wpijały się w jej ciało przy każdym pchnięciu. Na plecach też będzie miała ślady, otarcia od dywanu - temu powinien zapobiec, powinien o to zadbać, może podnieść ją z podłogi tylko tyle, żeby... ale wtedy wsunęła ręce pod jego kamizelkę, znowu próbując go zachęcić, i wtedy... o Boże... zaplotła nogi wokół jego bioder.

I było po nim. Złapał ją za ramiona i zaczął kochać się z nią mocno i szybko, na wpół oczekując, że kobieta zacznie krzyczeć, protestując, jednak ona tylko złapała za jego koszulę i jeszcze mocniej ścisnęła go nogami.

Tak. Weź to. Weź wszystko. Nie odrzucaj mnie. Weź każdy mój kawałeczek. Wchodził w nią raz za razem, w szal pełen żądz, wstydu i błogosławionej ulgi. Nie odrzuciła go. Nie wycofała się. Ścisnęła mocno jego koszulę i została z nim, kiedy dał jej wszystko, wszystko, co miał do oddania z każdego jasnego i ciemnego zakamarka jego duszy, dopóki nie zostało nic do oddania z wyjątkiem nasienia, i oddał je, po czym opadł bez ruchu, kompletnie wyczerpany.

No proszę. Nie spodziewała się tego. Tak naprawdę nie wiedziała, czego się spodziewać, ale... no proszę.

On też wydawał się tym nieco oszołomiony. Leżał na niej jakby bez życia.

- Proszę mi wybaczyć - mruknął sztywno po minucie czy dwóch.

- Nie ma czego wybaczać. - Gdyby wiedział, jak bardzo bała się, że do tego zbliżenia w ogóle nie dojdzie, z pewnością roześmiałby się w głos.
  - Ależ jest. - Stoczył się z niej i zaczął podciągać spodnie. - Jestem pewien, że sprawiłem pani ból. - Na chwilę odwrócił od niej wzrok, by zapiąć kilka pierwszych guzików, i kiedy znowu na nią spojrzął, musiał zobaczyć jej zdziwienie. - Jeśli plecy jeszcze panią nie boją, to niedługo zaczną. Jej plecy. To wydawało się mało prawdopodobne. Jednak kim ona była, by wątpić w jego słowa? Bez wątplenia on znał się na tych sprawach znacznie lepiej, niż ona kiedykolwiek się pozna.
  - Naprawdę przepraszam. - Jego głos stał się łagodniejszy, a w oczach malowała się obawa. - Zazwyczaj się tak nie zachowuję.
  - Nie mam nic przeciwko temu. Było szybko.
  - Szczęcę się tym, że zwykle kobieta czuje rozkosz nie tylko dlatego, że zbliżenie trwało krótko. „Rozkosz” to mocne słowo. Jednak można by go użyć, gdy 0 pewnej godzinie będzie się wspominać jego szybkie, pełne pasji poddanie się jej. Tę desperacką potrzebę, z którą do niej przyszedł, niemal jakby szukał jakiegoś zmysłowego wybawienia. Można by dołączyć te wspomnienia do już posiadanych mglistych wyobrażeń i przeanalizować je na osobności i być może odnaleźć w nich przyjemność.
- Nie powinna tego mówić temu mężczyźnie.
- Czy mogę pana prosić o przyniesienie mi poduszki, zanim pan wyjdzie?
  - Nie zamierzam zostawić pani oszołomionej i nagiej na podłodzie w salonie. - Jej uwaga wyrwała go z zamyślenia: podniósł się na kolana.

- Nie jestem oszołomiona - zaczęła, ale zanim mogła powiedzieć coś więcej, on nachylił się nad nią, wsunął ramię pod jej plecy, a drugie pod kolana i podniósł ją. Bez komentarza, jakby często w ten sposób zajmował się kobietami, zaniósł ją do łóżka i jednym kolaniem odsunął kołdrę. Potem położył kochankę na materacu, podsunął jej poduszkę pod plecy i przykrył.

- Nie dałam panu na to pozwolenia - odezwała się w niej jakiś nieposłuszny głos, ale go uciszyła. Mirkwood wyglądał dziwnie. Nie tak beztrosko jak zazwyczaj, nie tak optymistycznie nastawiony do życia. Prawdopodobnie wciąż strofował się w myślach, że wziął ją tak mocno i gwałtownie. Może mu to nieco ułatwić. Dlaczego nie.

- Zostanie pan przez kilka minut? - Przesunęła się i dotknęła ręką miejsca obok siebie. - Wygląda pan, jakby potrzebował odpoczynku. A ja będę zadowolona z towarzystwa. - To nie była do końca nieprawda.

To właśnie należało powiedzieć. Wyraźnie było widać, jak mężczyzna rozluźnia ramiona, a z jego czoła znika zmarszczka. Usiadł bez słowa na łóżku i ściągnął buty. A potem kamizelkę. Rzucił ją na podłogę i odchylił kołdrę, żeby się pod nią położyć, poza tym kompletnie ubrany.

Co mogło go tak zasmucić? Naprawdę, stosunek nie był taki zły.

- Miał pan chyba męczący dzień. - Przyglądała się jego profilowi. Może chciałby się jej zwierzyć.

- Moja droga, nie może sobie pani nawet wyobrazić.

Jeśli mi pan po prostu powie, nie będę musiała. Pozwoliła pojawić się tej buntowniczej myśli, a potem jej odpłynąć. Nie był jej mężem. Nie miał obowiązku dzielić się z nią czymkolwiek.

- Przykro mi - stwierdziła.



- Niech pani nie będzie przykro, bo to pani będzie miała plecy otarte od dywanu. - Mirkwood odwrócił się do niej. Błądził wzrokiem po jej twarzy. Odetchnął. - Bała się mnie pani.

- Absolutnie nie. Nigdy tak nie było.

- O co w takim razie chodziło? - Ruchem głowy wskazał drugi pokój. - Wyglądała pani na bliską omdlenia, kiedy pani do mnie szła. Nigdy wcześniej tak pani nie wyglądała.

- Och. Tak. No cóż. - Przełknęła ślinę i poczuła, jak rumieniec od nowa zalewa jej policzki. -

Oczywiście bałam się, że mi pan odmówi i zerwie naszą umowę.

Ale to nie była cała prawda i on o tym wiedział. Czekał, obserwując ją ze spokojem. W milczeniu dotknął dłonią w rękawiczce jej ramienia i musnął jej łokieć. Proszę przestać. Nie. Nie zrani go.

- Myślę też, że bałam się tego, że wyglądam śmiesznie. - Wyrzuciła te słowa z siebie. - Nie miałam w zwyczaju robić takich rzeczy. Bałam się, że to będzie dla pana zbyt oczywiste i w efekcie pomyśli pan, że jestem śmieszna.

Już walczył z uśmiechem. Wdowa zasznurowała usta i wbiła wzrok w baldachim nad łóżkiem i poddała się cichej pieszczocie dotyku koźlej skóry na swoim ramieniu.

- Śmieszna - powtórzył Mirkwood. - Myśli pani, że wyglądała śmiesznie?

- Tak. Tak uważam. - Jak pantomima odgrywana przez klauna udającego lubieżną kobietę. Jej policzki mogłyby stanąć w płomieniach na to wspomnienie.

- Czy moje zachowanie, jak teraz to pani wspomina, było zachowaniem mężczyzny, który uważał, że wygląda pani śmiesznie? - Wciąż w jego głosie słychać było ten ukryty śmiech, choć wyraźnie starał się go zdusić.

Odważyła się zerknąć w jego stronę.

- Mogłam nieco nie docenić tego, jak zareaguje pan na tę sytuację.
  - Och, pięknie. - Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - A teraz widzi mnie pani jako jeszcze bardziej żarłoczną bestię, prawda? Świnie, która nie zauważa, czy jej koryto jest pełne truflి i kandyzowanych owoców, czy też zsiadłego mleka i obierków z kartofli.
  - Z pewnością nie posuwałabym się tak daleko. Moim zdaniem w ogóle nie przypomina pan świni.
  - Racja. - Położył się na plecach. - Mam więcej wspólnego z ogierem. A przynajmniej tak twierdzą damy - stwierdził zadowolony z siebie.
- To było w bardzo złym guście. Nie powinno jej to bawić. Ale rozumiała go.
- Cieszę się, że wrócił panu dobry nastrój.
  - Na chwilę, ponieważ zajmują mnie przyjemne tematy. -Mówił do niej, ale głowę znowu położył na poduszce. - Podejrzewam, że mój nastrój się zmieni, kiedy wrócę do domu i do swojej harówki. Zatem to go martwiło.
  - Uczenie się zarządzania majątkiem jest aż tak przygnębiające? Mówił pan, że to pana interesuje.
  - Tak, miałem nadzieję zrobić dobre wrażenie. Nie zdawałem sobie wtedy jeszcze sprawy, jak mało dbała pani o moją przyzwoitość. - Na jego ustach pojawił się uśmiech, ale zniknął, nie spotkawszy się z ciepłym przyjęciem. - Prawda jest taka, że nie jestem ani zainteresowany zarządzaniem majątkiem, ani nie mam potrzebnych zdolności. To pan Granville ma obie te cechy. Dlaczego on musi być obarczony obowiązkiem uczenia mnie rzeczy, których nie mam potrzeby się nauczyć, i dlaczego ja muszę spędzać liczne godziny na uczeniu się obowiązków,

których nigdy nie zamierzam przejąć? Zarządcy istnieją po to, by dżentelmeni mogli sobie oszczędzić tej nudy. Jak na to odpowiedzieć? Marta zmarszczyła brwi.

- Uważam, że ma pan szczęście, mogąc się od niego uczyć.

- Żadnych wyrzutów. Tylko sugestie. - Czasami mam wrażenie, że mężczyźni nie doceniają w pełni swoich przywilejów. Gdybym miała tyle szczęścia, że ktoś chciałby mnie uczyć zarządzania majątkiem, z pewnością z radością przykładałabym się do nauki.

- Mówi pani szczerze? To panią naprawdę interesuje?

- Oczywiście, że tak. To najlepsza praca, jaką może zajmować się osoba o pańskiej czy mojej pozycji: sprawiać, żeby ziemia przynosiła owoce i korzyści ludziom, którzy na niej żyją, i udowodnić, że urodziliśmy się do czegoś innego niż tylko przyjemność.

- Ależ z pani dziwna mała kobietka. - Ujął pasmo jej włosów.

- Wolałbym, żeby nigdy nie nosiła pani czepka - powiedział. Zawsze kierował rozmowę na temat ciała. Nie było to aż tak straszne, kiedy wiedziała, czego się spodziewać.

- Jestem w żałobie.

- Tak, wiem. - Nawet śladu uśmiechu; wyglądał równie poważnie jak arcybiskup. - Ale po prostu wolałbym, żeby go pani nie nosiła. Lubię widok pani włosów.

- To... może nie będę go nosić podczas pana wizyty. -Drobne ustępstwo. Nie żadne wielkie naruszenie tego, co wypada, a co nie. - Jeśli uważa pan, że to będzie przydatne.

- Byłoby miło. - Mówił cicho, niemal szeptem.

- W takim razie spróbuję o tym pamiętać. - Ona też zniżyła głos.

- Tak. Proszę spróbować.

## Rozdział 6

Czy miał pan okazję porozmawiać z panem Mirkwoodem? - Marta rozłożyła szeroko ręce, by mocno przytrzymać mapę przy szkolnej ścianie.

- Właściwie nie. A pani? - Pan Atkins miał w ustach gwoździe; nie powinna mu teraz zadawać żadnych pytań.

- Trochę. Złożył mi wizytę w zeszłym tygodniu. Chwilę rozmawialiśmy. - Sprawdziła, czy pewnie stoi na krześle. Im więcej półprawd i kłamstw człowiek opowiadał, tym trudniej jest o wszystkich pamiętać. Ale przecież przyszła tu, by powiedzieć nieprawdę; ze stanowczo fałszywymi wieściami dotyczącymi listu od pana Jamesa Russella, w którym rzekomo popierał założenie szkoły. A wikariusz uwierzył jej oczywiście i zaczął świętować, rozwieszając różne rzeczy na ścianach szkoły.

- I jakie zrobił na pani wrażenie? - powiedział teraz, wciąż z gwoździami w ustach.

To z pewnością było odpowiednie pytanie. Tydzień temu mogłaby na nie odpowiedzieć bez trudu. Teraz się zawahała.

- Nie jestem pewna, czy poznaliśmy się dość dobrze, bym mogła go oceniać. Wydaje się mieć pogodne usposobienie, ale słyszy się pewne opowieści o tym, jakie miał zwyczaje i jak spędzał czas w Londynie.

Pan Atkins wypluł gwoździe na rękę.

- Staram się nie zawierzać tego typu plotkom. Ludzie mają w zwyczaju albo przerastać nasze oczekiwania, albo do nich nie dorastać. A on jest, jak sędzę, bardzo młodym człowiekiem. Jego charakter wciąż się jeszcze kształtuje. - Przyłożył gwoździe do ściany i podniósł młotek.

- Mężczyzna może być młody, ale prowadzi się w odpowiedni sposób. - Powiedziała nieco podniesionym głosem, by było ją słychać mimo uderzeń młotka. - Pan nie wykorzystuje młodości jako wymówki do beztróskiego życia. - A wikariusz i pan Mirkwood muszą być mniej więcej w tym samym wieku.

- Cóż, Kościół czyni człowieka poważnym, nawet jeśli inne sprawy tego jeszcze nie dokonały. - Zszedł z krzesła i kiedy na nią spojrział, w jego oczach pojawił się błysk zupełnie niepoważny. - A co do pana Mirkwooda, jestem skłonny dać mu szansę. Widziała pani, że z uwagą wysłuchał całego wczorajszego nabożeństwa?

- Gdyby je przespał, byłoby to oburzające. Jestem przekonana, że wszyscy możemy się czegoś nauczyć z historii tego niemądrego człowieka i jego nowej stodoły.

- W następnym tygodniu będę rozważał wers „Wdrażaj chłopca w prawidła jego drogi”<sup>2</sup>. Ostatnio myślałem nad tymi słowami, z oczywistych powodów, i czytałem kazanie Johna

<sup>2</sup> Księga Przysłów 22, 6. Cytat za Biblią Tysiąclecia, Poznań 1998.

Wesleya<sup>3</sup> na ten temat. Nie mogę się zgodzić z jego opinią, że dziecko naturalnie skłania się ku niegodziwości. Muszę więc przedstawić swoją interpretację tego wersu. - Z powrotem włożył gwoździe do ust.

Co za wspaniałomyślny człowiek z życzliwymi myślami dla każdego i jak bardzo będzie jej przykro, gdy zmieni dobre zdanie o niej, jeśli jej dwulicowość kiedyś się wyda. Patrzyła, jak wikariusz wchodzi na krzesło, wypluwa gwoździe na jedną rękę, a w drugiej trzyma młotek. Przechylił głowę, patrząc na wykonywaną pracę, a ona wiedziała po miesiącach obserwowania go przy różnych zajęciach, że przechylił głowę, by nie wpadało mu do oczu niesforne pasemko włosów.

- No to gotowe - powiedział, stukając młotkiem po raz ostatni. - Czy pani zdaniem wisi prosto?

- Powinien pan o to zapytać przed wbiciem gwoździ!

- Z pewnością. - Zszedł na dół, ona też i oboje przyjrzeni się mapie z odległości kilku kroków.

Podobnie jak tabliczki i ołówki, mapa była już używana i nieco podniszczona. Wikariusz wygładził ją najlepiej jak się dało żelazkiem - to był pomysł Marty - i nałożył tusz tam, gdzie rysunek wyblakł, ale nic nie można było zrobić z bazgrałem przedstawiającym imię jakiegoś ucznia „Stepen” przecinającym południowy Pacyfik. To pewnie miało być Stephen. Powinien był przynajmniej nauczyć się poprawnie pisać, zanim zaczął niszczyć szkolną własność.

- Mój brat i ja mieliśmy taką mapę, gdy byliśmy mali - pan Atkins założył ręce na plecach. - Nie tak dużą, ale oczywiście

<sup>3</sup> John Wesley - duchowny anglikański, teolog i kaznodzieja, współtwórca ruchu metodystycznego, a potem niezależnego Kościoła metodystycznego (przyp. tłum.).

były na niej te same kraje i oceany. Nauczyliśmy się wszystkich nazw.

- Łącznie ze Stepenem?

- Wyłączając Stepena. John Wesley z pewnością miałby mocne określenie na tego chłopca. -

Uśmiechnął się z nieobecny wyrazem twarzy, wciąż parząc na mapę i bez wątpienia wspominając pierwszy raz, gdy śledził palcem linię długiego wybrzeża Afryki albo widział Włochy przypominające but na obcasie. Teraz mógł pomóc innym chłopcom i dziewczynkom dokonać tych samych odkryć. Skłamała i to było niegodziwe. Sypiała z panem Mirkwoodem i to był straszny grzech. Zamierzała podstępem pozbawić innego człowieka jego prawa do spadku i to pewnie było przestępstwo karane więzieniem. Ale obserwując pana Atkinsa, jego twarz rozjaśnioną radością z dobrze wykonanej pracy, nie mogła ani trochę żałować.

- Proszę się poddać, pani Russell. Od pół godziny mam diabelską erekcję. - Mirkwood zamknął za sobą drzwi i jedną ręką rzucił kapelusz w kąt pokoju. W drugiej trzymał jakieś książki.

- Co pan tam ma? - Z pewnością się nie poddała.

- Erekcję, już mówiłem.

- Mam na myśli te książki. - Doprawdy. - Ten zwinięty dokument.

- Później. - Cztery długie kroki i znalazł się przy kanapie, gdzie bezceremonialnie rzucił książki i zaczął rozpinać surdut. - Dlaczego jest pani ubrana? Miałem nadzieję, że wczorajsze przyjęcie może stać się codziennym zwyczajem.

I tak dalej. Szybkimi, pewnymi ruchami rozebrał ich oboje, przesuwając się w stronę łóżka i porzucając po drodze kolejne ubrania, dopóki nadzy nie znaleźli się w pościeli.

Dzisiaj się nie śpieszył, jakby chciał odpokutować wczorajszą utratę samokontroli. Cały czas na nią patrzył, szukając, była tego pewna, jakiejkolwiek oznaki niechęci. Nawet kiedy zamknęła oczy, by uciec przed jego wzrokiem, czuła, że na nią patrzy. To było... dziwne. Inne. Pan Russell nigdy się tak nie starał. Nawet za pierwszym razem, który naprawdę był dosyć okropny, ani za drugim razem, kiedy wciąż czuła skutki pierwszego. „Przepraszam”, powiedział, jednak i tak skorzystał ze swoich małżeńskich praw. Jak to mąż.

- Proszę kontynuować - rzuciła z wciąż zamkniętymi oczami. - Naprawdę, to nie boli. - Z pewnością istniały lepsze odpowiedzi na czułe pieszczoty mężczyzny. Jednak ona ich nie знаła, tak samo jak nie umiała mówić po portugalsku, a poza tym nie było na to miejsca w ich układzie. Położyła tylko ręce na jego ramionach, ponieważ lubił być dotykany, i usłyszała w jego oddechu ten moment, kiedy doszedł, dokładnie tak, jak tego chciała.

Potem wyjaśnił, po co przyniósł książki.

- Wszystkie są o rolnictwie. Płodozmian. Plony i ich ceny. Mam je przestudiować, ale nie potrafię się nimi zainteresować. Wpadłem jednak na pewien pomysł. - Leżał na brzuchu; teraz oparł się na łokciach. - Mogłaby je pani przeczytać, skoro lubi pani ten temat, i opowiedzieć mi o wszystkim. W szczególności jeśli będzie pani miała własne przemyślenia, proszę je zapisać. Proszę mi powiedzieć, jak poważna osoba powinna na to wszystko odpowiedzieć, żebym mógł przedstawić tę odpowiedź panu Granville'owi.

Nie bardzo wiedziała, czy się roześmiać, czy dać mu po łapach. Może ani to, ani to. Ludzie przerastają nasze oczekiwania albo do nich nie dorastają, powiedział pan Atkins. A co, gdyby oczekiwała od Mirkwooda czegoś lepszego?



- Chciałabym przeczytać te książki. Bardzo pan uprzejmy, że pamięta o moich zainteresowaniach. Jednak uważam, że lepiej byłoby, gdyby pan przeczytał je razem ze mną, niż polegał na tym, co panu przekażę. Być może moglibyśmy spędzić jakąś godzinę dziennie, by je przestudiować, gdy już skończymy ten drugi biznes.

„Ten drugi biznes”. Te słowa trzy dni później jeszcze siedziały mu w głowie. Teraz pani Russell przyjmowała go uprzejmie, bez śladu tego okropnego, pełnego dezaprobaty oporu, ale wyraźnie ten układ był dla niej tylko biznesem. Jeśli w ogóle odczuwa fizyczne pożądanie, to było ono mocno uśpione.

Theo ziewnął i przeciągnął się, czując, jak jego łopatki ocierają się o dywan. Wdowa rozłożyła mapę jego posiadłości na podłodze salonu i użyła wazonu, talerzyka i dwóch książek jako przycisków do papieru, i wydawało mu się, że grzecznie będzie do niej dołączyć. Godzina studiów okazała się dość spokojna; przez większość dni rozciągał się na kanapie i niemal przysypiał, słuchając jej rzeczowego tonu, gdy czytała mu na głos.

Zerknęła na niego, gdy się poruszył, potem znowu spuściła wzrok.

- Ten kawałek ziemi chyba znajduje się między pańską ziemią a moją, jeśli dobrze interpretuję ten szkic. Nie jestem całkowicie pewna, gdzie przebiegają granice Seton Park. Jednak jeśli jest to to miejsce, niektórzy z moich dzierżawców wypasają tam owce. - Zmarszczyła brwi w zamyśleniu i spojrzała na Theo, oczekując odpowiedzi.

Przeczesał włosy dłonią. Dywan nie był nawet w połowie tak wygodny jak kanapa, choć to pozwoliło mu dostrzec więcej z wystroju pokoju. Całkiem porządne wykończenie sufitu. W stylu włoskim, jeśli się nie myli. Zawijasy i takie tam. Ziewnął raz jeszcze, zasłaniając usta pięścią.

- Wie pani, co powinniśmy zrobić?

- Nie. - Mówiła prosto do mapy. - Już to dziś zrobiliśmy. Teraz powinniśmy się uczyć. Z pewnością jest pan w stanie opanować swoje pożądanie do jutra.

- Ależ ma pani grzeszne, rozpustne myśli. - Przetoczył się na bok i oparł głowę na łokciu. - Jej sztywne maniere nauczycielki prowokowały go w znacznie przyjemniejszy sposób teraz, kiedy był już do nich przyzwyczajony. - Nic takiego nie miałem na myśli. Jednak teraz podsunęła mi pani ten pomysł.

- W takim razie niech go pan sobie wybije z głowy. Sugeruję orzeźwiający spacer. - To też powiedziała do podłogi z niewzruszoną powagą. Niemal na pewno zaczęła czerpać nieco przyjemności z tych spotkań, pewną satysfakcję ze sprowadzania go na dobrą drogę. Więcej satysfakcji może pojawić się z czasem.

- W takim razie ma pani szczęście. Spacer to właśnie to, co chciałem zaproponować. - Gwałtownie uniosła podbródek, ale nie pozwolił, by zaczęła mu to wyperswadowywać. - Zabierzemy mapę i sami obejrzymy te działki. - Zaczął zdejmować prowizoryczne przyciski do papieru. - Obejdę posiadłość, zapukam do frontowych drzwi i poszukamy tego kawałka ziemi, który leży między naszymi posiadłościami. Cóż może być bardziej stosownym zachowaniem?

Wdowa się zawahała. Zegar stojący na kominku tykał, a mapa skrzypiała i szeleściła, kiedy mężczyzna ją zwijał.

- Będzie się pan zachowywał absolutnie dyskretnie?

- Tak dyskretnie, że nie jest pani sobie tego wyobrazić. Nie byłbym nawet w połowie tak popularny wśród zamożnych londyńskich dam, gdybym nie posiadał tej umiejętności. - Mrugnął do niej, widząc, że zapowiada się reprimenda, wstał. - Świeże powietrze dobrze nam zrobi, obiecuję. Wie pani, że znamy się od jedenastu dni i widzieliśmy się tylko w czterech ścianach?

Jestem pewien, że to niezdrowe, a poza tym chciałbym zobaczyć, jak pani wygląda w świetle słońca. Proszę mi dać piętnaście minut, żebym wyszedł i zapukał, jak nakazuje przyzwoitość, do frontowych drzwi.

Dwadzieścia minut później byli już na zewnątrz - i cóż, Theo wciąż nie mógł powiedzieć, jak pani Russell wygląda w słońcu. Miała czarny czepek, który całkowicie ukrywał jej twarz. Musiałby pochylić się, by ją zobaczyć, a właściwie najpierw zatrzymać wdowę, która maszerowała obok niego przez wielki trawnik w stronę wzgórz na wschodzie.

Szli w zaskakująco zgodnym tempie, zważywszy, jak bardzo niedopasowani byli pod każdym innym względem. Mogliby razem dojść na kraniec ziemi, chociaż tematy do rozmowy skończyłyby im się znacznie wcześniej.

- Czeka pan na chwilę, gdy zostanie pan baronetem? - zapytała po kilku minutach ciszy.

- Absolutnie nie.

- Nie? - Daszek czepka odwrócił się w jego stronę; widział jej podbródek i dolną wargę już przygotowującą się do osądzenia go.

- Nie, moja droga. Będę miał wtedy obowiązki i żadnego dostrzegalnego zysku w kwestii przywilejów.

- Być może okaże się, że stanie pan na wysokości zadania i poradzi sobie z tymi obowiązkami.

- Człowiek może poradzić sobie z wieloma różnymi sprawami, co nie znaczy, że chce się nimi zajmować. - Tak, oto zaciśnięte, pełne dezaprobaty usta. - Ale wyraziłem się nonszalancko.

Obowiązki czy nie, prawda jest taka, że nie mogę z zapalem rozważać perspektywy zostania baronetem z powodu wydarzenia, które do tego doprowadzi. - Nagle nie było jej już u jego boku, obejrzał się i zobaczył ją stojącą jak

wryta za nim i wreszcie unosząc głowę, tak że mógł zobaczyć jej twarz. - Proszę mi powiedzieć, że nie jest pani zdumiona tym, że mam uczucia - dodał.

Nawet mimo daszka widział, jak jej policzki pokrywa rumieniec.

- Nie zdumiona. Może trochę zaskoczona. Chce pan powiedzieć, że kocha ojca.

- Niekoniecznie. Jest ogrom przestrzeni między kochaniem kogoś a życzeniem mu śmierci. - Ruszył dalej i usłyszał, że ona też zaczęła iść, krok lub dwa za nim, jakby chciała go poobserwować i dopasować tę nową informację do obrazu, który już uformował się w jej głowie. - Jednak raczej go lubię. - Teraz jeszcze bardziej ją skonfundował. - Zdecydowałem, że tak będzie, i nie udało mu się jeszcze mi tego wyperswadować.

- Nawet zsyłając pana tutaj za coś tak nieistotnego jak taba-kiera?

- Nie chodziło tylko o tabakierę. - Schylił się, by zerwać długie źdźbło trawy i by uniknąć jej spojrzenia. Czy dobrze usłyszał, że stanęła po jego stronie przeciwko racjom ojca?

- W ogóle byłem trochę pasożytem. Na niewiele się przydawałem. - Zawsze ochoczo przyznawał się do tego faktu. Zawsze wywoływało to śmiech w White's. Jednak z jakiegoś powodu nie brzmiało to nawet w połowie tak zabawnie tu, na wsi. - Naprawdę zamierzam kiedyś zmienić się na lepsze.

- Obracał źdźbło między palcami. - Być uczciwym, szanowanym i tak dalej. Na pewno zanim zostanę baronetem.

- Skoro pan wie, że może być lepszy, dlaczego nie być lepszym od razu? - Oho, zanosilo się na wykład. To tyle, jeśli chodzi o stawanie po jego stronie.

- Proszę o tym pomyśleć, skarbie. Jak by się to pani przysłużyło, gdybym miał się teraz poprawić? - Uśmiechnął się

i wiedział, że zrozumiała, co miał na myśli, po tym jak spuściła głowę i przestała się odzywać. Dobrze. Wyrzucił trawę i szedł dalej. Z rozmową czy bez, to był piękny dzień na przechadzkę z kobietą. Padający w nocy deszcz sprawił, że powietrze było świeże i obudziło kilka leniwych późnoletnich kwiatów, białe, żółte i purpurowe punkty na wielkiej połaci zieleni. Ptaki latały dookoła, nawołując się w tutejszym ptasim dialekcie niepodobnym do tego z Lincolnshire. Widział, jak na szczycie najbliższego wzgórza wiatr poruszał trawę, jakby duża niewidzialna dłoń przeczesywała ją grzebieniem.

- Musimy pokonać to wzgórze - pani Russell wskazała ręką, jej czarna rękawiczka odcinała się ostro na tle błękitnego, czystego nieba. - Miejsce, o którym myślałam, jest tuż po drugiej stronie.

Wspinali się powoli - co za perwersyjny diabeł zdecydował, że wdowy muszą być od stóp do głów ubrane w czerń, nawet w taką pogodę? - i dotarli na szczyt, by spojrzeć na dół na małą dolinę, zieloną i pełną owiec. Na ich widok zaszczekał pies i pobiegł na wzgórze naprzeciwko, gdzie w cieniu drzewa siedziała dziewczyna.

- To córka jednego z moich dzierżawców - powiedziała pani Russell. - Jak sądzę, jedna z córek Everettów. - Odsunęła się nieco od Theo. - A kawałek za tymi drzewami jest pana płot.

Zatem ta ziemia mogłaby należeć do niego, gdyby tak zdecydował. Jednak nie wyglądała obiecująco pod kątem uprawy pszenicy czy jakiegoś innego zboża. A ta dziewczyna straciłaby miejsce do wypasania owiec, w którym mogła je obserwować, ukrywając się w cieniu. Schował mapę z powrotem pod ramię.

- Jak pani sądzi, dlaczego pani mąż nie ogrodził tej ziemi?

- Nie mam pojęcia. Pan Russell rzadko mówił o tego typu sprawach. - Odwróciła głowę, by spojrzeć na Theo, i przez chwilę wyglądało na to, że powie coś więcej. Ale po krótkiej pauzie zaproponowała tylko przejście przez dolinę i przywitanie się z pasterką.

Dziewczyna, oprócz czujnego psa, miała ze sobą książkę i koszyk, a kiedy się do niej zbliżyli, zamknęła książkę i schowała ją pod koszyk, co sprawiło, że wolumin stał się dla Theo dużo bardziej interesujący.

Najwyraźniej pani Russell też tak myślała. Kiedy zostali już sobie przedstawieni - dziewczyna okazała się rzeczywiście panną Everett i była zaszczyczona zawarciem tej znajomości - wszyscy usiedli w cieniu i Theo widział, jak uwagę wdowy cały czas przyciąga róg książki wystający spod koszyka, nawet gdy zadawała wszystkie stosowne pytania dotyczące zdrowia dziewczyny i zdrowia pozostałych członków rodziny.

Tworzyły ładny widok, młoda pani Russell o ciemnych oczach i w ciemnej sukni i młodsza pasterka o niebieskich oczach z rudoblond włosami i odrobiną piegów na nosie. Theo usiadł nieco dalej i oparł się o pień drzewa. Kudłaty brązowo-biały pies pasterski położył się obok niego i oparł łeb o nogę mężczyzny, jakby do niego należał, i strzygł uszami, słysząc głosy kobiet.

Nie była to swobodna konwersacja. Wydawało się, że panna Everett patrzy na wdowę z podziwem, co nie pomogło w prowadzeniu rozmowy na temat, który został podjęty, czyli szkoły niedzielnej. Pani Russell wychwalała naukę wszelkiego rodzaju, podobnie jak ogólnie koncepcje obowiązku i pilności oraz wikariusza, który najwyraźniej zamierzał otworzyć szkołę dla dzieci z jego parafii. Biedna dziewczyna mogła tylko kiwać głową, mrużyć na zgodę i wykręcać ręce splecione na ko-

lanach, podczas gdy wdowa przeprowadzała kolejną ofensywę popierającą edukację.

Pani Russell wyraźnie miała nadzieję zainspirować słuchaczkę, ale źle do tego podeszła, zarzucając ją słowami typu „wartościowe to” i „pracowitość tamto” i niczym nie zdradzając, że chciałaby usłyszeć czyjąkolwiek opinię poza własną. Nie różniło się to za bardzo od tego, jak rozmawiała z nim.

- Być może panna Everett jest raczej zwolenniczką samoedukacji - wtrącił w chwili, gdy wdowa przerwała, by zaczerpnąć tchu. Uśmiechnął się do dziewczyny tak zachęcająco, jak tylko potrafił. -

Wydaje mi się, że czytałaś coś, kiedy podeszliśmy. Obawiam się, że oderwaliśmy cię od lektury.

- Och nie, czytałam tylko, żeby zabić czas. - Dziewczyna zarumieniła się i wyglądała jeszcze bardziej nieszczęśliwie. - To nic edukacyjnego.

- Jakaś powieść, jak mniemam? - Wdowa szybko podłapała nowy trop i kiedy pasterka kiwnęła głową, ciągnęła z nową energią. - Z pewnością są istotniejsze rzeczy, które może czytać młoda kobieta, ale większość powieści nie czyni żadnej szkody. Można zacząć od opowieści pełnych romansów i sensacji i z czasem przejść do Szekspira albo Homera albo innych lektur, które przynoszą umysłowi korzyści.

Miłościwy Panie, ależ była w tym kiepska. Nie widziała, że ta biedna dziewczyna coraz bardziej kurczy się z przerażenia z powodu tej nieszczęsnej książki i aż garbi się przytłoczona myślą o przynoszących korzyści lekturach, które wdowa jej narzuci. Theo pochylił się do przodu i podrapał psa po kudłatym karku.

- Powieść, co? - Odezwał się do panny Everett konspiracyjnym tonem. - Czy to *Mnich*?

Twarz pasterki w dziewięciu dziesiątych wyrażała przerażenie i - mógł na to niemal postawić swoją duszę - w jednej dziesiątej wesołość. W tym samym czasie wdowa obrzuciła go najsurowszym ze swoich spojrzeń. - Nie? - zapytał. - To może *Italczyk albo Konfesjonał Czarnych Pokutników!* Cztery dziesiąte wesołości do sześciu przerażenia; robił postępy.

- To nic w tym stylu - powiedziała dziewczyna, nareszcie wyciągając książkę. - Czytam tylko *Belindę*.

- Ach, *Belindę*. Proszę mi pokazać. - Wziął tom do ręki i prze-kartkował kilka stron. - Och, to na nic. Wolałabyś oryginalną wersję. Lucy poślubia czarnoskórego służącego z plantacji, Belinda nieomal wychodzi za Kreola z Indii Zachodnich. Bardzo skandaliczne. Ojciec autorki nie pochwalał tego i zmieniła treść. - Oddał książkę i z powrotem pochylił się, drapiąc psa pod brodą.

- Skąd pan o tym wszystkim wie? - Pani Russell miała oczy jak spodki. - Skąd pan wie o *Mnichu*?

- Od starszych sióstr. - Poczul całkowicie niestosowną ochotę, ale od razu ją zwalczył, by do niej mrugnąć. - Kiedy byłem chłopcem, moja siostra Sophie została przyłapana z tą powieścią i niemal wydziedziczona. Jak mogłem po czymś takim nie sprawdzić, o czym jest? - Ledwo powstrzymał się od zapytania: A skąd pani wie o *Mnichu*?

- Jestem pewna, że to dokładnie odwrotność tego, czego chcieli nauczyć pana rodzice. - Z pewnością wdowa wyprostowałaby się, przybierając bardziej surową postawę, gdyby nie to, że już siedziała prosta i surowa jak sędzia.

- W takim razie powinni byli zapewnić mi bardziej interesujące lektury. - Wzruszył ramionami i jeszcze bardziej się



zgarbił. - Damy mają przewagę nad dżentelmenami w kwestii powieści.

Te ostatnie słowa najwyraźniej przypominały pani Russell o obecności panny Everett, ponieważ ponownie zwróciła się do dziewczyny.

- Powieść pani Edgeworth bez wątpienia bawi i rozwesela i powinno się autorkę pochwalić, jak każdą kobietę pisarkę, za znalezienie sposobu na utrzymanie się i niezależność. Jednak jeśli chcesz przeczytać coś bardziej ambitnego, powinnaś spróbować sięgnąć po *Waverley, czyli sześćdziesiąt lat temu*. Ukazała się tego lata i została całkiem dobrze przyjęta. Autor stworzył, jak sędzę, bardzo wierny obraz Szkocji z połowy poprzedniego wieku. Możesz pożyczyć tę powieść ode mnie.

- *Waverley* - powtórzyła dziewczyna. Za jej próbą śmiechu krył się entuzjazm służącej, która właśnie dostała zadanie wyszorowania nocnika. - Jaką historię opowiada?

- To wierny historycznie opis tego czasu, w którym wielu Szkotów miało nadzieję wyegzekwować prawa Stuartów do tronu. Być może nie znasz tej części historii Anglii, skoro nie miałaś możliwości uczenia się. *Waverley* to lektura mogąca uzupełnić braki w edukacji dotyczącej tego okresu, a równocześnie przekazać ważną lekcję poprzez ukazanie rozwoju bohatera od uczuciowej gorliwości do bardziej rozważnego, praktycznego poglądu na świat.

Boże w niebiesiech, sprawiła, że brzmiało to jak druga część *Użyteczności wiedzy rolniczej*.

- Jest tam wątek miłosny? - Theo postanowił naprowadzić wdowę na odpowiedni trop.

Przez chwilę milczała, rozważając odpowiedź we właściwy sobie drobiazgowy sposób.

- Można tak powiedzieć. W panu Waverleyu rodzą się uczucia do dwóch młodych dam, każda jest wartościowa. Jedna reprezentuje jakobicki zapał, a druga...

- A są jakieś bitwy albo jakieś zadanie, które bohater musi wykonać? Czy ten pan Waverley ryzykuje życie w imię wyższych idei?

- No cóż, bitwy oczywiście są. Nie można umieścić akcji powieści w czasie powstań jakobitów i ich nie opisać, a jak powiedziałam, autor wiernie oddaje prawdę historyczną.

- Doskonale. - Theo kiwnął głową w stronę pasterki. - Wyglądasz na czytelnika o mocnym charakterze. Musisz przeczytać tę powieść i powiedzieć mi, czy oprócz wierności historii i korzyści edukacyjnych jest też dobra historia. Obawiam się, że te cnoty są dla mnie jak trucizna i potrzebuję, żeby ktoś przeczytał tę powieść przede mną, jak ci ludzie, którzy próbują królewskich potraw. Naprawdę wiedział, jak dostać to, czego chce od kobiet. Od większości kobiet. Dziewczyna zarumieniała się uroczo i zgodziła przeczytać powieść przed nim. Wdowa, która najpierw zmarszczyła brwi, jakby zamierzała go zbesztać, obserwowała, jaki skutek przyniosły jego słowa, i przyglądała się mu z zamyśloną miną, ale nic nie powiedziała.

Od tego momentu konwersacja przebiegała swobodniej. Pani Russell opowiedziała o celu wizyty sąsiada i rozwinęła mapę, by omówić z dziewczyną, czy rzeczywistość odpowiada rysunkowi, jak również to, które rodziny mogą ucierpieć, gdyby nie mogli już korzystać z tej ziemi.

Theo oparł się o drzewo, niemal w pozycji leżącej. Pies przewrócił się na grzbiet i spojrzał na niego wyczekująco; mężczyzna podrapał go machinalnie po brzuchu.

Nie chciał, by jakiegokolwiek rodziny ucierpiały. Nie chciał, by los tej wstydlivej, kochającej powieści dziewczyny pogorszył się z powodu tego, że on tu przyjechał. Czy każda działka zaznaczona na mapie będzie taka? Czy za każdym skrupulatnie oznaczonym miejscem kryje się możliwość wywłaszczenia ludzi, którzy niczym na to nie zasłużyli? A jednak jeśli włączenie tych ziem mogło poprawić sytuację finansową Pen-carragh i sprawić, że jego robotnicy nie będą musieli żyć z zapomogi, to z pewnością musi rozważyć wykorzystanie tych działek.

Zmarszczył brwi, patrząc na psa, który odwzajemnił spojrzenie z senną obojętnością. Tak wiele razy Theo patrzył w ten sam sposób, zanim przyjechał do Sussex i poznał ciężar trosk.

- Ludzie mieszkający na terenie pańskiej posiadłości muszą pana bardzo lubić - powiedziała Marta, kiedy opuścili Jenny Everett i ruszyli na północ przez pastwisko.

Pan Mirkwood zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było radości.

- Muszą? Chciałbym, żeby ktoś im o tym powiedział. - Był jeszcze przystojniejszy na świeżym powietrzu, ruszał się z energią zwierzęcia wypuszczonego na wolność. Jenny wyglądała na całkiem oczarowaną.

- Nie wierzę, że mogliby pana nie lubić. Tak dobrze radził pan sobie w rozmowie z panną Everett.

Dokładnie wiedział pan, co powiedzieć.

- Chyba tak - wzruszył ramionami.

- Uspokoić ją, tak jak pan to zrobił, to niecodzienna umiejętność. Ja tego nie potrafiłam.

- Zachowywała się pani jak okropna, surowa guwernantka. - Uśmiechnął się do niej przez ramię, pozbawiając słowa ostrego wydźwięku.

- Nic w tym dziwnego. Byłam wychowywana głównie przez guwernantkę, chociaż nigdy nie nazwałabym panny York okropną. Surową, oczywiście, ale w granicach rozsądku.
  - W rzeczy samej. - Zwolnił, żeby iść w tym tempie co ona. - Ile miała pani lat, gdy straciła pani matkę?
  - Siedem. Jednak chorowała od dawna. Przygotowywała się do porodu lub dochodziła do siebie po ostatnim. - Te słowa były raczej nieprzemyślane. Naprawdę nie powinna opowiadać o tych wszystkich szczegółach. - Po mnie przyszło na świat jeszcze troje dzieci, jednak żadne nie przeżyło, a ostatnie zabrało ją ze sobą. - Pięcioro dzieci przeżyło, pięcioro zmarło, a matka gasła z każdym porodem i każdą śmiercią.
  - I pani ojciec nie ożenił się powtórnie?
  - O nie. To niemal cud, że w ogóle się ożenił, był taki zamknięty w sobie. Przez większość dni zamykał się w swoim gabinecie z Biblią i książkami o filozofii.
  - To kto został, żeby panią kochać? - Zadał to pytanie, nie próbując ukryć sympatii w swoim głosie. Zmarnowana sympatia, wywołana obrazem dziewczynki, którą dawno przestała być. Skrzyżowała ręce za plecami i mocno splotła palce.
  - Bez wątpienia byłam kochana przez oboje rodziców. Moje rodzeństwo też żywiło wobec mnie pozytywne uczucia. A panna York kompetentnie zajęła się moim wychowaniem. Jeśli jestem surowa lub niezdarna podczas takich spotkań, jakiego był pan właśnie świadkiem, to jestem pewna, że wina jest wyłącznie moja.
- Rozmowa się urwała. Nie chciała na niego spojrzeć i ryzykować zobaczenie więcej sympatii w jego nierozważnych oczach. Szła dalej, splatając i rozplatając palce, dopóki jej towarzysz się nie odezwał.

- Nie sadzę, żeby to był dobry przykład tego, jak zachowuję się podczas spotkań z moimi robotnikami. Rozmawianie z cudzymi pracownikami to coś innego, nie mam co do tego wątpliwości. Poza tym była pani ze mną. Dziewczyna nie rozluźniłaby się tak bardzo, gdybym przyszedł do niej sam.

- Oczywiście. Nie pomyślałam o tym. - Samotny właściciel ziemski, mężczyzna, stał przed zupełnie innymi wyzwaniem, prawda? Może mogła mu pomóc. - Może któregoś popołudnia mogłabym pójść z panem i odwiedzić pańskich ludzi.

- Może. - Okręcił się przed nią na pięcie, jakby zrzucał ciężar powagi, i szedł tyłem, twarzą do niej z psotnym błyskiem w oku. - Będzie pani dręczyć wszystkie kobiety listą polecanych lektur? Wygłosi pani kazanie o zaletach edukacji?

- Mogę wygłosić takie kazanie panu. - Bezcelny człowiek, zasługiwał na to. - Czy w ogóle myślał pan o zapewnieniu edukacji dzieciom swoich robotników?

- Dzisiaj nie będzie już żadnych kazań. - Wziął mapę do ręki i zaczął nią kręcić jak żołnierz karabinem na paradzie. - Żadnych poważnych pomysłów. To było przyjemne popołudnie i chciałbym je zakończyć w tym samym stylu, spacerując z panią w świetle słońca pod bezchmurnym niebem. Zatem nie mówiła nic więcej. Jednak nadzieja rozpalila się w niej mocnym płomieniem. Żadnych kazań dzisiaj, powiedział. A to pozostawiło jutro i jeszcze sporo następnych dni. Jeśli będzie wytrwała i zachęcała go do rozwijania jego lepszych cech, być może uda jej się doprowadzić do wprowadzenia ulepszeń nie tylko na swojej, ale też na jego ziemi.

Gdyby był wieśniakiem - musi częściej pamiętać, żeby być wdzięcznym za to, że nim nie jest - prowadziłby dom, a przynajmniej miał taką nadzieję, podobnie do pana Barrowa. Już samo podwórko informowało o zapobiegliwości i dbałości

o porządek: gęsi i świnia znajdowały się w prowizorycznych zagrodach, a z tyłu domu widać było zadbane ogród warzywny.

Drzwi wejściowe były otwarte, by do środka wpadała wieczorna bryza. Można sobie było pozwolić na ten luksus, gdy świnia nie miała możliwości wmaszerować do domu. Theo zatrzymał się na progu i zapukał.

Wrócił z Seton Park niespokojny i chodził po pokojach, szukając czegoś do zrobienia. Całe to studiowanie rolnictwa i spacerów powinny być go zmęczyć, ale zamiast tego stwierdził, że chciałby się czymś zająć. Pracowitość wchodziła w nawyk, jeśli się na to pozwoliło.

- Wejść - zawołał ktoś i Theo posłuchał.

Promienie słońca wpadały przez czyste okna do prosto urządzonej, schludnej kuchni, którą pamiętał z tego jednego razu, gdy przyszedł z wizytą i nikogo nie zastał. Pan Barrow siedział przy stole, szyjąc coś. Obok niego stał talerz z jedzeniem.

Na wsi to pora jedzenia. Theo powinien już być się tego nauczyć.

- Proszę mi wybaczyć. - Zatrzymał się i skłonił przepraszająco. - Nie chciałem przeszkadzać panu w kolacji. Przyjdę kiedy indziej. - I tak nie miał żadnego powodu do tej wizyty; tylko mglisty zamiar sprawdzenia, czy mógł odbyć równie serdeczną rozmowę, jak ta z panną Everett, z jednym ze swoich robotników.

- Kolacja? Ależ nie. - Pan Barrow wstał zza stołu, przygotowując drugie miejsce. - Tylko coś do przegryzienia. Usiądzie pan? Przyniosę panu talerz. - Krzątał się z maksymalną prędkością, na jaką pozwalał jego wiek, zdejmując cynowy talerz z półki na przeciwległej ścianie kuchni i jakieś opakowane w papier jedzenie z innej półki wiszącej na łańcuchu na środku

pokoju, żeby nie dosięgły go nawet najambitniejsze i najbardziej zwinne szczury.

Tak, Theo musi pamiętać, żeby być wdzięcznym, że nie jest wieśniakiem. Wdzięczny za życie, w którym ktoś inny pozbywa się szczurów i chroni przed nimi jedzenie na różne sposoby, których jest błogo nieświadomy. Wdzięczny za posiłki podawane na cienkiej porcelanie stawianej na stole przykrytym lnianym obrusem i wdzięczny za niezliczone wymyślne dania zamiast tej kromki chleba i niezachęcającego sera, który teraz postawił przed nim pan Barrow.

Theo pochylił głowę i pozostał tak dość długo, by mogło to być uznane za modlitwę dziękczynną, jeśli taki był zwyczaj w tym domu. Kiedy podniósł wzrok, gospodarz mu się przyglądał jasnoniebieskimi oczami, w których kącik znaczyły głębokie bruzdy, ale które rozpałało gorliwe oczekiwanie chłopca czekającego, aż zacznie się teatrzyk kukielkowy.

„Dokładnie wiedział pan, co powiedzieć”, stwierdziła wdowa. No cóż, w rozmowie z młodą, ładną dziewczyną tak. Ale jak miał rozmawiać z człowiekiem o wieku i pozycji pana Barrowa? Rozejrzał się, szukając pomysłów.

- Co pan szył? - Wskazał głową porzuconą pracę.

- Naprawiam. - Gospodarz sięgnął po odłożoną robotę, żeby pokazać gościowi. - W rękawie tej koszuli zrobiła się dziura. Przyszywam łatę.

- Sam pan robi takie rzeczy? - W chwili, w której Theo to powiedział, zrozumiał, jak głupie to było pytanie. Oczywiście, że mężczyzna sam naprawiał swoje koszule. Nie miał żony ani służących, więc kto niby miał to zrobić? - To znaczy, ja nie wiedziałbym, od czego zacząć. - Ułamał kawałek sera i ugryzł go. Miał lekki posmak kredy. Nie taki lekki. Odłożył resztę i przełknął to, co już miał w ustach.

- Zaczyna się od nawleczenia nitki na igłę i dla mnie to ta trudna część. Oczy już nie tak dobre jak kiedyś. Potem to już tylko kwestia tego, żeby łąka leżała płasko. - Palce pana Barrowa były zgrubiałe i same niezdolne do leżenia płasko, ale pewnie przyłożył łąkę i przeciągnął igłę spod wewnętrznej strony rękawa. Sięgnął po chleb i odgryzł kawałek. - Przykro mi, że nie mam lepszego jedzenia - powiedział, przełknąwszy.

- Och, nie jestem głodny. - Czuł, jak rumieni się ze wstydu. Było aż tak widać, że ser mu nie smakuje?

- Czeka mnie jeszcze kolacja i nie chcę się przejadać.

- Niezbyt dobrze pan kłamie, prawda? - Pan Barrow się uśmiechał, wciąż patrząc na igłę. - Powinien pan wybrać jedną wymówkę: nie jest pan głodny albo chce pan zaostrzyć apetyt. To się nie łączy.

- Przepraszam. - Theo spróbował mieszanki prawdy i taktu.

- Ser jest pewnie kwestią konkretnego upodobania. Człowiek dorasta, jedząc jakiś jego rodzaj, i ser z żadnego innego miejsca już mu tak nie smakuje.

- To już nieco lepiej. - Uśmiech gospodarza pogłębił bruzdy w policzkach. - Jednak lepiej niech pan poślubi kobietę, której nie będzie pan musiał kłamać. - Skubnął ser na swoim talerzu.

- To podły ser. Znam się na tym. Dorastałem w gospodarstwie mlecznym.

- Naprawdę? To było gdzieś tutaj, w Sussex? - Theo pochylił się do przodu i oparł łokcie na stole. Może to był sposób na poprowadzenie rozmowy z osobą posuniętą w latach: nie myśleć o tym, co jest właściwą rzeczą do powiedzenia, ale zapytać o historię życia tej osoby i nagromadzoną przez ten czas mądrość; zadając pytania, które można by zadać własnych dziadkom, jeśli zdrowie pozwoliłoby im dożyć do tego wieku.



Pan Barrow sprawił, że to było łatwe zadanie. Z dużym ożywieniem opowiadał o życiu w Sussex pół wieku temu, okraszane stanowczymi opiniami na temat współczesnych metod wyrobu sera i masła, a także chleba i herbaty i śmieci dodawanych do produktów, by powiększyć zyski.

Theo słuchał. Oczywiście spodziewał się, że historie z życia będą zajmujące, ale nawet uwagi o produkcji sera były interesujące, bardziej interesujące, niż mogłyby być, a co więcej, to brzmiało dokładnie jak coś, co interesowałoby panią Russell.

Mógł od niechcienia rzucić te zdobyte perły mądrości w czasie ich następnej rozmowy w jej salonie i sprawdzić, czy jej twarz rozświetli się żarliwą błogością. Albo mógł wyszeptać jej w łóżku z nadzieją, że popatrzy na niego tak, jak kobieta patrzy na mężczyznę, który zna wszystkie najlepsze sposoby na zaskoczenie jej.

Albo mógłby po prostu przyprowadzić ją tutaj z wizytą i usiąść z boku, podczas gdy ona i gospodarz rozmawialiby o sprawach, które ona zdaje się lubić. Udzielałaby przemyślanych, wyważonych odpowiedzi, a pan Barrow byłby prawdopodobnie pod wrażeniem tego współczesnego przykładu kobiety, z jej poważnym zachowaniem i oddaniem idei ulepszania swojej posiadłości.

Na tę myśl poczuł dumę. Głupiec. Z czego niby miał być dumny? Co miałby robić w trakcie takiego spotkania oprócz siedzenia beczynnym jak zwykle i przyglądania się, jak dwoje wartościowych ludzi obdarza się szacunkiem? A jednak przyjemność ogrzewała go od środka, gdy czas uprzejmej wizyty minął. Przyjemność wzrastała w nim, gdy cienie na kuchennej podłodze wydłużały się. Połączona z dumą towarzyszyła mu, gdy wreszcie wrócił do domu, tak późno, że nie miał nawet czasu przebrać się do kolacji.

## Rozdział 7

Pan Keene poprawił się na krześle. Splótł, po czy znowu rozplótł ręce trzymane na stole, sprawiając, że Marta żałowała, że nie ma żadnych papierów, które mogłaby mu dać.

- Przykro mi, powiem pani szczerze, że zostałem wysłany z takim poleceniem - powiedział i już wiedziała, jaki temat jest zobligowany poruszyć.

- Nie wolno panu przeproszać za robienie tego, czego wymaga obowiązek. Spodziewam się, że pan James Russell pragnie się dowiedzieć, czy sprawa dziedzica została już wyjaśniona.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, gdy skłaniał głowę, snop popołudniowego słońca odbijał się od łysiny na jego głowie. James Russell powinien się wstydzić, że zlecił mu to koszmarnie przesłuchanie. Ona też powinna się wstydzić z powodu stworzenia sytuacji, w której to przesłuchanie jest potrzebne.

Trzy tygodnie i dwa dni minęły od śmierci jej męża. Spuściła wzrok i ściszyła głos.

- Nie mogę stwierdzić nic ponad wszelką wątpliwość i oczywiście w pierwszych tygodniach trudno coś wiedzieć

na pewno. Ale powinnam już była wiedzieć, gdyby nie było żadnych szans na przyjscie na świat dziecka.

- Rozumiem. - Zerknęła na prawnika. Wyprostował się, jakby zbierał siły. - W takim razie muszę przejść do drugiej części mojego zadania i przygotować panią na możliwość wizyty pana Jamesa Russella.

Poczuła lodowaty dreszcz. Nagle zabrakło jej tchu, by udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi.

- Przykro mi. - Zdjął okulary i zaczął je czyścić szmatką, którą wyjął z kieszeni, pewnie żeby móc na nią nie patrzeć. - Obawiam się, że słyszał opowieści o... tym, jak człowiek w jego sytuacji może podstępem zostać pozbawiony spadku. Mówił o chronieniu swoich interesów. - Zmarszczył brwi.

-Zrobię, co w mojej mocy, obiecuję, by przekonać go o tym, jaki ma pani charakter, jednak jeśli pani nie pozna, to obawiam się, że będzie słuchał szalonych insynuacji i opierał na nich swoje podejrzenia co do tego, co może pani...

- Kiedy? - To przynajmniej mogła z siebie wykrztusić.

- Kiedy się ze mną kontaktował? Marta przełknęła ślinę.

- Kiedy tu przyjedzie?

- Nie od razu. - Pan Keene zwinął szmatkę, włożył ją z powrotem do kieszeni i założył okulary. - Interesy zatrzymają go w Derbyshire przez miesiąc. Zrobię, co w mojej mocy, by wyperswadować mu ten pomysł, jak już mówiłem, jednak jeśli nie zmieni zdania, będę wiedział i uprzedzę panią, kiedy wybierze się do Sussex. - Wykrzywił usta, jakby były pełne niedobrego lekarstwa. - Poleciał mi do tego czasu obserwować pani działania i składać mu raporty. - Przez chwilę patrzył na swoje ręce, a potem uniósł głowę. - Pani mąż miał pewne zastrzeżenia co do brata. Wiedziała pani o tym?

Pokręciła głową. To, że bracia nie byli zbyt blisko, można było oczywiście zaobserwować po nieobecności pana Jamesa Russella na ślubie i na pogrzebie, ale jej mąż nigdy nie wspominał o powodach tego stanu rzeczy, a ona nigdy nie pytała.

Prawnik skinął lekko głową i wydawało się, że przez chwilę rozważa, czy powiedzieć coś więcej.

- Miał pewne obawy, o ile dobrze rozumiem, co do charakteru pana Jamesa Russella i ogromną nadzieję pozostawienia Seton Park własnemu synowi. Zapewniam panią, że nigdy nie popierałby tego typu zniewagi, jaką teraz czyni wobec pani jego brat.

- Czy kiedykolwiek powiedział panu, jaka jest natura tych obaw? Jakie miał wątpliwości co do brata?

- Ledwie mogąc oddychać, czekała na odpowiedź pana Keene'a.

Mężczyzna znowu zainteresował się swoimi dłońmi.

- Zrozumiałem tylko, że uważał go za nieodpowiednią osobę do odziedziczenia posiadłości. - Czubki jego uszu stały się różowe, gdy to mówił.

Wiedział. Tak jak wiedziała Sheridan, wszyscy służący i jej mąż. Wszyscy wiedzieli, do jakich haniebnych wydarzeń doszło w tym domu - do jakich haniebnych wydarzeń może tu dojść znowu - i nikt nie zadał sobie trudu powiedzenia o tym Marcie.

Wolno stojący zegar wybił godzinę. Za kolejną odwiedzi ją pan Mirkwood. Teraz muszą zachować szczególną ostrożność, teraz, kiedy pan Keene otrzymał polecenie pilnowania jej.

- Doceniam, że powiedział mi pan prawdę. - To dobry człowiek, ten drobny prawnik. Zasługiwał na coś lepszego niż bycie traktowana jak piłka odbijana między nikczemnością Jamesa Russella a jej własnym spiskiem. - Wiem, że jest pan związany interesami z rodziną Russellów, a nie ze mną. Jestem

wdzięczna za pana uprzejmość i szacunek okazany pamięci mojego męża, który musiał być powodem podzielenia się ze mną tymi uwagami.

- To nic ponad to, jakbym chciał, żeby ktoś potraktował moją żonę, gdyby znalazła się na pani miejscu - stwierdził, odwracając wzrok, jego głos był nietypowo szorstki. Do tego wszystkiego jeszcze go zawstydziła. Podziękowała mu więc tylko i nic więcej nie powiedziała.

- Półtora tygodnia minęło, od kiedy rozmawiałam ze służącymi tu kobietami. - Marta siedziała przy toalecie, a Sheridan upinała jej włosy. Mirkwood miał się zjawić za kilka minut, a ona musiała przejść do wschodniego skrzydła, żeby się z nim spotkać.

- Tak, półtora tygodnia, na pewno. - Ton pokojówki był równie pewny i spokojny co jej dłonie rozplatające włosy Marty.

- Wiesz, że żadna z nich nie poprosiła mnie o pomoc w szukaniu nowej posady?

- W rzeczy samej. - Sheridan nie była zaskoczona.

- Nie usłyszałam też od pani Kearney, żeby któraś poinformowała ją o chęci odejścia.

- Wszystkie czekają. - Sheridan spojrzała jej w oczy w lustrze, podnosząc szczotkę. - Wszystkie mają nadzieję, że pani tutaj zostanie.

- Jestem... wzruszona... ich wiarą we mnie. - Nagle miała zaciśnięte gardło. - Ale wizyta Jamesa Russella rzuca nowe światło na sytuację. Symulowanie ciąży, gdyby to okazało się konieczne, i sprowadzenie dziecka byłoby niemal niemożliwe, kiedy będzie mnie pilnował. A sama jego obecność w posiadłości stwarza zagrożenie dla służących. Powiem wszystkim, żeby poważnie rozważyli odejście.

- Ja już to rozważyłam i nie zamierzam odchodzić. - Oświadczyła dziewczyna z figlarną brawurą, pochylając głowę, i zerknęła spod rzęs. - Zniosła pani tak wiele, spotykając się z panem Mirkwoodem. Nie chcę myśleć, że to na nic. Poczekam przynajmniej do końca miesiąca. - Przeciągnęła szczotką po całej długości włosów Marty. - A teraz niech pani lepiej idzie do niebieskich pokoi. Coś zajmowało dzisiaj jej myśli. Czuł to na jej skórze, każdym miejscu, którego dotykał. Czuł to w ciężarze jej dłoni na jego plecach. Widział to w jej twarzy, nawet kiedy zamknęła oczy, by zapewnić mu prywatność w czasie tej ostatniej, najbardziej niegodnej kapitulacji.

- Czy coś się stało? - zapytał potem, leżąc na boku i patrząc na nią. Ona jak zwykle leżała na plecach, oparta o poduszkę, a jej wzrok był nieobecny. Spojrzała mu w oczy i szybko pokręciła głową.

- Zaprzęta mnie tylko myśl o pewnych sprawach związanych z posiadłością. Proszę mi wybaczyć. Kiepska ze mnie gospodyni.

- Nie mam czego wybaczać. - Dotknął wierzchem dłoni jej ramienia. - Mógłbym sprawić, że zapomni pani o troskach.

- Nie, dziękuję. - Uśmiech zabłąkał się na chwilę na jej ustach, a potem zniknął. Mimo to uśmiechnęła się i to był jakiś początek.

- Mam na myśli pomoc w drobiazgach. - Tak. Dlaczego nie? - Mogę pomóc się pani ubrać i zapleść włosy, gdy będzie pani czytała. Przyniosłem dzisiaj dzieło Humphry'ego Davy'ego. Słyszała pani o nim? Wszyscy w Londynie chodzą na jego wykłady. Mam książkę składającą się z jego wykładów. Może pani je poczytać i poćwiczyć swój styl oratorski.

Spojrzała na niego niedowierzającym wzrokiem, jakim królowe od czasu do czasu musiały patrzeć na nadwornego

błazna. Nawet jeśli uważała, że jest niedorzeczny, to i tak odciągnął jej uwagę od zmartwień.

Nadworni błazni istnieli w końcu nie bez powodu.

- Najpierw sam się pan ubierze, mam nadzieję. - Zerknęła na jego ciało. - Nie mam ochoty na nic egzotycznego.

- Naturalnie. - Odwrócił się od niej, by poszukać swoich ubrań i by ukryć triumf, który musiał być widoczny na jego twarzy. Sprawiał, że pani Russell zapomni o problemach w sposób, jaki najbardziej jej pasuje.

Dlatego też uważał na jej poczucie skromności oraz ogromną delikatność uczuć, kiedy zasznurowywał jej gorset i zawiązywał troczki halki i gdy posadził ją na niskim taborecie przed toaletką, położył książkę przed nią i zaczął zapinać haftki sukni. Jednak przerwał w połowie. Rozdzielił jej włosy i przeniósł je do przodu, żeby nie wplątywały się w haftki. Niedopięta suknia odsłaniała trójkąt nagiej skóry. Błedej, gładkiej skóry, którą pośrodku przecinał elegancka pręga kręgosłupa. Może były bardziej skuteczne sposoby oderwania jej od ponurych myśli niż uczesanie jej włosów.

Theo zawahał się, bawiąc się kolejną haftką. Wdowa może się zezłościć i go zganić. Ale może nie. Zerknął w lustro na jej spuszczonego wzrok. A potem, płynnym ruchem, opadł na kolana i przycisnął usta do jej pleców.

Równie dobrze mógł ją przypalić gorącym żelazem.

- Co pan robi? - zapytała wysokim głosem. Oderwana od swoich myśli, ponad wszelką wątpliwość.

- Rozpinam pani suknię. Proszę nie panikować. - Zsunął czarny materiał tuż poniżej jej ramion. - Kiedy będzie pani czytać, zamierzam całować linię pani kręgosłupa od halki do karku. To całość mojego planu. - Żeby zilustrować swoje słowa, dotknął ustami jej karku.

- To nędzny plan. - Widział jej twarz w lustrze, zaciśnięte usta, srogi wyraz. - Lepiej niech pan zaplecie mi włosy. Jest pan skłonny wprowadzić się w stan gotowości.

Cud nad cudami, tak naprawdę nie powiedziała „nie”. Pochylił się jeszcze bardziej, by złożyć na jej skórze drugi, delikatniejszy pocałunek. - Dopiero co zostałem zaspokojony. Pamięta pani? Stan gotowości jest mało prawdopodobny. - Podłe, podłe kłamstwo. - A teraz proszę mi powiedzieć: myślała pani o tych sprawach związanych z posiadłością, od kiedy zacząłem? - Wyczytał odpowiedź z jej twarzy. - W takim razie dobrze. Proszę się zrelaksować. Odetchnąć głęboko kilka razy. I proszę czytać.

Siedziała nieruchomo. Pocałował ją tam, gdzie kończyła się halka. Czuł, jak wdowa oddycha głęboko, a potem gdy podniosła książkę, czuł, jak słowa rezonują w jej ciele, gdy je wypowiadała.

- „Zrozumienie sposobu pozyskiwania określonego obszaru ziemi najlepszej możliwej proporcji takich warzyw, które są niezbędne człowiekowi i zwierzętom albo do innych celów związanych z potrzebami człowieka, jest największym pragnieniem rolnictwa”. Nie wydaje mi się, żeby pan uważał. - Oczywiście, że uważam. „Pragnieniem”. Może się pani rozluźnić? - Jej ramiona były spięte i garbiła się. Znowu pachniała bzem.

- By zrealizować to pragnienie, konieczne jest dokładne studiowanie. .. - Odłożyła książkę. - Panie Mirkwood, myślę, że to był najgorszy z pana pomysłów.

- Nie dała mi pani szansy. - Wciąż trzymając z jednej strony krzesło, odpiął złoty zegarek od kamizelki i otworzył go. - Proszę mi dać dziesięć minut. - Sięgnął nad jej ramieniem i położył zegarek na toaletce.

- Przestanę natychmiast, jak powie mi pani, że czas minął.



- Nie mogę równocześnie czytać i pilnować czasu.
  - W takim razie nie jest pani aż tak uzdolnioną damą, jak przypuszczałem. Jednak może pani przerwać czytanie na tych dziesięć minut. Jestem pewien, że później będę mógł się skupić.
- Zamknęła oczy. Przez jej drżące mięśnie wyczuwał, jak kobieta bije się z myślami, szukając odpowiedzi, która nie będzie po prostu poddaniem się.
- Pięć minut - powiedziała. Targowanie się. To mógł zrobić.
  - Siedem. - Zacisnął palce na krześle.
  - Sześć. - Na jej czole pojawiła się mała zmarszczka.
  - Siedem i pół. - Wyszepiał to tuż przy jej uchu. Otworzyła szeroko oczy, niecierpliwość w kolorze kawy.
  - Powinien pan zejść niżej, żeby zaspokoić moje oczekiwania. Powinien pan powiedzieć sześć i pół.
  - Osiem - mruknął nad jej ramieniem. I mogę zejść niżej, żeby zaspokoić pani oczekiwania w każdej chwili. - Przesunął językiem po jej kręgosłupie i odczuł dreszcz, który ją przeszył. Kiedy uniósł głowę, by spojrzeć w lustro, jej policzki były czerwone, ale patrzyła w dół, całą uwagę skupiwszy na zegarku. W takim razie osiem minut. Całował ją, całował i całował, dopóki nie poznał tego wąskiego kawałka skóry i biegnących pod nim wybruszeń równie dobrze, co linie wewnątrz własnej dłoni. Znał jej zapach i znał jej smak, i wiedział, który krąg musnąć ustami, by wstrzymała oddech. Mógł nauczyć się jej całego ciała ustami, gdyby tylko mu pozwoliła, i rozproszyć ją aż do utraty zmysłów.
- Zacisnął ręce na oparciu krzesła. Jej skóra stała się ciepła, a jej mięśnie rozluźniły się, za to jego dłonie, jego krnąbrne dłonie w każdej chwili mogły wymknąć się spod kontroli i powędrować

na jej uda. Jak dobrze by tam pasowały, kciuk i środkowy palec objęłyby jej udo, palcem wskazującym wodziłby po eleganckim wzorze, czując przez warstwy sukni podwiązkę. Ktoś ciężiej oddychał. On. A ktoś oddychał wolniej, ospałym oddechem osoby odurzonej. Theo zerknął na jej odbicie w lustrze i przeszło go pożądanie. Zamknęła oczy - tyle, jeśli chodzi o zegarek - na jej twarzy nie było żadnej zmarszczki; to była twarz kobiety czekającej, żeby ją posiadać. Mógłby... Nie. Nie robi tego. Ona tego nie chciała. Jednak im dłużej będzie to robił, tym większe prawdopodobieństwo, że on o tym zapomni. Zapomni się. Rozluźnił dłonie, najpierw jedną, potem drugą, puszczając krzesło, i zaczął zapinać jej suknię.

Otworzyła oczy, zamglone i niepewne. Spojrzała na zegarek. A potem na jego odbicie.

- Osiem minut jeszcze nie minęło. - Prawdopodobnie były to najśłodsze słowa, jakie kiedykolwiek od niej usłyszał, i zupełnie mu nie pomogły w tym momencie.

- Nie. Jednak zrobiłem tyle, ile, jak sędzę, powinienem. - Ponownie opierając się o oparcie krzesła, wyprostował się. - Proszę mi wybaczyć. - Gdyby to była jakakolwiek inna kobieta, byłiby teraz w drodze do łóżka. Zamiast tego będzie musiał sam sobie z tym poradzić, prawdopodobnie natychmiast po powrocie do domu - ale czy to było dozwolone? Piekło i szatani. Nawet kiedy sprawy szły po jego myśli, ten układ utrudniał mu życie. Wyszedł do salonu i usiadł na kanapie.

Kobieta w lustrze była kimś obcym. Policzki zaróżowione od przyjemności. Włosy rozpuszczone i spływające swobodnie z każdego ramienia. Oczy wypełnione przyzwoleniem.

Marta odwróciła się tyłem do tego obrazu. Nie będzie tą kobietą. Słabą. Podatną na wpływy. Zapominającą o wszelkich zasadach, gdy tylko mężczyzna - niecieszący się dobrą opinią

i znany od mniej niż dwóch tygodni! - dotyka ustami jej karku. Kobieta mająca cel nie może pozwolić sobie na taką słabość. Mężczyźni i tak nie liczyli się z kobiecymi planami. Nie potrzebowali dalszej zachęty.

Spojrzała w lustro przez ramię, tym razem z determinacją. Stopniowo jej oczy zaczęły przypominać jej własne, pełne nieprzeniknionych myśli. Jej usta zacisnęły się w zdecydowaną linię. Przerzuciła włosy na plecy.

Ustalili sposób postępowania, ona i pan Mirkwood, i nie zniszczy tego chwilową słabością, która nikomu nie przyniesie korzyści. Wstała, podniosła książkę i wyszła za nim do salonu.

Siedział zgarbiony na kanapie, jedną ręką zakrywał twarz. Jego stan był oczywisty, nawet z tej odległości. To odciąganie od ponurych myśli było zdecydowanie złym pomysłem.

Podeszła blisko i odchrząknęła, kiedy nie odsłonił twarzy.

- Mam czytać dalej Humphry'ego Davy'ego?

- Nie tak blisko, jeśli można prosić. - Drugą ręką zrobił ruch, jakby odganiał się od muchy. - Proszę usiąść na swoim krześle i może pani czytać wszystko, co pani chce.

Nie to, żeby kompletnie nie miała w sobie sympatii, jeśli weźmie się wszystko pod uwagę. Usiadła i zaczęła kartkować książkę. Być może pan Davy nakreślił jakiś szkic o zastosowaniach nawozu albo na inny temat pomocny przy rozładowaniu męskiego napięcia.

- Zanim zaczniemy, pani Russell, czy mogę doprecyzować jeden z punktów naszej umowy?

Podniosła wzrok. Zasłaniał twarz łokciem, który uniósł tylko na tyle, by na nią spojrzeć. Kiwnęła głową.

- Jeśli okaże się, że moje potrzeby wykraczają poza ramy naszego układu, to... - Zamknął usta i zerknął na zgięcie łokcia, jakby chciał tam znaleźć odpowiednie słowa. - Czy wolno

mi szukać zaspokojenia gdzie indziej? - Znowu popatrzył na wdowę.

Jej twarz oblała się szkarłatem, krew dudniła jej w uszach.

- Ma pan na myśli z innymi kobietami? Absolutnie nie. Jak może pan o to pytać, kiedy zna pan ryzyko chorób i...

- Nie. - Podniósł rękę, wciąż patrząc na nią spokojnie. - Nie mam na myśli innych kobiet. - Zacisnął rękę.

- Och. - Nie mogła jeszcze bardziej się zaczerwienić, ale mogła spuścić wzrok na podłogę i odezwała się dziwnym głosem. - No cóż. Tego też pan nie może robić.

- Proszę mi powiedzieć dlaczego nie.

- Ponieważ kupiłam pańskie nasienie. Całe. A co, jeśli pozbędzie się pan akurat tego, które miało się stać moim dzieckiem?

- Mało prawdopodobne. - Lekko zmienił pozycję. - Myślę, że muszę to zrobić.

- Nie. Po prostu musi pan znieść ten dyskomfort.

- Myślę, że muszę to zrobić natychmiast.

Podniosła wzrok. Theo wolną ręką rozpiął pierwszy guzik spodni, ale nie odrywał spojrzenia od wdowy. Drażnił się z nią czy mówił szczerze? To nie miało znaczenia. Nie będzie tego tolerowała.

- Powiedziałam, że pan nie może. A teraz proszę położyć ręce w jakimś przyzwoitym miejscu, kiedy będę czytać.

- Pogarsza pani sytuację, kiedy mówi do mnie w ten sposób. - Usiadł prosto, wreszcie opuszczając ramię, którym zakrywał twarz. - Pójdę na parę minut do sypialni. Może mi pani czytać przez drzwi, jeśli pani chce.

- Nie! - Rzuciła książkę i wstała, by zagrozić mu drogę. - Na litość boską, proszę się wziąć... - Nie. - Na litość boską, co się z panem dzieje?

Szybko jak atakująca kobra złapał ją za ręce i posadził obok siebie na kanapie.

- To. - Przycisnął jej dłoń do wybruszenia w spodniach. - To się ze mną dzieje. Jednak łatwo temu zaradzić. - Jego oczy błyszczały.

- Och, dobrze. - Jego rodzice albo jego guwernantka zupełnie zawiedli, nie nauczyli go, że nie można mieć wszystkiego, na co ma się ochotę. - Możemy wrócić do łóżka i potem dokończyć czytanie.

- To zajmie za dużo czasu. Rozbieranie pani trwa wieki.

To zabolalo, ku jej zaskoczeniu. Nigdy nie podejrzewała, że pan Mirkwood mógłby odrzucić taką ofertę. Położył jej dłoń na wybruszeniu spodni.

- Mogłaby mi pani pomóc.

Pomóc mu? Cóż to za nowa nieprzyzwoitość?

- Nie mam pojęcia jak.

- Drobiazgowa pani Russell. - Mówił beztrąsko i lekko pieścił jej palce, jakby chciał uwieść jej dłoń, żeby go słuchała. - Pokażę pani, co robić.

Jaki miała wybór? Gdyby odmówiła, niemal na pewno poszedłby do domu i sam się zaspokoił.

- Zrobię to, jeśli skończy pan we mnie. Nie muszę się do tego rozbierać. - Wstała. - A jutro musi mnie pan zabrać do rodzin pańskich robotników.

- Rodziny robotników. - Usiłował powstrzymać uśmiech jak niedoświadczony gracz, który właśnie dostał królewskiego pokera.

Jeśli jeszcze nie skazała swojej duszy na wieczne potępienie, to z pewnością teraz rezerwowała sobie miejsce w piekle. Leżała płasko na plecach, mając na sobie zbyt wiele ubrań,

zważywszy na okoliczności, i pozwoliła mu przejąć kontrolę nad swoją prawą ręką.

- Zacniemy stopniowo, dobrze? - Trzema palcami trzymał jej dłoń i otarł jej wierzch o swoją męskość. Cienka, delikatna w dotyku skóra przesunęła się pod jej dotykiem, ale to nie było nic nowego. W trakcie małżeństwa dowiedziała się więcej o penisie niż kiedykolwiek chciała.

- Twierdził pan, że to pałaca potrzeba. Czy mam rozumieć, że mnie pan okłamał?

- Wie pani, że są mężczyźni, którzy dobrze by zapłacili za bycie tak karconymi? Może pani wziąć to pod uwagę, gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani znaleźć dla siebie zajęcie. - Włożył swoją męskość w jej dłoń.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. I nie powinien pan poruszać niesmacznych tematów.

- Proszę mi wybaczyć. Będę konwersował z całą delikatnością, na jaką mogę się zdobyć, a mówiąc, będę pani pokazywał, jak mężczyzna sam sobie sprawia przyjemność. - Przesunął jej dłoń wyżej i nakrył swoją ręką. - A w kwestii pałacej potrzeby - być może czuje pani dość, by to ocenić.

Doprawdy! Co można na to odpowiedzieć. Pałaca potrzeba pulsowała mocno w jej dłoni.

Mirkwood przesunął jej palce do żołądki, która zrobiła się wilgotna, i sprawił, by muskała palcami to miejsce. Potem ścisnął jej palce na swojej męskości, przesunął w górę, potem w dół, potem znowu w górę i w dół i znowu...

- Widzi pani, jak się to robi. - Zamknął oczy i mówił niemal szeptem. - To nie takie trudne, prawda?

- Nie.

- Nie. Zupełnie nie. - Zacisnął palce na jej dłoni, ruchy stały się szybsze.

Marta wpatrywała się w baldachim. To było złe z tysiąca powodów. Nie powinien był jej w to mieszać. Nie chciała słyszeć tych nieprzyzwoitych jęków ani widzieć, jak pan Mirkwood porusza biodrami. Poruszał nimi z ogromnym wigorem, jakby wchodził w chętną kochankę zamiast w złożone ręce. Nie chciała tego widzieć.

Musi być już blisko szczytowania. Wreszcie przetoczył się na bok, oparł na łokciu i puścił jej dłoń.

- Jest pan gotowy? - Podciągnęła spódnicę drugą ręką i rozchyliła kolana.

- Wkrótce. Proszę nie przestawać. - Wyraz jego oczu mógł spalić łąkę do gołej ziemi. Mirkwood położył dłoń po jej drugiej stronie na materacu i uniósł się nad nią, a ona zdumiona stwierdziła, że sama pieści jego męskość.

Mogłaby się spalić, dosłownie, ze wstydu. Pieściła jego penisa nieprzymuszana.

Theo oddychał głęboko, jak w ekstazie. A jeszcze gorsze było to, że przechylił głowę, by patrzeć na jej dłoń. A jeszcze gorsze, najgorsze ze wszystkiego było to, że patrząc, coś powiedział. Nie będzie tego słyszała. Nie będzie tego pamiętała. To były delikatne słowa, łagodne słowa, wszystkie o tym, jak dobrze ona to robi, każde było jak bomba zapalająca.

Wreszcie wsunął jej ramię pod plecy i lekko uniósł znad poduszki.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział spiętym głosem. Przykląkł, wsuwając kolana pod jej nogi i podnosząc jej biodra wśród szelestu spódnic. - Tu - mruknął jej do ucha. - Proszę ścisnąć, kiedy powiem. Nie za mocno.

Czy on mówił serio?

- Dlaczego na litość chce pan, żebym...

- Proszę... po postu... to zrobić. - Wszedł w nią.

Pchnął raz. Dwa razy. Trzy.

- Teraz - sapnął z ustami przy jej uchu. Nie za mocno. Ostrożnie zacisnęła palce.

- Tak dobrze?

Zaklął i wtulił głowę w jej ramię i znów zaklął. Klął słowami, jakich nie znała.

Och, dobry Panie. Ścisnęła go zbyt mocno. Sprawiała mu ból. Zacisnął wokół niej ramiona i odrzucił głowę do tyłu jak w agonii, niemal podnosząc kochankę do pionu. Czują szybkie rytmiczne pulsowanie wewnątrz, nasienie, które uwolnił.

Opadła razem z nim na materac i kiedy pulsowanie się skończyło, położył się obok niej, rozluźniony i wyczerpany; zamknął oczy, jakby otworzenie ich było zbyt dużym wysiłkiem.

- Tak - odpowiedział. - Właśnie tak.



## Rozdział 8

Jakże bez umiaru oddawał się rozkoszy ten Mirkwood z drugiej strony wykazywał ten brak umiaru we wszystkim. Niezdyscyplinowany i spontaniczny. I wielkoduszny. Mógłby wykorzystać te zalety w jakiś użyteczniejszy sposób. Mogłaby mu w tym pomóc.

Pomóc mu. Marta poczuła skurcz. Leżała rozbudzona, jakąś godzinę po północy, patrząc w ciemność. Chociaż wspomnienia tego, co zrobiła, były niezwykle zawstydzające, musiała przyznać, że mężczyzna sprawił, że zapomniała o troskach. Widmo wizyty pana Jamesa Russella rozwiało się jak poranna mgła w promieniach wschodzącego słońca, skoro tylko Mirkwood zdecydował się ją rozproszyć.

Musnęła palcami brzuch. Pewne zachowania nie przystoją wdowie w pierwszych tygodniach żałoby. Jednak jeśli te zachowania pomogą kobiecie zmniejszyć jej apetyt i sprawić, by z mniejszym zapalem poddawała się męskiemu dotykowi i nieprzyzwoitym propozycjom mężczyzny? Zawahała się i przesunęła rękę niżej.

Na taką okoliczność wymyślała sobie mężczyznę. Był być może trochę podobny do pana Atkinsa. Jego rysy nie były dokładnie widoczne. Ale był człowiekiem z zasadami i był dżentelmenem, który nie obdarzałby afektem przypadkowych kobiet, ale zachowywał swoje pożądanie dla podobnej mu kobiety z zasadami. Wyimaginowany kochanek wiedział, gdzie należy ją dotykać. Wreszcie westchnął i zadrżał, odnajdując spełnienie w jej ramionach. I zniknął w chwili, gdy ona była już zaspokojona.

Jednak dzisiaj jej wyimaginowany mężczyzna się zbuntował. Mówił rzeczy, które sprawiłyby, że każda dama zarumieniłaby się po czubek głowy. Mówił, co jej zrobi ustami. Obserwował, co robiły jej dłonie, i zachęcał, żeby robiła jeszcze inne rzeczy. A jego oczy błyszczały w świetle księżyca błękitem, jego włosy były koloru świeżo rozłupanego drewna i doprowadził ją do zatracenia się w rozkoszy.

Tego można się było spodziewać. Tak sobie później powiedziała. Wyszła z wprawy, przecież nie robiła tego przez miesiąc albo dłużej.

Odwróciła się na bok. Jutro będzie próbowała zapomnieć o swoich problemach, odwiedzając robotników pana Mirkwooda. Będzie wypatrywała sposobności, by popracować nad jego wrodzoną życzliwością i pomóc mu uczynić ją fundamentem odpowiedzialności. Jej myśli o nim będą przyzwoite i będą dotyczyły doskonalenia, a ona będzie czerpała najwyższą satysfakcję z kontemplowania faktu, że pan Mirkwood wróci do Londynu jako lepszy człowiek.

Czekał na nią przed zagajnikiem i bawił się zegarkiem. Czy dzisiaj będzie się zachowywała z rezerwą? Będzie chłodna lub zbyt zażenowana, by spojrzeć mu w oczy? Będzie żałować, że

udało mu się ją namówić do tego, co zrobiła? To mogłoby być trudne do zniesienia, ponieważ teraz nie wiedział, jak miał zaspokajać się w przyszłości, jej pieszczoty były bowiem dużo bardziej podniecające niż dotyk jego wielkiej własnej dłoni.

Ściany Seton Park zbudowane z brązowych cegieł błyszcząły ciepło w południowym słońcu. Theo otworzył zegarek i sprawdził godzinę. Kiedy z powrotem podniósł wzrok, zauważył ją.

Dlaczego czekał aż do teraz, żeby pofiglować z wdową? Była ucieleśnieniem zakazanej, pikantnej przyjemności, jej czarne szaty pokazywały, że należy do innego mężczyzny, a równocześnie zachęcały go do oglądania jej jasnej, słodkiej skóry. Jej spódnice kołysały się w takt jej kroków, ich płynny ruch wskazywał, jaki jest kształt jej nóg.

Znał kształt jej nóg. Wiedział, jakie to uczucie przejechać dłonią po jej skórze z tymi małymi delikatnymi włoskami, po okrągłym kolanie aż do jej uda, gładkiego i jedwabistego. Wiedział, który mięsień napinał się, kiedy rozkładała nogi, i który rozciągał się i zaciskał, kiedy obejmowała go nogami.

Potrząsnął głową. Żadnego pożytku z takiego myślenia, jeśli nie zamierzał oprzeć jej o jedno z drzew i całować, a do tego by się raczej nie zniżył.

Kiedy dotarła do zagajnika, rozejrzała się z zagadkowym wyrazem oczu, zanim go dostrzegła i podeszła.

- Dzień dobry - powiedziała. Miała ze sobą koszyk zakryty sukniem. - To tędy pan codziennie przychodzi.

- A nie mówiłem, że to wygodne? - Wziął od niej koszyk. -Dobry Boże, kobieto. Co pani niesie tym ludziom? Cegły i kamienie, żeby zorganizowali powstanie?

- To tylko trochę chleba i ciasta oraz owoce z mojej oranżerii. Być może też kilka książek, gdyby okazało się, że są nimi zainteresowani.

- Rozumiem. - Gdy na nią patrzył, wyglądała jak dziecko przyłapano z ręką w słoiku z dżemem, aczkolwiek zbuntowane. - Pani celem jest raczej łagodne powstanie.

- Nic podobnego. - Odpowiedziała spokojnie, co Theo wydawało się niemal cudem. Żadnej drażliwości. Żadnego ukrytego wyrzutu. - Wzięłam tylko kilka powieści, które jak sądzę, mogłyby się spodobać kobietom i dzieciom. Nie mam tu *Waverleya*, ponieważ pożyczyłam go Jenny Everett. Choć oczywiście z radością pożyczę go któremuś z pana robotników.

Co za optymistyczne oczekiwania miała w związku z tą wizytą. Szkoda, że pan Barrow będzie w pracy - nie było zbyt wielkiej szansy, że gdzie indziej wdowa będzie miała o czym rozmawiać.

- Powiedział pan, że mieszkają u pana rodziny korzystające z zasiłku dla ubogich, prawda? - Dzisiaj jej czepek miał daszek uniesiony do góry i widać było jej twarz, kiedy odwróciła się do niego. Widział jej policzki zaróżowione z radości. - Chciałabym odwiedzić przede wszystkich ich, jeśli się pan zgodzi. Powinniśmy zacząć tam, gdzie możemy zrobić najwięcej dobrego.

W takim razie zabierze ją do Weaverow. Gdyby to od niego zależało, unikałby tego domu przez resztę swojego pobytu w Sussex; ale ona chciała czynić dobro, a wciąż odczuwana przez niego wdzięczność sprawiła, że przychylił się do jej życzenia.

Podwórko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętał. Gęsi i jeszcze więcej gęsi.

- Proszę patrzeć pod nogi - ostrzegł panią Russell. Świnia wybiegła zza domu, najwyraźniej węsząc okazję. Przez okno słychać było płacz dziecka.

Zerknął na swoją towarzyszkę. Denerwowała się tą wizytą.

- Będą zaszczyceni pani wizytą - zapewnił ją cicho.

Czy mogła w to wątpić? Dotknął jej ramienia, by dodać jej odwagi, i sam dzięki temu znalazł jej w sobie więcej. Podeszli do drzwi.

Potem farsa ze świnią powtórzyła się, przeszkadzało to, tym bardziej że tym razem to on będzie musiał przedstawić jej gospodarzy, ale udało im się wejść do środka - pani Weaver niechętnie pozwoliła sobie przynajmniej na tę uprzejmość - i drzwi zamknęły się za nimi.

- Przepraszam, że nigdy wcześniej państwa nie odwiedziłam - powiedziała pani Russell, ucieleśnienie grzecznego zdecydowania. - Gdy właściciela nie ma w posiadłości, nie bardzo wiadomo, czy to wypada. Jednak rozmawiałam z panem Mirkwoodem o pewnych kwestiach związanych z ziemią i wreszcie nadarzyła się możliwość do odwiedzin.

Theo się rozejrzał. Dzieci siedziały w tych samych miejscach i - to sprawiło, że ścisnęło go w żołądku - siedząca w kącie najstarsza córka odwracała się twarzą do ściany, jakby chciała się ukryć. Musiała odwrócić się w chwili, gdy on wszedł do mieszkania.

- ...Minęło już prawie jedenaście miesięcy, a ja tak mało wiem o swoich sąsiadach. Z radością dowiem się więcej. - Zrobiła krótką przerwę, a pani Weaver nie odezwała się ani słowem. Theo postawił koszyk na jedynym czystym miejscu na kuchennym stole. Być może wdowa będzie chciała przekazać prezenty i miłosiernie zakończyć wizytę.

Jednak miała inny pomysł.

- Co za śliczne dziecko - stwierdziła. - Mogę je potrzymać? Założyłby się, że nikt do tej pory nie powiedział niczego

podobnego ani o coś takiego nie poprosił. Pani Weaver wyglądała, jakby nie była całkiem pewna, co usłyszała.

- Jak ma na imię? - Godne podziwu, jak pani Russell potrafiła się skupić, kiedy już znalazła sobie cel. Bez wahania podeszła do gospodyni i pogłaskała dziecko po główce.

- Hiob - powiedziała pani Weaver. Tak, to by się zgadzało. Pozwoliła, żeby wdowa wzięła od niej dziecko. Pani Russell ułożyła sobie dziecko na rękę i odwróciła się do Theo.

No cóż. Tak właśnie wygląda, trzymając dziecko. Chociaż oczywiście jej dziecko będzie ładniejsze. Będzie miało więcej włosów. Będzie miało wielkie, bystre, ciemnobrązowe oczy jak ona. A może ciemnoniebieskie ze złotymi plamkami. Dziwna myśl. W każdym razie będzie widać oczy, czego nie można powiedzieć o Hiobie, który uznał zmianę trzymających go ramion za obrazę, przeciwko której musi protestować, wykrzywiając się i wrzeszcząc głośniej.

Niezrażona wdowa uśmiechnęła się do dziecka i lekko je pobujała. Gdyby dać jej inne niemowlę, mogłaby pozować do obrazu Madonny z dzieciątkiem, cała okryta cudownym blaskiem; patrzenie na nią niemal sprawiało ból.

Dlaczego to miałoby sprawiać ból? Co się z nim dzieło? Jednak odwrócił wzrok, kiedy ona spojrzała na niego i się uśmiechnęła, radosna, jakby dzielili jakiś wspólny sekret.

Miała prawo się cieszyć. Naprawdę dzielili wspólny sekret. Dzięki Theo mogła zdobyć to, czego pragnęła, i zabezpieczyć swoją przyszłość. Być może mógłby przyjeżdżać do Sussex, zarządzać Pencarragh i złożyć wizytę w Seton Park, żeby zobaczyć, jak się ma dziecko, dziedzic pana Russella.

- Taki mocny głos to oznaka zdrowia taki mocny głos, prawda? - powiedziała wdowa, mówiąc nieco głośniej, by przekrzyczeć płacz.

- Tak? - odpowiedziała pani Weaver.

- Mogę wynieść go na chwilę na zewnątrz? Mamy taki ładny dzień i jestem pewna, że świeże powietrze dobrze maleństwu zrobi.

- Proszę uważać, żeby nie wpuścić świni. - To była jedyna odpowiedź gospodyni. Prawdopodobnie nie sprzeciwiłaby się, gdyby pani Russell zaproponowała wywiezienie dziecka do Szkocji.

- Pójdę z panią - zaproponował, ponieważ nawet rozzwierające ryki i towarzystwo małego Hioba było lepsze niż mar-kotność, która zatruwała powietrze w tym pokoju. - Otworzę drzwi i przypilnuję świni, kiedy będzie pani wychodziła.

Świnia czekała tuż za drzwiami. Ale on był gotów. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i ruszył na zwierzę, które dzięki elementowi zaskoczenia cofnęło się, a wdowie udało się prześliznąć na zewnątrz.

Theo zanotował w pamięci, że muszą jeszcze raz przejść przez drzwi, żeby wnieść dziecko z powrotem do środka i jeszcze raz, kiedy zakończą wizytę. Potrzebował dwóch kolejnych sposobów przechytrzenia świni. Takimi rzeczami przychodziło dżentelmenowi się zajmować, kiedy przyjeżdżał na wieś.

- Mam nadzieję, że nie planuje pani porwać tego dziecka. -Pan Mirkwood, kiedy uznał, że już dostatecznie sterroryzował świnię, dogonił Martę i zaczął iść obok niej. Z jakiegoś powodu świnia szła za nim.

- Oczywiście, że nie. - Ułożyła sobie dziecko w zgięciu ręki. - Pomyślałam, że damy pani Weaver chwilę spokoju, zabierając małego na dwór.

- Czy coś z nim nie tak? Krzyczy tak za każdym razem, kiedy go widzę.  
Pokręciła głową.

- Jedno z dzieci mojej siostry też tak krzyczało. Niektóre dzieci tak po prostu mają. Wyrastają z tego. Jednak do tego czasu matce jest ciężko. Ogromnie ciężko, jak sądzę, matce, która nie może sobie pozwolić na luksus posiadania niańki. - Biedna Kitty mogła, ale była uparta jak osioł. To cecha rodzinna.

Pan Mirkwood złapał ją za ramię i serce podskoczyło Marcie do gardła. Odsunęła od siebie wspomnienia wczorajszego dnia i nocy i wepchnęła w kąt umysłu; a teraz wypłynęły stamtąd jak niszczyciele. Przez jedną irracjonalną chwilę była pewna, że wiedział wszystko. Wiedział, co zrobiła w nocy i jaką rolę w tym odegrał, i teraz zamierzał pociągnąć ją do odpowiedzialności.

Ominęli jedną z gęsi, ona, mały Hiob i pan Mirkwood oraz świnia, która człapała obok niego.

- W takim razie jest pani ciotką - powiedział, puszczając jej ramię. - Z jakiego powodu nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- Mam kilku siostrzeńców i bratanków. - Jej puls się uspokoił. Gawędziła towarzysko z mężczyzną, którego miała nadzieję zmienić na lepsze. - Mój najstarszy brat również ma dzieci.

- Czy to ten brat, z którym pani zamieszka, jeśli nie zostanie pobłogosławiona własnym synem?

- Andrew, tak. - Schyliła głowę, by ukradkiem powąchać główkę Hioba. Dziecięcy zapach nie przypomina żadnego innego zapachu.

- Pani najstarszy brat ma na imię Andrew. A pani siostra to...?

- Kitty. Katharine. Jest druga po Andrew.

Dotarli do końca małego podwórza i skręcili w lewo, by iść wzdłuż ogrodzenia. Świnia też skręciła zwinnie jak koń podczas konkursu ujeżdżania. Ryki dziecka zmieniły się w urywane szlochy wyczerpania.

- Andrew i Kitty. I ma pani jeszcze dwóch braci.



- Skąd pan to wie? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Powiedziała mi pani. Pytałem o to. Nie pamięta pani? - Słońce świeciło za jego plecami, sprawiając, że trudno było spojrzeć mu w twarz, oraz podświetlając jego jasne włosy widoczne pod kapeluszem. - Kiedy byłem u pani po raz drugi, spytałem o braci i siostry.
- Naprawdę? Jakim cudem pan to pamięta?
- Robię w umyśle miejsce na takie rzeczy. Proszę mnie zapytać, co pamiętam z Loudona, którego czytaliśmy trzy dni temu. - Na pewno uśmiechał się teraz tym psotnym uśmiechem ministranta, zobaczyłaby to, gdyby na niego spojrzała. Nie otwarcie grzeszny, ten uśmiech, jedynie pełen radości i niechęci, by brać cokolwiek poważnie.
- Jestem przekonana, że lepiej by było, gdyby zrobił pan miejsce na nauki pana Loudona niż na informacje o moim rodzeństwie.
- Bez wątplenia. Kim są pozostali bracia?
- Nicholas i William. Adwokat i żołnierz. - Ostrożnie przeniosła dziecko na drugie ramię i poklepała je po plecach. - Jaka informacja została wypchnięta z pańskiego umysłu? Sposoby optymalnego zagospodarowywania ziemi uprawnej? Projekt szklarni z ruchomym dachem?
- I to, i to, jak sądzę. Po jednym za każdego brata. - Chmura przysłoniła ostre słońce i Marta zobaczyła oczy pana Mirkwooda utkwione w niej z niemal drapieżną ciekawością. - Dziecko to lubi? Takie poklepywanie.
- Większość dzieci wydaje się to lubić. Widzi pan? Uspokoił się trochę. - Teraz tylko nierówny oddech zdradzał, że dziecko płakało, jego głowa opadła ciężko na ramię wdowy. - Czy kiedykolwiek trzymał pan na rękach swoich małych siostrzeńców lub siostrzenice?

- Nie, jak byli tacy mali. - Oboje ściszyli głosy, by nie zakłócać drzemki Hioba. - Są lepszym towarzystwem, kiedy już potrafią chodzić. A jeszcze lepszym, kiedy zaczynają mówić pełnymi zdaniami.

- Jednak kiedyś będzie pan miał własne dzieci. - Zatrzymała się. - Powinien pan ćwiczyć. - Z pewnością chce potrzymać dziecko, ale jako dżentelmen czułby się dziwnie, prosząc o to. Sama mu je odda. - Proszę ułożyć ramiona tak jak ja i położę go panu na ramieniu.

Ale mężczyzna szybko zrobił krok w tył, jakby zaproponowała mu worek pełen zepsutych kartofli.

- Dziękuję, nie chciałbym, żeby używał mojego surduta jako chusteczki. Poczekam z ćwiczeniem na czystsze dziecko. - Poszli dalej i po chwili dodał: - Być może poćwiczę z pani dzieckiem, kiedy się urodzi.

- Spodziewam się, że do tego czasu wróci już pan do Londynu.

Wzruszył ramionami.

- Ale mogę przyjechać z wizytą. Podejrzewam, że czasami będę miał różne sprawy do załatwienia w Sussex.

Na tę myśl przeszedł ją dreszcz. Chciał dobrze, ale był taki nieostrożny: czy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może zauważyć, że interesuje się dzieckiem, które może okazać się do niego podobne?

- Nie sądzę, żeby to było rozważne. - Chłód wdarł się też do jej głosu. - Nie chciałabym, żeby ktoś połączył pana w jakikolwiek sposób z moim dzieckiem. Jeśli zostanę nim pobłogosławiona.

Zapadła cisza. Kiedy wreszcie Theo się odezwał, poradził tylko, by obeszlili wychodek z daleka.

Przekłeta świnia. Diabelska, podstępna, oszukańcza świnia. Dreptała za nim z anielskim spojrzeniem, zupełnie jak wierna towarzyszka, kiedy z pewnością jej prawdziwym zamiarem było pilnowanie, by nie wrócił ukradkiem do domu przez okno lub tylne drzwi. Albo może zaszarżowanie na niego, gdyby przypadkiem się potknął. Brała go za głupca, ta świnia, i między Bogiem a prawdą, ponurą i wstydliwą prawdą, nie myliła się za bardzo.

Nie będzie miał prawa do tego dziecka. Wiedział to od początku. Teraz było za późno, by mieć obiekcje do tego planu.

A przecież nie chodziło mu o uznanie praw, prawda? Proponował tylko, że ją odwiedzi, jak każdy cywilizowany sąsiad, i popodziwia dziecko w jej salonie, z dala od oczu podejrzliwych sąsiadów, którymi pani Russell tak się przejmowała.

Dzieci go lubiły. Były takie dziwne. Dzieci Anne uznały go za najcudowniejszego wujka na świecie, kiedy odwiedził siostrę w zeszłym miesiącu. Krzepki mały Henry, którego uczył puszczać kaczki; delikatna Jane, która błagała go, żeby czytał jej bajki, zmieniając głos; i te najmniejsze, które wspinały się mu na kolana, kiedy tylko usiadł - te dzieci były zadowolone z tego, że go znają. Czy dziecko pani Russell też nie powinno być?

- Planuje pan wymienić ten dach? - Patrzyła na dach domu Weaverów, poprzedni temat został zakończony. - Jestem pewna, że w kilku miejscach przecieka.

- Tak sądzę. Nie wiem dokładnie. Sądzę, że Granville chciał, żebym porozmawiał z panią na ten temat. W pani majątku wymieniono dachy, prawda?

- Wymieniliśmy wszystkie tego lata. Powinien pan spotkać się z moim zarządcą, on może panu powiedzieć więcej na temat tego, jak to zostało zorganizowane i przeprowadzone.

Przekaze panu swoją opinię o pracy robotników, którzy u nas pracowali. Przedstawię was sobie.

Co mógł powiedzieć w odpowiedzi na tę propozycję? Wskazał głową dziecko.

- To dziecko zasnęło. Nie myślałem, że to w ogóle możliwe. Dobrze się pani spisała, pani Russell.

Uśmiechnęła się do niego znad łysawej główki niemowlaka, a jej oczy błyszczały kobiecą dumą.

- Powinniśmy zaryzykować położenie go do kołyski? Mam nadzieję, że świnia nie obudzi go hałasem zrobionym przy próbie dostania się do środka.

- Słyszałaś, co pani powiedziała, i nie udawaj, że nie. - Odwrócił się do zwierzęcia, które uniosło szczecinowaty ryj, skupiając na nim uwagę. - Nie będziemy tolerować twoich wybryków. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, pogodzisz się z tym, że nie możesz wejść do domu.

Świnia nawet nie drgnęła, gdy wziął panią Russell pod ramię i szybko wprowadził z powrotem do środka. Hiob się nie obudził.

Wdowa rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie jest wasza matka? - zapytała dzieci.

- Poszła się położyć - powiedział jeden ze starszych chłopców.

- Och. - Zerknęła na Theo, a potem podeszła do dzieci. - Jest jakieś łóżeczko czy kołyska, gdzie... - urwała. Zbliżyła się do najstarszej dziewczyny i jej twarz zdradziła zaskoczenie, a potem odmalowało się na niej zrozumienie. Pospiesznie odwróciła się do pozostałych dzieci. - .. Gdzie mogę położyć go na drzemkę?

Ten sam chłopiec wskazał ręką drzwi. Wdowa weszła do tamtego pokoju. Theo uśmiechnął się do dzieci, żadne nie od-

wzajemniło uśmiechu i po kilku trwających w nieskończoność minutach pani Russell wróciła bez Hioba.

- Pani Weaver śpi głęboko. - Stała blisko Theo i odezwała się cicho, ściągając brwi z troską. - Nie sądzę, że powinniśmy wychodzić, kiedy ich matka jest pogrążona we śnie, a pan? - Najwyraźniej nigdy nie spotkała się z taką sytuacją w czasie wizyty u swoich dzierżawców.

- Założę się, że są do tego przyzwyczajeni - odpowiedział tak samo cicho. - Jednak jeśli to panią uspokoi, to możemy zostać.

- Myślę, że powinniśmy. Może pozostałe rodziny odwiedzimy jakiegoś innego dnia? Jestem pewna, że wszystko, co mam w koszyku, i tak przyda się tutaj. - Nie wspomniała

o książkach. On też nie. - Cóż. - Odsunęła się od niego

i zwróciła do dzieci pogodnie i zdecydowanie. - Kto mi pomoże pozbierać te naczynia ze stołu? Jedno czy dwoje dzieci uniosło wzrok. Żadne się nie odezwało.

Dobry Boże. Miał dość tej całej rodziny.

- Ty tam. - Wskazał głową dziewczynkę, która wyglądała na jakieś dziesięć lat. - Podejdz i pokaż pani Russell, gdzie zmywa się naczynia.

Odpowiedziała na bezpośrednie polecenie. Podobnie jak świnia. Może to był sposób, żeby sobie z nimi wszystkimi poradzić. Usiadł przy stole, kiedy wdowa gestem dała znać, że nie potrzebuje jego pomocy, i patrzył, jak dogaduje się z dziewczyną. Dowiedziała się, jak jej na imię, ile ma lat, co najbardziej lubi i tym podobne, dziewczynka odpowiadała z coraz mniejszym wahaniem. Wyraźnie nie były to ulubione tematy do rozmowy pani Russell, co sprawiło, że jej niezdarne wysiłki wydały mu się ujmujące.

Kiedy ze stołu zniknęły talerze, zauważył na stole coś, czego wcześniej nie było widać: kawałek papieru częściowo złożony w plisy. Na ten widok ścisnęło go w żołądku. Tchórzliwy żołądek. Nauczy go nieustępliwości. Wbił wzrok w papier.

Dziewczyna pomyliła się, zginając papier dwa razy w tę samą stronę. Po tym musiała zrezygnować, ponieważ więcej zgięć nie było. Przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo; potem, uważając, żeby nie patrzeć w stronę kąta, w którym siedziała, wziął do ręki papier.

Poprawienie źle zagiętych plis trwało pięć sekund, kiedy to zrobił, dokończył zaginanie papieru. Lubił zajmować ręce takimi mało znaczącymi zajęciami. Odrobinę przesunął swoje krzesło, żeby widziała, co robił, gdyby zaryzykowała spojrzenie w jego stronę - on nie zamierzał patrzeć - i przejechał palcem po każdym zgięciu, by je dodatkowo wyprostować. Poprzednio zapomniał jej to pokazać. Oczywiście nie było to możliwe, kiedy nie miał stołu i musiał składać papier na swoim... cóż, nie będzie o tym myślał. Jego żołądek nie był taki silny.

Kiedy papier był poskładany, Theo odłożył go tam, gdzie poprzednio leżał. Potem coś zwróciło jego uwagę.

Na podłodze pod ścianą naprzeciwko leżał kolejny papier, dokładnie taki jak pierwszy. Następny leżał na parapecie. I pod piecykiem. Jeden wystawał spod poduszki postrzępionego, zapadłego fotela. A wśród drewna na opał chyba z tuzin innych.

Pani Russell i ta dziewczynka będą sprzątały jeszcze przez kilka minut. Musi mieć coś do roboty albo będzie wyglądał na leniwego i dawał zły przykład dzieciom. Wstał i zebrał te papiery, jeden po drugim. Stare rachunki, opakowanie po herbacie, nawet jeden czy dwa listy: ta dziewczyna wykorzystywała wszystko, co jej wpadło w ręce. Wrócił z papierami do stołu i zaczął je składać w prawidłowy sposób.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a brudna woda wylana za drzwi (na zdziwiony ryj świni, jak miał nadzieję), wdowa i jej młoda towarzyszka usiadły przy stole, rozmawiając z ożywieniem o kotach i kociakach. Pani Russell obserwowała Theo, prowadząc rozmowę. Przeniosła wzrok z jego twarzy na rękę, a potem z powrotem na twarz. W końcu nie pytając, co robi i dlaczego, wzięła jeden z papierów i zaczęła go składać.

Poczuł się, jakby wisiał w powietrzu albo pływał po nieznanych, ciepłych wodach. Czas się zatrzymał. Theo siedział, słuchając delikatnej muzyki kobiecych głosów, pracował, ciesząc się z towarzystwa. Dlaczego miała do niego zaufanie, że to zadanie jest warte jej czasu i wysiłku, nie mógł pojąć. Nawet nie próbował. Zaginał i wyglądał papier, a ona robiła tak samo.

Kiedy wszystkie papiery były poskładane, a kotom tego świata oddano sprawiedliwość, pani Weaver wreszcie wyłoniła się z sypialni, wyglądając na nieco mniej wyczerpaną, ale niespecjalnie bardziej uprzejmą.

Pani Russell zerwała się od stołu.

- Obawiam się, że zostaliśmy zbyt długo. Tak mnie oczarowała pani córeczka Carrie, że zupełnie straciłam poczucie czasu. - Sięgnęła po koszyk. - Przyniosłam kilka rzeczy. Byłabym zaszczycona, gdyby je pani przyjęła. Mam nadzieję, że pani dzieci lubią ciasto.

„Jak to miło z pani strony. Nie mogę wyrazić swojej wdzięczności za ucieszenie dziecka. Proszę mi wybaczyć, że zasnąłam w środku państwa wizyty". Gospodyni nie powiedziała żadnej z tych rzeczy. Zerknęła na stos pozaginanych w plisy kartek i powiedziała:

- Christine robi tak z każdym papierem, który znajdzie w domu. - Jak wszystko inne ten temat zdawał się ją męczyć.

- No cóż, myślę, że mogę mieć... proszę. - Wdowa przeszukała koszyk. - To katalog z modą, kompletnie bezużyteczny dla kobiety w żałobie. Mogłaby pani wrywać kartki i dawać je córce. W ten sposób rachunki mogłyby zostać oszczędzone. - Położyła książkę obok ciasta i pozostałego jedzenia, które wyjęła. - Bardzo było miło was wszystkich poznać - dodała i przynajmniej mała Carrie wyglądała na smutną, że gość wychodzi.

- Zajmę się świnia, dobrze? - Theo wstał od stołu. Nie mógł znaleźć żadnych uprzejmych słów dla pani Weaver i jej potomstwa.

Wychodząc, nie napotkali trudności ze strony świni, która teraz wydawała się trochę oczarowana Theo i szła u jego boku przez podwórko aż do bramy. Bardzo dobrze. Trzy wizyty i udało mu się zrobić jedno dobre wrażenie na zwierzęciu, które siadało na swoich młodych. Zamknął za sobą bramę.

- Jestem ignorantką - powiedziała pani Russell, kiedy się odwracał. - Okropną.

To był mało obiecujący początek rozmowy. Uniósł brwi i odchrząknął.

- Jak mogłam przynieść książki i ciasto? Wiedziałam, że są biedni. Powinnam była przynieść mięso i mleko.

- Mleko mogłoby im się przydać. Nie mają krowy. - Nie zamierzał poruszać tematu mięsa. Zbyt dobrze pamiętał tę ostatnią paczkę ciężącą mu w torbie, kiedy wracał do domu po poprzedniej wizycie u Weaverów. - I przynajmniej jedna z książek się przydała. Będzie pani musiała trochę popracować, zanim zabiorą się do *Waverleya* i tyle.

- Ci ludzie nie chcą *Waverleya*. - Szła z jeszcze większą energią niż zwykle, wymachując koszykiem.

- Byłabym zaskoczona, gdyby okazało się, że te dzieci w ogóle potrafią czytać.



Nie widziałam w tym domu ani jednej książki. Powinnam była to przewidzieć.

Zatrzymał ją, łapiąc koszyk.

- Niech pani nie będzie dla siebie taka surowa. Nie chcę tego słyszeć. Źle pani oceniła to, czego należało się spodziewać, a teraz już pani wie lepiej. W ten sposób się uczymy, prawda? - Sama kiedyś powiedziała coś podobnego.

- Zrozumiałam jedynie ogrom mojej naiwności. - Nie puściła koszyka i stali, patrząc na siebie, każde zaciskając dłoń na rączce koszyka. - Jestem sąsiadką tej rodziny, od kiedy tu zamieszkałam.

Powinnam była znać warunki, w jakich mieszkają. Powinnam była zainteresować się tą najstarszą dziewczynką.

- Zaproponuję pewną umowę. - Lekko pociągnął za koszyk, aż wdowa puściła rączkę. - Jeśli przestanie pani robić sobie wyrzuty, posłucham każdego kazania, które zechce pani wygłosić na temat edukacji. Może pani wykorzystać cały czas, jaki nam zajmie powrót do domu, na opowiadanie mi, co powinno zostać zrobione dla dzieci w moim majątku.

Jej uśmiech sprawił, że przeszedł go dreszcz. Co za dziwna sprawa, sprawić kobiecie taką przyjemność bez dotykania jej. Po raz drugi tego popołudnia musiał odwrócić wzrok, musiał też odezwać się dość szorstko.

- Jednak radzę od razu opowiedzieć o najważniejszych rzeczach, ponieważ ma pani czas tylko do końca spaceru. Kiedy dotrzemy do domu, będę miał inne rzeczy do roboty. - Ruszył szybkim krokiem.

- Andrew - powiedział pan Mirkwood, kiedy skończyli się kochać, a on leżał rozciągnięty obok niej.

Uniósł leniwie

jedną rękę i liczył na palcach. - Andrew, Katharine, Nicholas i William.

Wrócili do tematów rodzinnych. Doznawał przyjemności bez proponowania czegoś nietypowego, a jej sprawiało przyjemność, że jemu jest przyjemnie. Oczywiście tego właśnie chciała. Jeśli jakaś jej niewielka część miała nadzieję, że mężczyzna będzie chciał wykorzystać wczorajsze przyzwolenie na coś nowego, to cóż, ta część będzie musiała nauczyć się cierpliwości.

- Byłabym bardziej pod wrażeniem, gdyby zapamiętał pan, co mówiłam o szkole mojego wikariusza - stwierdziła.

- Szesz. - Nie odwracając się, przyłożył palec do jej ust. - Brakuje mi jednego imienia.

- Nie, to całe moje rodzeństwo. - Jednak jej serce przyspieszyło. Wiedziała, o co mu chodzi.

- Ja mam na imię Theophilus. - Teraz się odwrócił, zwracając do niej jak grzeczny chłopiec na przyjęciu urodzinowym, pomijając to, że był nagi i miał niemal sześć stóp wzrostu. - Chociaż tak nazywa mnie tylko ojciec. Bracia i siostry oraz nieustraszone damy nazywają mnie Theo.

- Znam już pana imię. Podał mi je jeden ze służących.

- W takim razie ma pani nade mną przewagę. - Czekał. Nie droczył się z nią ani nie dopytywał. Wziął do ręki pasmo włosów i nawijał je wolno na palec jak pyton owijający się wokół ofiary, z każdą pętelką zbliżając się coraz bardziej do jej głowy. Jego oczy, cierpliwe i spokojne, wpatrywały się w nią.

Czy z czegoś zrezygnuje, jeśli zdradzi mu swoje imię? Może on uważa, że są ze sobą w bliskich stosunkach, ale to nieprawda. Pomimo cielesnych kontaktów, pomimo że absorbował myśli, nie są ze sobą blisko.

- Marta - powiedziała jednak. - Andrew, Kitty, Nick, Will i Marta. W tej kolejności. Moje rodowe nazwisko brzmi Blackshear.
  - Marta - powtórzył najłagodniejszym z szeptów. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, a jego oczy błędziły po niej, jakby chciał zobaczyć ją całą naraz. - Pasuje do pani.
  - Tak sędzę. Proste, solidne imię.
  - Jeśli się chce, żeby takie było. Albo jak muzyka, jeśli tak się wybierze. Skomponowana z oddechów, szeptów i dźwięków, które nigdy się nie kończą, dopóki tego chcesz. To była prawda, o tych dźwiękach? Rany, chyba tak.
  - Jakie pan rzeczy zauważa! Żyłam z tym imieniem dwadzieścia jeden lat i nigdy tego nie zauważyłam.
- W odpowiedzi uśmiechnął się tylko szeroko i położył rękę na jej głowie, zawijając kosmyk na palcu po raz ostatni.

## Rozdział 9

Moge panią o coś zapytać? Obawiam się, że panią urażę, jednak zwycięża we mnie ciekawość. - Trzy dni później znowu oglądali działki, które Theo mógłby przyłączyć do swojego majątku.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan zdolny odczuwać ten konkretny rodzaj niepokoju. Pańskie pytanie musi być naprawdę wielkiej wagi. - Mogła rozmawiać z panem Mirk-woodem. Ostatnio łatwo im się rozmawiało, ich konwersacja była nacechowana wisielczym humorem i przyjacielska, wynikającymi z absurdalności ich znajomości.

- Niezupełnie wielkiej wagi. - Zapadła cisza i Marta mogła sobie wyobrazić, jak mężczyzna szuka właściwych słów. Jej czepek zaprojektowany na wzór końskich kłapek na oczy nie pozwalał jej tego zobaczyć. - Jest za to bezpośrednio. Proszę mi wybaczyć, ale dlaczego nie jest pani ze mną dobrze? To znaczy w łóżku. - Z trajektorii jego głosu wnioskowała, że spojrzał na nią, zadając pytanie. - Na początku składałem to na karb braku sympatii, ale nie wierzę, że dalej naprawdę mnie pani nie lubi.

„Dyskrecja" musi mieć inne znaczenie wśród zameężnych londyńskich kobiet, skoro miał opinię dyskretnego. Rozejrzała się dookoła.

- Nikogo nie ma w pobliżu. Już patrzyłem. I będę uważał, jak będziemy szli. Oczywiście to, czy mi pani odpowie, to pani decyzja. - Jego ton uspokajał na cztery czy pięć sposobów naraz. Sprawdził. Nikogo nie było w pobliżu. Żaden temat nie był tabu, jeśli chcieli go poruszyć. A jeśli wzbraniała się przed odpowiedzią na pytanie, on nie będzie drażył tej kwestii.

Nabrała powietrza w płuca, kierując wzrok na daleki horyzont, gdzie żywa zieleń ustępowała błękitowi nieba. Zacznie od prawdy najmniej obraźliwej dla niego, nieważne, jak niezręcznie będzie jej to powiedzieć. Lekko przechyliła głowę w jego stronę i zniżyła głos.

- Akt seksualny nie sprawia mi przyjemności. Nie tak jak panu. Albo innym mężczyznom. Albo innym kobietom, jak mniemam - dodała, zanim mógł odeprzeć ten punkt widzenia przykładami z własnego doświadczenia.

- Chodzi raczej o niemiłe wrażenia niż miłe, jak sądzę. - Tak, wiedziała, że on się temu nie oprze. - Jednak ma pani jakieś wyobrażenie, jak powinna się czuć?

- Tak. - Teraz może się domyślić, jakie są jej intymne zwyczaje. Lepsze to, niż gdyby miał myśleć, że jest żałosna i nieświadoma. - Podejrzewam, że jestem nietypowo zbudowana.

Jej buty i jego oficerki prowadziły własny dialog w trakcie przerwy, która teraz nastąpiła, skrzypiąc rytmicznie, kiedy uderzali nimi w ubitą ziemię. To była marna droga zamieniająca się w błoto, gdy spadał deszcz, i czasami robiła się nie do przejścia. Ktoś powinien dopilnować, by ją wybrukowano tak jak większe drogi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Nie jestem aż tak lotny. Mówi pani o anatomii?
  - Anatomii. Tak. - Gdyby powiedziała to, będąc w domu, zaczerwieniłaby się po same uszy. Tutaj miało to równie duże znaczenie co pojedynczy liść czy drzewo w odległym wielkim lesie.
  - Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Chodzi o to, że nie ma pani orgazmu podczas stosunku, tylko podczas pieszczot intymnych miejsc?
- Był bardzo lotny, jeśli chodzi o niektóre sprawy.
- Spotkał się pan z tym wcześniej?
  - To dość powszechne. Wcale nie nietypowe. - Powiedział to z całkowitą pewnością. - Większość kobiet potrzebuje stymulacji tego najbardziej erogennego miejsca, by miały orgazm. Niektóre więcej niż trochę.
- No doprawdy. Nie można mieć zbyt wysokiego mniemania o tym, jak został zaprojektowany ludzki sposób rozmnażania się. Mężczyźni z organami wiszącymi jak pończochy na sznurku z bielizną. Kobiety z ośrodkiem przyjemności położonym z dala od głównego miejsca wydarzeń. Można łatwo wyciągnąć wniosek, że ludzie nie mieli tak naprawdę...
- Są różne rzeczy, które mógłbym zrobić. - W jego głosie była nadzieja, ale też ciekawość, ponieważ znał ją o tyle dobrze, by przewidywać jej prawdopodobną odpowiedź.
  - Wiem. - Zbyt często ostatnio rozważała różne rzeczy, które mógłby zrobić. - Ale sumienie by mi na to nie pozwoliło.
- Gdzieś niedaleko zaśpiewał ptak. Trzy wysokie trele i jeden niski, kontrpunkt niez mordowanego rytmu ich kroków. Mirkwood odchrząknął delikatnie.
- Nie chcę się kłócić, ale nie rozumiem. Przecież pani i pani sumienie musieliście dojść do jakiegoś konsensusu, zanim mnie pani wynajęła.

Teraz pomyśli, że ona jest nierozsądna. Trudno.

- Sumienie pozwala mi na zrobienie tego, co konieczne, by urodzić syna, ponieważ dobro, które z tego wypłynie, przewyższa zło. Mam na myśli to, że skorzysta na tym więcej ludzi niż tylko ja. Jeśli zaczęłabym szukać w tym własnej przyjemności, ten układ byłby czymś innym niż teraz. Czymś niegodnym osoby, którą staram się być. - Szybkie spojrzenie spod daszka czepka, by spojrzeć na jego profil i zobaczyć, jak się krzywi. - Bardzo się od siebie różnimy, pan i ja, i nie spodziewam się, że pan to do końca zrozumie.

- I rzeczywiście nie rozumiem. - Wydłużył krok, tak że ona musiała przyspieszyć. - Według mnie, skoro musi pani naruszyć swoje zasady poprzez kochanie się z mężczyzną, powinna mieć pani przynajmniej przyjemność, jaka z tego płynie. Powinna być w tym przyjemność, Marto. - Po raz pierwszy użył jej imienia, od kiedy tak delikatnie je od niej wyprosił.

- Dla mnie to nie takie proste. Przede wszystkim pierwszy raz zobaczyłam pana dwa tygodnie temu.

- Dwa tygodnie i dwa dni.

- Szesnaście dni, tak. W normalnych okolicznościach ledwo moglibyśmy powiedzieć, że się znamy. I taka znajomość może być dla pana wystarczająca, cóż, najwyraźniej jest, ale ja musiałabym znać mężczyznę bardzo dobrze, zanim oddałabym mu się w ten sposób.

- Czy to koniecznie musi być kapitulacja?

Jak mógł o to pytać? Mężczyźni. Tacy zajęci zdobywaniem, podnieceni polowaniem i pościgiem, że nigdy nie zatrzymują się, żeby zastanowić się, jak to widzi druga strona.

- Myślę, że dla kobiety zawsze jest. - Patrzyła mu spokojnie w oczy.

- No to - zaczął. Zdjął jedną rękawiczkę i zaczął odliczać na palcach. - Nie skupiałem się na właściwym miejscu. Wiemy, że to można naprawić. Pani sumienie się sprzeciwia. I nie zna mnie pani zbyt długo, ale mamy jeszcze jakieś dwa tygodnie naszej umowy. To wszystkie przeszkody? Na litość boską, dlaczego nie mógł z podobną energią zabrać się do czegoś godnego i pożytecznego? Spojrzała przed siebie.

- Największą przeszkodą jest różnica w naszych usposobieniach. Ma pan rację, uważając, że nie czuję do pana antypatii. Właściwie lubię pana bardziej, niż się spodziewałam.

- Ale to nie wystarcza. - Wciąż trzymał w górze rękę z trzema wyprostowanymi palcami oznaczającymi przeszkody, jakby zapomniał, że ją podniósł.

- Mnie nie. - Jak można powiedzieć coś takiego delikatnie? - Nie jest pan złym człowiekiem, panie Mirkwood. Naprawdę myślę, że ma pan potencjał. Jednak mimo że mogę być w serdecznych stosunkach z mężczyzną, który żyje dla przyjemności, i nawet poczuć do niego pewną sympatię, nie mogę prawdziwie go podziwiać. A nie zamierzam oddać się w ten sposób mężczyźnie, którego nie podziwiam. Proszę wybaczyć moją bezpośredniość.

- Nie ma czego wybaczać. To ja poruszyłem ten temat. „Pewną sympatię”. Co za żalosna pozycja zajmowana

w sercu damy. A jednak niektóre kobiety mogły czuć pożądanie na tak błahej podstawie. A nawet, skoro już przy tym jesteśmy, niektóre kobiety twierdziły nawet, że pragną uczciwego mężczyzny, ale padają w ramiona pierwszego chętnego drania.

Chociaż Bóg jeden wie, że wynajmując sobie chętnego drania, by z nią sypiał, pani Russell miała idealną okazję, by również paść mu w ramiona. Nie jest aż tak niepodatna na wpływy.



- Czy podziwiała pani swojego męża? - Co do diabła myślał, że osiągnie, zadając to pytanie? Chciał sobie poprawić humor niepowodzeniem nieboszczyka? Przecież wiedział, nawet bez pytania, jaka musi być odpowiedź.

- Nie - powiedziała sucho. - Nie podziwiałam.

Theo odchylił głowę do tyłu, by poobserwować chmury. Jak te kępki owczego runa widoczne na krzakach wszędzie na ziemi należącej do wdowy. Owce ocierają się o krzaki i zostawiają ślady swojej bytności. Tak mu powiedziała podczas jednego ze spacerów.

Czy pan Russell miał nadzieję, że młoda żona będzie go pożądała, i czy stopniowo popadał w rozpacz?

Mogło go to nie obchodzić. Niektórzy mężowie tak mieli. Niektórzy korzystali ze swoich małżeńskich praw i poświęcali uczuciom swojej żony nie więcej myśli niż odczuciom nocnika na temat tego, jak jest używany. Niektórzy uważali, że pożądanie u żony to coś niestosownego, i wszelkie starania zostawiali dla kochanki.

Jednak wielu mężów musi myśleć inaczej. Wielu musi robić z żony kochankę, a przynajmniej tego pragnąć. To mogłoby być całkiem przyjemne, kochanka w domu dzień i noc. Flirtować z nią przy śniadaniu. Spać dwa, trzy pokoje dalej. Spać z nią w jednym łóżku w niektóre noce. Biedny, nieszczęśliwy pan Russell, jeśli na to właśnie liczył.

- Zobaczmy mój podjazd za kolejnym wzniesieniem. Granville najprawdopodobniej będzie już czekał na zewnątrz. Niech pani pamięta, że odwiedzałem panią cztery razy i zawsze chciałem przedyskutować jakąś sprawę związaną z posiadłością.

- Tutaj przy drodze jest nasz pierwszy kawałek leżącej odłogiem ziemi - powiedział Granville, kiedy się do niego

zbliżyli. - Ogólnie to mniej użyteczny teren ze względu na lokalizację. Niektóre z tych działek są też gęsto porośnięte drzewami. - Zarządca był w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Gdzie są granice tej działki? To znaczy poza drogą. - Pani Russell też wyglądała, jakby doskonale się bawiła, tak jak przystoi kobiecie w żałobie. Rozłożyła mapę i sprawdziła, jak to miejsce zostało na niej przedstawione.

On został nieco z tyłu. Kawałek leżącej odłogiem ziemi przy drodze. Kto chciałby dołączyć do swojego majątku coś takiego? Lepiej zostawić go ludziom, którzy zbierają torf. Nawet było widać miejsca, w których ktoś go stamtąd wykopywał. Dotknął poszarpanej powierzchni czubkiem jednego buta.

- Dlaczego pana zdaniem ten teren tutaj opada? - Wdowa zauważyła, że Theo błądzi gdzieś myślami, i odwróciła się do niego, odzywając się dość głośno. - Wygląda, jakby część ziemi została usunięta.

- Wycięta, tak. Ktoś używa torfu. - Ktoś kolejny, kogo Theo by czegoś pozbawił, dołączając ten teren do swojej ziemi. Kopnął grudkę ziemi.

- Używa? - Wdowa opuściła mapę i podeszła do niego, na jej twarzy malowało się zdziwienie, a w jej głosie słyszał niemal oburzenie. - W jakim celu?

- Do palenia. To rodzaj torfu, którego ludzie używają na opał. - Czyżby tego nie pamiętała? Czytali o użytkowaniu wspólnej ziemi w zeszłym tygodniu.

- Na opał, naprawdę? - Zmrużyła oczy, patrząc na niego.

- Na opał z całą pewnością. - Zarządca ruszył w ich stronę. - Wśród ludzi, którzy są zbyt biedni, by kupić drewno, to dość powszechne.

- Czy pańscy robotnicy palą torfem, panie Mirkwood? - Teraz pochyliła się, by podnieść okruszek ziemi, a Theo szybko

odwrócił wzrok od jej sylwetki, która nagle wyraźniej zarysowała się pod suknią.

Opał. Torf. Nie, przypomniał sobie wyraźnie stojak obok kominka Weaverów i te wszystkie poskładane papiery wśród drewien.

- Sądzę, że wszyscy nasi ludzie palą drewnem. - Zerknął na Granville'a, który kiwnął głową. -

Zakładam, że pani dzierżawcy też, pani Russell. - Marta. Jej imię w żaden sposób nie wiązało się z jej mężem, zawisło niewypowiedziane na jego ustach, jak smak jakiejś zjedzonej wcześniej potrawy.

- Tak jest. - Zmarszczył brwi, patrząc na grudę w swoim ręku. - Zastanawiam się, kto z naszych sąsiadów tego używa.

- Może żaden z nich. W tej okolicy pojawiają się niekiedy Cyganie i zbierają kawałki torfu na sprzedaż. Tak przynajmniej czytałem. - Najdelikatniejsza z aluzji. Naprawdę powinna była to pamiętać. Całkiem dobrze pamiętał, że kiedy czytała mu o tym na głos, przerwała na chwilę, by go szturchnąć, podejrzewając, że zasnął.

- Cyganie. Rozumiem. Widywałam ich tu czasami. - Upuściła grudkę, otrzepała rękawiczki i włożyła mapę pod ramię.

- Czy w pańskich lekturach było coś o tym, jak na życie tych ludzi wpłynie ogrodzenie tego terenu? - Przechyliła głowę, by na niego popatrzeć oczami błyszczącymi zainteresowaniem.

Ach. Nagle go olśniło. Nie było nic przypadkowego w tym pytaniu ani w niczym, co do tej pory powiedziała. Dokładnie pamiętała, czego mógł się nauczyć z ich lektur.

- Właściwie to jeden z argumentów wysuwanych przez zwolenników ogradzania ziemi - powiedział i dopiero teraz zauważył, jak zarządca słucha, niemal niezauważalnie kiwając

głową. - Ogradzanie zmniejsza liczbę włóczęgów w okolicy poprzez eliminowanie miejsc, na których mogliby rozbić obóz.

- Jak rozumiem, ogradzanie ma też przeciwników. - Wdowa przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. - Jakie oni mają argumenty?

Theo zawahał się, dając Granville'owi szansę na odpowiedź, ale zarządca pochylił głowę i wyciągnął rękę, wskazując gestem, że Theo powinien kontynuować.

- No cóż, zazwyczaj oznacza to więcej ziemi pod uprawę, a mniej pastwisk. I więcej ziemi w rękach kilku najbogatszych rodzin w danej okolicy.

- Chociaż to nie jest całkowicie niepożądany efekt. - Dodał Granville, zwracając się do wdowy. -

Wiele z wynalezionych ostatnio ulepszeń, rozwój wiedzy na temat na przykład melioracji i płodozmianu nastąpiło dzięki ludziom z wyższego stanu zajmujących się rolnictwem i dysponującym sporymi środkami i sporym kawałkiem ziemi, na której mogli wypróbować swoje teorie. Drobnym właścicielom ziemskim nie może sobie pozwolić na luksus przeprowadzania takich eksperymentów.

- Rozumiem. - Pani Russell zmarszczyła brwi. - Jednak przykro mi myśleć, że ktoś traci swoją niezależność możliwą dzięki zarabianiu na własne utrzymanie pracą na roli. Tak wielu młodych ludzi musi teraz wyjeżdżać do miasta w poszukiwaniu pracy.

- Pracy, którą nie tak dawno temu wykonywali w swojej rodzinnej okolicy. - Tutaj Theo mógł coś dodać. - Pięćdziesiąt lat temu wszyscy dzierżawcy na pani ziemi mieli albo kołowrotki, albo krosna tkackie, a Seton Park był znany z wełnianych wyrobów na równi z wełną, którą teraz produkujecie.

- Skąd pan to wie? - W jej oczach pojawiło się prawdziwe zaskoczenie. - Jestem pewna, że tego nie ma w żadnej książce.

- Pan Mirkwood, jak mniemam, rozmawiał z ludźmi, którzy to pamiętają. - Zarządca uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem. - Odwiedzał pan pana Barrowa, prawda?

- Ma do opowiedzenia wiele ciekawych historii. - Theo spuścił wzrok, by uniknąć pokazywania po sobie, że cieszyła go aprobatą Granville'a. W końcu odwiedził tego starca z uprzejmości, nie miał w głowie szlachetnego celu nauczania się czegoś od niego.

- Dobrze pan zrobił, słuchając go. - Zarządca uśmiechnął się do Theo, mimo że ten odwrócił wzrok. - Książki stanowią wspaniałą podstawę, ale brak im bezpośredniości ludzkiego doświadczenia.

Słuchanie historii takich jak te, które ma do opowiedzenia pan Barrow, a także innych, sprawia, że człowiek rozumie złożoność problemów lepiej, niżby to pojął dzięki samym tylko lekturom. -

Granville zwrócił się do swoich towarzyszy. - Przejdziemy do kolejnego kawałka ziemi?

Theo zerknął na Martę. Na jej twarzy malowała się niezwykła mieszanka uczuć. Duma z tego, jak Theo się zaprezentował, i jej roli w tym, zaskoczenie, że nauczył się czegoś wartościowego bez jej pomocy, i kiepsko skrywana dezaprobatą wobec implikacji co do wad uczenia się tylko z książek.

- Złożoność - powiedział do niej bezgłośnie, dotykając ręką skroni, by jeszcze bardziej wprawić ją w zmieszanie. Wówczas na jej twarzy wyraźnie zobaczył dezaprobatę. Strasznie chciał ją objąć, ale tylko splótł ręce za plecami i ruszył dalej.

I tak minął poranek, przechodzili od jednej działki do drugiej, pani Russell zadawała pytania i rzucała uwagi, które pokazywały efekt jego studiów, Granville słuchał tego wszystkiego i od czasu do czasu coś dodawał, a ręce Theo cały czas wyrywały się, by dotknąć kochanki.

Człowiek mógłby się mimo wszystko przyzwyczać do bycia właścicielem ziemskim. Nie tylko do wychodzenia rano tak jak dzisiaj i oglądania, jak małe leśne kwiatki wyginają się do ziemi i błyszczą od rosy, a potem stopniowo otwierają się, ujawniając swój kształt i kolor, gdy słońce wędruje po niebie. Człowiek mógłby się przyzwyczać do omawiania różnych spraw ze swoim zarządcą, na przykład by zobaczyć, jak jego opinie są odbierane i rozważane, jakby naprawdę miały znaczenie. Mógłby przywyknąć do towarzystwa sąsiadki, która dobrze mu życzy. Mógłby nawet polubić decydowanie i posiadanie obowiązków

Nikt się po nim zbyt wiele nie spodziewał w Londynie. Nikt nigdy. Tak naprawdę został rozpuszczony na dwa różne sposoby. Miał wszystkie przywileje i korzyści z bycia najstarszym synem, a oprócz tego był dostatecznie młody, by być rozpieszczanym przez uwielbiające go starsze siostry. Taki chłopiec musi wyrosnąć na kogoś, kto wierzy, że jest wspaniały, właśnie tak jak on, prawda? A gdy dorośnie, kochanki i przyjaciele tylko utwierdzają go w tym przekonaniu. Nawet dezaprobata ojca była tylko jeszcze jednym strumieniem płynącym w tej rzece. Wszyscy spodziewali się, że będzie nieodpowiedzialny i będzie się zajmował błahymi sprawami i przez całe życie z radością się temu podporządkowywał.

W ostatnim miejscu - kolejnym, nawet jeszcze mniej obiecującym kawałku ziemi - został z tyłu, rozważając te nowe dla niego koncepcje, podczas gdy Granville pokazywał pani Russell, jak zmierzyć granicę, dopóki jego uwagi nie zwrócił odgłos niespiesznie idącego konia. Spojrzał na drogę i zobaczył postać w czarnym surducie na dość mizernym koniu.

- Czy to pani wikariusz? - zapytał przez ramię.

Wdowa oderwała się od pomiarów i wyszła na drogę. Osłoniła oczy ręką od słońca.

- Tak mi się wydaje. - Wyglądała... Boże, wyglądała na zadowoloną, że widzi tego człowieka, chabete i wszystko inne, mimo że musiała widywać go dość często z powodu codziennych obowiązków. Opuściła rękę i stała tam, promieniejąc. Musiała poczuć na sobie wzrok Theo, ponieważ spojrzała w jego stronę i uśmiechnęła się szeroko i pewnie, jakby przekonana, że on też chciał, by to spotkanie uczyniło ten poranek idealnym. Poczł coś pierwotnego i gorzkiego, kiedy widział, jak pani Russell patrzy na duchownego.

Na litość boską, dlaczego miałyby robić inaczej? Zna tego mężczyznę znacznie dłużej i bez wątpienia lubi jego kazania i cieszy się z jego szkoły. To wszystko. Poza tym wiele kobiet patrzyło na Theo na wiele nadzwyczajnie miłych sposobów. Nie musiał być podziwiany przez każdą kobietę na ziemi. Podziw. Dobry Panie. To słowo było jak cios w brzuch. To określenie na to, co widział. To podziw tak rozświetlił jej oczy i dodał jej wyprostowanej sylwetce gracji. Nagle zaschło mu w ustach. Przestań. On nie jest twoim rywalem, a ona nie jest twoja. Zagryzł policzek, żeby mu wrócił zdrowy rozsądek, i przerwał dopiero, gdy duchowny się zatrzymał - chociaż naprawdę nie musiał robić nic więcej, niż uchylić kapelusza i jechać dalej -i przywitał się z każdym z nich, co wymagało jakiejś uprzejmej odpowiedzi.

Przybyszowi wyjaśniono, co ich tu sprowadziło. Słuchał z zainteresowaniem i pochwalił pomysł konsultowania z sąsiadami tego typu decyzji delikatnym ukłonem - dodatkowa dawka poparcia - w stronę Theo, co mogłoby mu sprawić przyjemność, gdyby nie sprawiło tak wyraźnej przyjemności pani Russell. Wdowa i duchowny, pasująca do siebie para w ciemnych szatach, zaczęli dyskutować o szkole. Podejrzewał, że musi do tego dojść.

Szacunek, jakim się darzyli, był widoczny. Ale dlaczego miałyby być inaczej? Jaki duchowny nie darzyłby szacunkiem cnotliwej, poważnej młodej żony lub wdowy, a przy wspólnych dążeniach i przy dość podobnym wieku dlaczego nie miałyby się między nimi rozwinąć przyjacielskie stosunki? Gdyby tylko nie wyglądał tak diabelnie interesująco, zbudowany z czarno-białych ostrych linii. Czy nie było tak zawsze z tymi wiejskimi wikariuszami? Nawet jeden na trzech nie miał dość przyzwoitości, żeby być brzydki i kojarzyć się młodym kobietom tylko ze sprawami ducha. Dość. Miała prawo zachowywać się przyjacielsko w stosunku do innych mężczyzn zarówno tych przystojnych, jak i tych o przeciętnej urodzie. I to on, nie wikariusz, był tym, który zabierze wdowę do łóżka za jakąś godzinę. Nie powinien marnować tych kilku ostatnich minut, w trakcie których mógłby utwierdzać w zarządcy dobrą opinię o sobie.

Jednak kiedy w końcu znalazł się w domu pani Russell, w łóżku z niebieskim baldachimem, czuł jakieś barbarzyńskie pragnienie, by zostawić na niej swój znak.

Gdyby ją ugryzł... gdyby zostawił ją obolałą... gdyby ją przytrzymał i pieścił jej ciało językiem, wywołując reakcję jej ciała i powodując niechcianą przez nią ekstazę, wtedy musiałaby o nim myśleć, kiedy już zniknie jej z oczu. Siniak, sporadyczny ból albo oburzenie i szok wywołany spełnieniem - to by z nią zostało, gdyby zajmowała się zwykłymi codziennymi sprawami, w których on nie miał udziału.

Ale przecież nie był barbarzyńcą, a poza tym mógł sobie aż zbyt dobrze wyobrazić, jakby potem na niego spojrzęła, gdyby zrobił którąkolwiek z tych rzeczy. Więc nie zrobił żadnej. Doszedł sam, jak zwykle, obowiązkowo ułożył ją na poduszce, ubrał się i poszedł do domu, czując niezaspokojony głód.



## Rozdział 10

Dzień dobry, pani Russell. Ten list został omyłkowo dostarczony do mojej posiadłości. Przełamałem pieczęć, zanim zorientowałem się, że musiał być przeznaczony dla pani. Proszę spojrzeć i powiedzieć mi, czy jest do pani, czy też muszę go zanieść innemu sąsiadowi?

O co, na niebiosa, może mu chodzić? Było kilka minut po dziesiątej. Jaki powód mógł mieć, żeby wstać tak wcześnie i stać tu jak ucieleśnienie przyzwoitości?

Marta zerknęła na lokaja, wzięła do ręki list i go rozwinęła. W poprzek kartki niedbałym charakterem pisma wysoko urodzonego dżentelmena było napisane: „To musi być teraz. Możesz się ze mną spotkać w pokoju za dziesięć minut?”.

- Tak. - Uniosła wzrok i spojrzała na niego. - Tak, to zdecydowanie list do mnie. Dziękuję, że mi go pan przyniósł. - Zmartwiona złożyła kartkę zdecydowanym gestem.

- Tak też myślałem. - Jego uwagę zwróciły jej niespokojne ruchy i kiedy ponownie się odezwał, wiedziała, że chce ją uspokoić. - Życzę pani miłego dnia. Jestem pewien, że wzywają

panią obowiązki, tak samo jak mnie. - Skłonił się i uśmiechnął niemal konspiracyjnie, po czym założył kapelusz i pozwolił lokajowi odprowadzić się do drzwi.

- Doskonale mnie pani wczoraj zaprezentowała przed Granville'em. - Zdejmował już surdut. - Uważa, że zacząłem poważnie traktować zarządzanie majątkiem. Dzisiaj i jutro idę z nim oglądać młockę. Nieważne, że od wielu dni świetnie sobie radzą beze mnie. Muszę tam być, a później pojechać z nim, kiedy będzie zawoził ziarno do młyna, i jeden Bóg wie, gdzie jeszcze. Wszystko nudne i wszystko zajmuje całe dni. Nie wiem, jak się od tego wymigać.

- I nie powinien pan tego robić. - Marta stała nieruchomo i czekała, aż mężczyzna na nią spojrzy. - Panie Mirkwood, to wspaniała wiadomość. Pracował pan bardzo ciężko, ucząc się tego, co pana nie interesuje. Należy się panu pochwała. Widziałam, że pan Granville był pod wrażeniem i miał do tego podstawy. Powinien pan być z siebie dumny.

- A pani/moja droga, powinna już się rozbierać. Czy ja muszę się wszystkim zajmować? - Pochylił głowę, by rozpiąć guziki kamizelki. Och, naprawdę była spora szansa na odesłanie go do Londynu jako lepszego człowieka.

Ustalili szczegóły, gdy Mirkwood się ubierał.

- Nie wiem, czy każdego dnia będę wolny o tej porze - powiedział. - Może mógłbym przychodzić w nocy, po tym jak służba pójdzie już spać. Jeśli nie miałyby pani nic przeciwko czekaniu na mnie.

- Będzie pan szedł piechotą w obie strony w środku nocy? - Uniosła głowę z poduszki, by jej ostrzeżenie zabrzmiało bardziej stanowczo.

- Czego miałbym się obawiać? - Poblężliwy uśmiech pojawił się na jego twarzy, zanim zasłoniła ją koszula. - Duchów? Cyganów? Ludożerczych tygrysów?  
- Proszę się ze mnie nie naśmiewać. Zwłaszcza że to ja, jako mieszkanka wsi, lepiej znam zagrożenia, które mogą czyhać na pana w nocy. - Zaczynała ją boleć szyja. - Zagrożaliby panu na przykład kłusownicy.

Pokręcił lekceważąco głową, wkładając koszulę w spodnie.

- Nie ma u mnie żadnej dzikiej zwierzyny. Z pewnością okoliczni kłusownicy są dostatecznie dobrze poinformowani, żeby nie marnować czasu na moją posiadłość.

- I tak mi się to nie podoba. Martwiłabym się o pana.

- Zamartwianie proszę zostawić dla dziecka. - Usiadł na końcu łóżka, by zawiązać fular. - Jestem pewien, że przysporzy pani dość zmartwień, zwłaszcza jeśli wda się we mnie. - Marta słyszała szelest materiału zawiązywanego fularu. Imponujące. W pobliżu nie było lustro.

Kiedy wstał z łóżka i usiadł na krześle, obok którego zostawił buty, znowu się odezwała.

- Może przyjeżdżałby pan konno i zostawał do rana? Mniej czasu spędzałby pan w drodze i tylko w jedną stronę jechałby nocą. Mogę poprosić moją pokojówkę, żeby znalazła jakieś miejsce dla konia, gdzie nikt go nie zauważy.

Nie usłyszała odpowiedzi. Mirkwood przyglądał się swoim butom i coś przy nich poprawiał.

- Miałbym przychodzić do pani łóżka, to ma pani na myśli? - spytał, jakby to było niejasne. - I spać z panią?

- Myślę, że tak by było najlepiej. Mógłby pan przychodzić tą samą drogą co teraz. Pokażę panu, jak przejść stąd do moich pokoi, i dam klucz. Oczywiście będzie pan musiał... zachowywać się cicho... w moich pokojach, bo są dużo bliżej pokoi służby.

Mirkwood się nie odezwał i nie podniósł wzroku. Skończył poprawiać buty i niespiesznie zajął się szwami spodni.

Czyżby... szukał najuprzejmiejszego sposobu na odrzucenie tej propozycji? Może obraziła go tym zastrzeżeniem, że musiałyby być cicho. A może to przekraczało granice ich układu. Tylko skąd miała wiedzieć, co wypada w takich sprawach, a co nie. Przecież nie miała w zwyczaju robienia takich rzeczy.

- Tak - powiedział nagle. - Mogę tak robić. - Zgarnął jedną ręką rękawiczki ze stołu. - Jednak nie będę przyjeżdżał konno. Nawet jeśli nie musielibyśmy informować pani stajennych, moi na pewno by zauważyli, że nie ma mojego konia. Wezmę ze sobą pistolet, by odstraszyć ewentualnych kłusowników, jeśli to panią uspokoi. - Podeszedł do fotela, na którym powiesił kamizelkę, i kiedy znowu się do Marty odwrócił, na jego twarzy malował się znajomy żartobliwy uśmiech. - Obawiam się, że dni będą się pani niemiłosiernie dłużyły bez moich wizyt. Będzie pani słuchała szczebiotu odwiedzających panią kobiet i potajemnie liczyła godziny do pory snu.

- Nic podobnego. - Oparła się na łokciach. - Nawet jeśli ktoś mnie odwiedzi, z pewnością nie będę o niczym takim myślała.

- Żadnych gości? Chyba ma pani przyjaciół w sąsiedztwie?

- Nie nawiązałam żadnych silnych więzi. Myślę, że widział pan, jak to jest. Ludzie dobrze mi życzą, ale trzymamy się na dystans. Nie mam... ufnego charakteru czy też cech, dzięki którym łatwiej jest się do kogoś przywiązać bądź z nim zaprzyjaźnić. - Jak niezgrabnie brzmiały te słowa. Co za głupia reakcja. Przecież ceniła swoją samotność. Nie potrzebowała od sąsiadów niczego poza najlepszą opinią, na jaką mogłaby zasłużyć.

- Mimo to powinni byli złożyć pani wizytę. Owdowiała pani. Tak wypada, nieważne, jak dobrze się znacie.

Akurat on ze wszystkich ludzi przejmuję się tym, co wypada! Co za absurdalna rozmowa.

Powstrzymała uśmiech i odezwała się spokojnym głosem, by nie ranić jego uczuć.

- Proszę się mną nie przejmować. Znajdę sobie zajęcie. Muszę odwiedzić swoich dzierżawców, mogę też pomóc panu Atkinsowi w organizowaniu szkoły.

Zmarszczył brwi.

- Powinna pani poszerzyć grono znajomych. Odwiedzać sąsiadów, nie tylko dzierżawców i wikariusza.

- Być może, ale to by tylko skomplikowało nasz układ. Nie moglibyśmy tak owocnie studiować popołudniami. A teraz proszę mi pomóc się ubrać i pokażę panu drogę do moich pokoi.

Jej koszyk nie był tym razem taki ciężki, ale jego zawartość wymagała większej uwagi. Jakieś pudełko lub kosz z przykrywką lepiej by się nadały niż materiał, który musiała nieustannie poprawiać. Trudno. Następnym razem lepiej się przygotuje, kiedy wyznaczy sobie takie zadanie.

W poniedziałek pan Atkins otwierał szkołę i w następną niedzielę odbędą się pierwsze zajęcia dla młodych kobiet. Zamierzała porozmawiać z panem Mirkwoodem na temat zapisania do szkoły dzieci jego pracowników i może dołożenia się do pensji duchownego, ale skoro miał teraz inne obowiązki, musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Drzewa szeleściły, poruszone delikatnym wiatrem, jakby szeptały jej słowa zachęty. W miejscu, gdzie słońce prześwitywało przez gęste gałęzie drzew, znowu się zatrzymała, zdjęła malutkie pazurki z krawędzi koszyka i schowała je z powrotem pod materiał. Koty były użytecznymi zwierzętami domowymi. Ten osobnik miał zarabiać na swoje utrzymanie w stajni Seton

Park. Teraz, jeśli szczęście pozwoli, nie tylko będzie uczciwie pracował, ale jeszcze zostanie otoczony czułością przez młodą dziewczynę.

Jakieś dwa tuziny jardów dalej, gdzie las ustępował krzewom, a potem łące, ukazał się domek Weaverów. Jej oddech stawał się coraz szybszy, ale zmusiła się, by był głęboki i spokojniejszy. Znacznie mniej onieśmielająca była ta wizyta w towarzystwie Mirkwooda, który wszędzie czuł się jak w domu i sprawiał, że lubiła go nawet świnia. Jednak misja powinna prowadzić człowieka naprzód, nawet jeśli po drodze trochę błądził. Wyprostowała się i ruszyła dalej.

Mały Hiob był dzisiaj na zewnątrz, gdzieś z tyłu domu, i wykrzykiwał swoje skargi każdemu, kto go słuchał. Świnia, zajęta przy korycie, uniosła głowę na dość długo, by - jak łatwo było się domyślić - stwierdzić, że gość nie jest Mirkwoodem, po czym wróciła do jedzenia z rozczarowanym chrumknięciem. Trzy czy cztery gęsi ruszyły w stronę wyraźnie zainteresowane koszykiem i szły za nią przez podwórko.

Kilka sznurów na bieliznę wisiało przed nią, na połowie zawieszono już świeże pranie. Najstarsza córka stała nad miedzianą balią, pocierając jej zawartość o tarkę, a czwórka innych dzieci była zajęta wyżymaniem mniejszych części garderoby wyjmowanych z drugiej balii, prawdopodobnie już wypłukanych. Ich matka wieszała właśnie fartuch, a niemowlę płakało w koszyku stojącym obok. Odwróciła się, słysząc hałaśliwie zbliżające się gęsi, i bez słowa oczekująco oparła ręce na biodrach. Pani Russell przyszła z wizytą, pani Russell musi się odzywać.

Marta podeszła do niej.

- Dzień dobry. Widzę, że przyszłam w dobrym momencie, w którym mogę się najbardziej przydać. Z radością pomogę

wyżymać większe rzeczy. Albo wieszając je, żeby mogła pani odpocząć i zająć się dzieckiem.

Kobieta zerknęła na malucha i zmarszczyła brwi, jakby zapomniała, że tam jest, i nie podobało się jej, że ktoś jej o tym przypomniał. Nic nie powiedziała.

- Muszę tylko najpierw pozbyć się koszyka, a raczej tego, co jest w środku. Przyniosłam prezent dla pani córki - to taki rodzaj prezentu, który musi być przekazany w bezpieczne ręce. Widzi pani? - Marta podniosła materiał, by pokazać kociaka, który wyprężył grzbiet i uniósł ogon, prawdopodobnie w reakcji na zgiełk panujący na podwórzu. Szybko z powrotem zakryła koszyk. - Pochodzi z dobrych łownych kotów. Jego ciotki, wujowie i kuzyni żyją w moich budynkach gospodarczych, a niektórzy w domach dzierżawców. Gdy tu ostatnio byliśmy z panem Mirkwoodem, pani córka Carrie wspomniała, że nie macie państwo kota do spiżarni. - Nie była w stanie przestać mówić, jeśli alternatywą była miażdżąca cisza. - Przykro mi, że pan Mirkwood nie mógł mi dziś towarzyszyć. Jednak ma on wiele do nauczenia się, jeśli chodzi o zarządzanie majątkiem. Wydaje mi się, że nie wiedział nawet, że wypada odwiedzić państwa, przynosząc prezenty, dopóki mu o tym nie powiedziałam.

Wreszcie gospodyni podniosła wzrok.

- Pani mu powiedziała, żeby przyniósł prezenty?

- Jakiś czas temu, tak. Jednak jeśli nie miał jeszcze takiej możliwości, jestem pewna, że to tylko z powodu innych obowiązków. Pan Granville dostarcza mu wiedzy i wielu zajęć. Pan Mirkwood naprawdę chce dobrze.

Pani Weaver pomasaowała dłoń. Ręce miała zgrubiałe i zaczerwienione. Była pewnie zajęta robieniem prania od wczoraj, namydłając i szorując, i zanurzając dłonie w wodzie. Lekko

ściągnęła brwi. Sięgnęła do koszyka i uniosła materiał, by popatrzeć na kociaka.

- Carrie jest w środku, pilnuje najmłodszych dzieci. Zabiorę go do niej. Może pani potrzymać dziecko, jeśli ma pani ochotę.

Marta oddała jej koszyk i wzięła płaczące niemowlę. Cóż, przynajmniej to jest załatwione, jednak podarunek nie zjednał pani Weaver na tyle, by poruszyć temat szkoły. Gdyby znowu udało się jej uśpić dziecko, to może gospodyni byłaby lepiej do niej nastawiona.

- Ależ wasz brat ma płuca! - powiedziała do pozostałych dzieci, spacerując wzdłuż jednego ze sznurów z praniem. Ta obserwacja nie była jednak niczym na tyle nowym, by wywołać odpowiedź. Hiob nieco przycichł, choć nie zamilkł zupełnie, gdy jego matka wyszła tylnymi drzwiami z domu. Zerkając jedynie na Martę, postawiła pusty już koszyk na ziemi - dwie gęsi podbiegły i wsadziły do niego głowy. Ona z balii wyciągnęła prześcieradło i zaczęła je wyżymać.

Ta kobieta nie ustępowała nawet o cal. W takim razie Marta najzwyczajniej nie będzie na to liczyła. Niewątpliwie tak właśnie czuł się Mirkwood w ciągu kilku pierwszych dni w jej towarzystwie i niewątpliwie teraz zaśmiałby się, gdyby mógł zobaczyć, jak los odplaca jej pięknym za nadobne.

- Czasami o pani mówi. - Gospodyni odwróciła nieco głowę w stronę Marty, ale nie na tyle, by spojrzeć jej w twarz. - Carrie. Od pani wizyty.

- Naprawdę? - Oddech anioła zesłany z nieba przez rozstępujące się chmury - tym było tych kilka uprzejmych słów. Tak, Mirkwood też musiał to tak odczuć. - Bardzo miło mi to słyszeć. Zupełnie mnie wtedy oczarowała. Może jej pani powiedzieć, że też o niej myślałam.



Brak odpowiedzi. Jednak teraz to już jej nie powstrzyma. Położyła sobie Hioba nieco wyżej na ramieniu i znalazła miejsce, w którym pani Weaver mogłaby ją widzieć bez odwracania głowy.

- Właściwie to myślałam o wszystkich pani dzieciach. Nie sądzę, żeby miała pani szansę o tym słyszeć, ale mój wikariusz otwiera szkołę. Chłopcy w każdym wieku i młodsze dziewczynki będą się uczyć w ciągu tygodnia, a w niedzielę po mszy będą też zajęcia dla starszych dziewcząt. Nauki religijne oczywiście, ale poza tym...

- Nie mamy żadnego pożytku z waszego kościoła. - Nawet nie podnosząc wzroku, by zobaczyć, jak pani Russell przyjęła tę bezczelną uwagę, zaczęła rozkładać prześcieradło.

- Pozwoli pani, że pomogę. - Marta pospiesznie podeszła do niej, trzymając dziecko na biodrze, i złapała za drugi koniec prześcieradła. Stopniowo rozwinęły prześcieradło, rozciągnęły tak mocno, jak to było możliwe, i rozwiesiły na sznurze; zapach ługu drażnił kobiecie nozdrza. Odchrząknęła.

- Są państwo... metodystami? - Ostatnie słowo wypowiedziała ostrożnie. Tak wiele biednych rodzin podążało tą drogą. - Ale jestem przekonana, że pan Atkins wierzy w edukację dla wszystkich. Nawet sam studiował niektóre z kazań pana Wesleya. - Tak, studiował je, by przygotować argumenty przeciwko nim, ale tego nie musiała dodawać.

Teraz pani Weaver odwróciła się w jej stronę. Położyła jedną rękę na plecach i przyjrzała się gościowi wzrokiem bez wyrazu.

- Z metodystów też nie mamy żadnego pożytku.

- Och, rozumiem. - Marta czuła, jak jej twarz pokrywa rumieniec. Nikt nigdy nie powiedział czegoś podobnego w jej obecności, i to jeszcze przy dzieciach.

A jednak zostało to powiedziane i nie można było tego cofnąć, a ona wciąż tam stała i gospodyni też, a dzieci niezrażone kontynuowały pracę. Może puścić to mimo uszu. Nie przyszła tu w końcu badać stanu duszy tej kobiety.

- Jeśli mam być naprawdę szczerą, nauki duchowe są kwestią drugorzędną. Mamy nadzieję, że z czasem starsze dziewczęta będą chodziły na zajęcia w tygodniu razem z chłopcami. Jednak ten pomysł jest dla wielu rodziców czymś nowym, to znaczy edukacja dziewcząt, więc pomyśleliśmy, że wprowadzimy go stopniowo.

Nie było możliwe, by stwierdzić, jak te słowa wpłynęły na panią Weaver. Wieszła kolejną rzecz - zniszczoną dziecięcą koszulę - i przypinała ją za dekolt, w miejscu, gdzie był sznurek, by rozprostować koszulę. Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze i zamknęła oczy. Położyła rękę na brzuchu, a z twarzy odpłynęła jej krew.

- Pani Weaver, dobrze się pani czuje? Gospodyni kiwnęła głową i drugą ręką zakryła usta.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie wygląda pani dobrze. Nie powinna pani usiąść? Mogę coś pani przynieść? - Marta popatrzyła po kolei na każde z dzieci, ale żadne nie rzuciło się na pomoc. Żadne nie pokazało po sobie śladu troski.

Pani Weaver znowu głęboko odetchnęła.

- To za chwilę minie. Zawsze tak jest w pierwszych miesiącach.

- Pierwszych... Oczekuje pani kolejnego dziecka? Tak szybko? - Hiob, który niemal usnął, wydał z siebie nową serię szlochów, jakby oburzony tą perspektywą.

- Za osiem miesięcy, minus tydzień czy dwa. Niedługo. Osiem miesięcy. Przez jedną wstydliwą chwilę jej cała uwaga

skupiła się na tym stwierdzeniu jak pies myśliwski, który wy-

węszył głuszcza. Dziecko. Za osiem miesięcy. Być może chłopiec. A ta rodzina i tak już miała więcej dzieci, niż mogła utrzymać.

Jak nisko upadła! Bezbożność pani Weaver, dekadentyzm Mirkwooda były niczym w porównaniu z tym nikczemnym, chciwym pragnieniem. Zdecydowanie musi skierować swoją uwagę na inne tory.

- Ale pani dziecko nie może mieć nawet roku. - Zniżyła głos z powodu dzieci. - Przecież to zbyt krótko, by dojsć do siebie po poprzednim porodzie.

Pani Weaver pokręciła głową i w końcu otworzyła oczy. Jej twarz odzyskała normalne kolory, ale wyglądała na bardziej zmęczoną niż wcześniej.

- Proszę zapytać swojego wikariusza, dlaczego Bóg tak chciał. Dlaczego dzieci są darowane kobietom, które o nie nie proszą. Jeśli jest w tym jakiś boski cel, ja go nie dostrzegam. - Opuściła obie ręce i wzięła wyżętą halkę od małego chłopca, który siedział najbliżej niej.

Marta ugryzła się w język. Musiała coś powiedzieć, chociaż było to impertynenckie i prawdopodobnie to i tak nie była jej sprawa; a jeśli teraz obrazi pani Weaver, to za osiem miesięcy nie może mieć nadziei, że... Nie. Nie pozwoli, by nadzieja na coś takiego powstrzymała jej słowa.

- Sądzę, że to pytanie lepiej zadać mężom takich kobiet niż duchownym. - Zrobiła krok w stronę gospodyni, by oszczędzić dzieciom słuchania tak skandalicznych rzeczy. - Gdyby mężczyźni potrafili nauczyć się cenić zdrowie i wygodę swoich żon wyżej niż własne pragnienia, to mniej by było kobiet umierałoby podczas porodu, mniej biednych osieroconych dzieci i mniej kobiet schorowanych, zanim się zestarzeją. Czy to proszenie o zbyt wiele od mężczyzn, by okazywali trochę opa-

nowania? - W końcu mężczyźni mogli sami zadbać o swoje potrzeby. Widziała, jak to wygląda.

Pani Weaver gwałtownymi ruchami rozciągała i rozprostowywała każdą wieszaną rzecz.

- Dla pani to z pewnością wygląda inaczej. Jednak niektóre kobiety mają szczęście, jeśli w ogóle znajdą męża. Pan Weaver był bardzo dobry, że się ze mną ożenił. Zniósł bardzo wiele. Nie mam mu nic do powiedzenia w tej kwestii. - Wytarła ręce w fartuch i spojrzała Marcie w oczy. - Dziękuję za pomoc przy dziecku. Gdyby była pani tak miła i zaniósła je do kołyski, mogłaby pani przywitać się z Carrie. Proszę uważać na świnię, gdy będzie pani wychodziła frontowymi drzwiami.

„Gospodyni przynajmniej mi podziękowała” - pomyślała wdowa w drodze powrotnej do Seton Park. Musi to uznać za postęp. Może zrobić więcej w tym domu i w innych. Szczególnie teraz, kiedy kolejne dni w całości będą należeć do niej. Jeśli dzisiejsza obecność Mirkwooda w jej łóżku okaże się niepokojąca, będzie mogła wspomóc się rozmyślaniami o tym, co może osiągnąć jutro.

Przyszedł blisko północy, bijącą od niego aurę męskiego wigoru czuła aż z łóżka. Usiadła prosto; odłożyła książkę i patrzyła, jak mężczyzna zamyka za sobą drzwi i wrzuca klucz do kieszeni. Jeden płynny ruch przesycony satysfakcją człowieka, który spędził dzień na godnych sprawach i teraz go zakończy odrobiną rozpusty.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zauważył jej nagie ramiona.

- Jest już pani naga, prawda? Bardzo dobrze.

Marta zgięła nogi w kolanach i objęła je ramionami, uważając, by kołdra się z niej nie zsunęła.

- Podejrzewałam, że może być pan zbyt zmęczony, by pomóc mi się rozebrać.
- Zmęczony? Ha. Proszę się przygotować. - Opadł na fotel i zaczął ściągać buty. Podciągnęła kołdrę nieco wyżej.
- I co pan myśli o młócce?
- Myślę, że ludzie powinni przestać się tym zajmować, jak tylko ktoś wymyśli maszynę, która to za nich robi. Dobry Panie. Czy kiedykolwiek widziała pani, jak to się robi? To harówka, walenie cepami w ziemię i cała ta sieczka dostająca się wszystkim do oczu. Z pewnością też do płuc, mimo szmat, którymi robotnicy mają zasłonięte nosy i usta. Dziwię się, że wszyscy nie chorują na gruźlicę. - Pochylił się do przodu i wrócił do zdejmowania butów.
- Jednak podejrzewam, że z wykonywaniem pracy własnymi rękami wiąże się pewna duma, która może zniknąć, jeśli praca zacznie być wykonywana przez maszynę.
- Mniejsza o dumę. Mniejsza o pracę własnych rąk. Jeden z tych mężczyzn mógłby być moim dziadkiem. Zupełnie tego nie pochwalam. Życzy pani sobie kontynuować ten temat czy może porozmawiamy o czymś innym? Czy możemy zaczynać?
- Był w bardzo dziwnym nastroju. Pozwoliła sobie na uśmiech.
- Sądzę, że na dziś wystarczy. Proszę się rozbierać. Natychmiast wstał z krzesła i podszedł do lichtarza.
- Będzie pani chciała przygasić światła, jak sądzę. Żeby uniknąć mojego widoku... - Światło świec zaiskrzyło na jego jasnych włosach jak promienie słońca na tafli jeziora. Jego skóra wydawała się rozświetlona od środka, a oczy były nieprzeniknione.
- Jak pan woli. Myślę, że zaczynam się przyzwyczajać do pana widoku.

- Słowa, które rozpalą każdego mężczyznę. - Polizał palce i pogasił świece jedna po drugiej, nie zwracając sobie głowy użyciem wygaszacza. - Będziemy się kochać po ciemku. Spróbujemy czegoś nowego.

Kolejny zduszony syk i wszystkie świece zgasły. Teraz był tylko jednym z cieni wśród innych w ciemnym pokoju. Słyszała szelest materiału, kiedy się rozbierał, i jakieś metaliczne kliknięcie - być może spinka od mankietu otarła się o guzik. Przez wąską szparę między zasłonami wpadało światło księżyca przesłonięte tylko nielicznymi chmurami. Wystarczyło być może zobaczyć zarys jego sylwetki, kiedy jej oczy przyzwyczajają się do ciemności, jednak nie było na tyle jasne, by odczytać z jego twarzy emocje lub zamiary.

Nie żeby tego potrzebowała. Wiedziała, jaki miał nastrój i intencje. Widziała je dostatecznie często. Leżała i czekała.

Coś nowego. Ha. Po ciemku i nie odzywając się, mógłby być kimkolwiek. Mogła udawać, że Theo jest kimś innym, gdyby lubiła takie rzeczy. Być może wyobraziłaby sobie tego wikariusza, nieśmiałego i pełnego zapału w noc poślubną. Wtedy być może odpowiedziałaby na pieszczoty.

Theo zawahał się, łapiąc za słupek łóżka. Słyszał w ciemności jej miękki, cierpliwy oddech.

Jak zabrałby się do tego mężczyzna, którego pierwszą kobietą byłaby jego żona? Taki mężczyzna musi być spragniony rozkoszy. Może być niezdarny, zwłaszcza jeśli jego wybranka jest wdową, która nie potrzebuje tych czułych zabiegów, jakich oczekuje świeżo poślubiona żona, która jest dziewicą.

Może się spieszyć i zostawić czułości na kolejny raz. Czy tak to sobie wyobrażała?

Położył jedno kolano na materacu. Będzie wiedziała, że nie jest już sama w łóżku.

Jeśli mężczyzna odmawia sobie rozkoszy, równie dobrze może być mistrzem samokontroli i tę umiejętność mógłby wykorzystać w noc poślubną. Mógłby uprawiać miłość powoli, by rozkoszować się każdym odkrytym sekretem. Theo przejechał ręką po kołdrze, złapał ją i ściągnął z Marty. Nic, z wyjątkiem powietrza, nie oddzielało go od niej.

Ten doskonale nad sobą panujący mężczyzna po raz pierwszy widziałby jej nagie ramiona. Theo położył drugie kolano na łóżku, a rękę ostrożnie oparł obok jej poduszki. Drugą rękę - ledwo wierząc, że ma do tego prawo - opuścił i dotknął jej miękkiego ramienia. Przesunął po nim palcami. Kciukiem znalazł jej obojczyk i pogłaskał go. I po wgłębieniu pod spodem. Co za wdzięczny łuk. Niedługo, kiedy nabierze odwagi, przesunie dłoń niżej. Nachylił się i pocałował jej ramię.

Na kilka sekund przestała oddychać. Może to zmieszanie. Może coś innego. Delikatnie wsunął kolano między jej nogi, by znaleźć się dokładnie nad nią.

Nigdy nie lubiła, jak ją całował w usta czy gdziekolwiek indziej. Jednak dzisiaj zasady mogą być inne. Zasady mogą być inne dla mężczyzny, który musiał się o niej wszystkiego dowiedzieć. Musnął ustami jej obojczyk raz i drugi.

Znowu wstrzymała oddech, tym razem na krócej. Jedną ręką nieśmiało złapała go za ramię.

Pozwoli jej być nieśmiałą. On też taki będzie. Przesunął usta na jej szyję, zatrzymując się, gdy poczuł pod nimi ciepły puls. Zaczął ją uspokajająco głaskać po ramieniu. „Nie jesteś bardziej zdenerwowana niż ja”, mówił jego dotyk i ten pomysł, by zbliżyć się do kobiety nieco niepewnie, zaczął być nieprawdopodobnie podniecający.

Wsunął drugie kolano między jej nogi i delikatnie przesunął się w dół. Uważał, by jej nie przygnieść, a jego penis dotykał

jej ciepłego, delikatnego ciała, ponieważ nie był tak odważny, by od razu w nią wejść. Również dlatego, że jeśli tak się do niej przytuli, może sprawi, że jej ciało odpowie zaproszeniem na jego nieśmiałe pieszczoty.

Ledwo dostrzegalnie zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Drugą dłoń, lekką jak motyl, położyła mu na barku. Lekko poruszyła biodrami - jej pierwsze małe ustępstwo na rzecz pożądania - przesunęła się odrobinę, żeby jego penis dotykał jej ciała w miejscu, gdzie mieszkała rozkosz. On też zmienił pozycję, jakby przez przypadek albo jakby robił to pierwszy raz i dopiero zaczynał odkrywać, jak ma postępować. Cofnęła się i cudownie naprężyła.

Dobry Panie. Nareszcie odkrył, co robić. Wszystko, czego było trzeba, to ciemność i cisza oraz powściągliwość. Nic, z czym by sobie nie poradził.

Pocałował jej policzek, obsypał pocałunkami twarz. Poruszyła się pod nim. Znalazł kciukiem kącik jej ust, po czym zastąpił kciuk ustami.

Nie rozchyliła warg, więc nie wsunął jej w usta języka. Zaczął całować jej drugi policzek. Gdzieś wśród swoich i jej oddechów usłyszał, jak kobieta rozchyła usta i być może nawet wysuwa język, by oblizać miejsce, w którym ją pocałował.

- Smakuje pan alkoholem - zauważyła. Czuł, jak jej ciało reaguje na jego dotyk.

- Tak, brandy - wyszeptał, żeby jego głos brzmiał jak głos każdego innego mężczyzny. -

Potrzebowałem dodać sobie dzisiaj odwagi.

- Mirkwood - jej szept stał się ostrzejszy. - Jest pan pijany?

- Pijany pani zapachem. Pijany dotykiem pani skóry. - Czuł, że ona chowa się do swojej skorupy. Jej biodra opadły na ma-



terac i znieruchomiały. Przestała reagować na jego dotyk, jakby to był tylko ulotny sen.

- Mój zapach i dotyk skóry jest panu całkowicie znajomy. Myślę, że brandy pana ogłupiła. - Jak bardzo wdowa chciała uciec przed odczuwaniem pożądania, skoro uciekała się do wymówki tak błażej jak kieliszek brandy.

Rzeczywiście znał ją. Powinien był wiedzieć, co robić, niż myśleć, że uda mu się rozbudzić w niej pożądanie, udając niedoświadczonego kochanka. To nie była taka kobieta, a on nie był takim mężczyzną. Nic dziwnego, że mu nie uwierzyła. Co on wiedział o niewinności? Pierwszy raz był z kobietą, gdy miał piętnaście lat, tego samego dnia, kiedy zrozumiał znaczenie ukradkowych spojrzeń rzuconych mu przez niezaspokojoną żonę sąsiada. Dawno utracił niewinność i nie mógł jej odzyskać. Nigdy nawet nie przyszło mu przez myśl, by tego żałować.

Teraz też nie będzie tego żałował.

- Mam przejść do sedna? - Już nie zawracał sobie głowy szeptaniem.

- Kiedy tylko pan zechce.

I to był koniec. Uniósł się na rękach i zaczął zaspokajać własne potrzeby, jak beztroski nicpoń, którym był. Niech diabli porwą nieśmiałość. I nieśmiałych mężczyzn. Jedną ręką złapał za wezgi, dysząc lub sycząc przez zaciśnięte zęby, kiedy miał ochotę krzyknąć. Doszedł i odrzuciwszy głowę do tyłu, zadrżał jak młode drzewo w czasie huraganu. Oczywiście w ciszy, ponieważ nie mógł zaalarmować służby. Poza tym nie chciał też pokazać wdowie, że nawet bezczelny mężczyzna wie coś o samokontroli.

„Głupia”, ganiła się w rytmie jego pchnięć. „Głupia, głupia, głupia”. Nie tak dawno знаła wszystkie powody, dla których

warto opierać się mężczyźnie. Na ileż sposobów człowiek mógł zdradzić samego siebie. Pożądanie mogło skłonić kobietę do oddania się, dopóki nie zostanie nic poza pustą skorupą pełną żalu. Wszystko, co należało do niej, należałoby do mężczyzny, którego by tym obdarzyła, i nigdy by tego nie odzyskała. A on by tego w ogóle nie cenił.

Oszustwo. Oszustwo napędzane alkoholem doprowadziło ją niemal do klęski, razem z tymi sprawnymi muśnięciami ust na obojczyku, perfidnymi ruchami jego bioder. Jednak w porę się opanowała i mogła sobie przypomnieć, czego chce, a czego nie.

Mirkwood skończył i leżał, dysząc ciężko, obok niej. Czekwała, by uzyskać pewność, że on usłyszy ją mimo ciężkich oddechów.

- Życzę sobie i mam nadzieję, że już więcej nie przyjdzie pan do mojego łóżka pijany. - Jej głos brzmiał surowo i sucho. To było oczywiste. - Ten zwyczaj mnie obraża.

- Nie jestem pijany. - Odetchnął głęboko. - Tylko przyjemnie wzmocniony. A co do zwyczaju, to można od czasu do czasu napić się brandy i nie zrobić z tego codziennej praktyki.

Poczuła, jak zbiera w niej gorzki śmiech, i musiała zwalczyć pokusę roześmiania się.

- Mężczyźni zawsze uważają, że potrafią kontrolować swoje zwyczaje, i nigdy nie dostrzegają, że prawda jest inna.

- Mówię pani, że to nie zwyczaj. - Teraz usłyszała w jego głosie irytację. - Zaprosiłem do domu Granville'a na szklaneczkę czy dwie. Chciałem być towarzyski. To pierwszy raz, kiedy napiłem się alkoholu, odkąd się znamy. A jeśli potrzebuje pani dalszych zapewnień, powstrzymam się jutro od picia. Czy teraz już przestanie się pani do mnie zwracać, jakbym stał na ławie oskarżonych za publiczną rozpustę?

Rozważała te słowa w ciemności. Może mówi prawdę. Jej brakowało obiektywizmu w tej kwestii. I nigdy wcześniej nie

widziała, by był pijany, chociaż oczywiście niektórzy mężczyźni potrafili doskonale to ukrywać. Może powinna zawiesić osądzenie go do jutra, kiedy dotrzyma słowa albo je złamie. Odetchnęła głęboko.

- Przepraszam. Mam bardzo mało tolerancji dla pijaństwa.

- Tyle zrozumiałem. - Odwrócił się do niej. Jego ton stał się łagodny. - Kto miał ten nieznośny zwyczaj? Pani ojciec? Mąż? Brat, z którym nie chce pani mieszkać?

W środku aż ją ścisnęło na tak bezpośrednie pytanie, ale słowa same cisnęły się jej na usta.

- Andrew? To absurd. Jest tak zdyscyplinowany, że ja wydaję się przy nim pobłażliwa.

- W takim razie mam nadzieję, że nigdy go nie poznam. - Mówił spokojnym, miłym, konwersacyjnym tonem. - Czy jego charakter i pani jest może reakcją na dorastanie z rodzicem nadużywającym alkoholu?

To nie była jego sprawa. Zupełnie nie. Zacisnęła usta. Jeśli jednak teraz zamilczy, zachęci Mirkwooda, by źle myślał o jej ojcu.

- Jak może pan pytać? - Nie mogła znieść tej niesprawiedliwości. - John Blackshear był poważnym, wolnym od nałogów, studiującym Biblię człowiekiem. - Teraz powinna bronić pana Russella. To było logiczne. Ale nic nie powiedziała.

- Aha. - Sylaba wypełniona zrozumieniem. Teraz sądził, że wie wszystko. Wyczuwała sposób, w jaki jego umysł pracował w ciemności: odtwarzał każde ich spotkanie, ale z tą informacją jak ukrytym podtekstem. Jakby ten jeden aspekt jej małżeństwa mógł wyjaśnić wszystko, czego w niej wcześniej nie rozumiał.

- Chce pani o tym porozmawiać? - zapytał po chwili.

- Nie.

- Rozmawiała pani kiedyś na ten temat z kimkolwiek?

- Nie.

Słyszała, jak mężczyzna kilka razy otwiera usta, by coś powiedzieć.

- Bił panią?

- Nie. - Na litość boską. - Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Miał gwałtowny temperament?

- Nic z tych rzeczy. Nic z tego, o czym czyta się w powieściach. - Wymyślił sobie melodramat, jeśli ona mu tego nie wyjaśni. - To był raczej rodzaj nieobecności. I przeszkoda dla mnie w okazywaniu szacunku, jakim żona powinna obdarzać męża. Ponieważ uważam, że na mężczyznę powinno się móc liczyć. On powinien potrafić nad sobą panować.

- Niewielka na to szansa w przypadku kogoś, kto jest niewolnikiem butelki. - Jego słowa tylko uwypuklały jej racje i zachęcały do kontynuowania.

- Tak właśnie było. Picie sprawiło, że stał się zmienny. Miał ogromne dziury w pamięci. Zapominał wiele wydarzeń.

- Ale nigdy nie zapominał drogi do pani łóżka. Wstrzymała oddech. Trafił dokładnie w sedno, jakby rozciął

ją na pół i położył dłoń na jej bijącym sercu. Chociaż uznawała zwyczajnie męża za uciążliwy kłopot, coś, co nie mogło jej naprawdę dotknąć, to pozostawało niezmiennie: on, jej mąż, mógł jej dotykać, kiedy tylko chciał. Mężczyzna, który sprawił, że jest dla swojej żony kimś obcym, i tak miał to prawo. A ona nie miała prawa odmówić.

„Mogło być gorzej. Nie bił cię. Nie był okrutny”. Te surowe wyrzuty nigdy nie miały wzmacniającego efektu, jakiego można by sobie życzyć. Zaczęła gwałtownie mrugać, chęć do płaczu, który ujawniłby jej czuły punkt, na szczęście skrywały

ciemności. Odetchnęła i mocno zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w ciało.

- Marto. - Jego głos był jak zachęta do ciepłej kąpieli i pływania się w tym uczuciu.

- Panie Mirkwood. - Powiedziała te słowa głosem, który miał go powstrzymać przed tym, co zamierzał zrobić. - Pańska uprzejmość i troska dobrze o panu świadczą. Jednak powiedziałam już wszystko, co chciałam powiedzieć na ten temat. Sugeruję, żebyśmy poszli spać.

W powietrzu czuć było jakiś ruch. Nieomylnie, mimo ciemności, wyciągnął rękę i położył na jej głowie. Zakrył ucho, zanurzając palce w jej włosach. Przez chwilę trzymał dłoń w tym miejscu, a potem przyłożył usta do jej czoła.

- W takim razie dobranoc - powiedział. Poczowała jego ciepły oddech na włosach. Położył się, nie mówiąc już ani słowa, a ona słuchała jego oddechu, który stawał się coraz dłuższy, aż w końcu zmienił w ciche pochrapywanie.

W pewnym momencie w środku nocy Marta odwróciła się i natrafiła na leżącego obok mężczyznę. Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie, jakby jej miejsce było po tamtej stronie łóżka, a ona jakoś zawędrowała nie tam, gdzie trzeba. Wstrzymała oddech i czekała na to, co potem nastąpi, ale nic się nie stało. Jego ramię poruszyło się bezwiednie, być może w odruchu wypracowanym przez niezliczone noce spędzone z kobietą w zasięgu ręki. Albo może śnił teraz o jakiejś innej kochance. To nie była jej sprawa. Mógł śnić, o czym mu się żywnie podobało. Marta wolałaby tylko nie być traktowana jako zastępczyni innej kobiety. Jej ciało było na tak wiele sposobów uwięzione: jego nogi splotły się z jej nogami. Jego ramię obejmowało jej klatkę piersiową, a podbródek i szyja stwarzały

miejsce odpowiednie akurat na ułożenie jej głowy. Czowała jego puls pod dłonią, która leżała na jego piersi. Z pewnością niedługo Mirkwood odwróci się w drugą stronę i wypuści ją, ale przez moment leżała tak, złapana w pułapkę jego ciała i nie mogła zrobić nic poza zastanowieniem się nad tą kłopotliwą sytuacją.

Jeśli kobieta kocha mężczyznę, musi tego chcieć. Co za dziwna myśl. Musi pożądać tego objęcia ramieniem. Tego miejsca, które jego ciało robiło dla niej. Tej melodii, przyciszonej i rytmicznej, wygranej przez jego puls i oddech, jakby po to, żeby ukołysać ją do snu.

Jednak jaka kobieta mogła spać w ten sposób, uwięziona przez mężczyznę? Czowała jego męskość na swoim biodrze.

Powoli wyciągnęła nogę spod jego nóg i przesunęła się na swoją stronę łóżka. Przemieściła się może sześć cali, a wtedy Mirkwood zacisnął dłoń i mocniej przyciągnął ją do siebie. Wymamrotał coś niezrozumiałego i znowu splótł swoje nogi z jej. Potem przycisnął usta do jej czoła. Poczowała, że jego penis się poruszył.

- Mirkwood - szepnęła. Nie mógł tego wszystkiego robić przez sen, prawda?

Nie odpowiedział i wśród ciszy jej usta, język, podniebienie złożyły się, by powiedzieć coś innego.

- Theophilus - to imię wydostało się z jej ust ulotnie i chimerycznie jak puszek z polnego mleczka.

Znowu coś wymruczał - czowała ten pomruk w jego klatce piersiowej - a potem zamilkł, słyszała tylko jego miarowy oddech.

Marta zamknęła oczy i czekała na sen lub wschód słońca. Prawdopodobnie to drugie. Jej oddech zlał się z jego oddechem. Cóż, jeśli nie będzie spała, przynajmniej będą mieli pewność,

że nie przegapią godziny, o której on będzie musiał wstać i cicho wyjść. Wtedy z nim pomówi o nauczaniu jego rąk i nóg dyscypliny.

Kobieta. Jakaś pierwotna zwierzęca część jego umysłu dostarczyła mu tej informacji. Kobieta, nie dalej jak dwie stopy od niego.

Jego nos potwierdził tę informację. Słodki zapach nagiej kobiety z jakąś kwiatową nutą. Bez. Puder o zapachu bzu. Ach tak. Ta kobieta.

Otworzył oczy. W wąskiej przerwie między zasłonami zobaczył szarość. Słońce jeszcze nie wschodziło, ale już niedługo. Wtedy będzie musiał iść.

Miał czas. Nie musiał jej budzić.

Była do niego odwrócona plecami, a jej włosy były rozsypane na poduszce, jedno ramię było widoczne spod kołdry. Podciągnął kołdrę i przykrył ją. W zamian przysunął się do niej. Jego pierś dotknęła jej pleców - delikatnie - i objął ją ramieniem, by zatrzymać w tej pozycji. Wsunął powoli kolano między jej nogi. Ręką złapał jej udo, podniósł je i położył sobie na nodze. Jego członek otarł się o nią, zatrzymując się na progu miejsca, gdzie się dla niego otwierała i - cicho jak opadający śnieg - wsunął się w nią.

- Co robisz? - Obudzona i zaalarmowana w jednej chwili. -Już to zrobiłeś wczoraj.

Zaklął cicho.

- Nie możesz tego po prostu przespać?

- Przespać? Straciłeś rozum? Umarłego byś obudził tym czymś.

- Dobry Panie. Gdybym wiedział, że budzisz się z poczuciem humoru, zostawałbym na noc już dawno.

- Wszedł w nią raz i drugi. Wracało do niego to, co powiedziała w nocy,

tak samo jak mgliste, ale gorliwe postanowienie, że będzie szanował jej powściągliwość i udowodni, że jest lepszym mężczyzną niż jej mąż.

A teraz narzucał się jej - w niej - i domagał, żeby z powrotem zasnęła. Mimo to nie powstrzymała go. Zrobiłaby to gdyby naprawdę była przeciwna.

Pchnął raz jeszcze i wyszedł niemal cały z drżącym oddechem.

- Naprawdę chcesz, żebym przestał? - Dyszał, jakby przebiegł drogę z Vauxhall do St. James.

Czuł, jak jej płuca powoli napełniały się powietrzem, gdy to rozważała.

- Myślę, że to może być akurat ta porcja nasienia.

- Bardzo dobrze. To może być to. - „Zrobię, co w mojej mocy, żeby tak było”. To było miejsce na szlachetne intencje. Przerwał i pocałował ją w ramię, jednocześnie uważał, by nie urazić jej swoim nieogolonym policzkiem, i wrócił do uprawiania miłości.



## Rozdział 11

Drugi dzień młocki tylko utwierdził go w poprzednim przekonaniu. Jak miał się kiedykolwiek ponownie cieszyć jedzeniem kromki chleba, wiedząc, że jej powstanie zostało opłacone taką harówką? I co za prymitywny bufon jako pierwszy znudził się szczodrymi darami ziemi w postaci owoców i zwierzyny i zwrócił uwagę na zboże? Chciałby poznać tego człowieka i mu przyłożyć. To jest, jeśli nie stracił całej sprawności. Prawie cztery tygodnie bez żadnego towarzyskiego pojedynku mogły wyrządzić nieodwracalną szkodę. Puścił lejce, by rozprostować palce.

- Chciałby pan, żebym przejął powożenie? - Pan Quingley, mężczyzna o wyglądzie charta, był wyraźnie skonsternowany naleganiem właściciela posiadłości, by to on powoził, zamiast jechać obok konno, jak miał zrobić Granville, i cały czas wypatrywał znaku, że powinien przejąć lejce.

- Skąd. Zrobił pan swoje w trakcie młocki w tym tygodniu. Teraz proszę się odprężyć i podziwiać krajobrazy w drodze do młyna.

Quingley położył rozczapierzone ręce na kolanach i marszcząc brwi, spojrzał na drogę przed sobą. Coś w jego zachowaniu przywiodło Theo na myśli panią Russell. Ci mieszkańcy Sussex niespecjalnie lubią przyjemności.

Mijali kolejne krajobrazy, aż wreszcie na horyzoncie pojawiło się miasto, a przed nim niewielka rzeka - nad jej brzegiem młyn z szarych cegieł. Woda spadająca na górę koła młyńskie wprawiała je w ruch z dostateczną siłą, żeby obracać kamieniem szlifierskim. Powodowały to przekładnie, a w każdym razie tak twierdził Granville. Duże i małe przekładnie współdziałały w jakiś tajemniczy sposób, aby kamień kręcił się nawet szybciej niż samo koło. Również na boki. Koło młyńskie osadzone było pionowo, podczas gdy kamienie młyńskie, zarówno te zamontowane na stałe, jak i te, które się obracały, leżały poziomo. Granville naszkicował mu wykres i Theo kiwał mądrze głową, podczas gdy tak naprawdę był zajęty marzeniami o łóżku wdowy.

W młynie rozładowali worki ze zbożem - niech Quigley przygląda mu się z powątpiewaniem, ile tylko chce; mógł się mierzyć siłą fizyczną z każdym robotnikiem - i patrzyli, jak napędzany kołem łańcuch podnosi worek jeden po drugim na piętro, gdzie młynarz czekał, żeby wsypać ziarna do zsypu prowadzącego do młyńskich kamieni. Nie będzie nic do roboty poza czekaniem, aż pszenica wróci do nich w workach z mąką.

Theo rozejrzał się i sięgnął po kapelusz, który odłożył podczas rozładunku wozu.

- Chyba przejdę się do miasta, jeśli nie jestem tu potrzebny - powiedział do zarządcy. -

Przyzwyczailem się do chodzenia na długie wycieczki o tej porze dnia, ale jeszcze nie odwiedziłem żadnego z okolicznych miast. - Zbyteczne kłamstwo. Z tego co wiedział, Granville mógł nawet nie zauważyć, że Theo

wychodzi popołudniami. W każdym razie rzeczywiście zarządca chwilowo go nie potrzebował. Quigley też nie zgłaszał żadnych obiekcji, więc Theo ruszył w drogę, tam, gdzie wioska naprawdę się zaczynała.

Mieścina była dość ładna, z ceglanymi, bielonymi i drewnianymi budynkami stojącymi obok siebie. Wzdłuż głównej drogi rozstawiono stragany: akurat trafił na dzień targowy. Dziecko o płowych włosach wychylało się z okna na piętrze, z szeroko otwartymi oczami przyglądając się zgiełkowi na dole. Theo uchylił kapelusza, gdy dziecko na niego spojrzało, i został nagrodzony radosnym machaniem ręki, jakby był ukochanym wujkiem, który wrócił z zamorskiej podróży z prezentami. Wymacał kilka monet w kieszeniach surduta. Może coś tu kupi. Na przykład dobry ser dla pana Barrowa. Może coś dla pani Russell. Ruszył w kierunku końca ulicy, żeby potem, wracając, oglądać stragany.

Więcej niż jedna ładna dziewczyna spojrzała na niego, gdy przechodził. Nawet w najzwyklejszym ubraniu, które włożył, wiedząc, że to będzie pracowity dzień, zwracał uwagę w tym mieście. Lekkim ruchem poprawił surdut i uśmiechnął się do najbliższej dziewczyny.

Od tego mogło się coś zacząć. Często tak było. Wymiana spojrzeń, wzrok przytrzymany na kimś przez pół sekundy, dłużej niż wypadało, uśmiech, z którego mógł wyczytać wszystko albo nic.

Niech diabli porwą jego płytką duszę. Czyżby nie był lepszym człowiekiem? Wydawało mu się, że myślał z czułością o pani Russell. To z pewnością powinno wykluczyć takie spekulacje dotyczące innych kobiet. Na przykład spojrzenie tej

z rudawymi lokami wymykającymi się spod czepka. Albo jej usta, kapryśnie skrzywione i pełne. Jego ciało dbało po prostu o jego dobro, prawda? Nie będzie żadnego pożytku z czułych myśli o pani Russell. Gdyby był dość nierozsądny, by wpaść w sidła miłości - a jeden Pan wie, że w większości przypadków był dostatecznie nierozsądny -to byłby w nich sam. Patrzyłby na nią, jakby z dna głębokiej studni, do której nieopatrznie wpadł, a ona patrzyłaby na niego z góry z wyrazem dezaprobaty na twarzy, ponieważ lubiła odpowiedzialnych mężczyzn, a jemu nie można było zaufać nawet w kwestii tego, gdzie stawia stopy.

Mimo to będzie jej wierny. Obiecał wdowie miesiąc wyłącznej uwagi, a słowo dane przez mężczyznę musi coś znaczyć. Z rozmysłem odwrócił się do innego straganu, gdzie jedyna kobieta była niegroźna; dobrze zbudowana matrona ubrana w lawendę symbolizującą żalobę. Kolejna wdowa, z pewnością. Tym lepiej. Wybierała coś z ogromną powagą z liściastego asortymentu straganu. Sałata. Rzeżucha. I Bóg jeden wie co. Zerknęła na niego i on też zainteresował się liściastymi zakupami.

- Proszę mi wybaczyć. - Dlaczego nie zapoznać się z nią, nawet jeśli tylko na minutę czy dwie, kiedy muszą znosić swoje towarzystwo? Odezwał się cicho, by nie włączać do dyskusji sprzedawcy. - Zupełnie nie wiem, jak wybrać dobrą sałatę. Czy ciemne liście są lepsze?

Spojrzała na niego, tym razem z zaciekawieniem.

- To najlepsza, jaką prawdopodobnie pan znajdzie -mruknęła tym samym poufnym tonem. - Ale proszę nie płacić za nią więcej niż dwa pensy, nieważne, ile zażąda kupiec.

Co mógł zrobić poza kupieniem tej sałaty? Jedną ręką podniósł warzywo, drugą wyłowił z kieszeni kilka monet.

- Sałata dla pana? - zapytał sprzedawca, wcielona uprzejmość. - Pięć pensów.

Pewnie Theo powinien teraz zmusić sprzedającego do targowania się w nadziei, że oszczędzi trzy pensy. Spojrzał na kobietę, ale była skoncentrowana na pietruszce i nie odwzajemniła spojrzenia.

Zapłacił pięć pensów.

- Kiepsko rozegrane - powiedziała kobieta przez zaciśnięte usta, jak tylko sprzedawca się odwrócił. - Zobaczył pana ubranie i podniósł cenę. Zawsze tak pana wykorzystają, jeśli im pan pozwoli.

- To tylko trzy pensy. Traciłem tyle przy czyszczeniu kieszeni.

- I o tym też wiedział, gdy na pana popatrzył. Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan, jakby nie miał pojęcia, co ile kosztuje.

- To prawda. - Bycie pouczanym przez kobietę w żalobie stało się dla niego ostatnio niemal przyjemnie znajome. - Chciałem kupić kawałek sera i kompletnie nie wiem, ile powinien kosztować. Ten temat ją zainteresował.

- Lepiej by pan zrobił, kupując własną krowę. W tej okolicy jest tylko jedna mleczarnia i ich ser jest dość podły. I z pewnością pan za niego przepłaci jak za tę sałatę.

- Nie mogę żałować tych trzech pensów. Nie poskapię temu człowiekowi małego zarobku. Jeśli może zarobić dodatkowe kilka pensów na kimś, komu nie będzie ich brakowało, czy to nie pomoże utrzymać niższych cen dla pozostałych? - To był dość rozsądny argument, jakkolwiek by na to patrzeć.

Kobieta przyjrzała mu się krytycznie.

- Szczerze się obawiam o pana przy tym stoisku z produktami mlecznymi. Opróżnią panu kieszenie, zanim zrobi pan do połowy zakupów.

- Może w takim razie uda mi się panią namówić, żeby poszła ze mną i ustrzegła przed niebezpieczeństwem? Za fatygę podaruję pani tę wspaniałą sałatę. - W jego głosie zaczęły formować się pomysły; mgliste pomysły na więcej niż jeden dobry uczynek, w czym ta kobieta może odegrać swoją rolę.

- Proszę zatrzymać sałatę. Nie mogłaby mi smakować za taką cenę, nawet zapłaconą przez kogoś innego. Mogę chyba poświęcić panu pięć minut.

Zaczęli iść ulicą. Przedstawił się jej. Kobieta nazywała się pani Canning, wdowa od kilku lat, nigdy nie zrezygnowała z żałobnego lawendowego koloru.

- Moją sąsiadką też jest wdowa - powiedział - chociaż ona owdowiała niedawno. Zna pani panią Russell z Seton Park?

Widział, jak towarzyszka ponownie koryguje swoją opinię o nim, na gorszą. Tak, do tego też był przyzwyczajony, jeśli chodzi o kobiety w żałobie.

- Ona pochodzi ze szlachty ziemskiej - odpowiedziała. - Nasze drogi się nie spotkały.

- Och, oczywiście. Chodzi tylko o to, że jest pani do niej bardzo podobna z zachowania, zdrowego rozsądku

i w prostym sposobie mówienia oraz oczywiście w powadze, z jaką podchodzi pani do wdowieństwa. Pomyślałem, że się znacie. - Ten podstęp doprowadził go do stoiska z produktami mlecznymi, gdzie się zatrzymał, założył ramiona i zrobił przedstawienie przy wystawionych serach.

- Nie mogłabym tego zjeść, gdyby to była jedyna rzecz, która mogłaby mnie uchronić przed śmiercią z głodu. - Pani Canning odrzuciła ser jednym gestem dłoni. - Chce pan powiedzieć, że sam złożył wizytę pani Russell?

- Raz czy dwa owszem. Ile sprzedawca będzie chciał za ten niejadalny ser?

- Osiem albo dziesięć pensów, jak słyszałam. Nie mają wstydu. Dałabym sobie rękę uciąć, że to w połowie trociny.
- Zmarszczyła brwi i przyjrzała się serowi srogim wzrokiem.
- To nie wypada, by niespokrewniony mężczyzna odwiedzał wdowę.
- Uważam tak samo. Żałuję, że nie przyjechała ze mną siostra, by dbać o dom, i wtedy mógłbym ją wysłać z wizytą. Samotny dżentelmen w takich przypadkach nie jest przydatnym sąsiadem. I raczej nie potrafię rozmawiać w odpowiedni sposób.
- Przejechał dłonią po brodzie zatroskanym gestem.
- Nie powinien pan w ogóle rozmawiać. Czy ona nie ma żadnej rodziny, która mogłaby do niej przyjechać?
- Obawiam się, że żadnej. Wszyscy są zajęci. - Przeszedł wzdłuż straganu. - Adwokat, żołnierz i tak dalej. I była mężatką zbyt krótko, by, jak sądzę, nawiązać przyjaźnie wśród mieszkającej w okolicy szlachty. Czy masło powinno mieć taki kolor?
- Proszę mi nawet nie mówić o maśle. - Pani Canning przeniosła na niego wzrok. - Wie pan czego dodają, by uzyskać ten kolor? Miedzi.
- Miedzi, naprawdę? Niezwykłe. Wie pani, panią Russell bardzo interesują takie sprawy. Dieta ludzi zbyt biednych, by mieć swoją krowę, i tym podobne. Powinienem jej powiedzieć. .. ale nie, lepiej, żebym jej nie odwiedzał. Ma pani rację. Chociaż w czasie mojej wizyty podała przepyszne ciasto. A teraz byłaby pani tak miła i ustaliła dla mnie ceny niektórych z tych produktów? - Wyjął ołówek i kieszonkowy notes. - Nie odważę się sam zapytać, bo będę musiał wszystko kupić. Pani Canning spełniała jego prośbę w przerażający sposób, dopytując się o ceny wszystkiego i powtarzając każdą sumę donośnie i z niedowierzaniem, żeby miał czas ją zanotować.

Oto ziarno pomysłu do przemielenia, o ile kamienie młyńskie w jego umyśle poradzą sobie z tym zadaniem. Schował notatnik i ołówek, podziękował towarzysze za jej czas i nalegał, by wzięła sałatę, nawet jeśli da ją świni.

Zamierzał kupić prezenty. Być może udało mu się coś lepszego. Mimo to, ponieważ dżentlemani powinien dokończyć to, czego się podjął, zatrzymał się przy stoisku z wypiekami i kupił słodką bułkę z rodzynkami. Na końcu ulicy rzucił bułkę dziecku o płowych włosach, które, śmiejąc się, złapało ją przy pierwszej próbie.

- Nie mam bladego pojęcia, jak poruszyć ten temat. - Marta stała przy wykuszowym oknie w swojej garderobie, obserwując Sheridan składającą bieliznę, która właśnie wróciła z prania. - Jej zachowanie jest zniechęcające. I kiedy dowie się, że szukam dziecka, z pewnością domyśli się powodu i wtedy będę na łasce jej dyskrecji i sympatii, a tej ostatniej ma chyba wyjątkowo niewiele.

Pokojówka wygładziła żałobną suknię wiszącą na drzwiach garderoby.

- Wątpię, by się nad tym przesadnie zastanawiała. Nie sądzę, żeby wieśniaków specjalnie obchodziły intrygi wyżej urodzonych. Dla niej prawdopodobnie nie ma znaczenia, kto jest właścicielem Seton Park.

„Wątpię... nie sądzę... prawdopodobnie”. To nie były dobre podstawy dla podejmowania takiego ryzyka. Marta położyła ręce na biodrach i uniosła podbródek.

- Chciałabym wiedzieć, jak długo James Russell zamierza tu zostać. Jeśli zamierza zostać aż do porodu, to nie wiem, jak uda się to wszystko załatwić.



- Jeśli urodzi pani syna, nie będzie nic do załatwiania. - Sheridan uklękła, by wyczyścić falbany na dole sukni.

- Tak, ale poleganie tylko na tym byłoby nierozsądne. - Chociaż tak naprawdę im dalej wchodziła w to przedsięwzięcie, tym bardziej nierozsądne się wydawało. Dziecko pani Weaver mogło równie dobrze okazać się dziewczynką. Jak powinna postąpić zdesperowana wdowa? Targować się z tuzinem innych kobiet o prawa do ich nienarodzonych dzieci, żeby mieć pewność, że dostanie przynajmniej jednego chłopca?

A jednak nie mogła żałować podjętych kroków. Nie, gdy alternatywą było bezczynne siedzenie i patrzenie, jak wszystko przechodzi na własność Jamesa Russella.

- Najpierw muszę zapewnić sobie sympatię tej kobiety. - Marta założyła ramiona na piersi i przeniosła wzrok na widok za oknem. - To z pewnością będzie wyzwanie, które będzie wymagało wiele wysiłku. Będę się martwiła, jak poruszyć wiadomy temat, kiedy to już osiągnę.

- Właśnie. Proszę jednak zostawić trochę wysiłków dla pana Mirkwooda. - Sheridan miała poważny wyraz twarzy, kiedy Marta na nią zerknęła, chociaż jej słowa brzmiały jak wypowiedane z uśmiechem.

- Pan Mirkwood stał się całkiem rozsądny. - Spojrzała jeszcze raz przez okno na las, przez który jej kochanek przyjdzie późno w nocy. - I ma więcej rozsądku, niż na początku sądziłam. W tej chwili jest najmniejszym z moich problemów.

- Mów do mnie tak jak tego pierwszego poranka. - Jego twarz nad nią była w połowie w cieniu, a w połowie oświetlona migoczącym światłem. Po dwóch nocach w ciemności postanowił zapalić wszystkie świece naraz. Ich światło tańczyło na

jego arystokratycznych rysach, nadawało jego skórze ciepły kolor, a w oczach rozpałało diaboliczne ogniki.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Stawianie oporu było przyjemnością samą w sobie, na którą mogła sobie pozwolić i która zdawała się go bawić.

- Ależ wiesz. „Umarłego byś obudził tym czymś”. - Przechylił głowę, by popatrzeć na nią spod zmrużonych powiek. - Tylko tym razem nazwij to. Umarłego bym obudził czym?

- Twoim męskim atrybutem. To oczywiste. - Na litość boską.

- Atrybutem. Dobry Panie. Czy twój mąż nie nauczył cię żadnych odpowiednich słów?

- Mój mąż był szanowanym człowiekiem. Znał różnicę między żoną a wulgarną ladaczną.

- Nic dziwnego, że nigdy nie było ci z nim dobrze. - Wsunął się w nią, unosząc na ramionach i wyginając plecy. Światło świec tańczyło na mięśniach jego klatki piersiowej i na jego brzuchu. Mógłby tak zostać na bardzo długo, a ona nie zmęczyłaby się patrzeniem. Ani delikatnym, rozkosznym naciskiem tam, gdzie spotykały się ich ciała. Wiedziała, co może, a czego nie może zrobić. Ale mogła sobie wyobrazić, jak on zacznie kołysać biodrami, być może z dodatkowym okrężnym ruchem, i mogła sobie wyobrazić, co zrobiłaby w odpowiedzi.

Pochylił głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Powiedz mi, co chcesz, żebym zrobił.

Poczuła, jak gdzieś pod jej mostkiem wybucha panika. Wiedział. Wiedział, co jej chodziło w głowie.

- Chcę tylko nasienia. Wiesz o tym. Znowu piłeś? - Wyrzuciła to z siebie na jednym szybkim oddechu.

W odpowiedzi dotknął ustami jej warg. Przejechał językiem po jej ustach, od jednego kącika do drugiego.

- Spróbuj - nakazał, cofając się o cal czy dwa. - Sama sprawdź.
- To nie było konieczne. - Spróbowała, szybko wracając na twardy grunt sprzeciwu.
- Ha. Może twoim zdaniem. - Nie powinien tak sobie pozwalać. Bez wątpienia zachęciła go, pozwalając mu zaspokoić swoje pożądanie tego poranka, jak również następnego. Ale to prawda, nie smakował dziś alkoholem. - Czekam. - Jego głos był delikatny jak letni deszcz, namawiał ją do opuszczenia schronienia i wyjścia na zewnątrz. - Powiedz coś niegrzecznego, Marto. Coś, czego nigdy nie powiedziałaś mężowi.
- Poruszyła się, chociaż ucieczka nic jej nie da.
- Nie mam pojęcia, co chcesz usłyszeć.
- Naprawdę nie? - Sam jego wzrok przyszpilał ją do materaca. Ciężar jego ciała był już niepotrzebny.
- Podpowiem ci. Zaczyna się na p...
- Czuła, jak na jej twarz wkrada się rumieniec. Przeklęte świece, które pozwolą mu to zobaczyć.
- Nie mogę tego powiedzieć.
- Nie? - Jego uśmiech jeszcze się poszerzył, wcielona nie-godziwość. - Zaczynasz od złożenia ust w dziubek i cofnięcia języka.
- Wiesz, o co mi chodzi. Nie używam wulgarnych słów. Ani zbędnych.
- Zbędnych. - Przechylił głowę w lewo i uniósł brew.
- Tak. - To mogła powiedzieć z przekonaniem. - Dlaczego miałabym zachęcać cię do robienia czegoś, co już robisz?
- W takim razie dobrze. - Odsunął biodra, naciskając natarczywie na jej udo. - Jak chcesz. Teraz musisz mnie zachęcić. Albo prosić, gdybym okazał się nieposłuszny.

Zapomni, że on to powiedział. Nie pozwoli, żeby jej wymyślony mężczyzna powiedział to później, chociaż sprawiło to, że przeszedł ją dreszcz. Napotkała wzrokiem nieustępliwe spojrzenie Mirkwooda i tak patrzyli na siebie przez kilka sekund. Potem wyciągnęła prawą ręką i przejechała palcem po jego sutku.

Zadrżał.

- Co robisz? - Jego głos natychmiast stał się ochrypły. Poczowała narastającą, niemądrą i zakazaną przyjemność

i wiedziała, że on też zrozumiał żart. Teraz to on powinien być tym, który będzie prosił. To on będzie tym wytraconym z równowagi, niepewnym, co ona robi.

- Dotykam cię. - Przeciągnęła palcem w drugą stronę. -W tym miejscu.

- Są dwa takie miejsca. - Jego opuszczone rzęsy rzucały cienie, wyolbrzymione przez światło świec, na policzki. - Dwa takie miejsca. Na wypadek gdybyś nie zauważyła.

Jak kot domagający się pieszczot. No cóż, dlaczego nie? Palcem drugiej ręki dotknęła drugiego sutka. Mężczyzna zamknął oczy i nachylił się w stronę dotyku, zupełnie jak kot. Jego oddech wyrównał się i zwolnił, jakby zainwestował każdą cząsteczkę energii, która normalnie służyła do innych celów, do odbierania tego wrażenia. Przechylił głowę najpierw w prawo, potem w lewo.

- Nie sądzę... - zmarszczył lekko brwi z wciąż zamkniętymi oczami. - Można cię przekonać, żebyś użyła ust?

Ust. Doprawdy. Jeśli go tam pocałuje, za chwilę będzie chciał, by pocałowała gdzie indziej. Każda kobieta, która była kiedyś żoną, wiedziała, do czego to prowadzi.

Niech tak będzie. Jeśli zażąda czegoś zbyt zuchwałego, po prostu mu odmówi. Objęła go i przyciągnęła do siebie.

Dotknęła ustami jego skóry, tego napiętego kółka wielkości monety, a on odetchnął urywanie.

Może sprawić, że on zupełnie zapomni o tym, że chciał, by mówiła nieprzyzwoite rzeczy.

Przeciagnęła usta po tym kawałku jego ciała i usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze.

Mężczyźni. Mężczyźni i ich słabość do kobiecych ust. Wysunęła język i odkryła, że jego smak nie jest nieprzyjemny. Mirkwood zamruczał gardłowo i wygiął plecy.

- Jeszcze - szepnął, więc pozwoliła mu poczuć lekkie dotknięcie jej zębów.

Wydał zduszony jęk. Odsunął się i przygotował, by znowu w nią wejść.

- Czarownica - mruknął, wchodząc w nią mocno. - Czarodziejka. Nie przestaniesz, dopóki zupełnie nie pozbawisz mnie kontroli, prawda?

Czarodziejka. Czarownica. Nie była nikim takim. Jednak znowu przyłożyła usta do jego skóry, żeby nie mógł jej przekonywać, by użyła ich do zachęcania i proszenia. Pod ustami, językiem i zębami czuła każdy dreszcz jego całkowitej, pełnej radości kapitulacji.

- Dobry Boże - powiedział, kiedy złapał oddech. - Już wcześniej byłem gotowy nazwać ten dzień najlepszym dniem, od kiedy przyjechałem do Sussex. Nie znam słów, żeby teraz oddać mu sprawiedliwość. - Wyszedł z niej i opadł obok ciężko jak kamień.

- Podobała ci się wycieczka do młyna? Opowiesz mi o tym?

- To wydawało się bezpieczniejszym tematem od dyskusji.

- Właściwie mam nadzieję z czasem przestać korzystać z młyna. - Przykrył ich kołdrą i położył rękę na udzie Marty.

- Mam pewien pomysł. - Jego oczy zabłyszczały pełne nadziei i obaw. Bardzo zależało mu na jej opinii i obawiał się,

że nie będzie przychylna. - Sądzę, że mógłbym zrezygnować z uprawy pszenicy na rzecz małej mleczarni. To byłoby coś prostszego, by zaopatrywać okolicę w lepsze produkty niż te, które są tu teraz sprzedawane.

Przez chwilę nie mogła się odezwać. Nigdy, ku swojemu zawstydzeniu, nie podejrzewałaby, że on jest zdolny do wymyślenia czegoś takiego.

- To, co sprzedają na targu, jest kiepskiej jakości - powiedziała wreszcie. - Rozcieńczają mleko.

- Tak, wiem. - Na niebiosas. Zacerpnął informacji. - I gdybym miał krowy zamiast pszenicy, mógłbym wypasać je bez konieczności ogradzania terenu. Jednak musiałbym dowiedzieć się wszystkiego o tego rodzaju przedsięwzięciu. - Bezwiednie zacisnął dłoń na jej udzie. - Nie wiem nawet, gdzie kupić mleczne krowy i ile kosztują.

- Pomogę ci. Możemy zacząć od zapytania mojego zarządcy.

- Tak wielu biednych ludzi mieszkających w okolicy mogłoby skorzystać na mleku lepszej jakości.

- I podejrzewam, że musiałbym do tego planu przekonać Granville'a, a ojca do wydatku. - Znowu zacisnął dłoń, przesuwając ją wyżej.

- Zrobimy zestawienie kosztów i zysków. Pokażemy mu, że to może przynieść większe zyski niż zboże. - Teraz, skoro już wpadł na ten pomysł, ona nie pozwoli mu go zmarnować.

- Spodziewam się, że lepiej będzie, jak najpierw sprawdzimy, czy to prawda. - Uśmiechnął się, wyraźnie ciesząc się, że ona czerpie przyjemność z tego planu. - Znam już ceny produktów sprzedawanych w mieście. Spisałem je. I przynajmniej jeden z moich robotników ma doświadczenie w pracy w mleczarni.

- Wspaniale. To świetny początek. Co twoja ręka tam robi?

- Mogła nic nie mówić. Mogła kontynuować rozmowę i nie

zauważyć dłoni przesuwał się stopniowo w górę, dopóki nagle gwałtownie wstrzymała oddech w środku jakiejś uwagi o maśle. Gdyby była słaba i głupia, mogłaby tak zrobić.

- Marto. - Ściszył głos, a palcem zaczął rysować na jej udzie malutkie kółeczko. - Daj mi osiem minut.

Kolejny podstęp, tym razem zamaskowany konwersacją, którą, jak wiedział, lubiła najbardziej.

Gdzieś w środku poczuła chłód, mimo że jakaś jej część pragnęła, by dalej tak jej dotykał.

- Rozmawialiśmy już o tym. - Jej głos nie brzmiał chłodno. Słysząc w nim było panikę i desperację. -

Mówiłam ci, że tego nie chcę.

- Sądzę, że może jednak chcesz - odezwał się ostrożnie. Jego palce rozsunęły fałdki przysłaniające jej czulsze miejsce z absolutną łatwością. - Jesteś wilgotna, Marto. Nie czujesz tego?

- To twoja sprawa. - Zawsze obdarzał ją nadmierną ilością nasienia.

- Zdecydowanie ja to zrobiłem. Ale nie tak jak myślisz. - Włożył w nią jeden palec. Dwa. To nie miało znaczenia. Znaczenie miał jego kciuk, którym zarysowywał kółka, zdecydowany zupełnie ją zniszczyć. - Nie możesz zaufać, że twoje ciało wie, czego chce?

- Mój umysł rządzi moim ciałem. Nie na odwrót.

To nie było „nie”. Dlaczego nie powiedziała „nie”? Jej usta zadrgały, jakby chciały zadać kłam jej słowom.

- Twój umysł również zadowolę. Przez cały czas będę mówił o zarządzaniu ziemią.

- Jesteś zdeprawowany ponad moje najgorsze wyobrażenia. To też nie było „nie”. Czyżby straciła umiejętność wypowiedzenia tego prostego słowa?

- Jutro odwiedzimy twojego zarządcę, żeby mógł udzielić mi porad dotyczących krów i kładzenia dachów. Być może nawet pomówię z twoim wikariuszem o edukowaniu dzieci moich robotników. - Zbyt wiele triumfu w jego głosie. Dostrzegł jej słabość i teraz był zadowolony z siebie jak lew, który zauważył kulawego jelenia. - Pozwól mi to zrobić. - Jego kciuk był nieustępliwy. - Pozwól mi, chociaż to brzmi jak błaganie, to tak naprawdę nakaz.

- Nie masz żadnego prawa mi rozkazywać. — Świeca zaczynała się wypalać, tworząc fantastyczne cienie na ścianach pokoju. Coś podobnego działo się w jej środku, wzdrygnęła się jeszcze raz, mocniej.

- Przeciwnie, powiedziałbym, że właśnie je mam. - Uśmiechnął się pewny swojego zwycięstwa, że nareszcie znalazła w sobie siłę do stawienia oporu.

- Nie, przestań. Chcę, żebyś przestał.

Jego palce natychmiast znieruchomiały, choć zostały w tym samym miejscu. Poczula ostre ukłucie niemądrego rozczarowania, które pojawiło się i zniknęło jak żywe srebro. Świeczka zgasła i kolejne słowa Mirkwooda padły w ciemnościach.

- Marto - jego głos był pełen współczucia, nieznośnego współczucia. - Dlaczego musisz tak z tym walczyć?

Miała na to odpowiedzi. Nauczyła się ich na pamięć.

- Jesteś mi prawie obcy. Moje sumienie się temu sprzeciwia. I nie jesteś człowiekiem, którego mogę...

- Podziwiać. - Podsunął słowo, którego jej zabrakło. - Jednak czy naprawdę musisz? Udawaj, że ten dotyk jest twój. - Nacisnął delikatnie kciukiem. - Podążaj za wskazówkami swojego ciała przez osiem minut. To nie musi być bardziej skomplikowane.

Teraz okłamywał ich oboje.



- To musi być skomplikowane. Chcesz mi rozkazywać. -Dlaczego w ogóle próbowała mu to tłumaczyć? - Będziesz chciał, żebym ci się oddała.
- Tylko na chwilę. Potem cię oddam. - Ale cofnął rękę i opadł na poduszkę.
- Przykro mi - powiedziała w ciemność. Jak utrata czegoś, czego nie chciała, mogła wywołać taki smutek?
- Nieważne. Może pewnego dnia zmienisz zdanie. - Co za niewyczerpany optymizm.

## Rozdział 12

Nie lubiła być nielogiczna. Nie lubiła rozważać swoich słów i czynów i dostrzegać, że obiektywny obserwator uznałby je za niespójne.

Poddać się. Rozkazywać. Tak gorliwie broniła się przed oddaniem się mężczyźnie, który oddawał się jej każdego dnia. Teraz każdej nocy i każdego poranka. Nie powiedziała mu, żeby przestał budzić ją w ten sposób. Nie powiedziała nic

o tym, że gdy spał, jego ręce i nogi oplatały się wokół niej i przyciągały do siebie.

„Teraz mam więcej powodów”, powiedziała sobie, podczas gdy pan Smith objaśniał Mirkwoodowi wszystko, co wiedział na temat mlecznych krów i pokrywania dachów strzechą. „Zdobyłeś już tak tak duże terytorium. Zatrzymaj to, co masz”.

Jednak jak zdobył? Nie był jej wrogiem. Jeśli chciał jej rozkazywać - i tylko przez chwilę - czy to było gorsze od tego, z czego czerpała przyjemność?

Nie mogła się co do tego oszukiwać. Do pewnego stopnia podobała jej się jego utrata kontroli. Jego mimowolna odpowiedź

na to, co zrobiła ustami. Jego całkowite wyrzeczenie się starań, żeby powiedziała jakieś wulgarne słowa. Całkowicie nad nim zatriumfowała i jak mogła go winić za to, że on też chciał zatriumfować nad nią.

Oczywiście w oczach mężczyzny wygląda to inaczej. Mężczyzna może grać w poddanie się, wiedząc doskonale, że wciąż ma więcej władzy niż kobieta, z którą gra. Może ją przytłoczyć fizycznie. Miał w życiu więcej możliwości. Dla mężczyzn -zwłaszcza takich jak Mirkwood - to, co działo się w łóżku, było wielką, wspaniałą grą.

Powiedział coś, skrętnie notując. Zadał jakieś pytanie o krowy i spojrzał na pana Smitha spod długich rzęs, a na jego twarzy malowały się powaga i skupienie. Londyńskie kobiety z pewnością uważały, że jest piękny.

Dzientelmen dotrzymuje danego słowa. Nawet beztrósko rzuconego podczas nieudanej próby podłego uwodzenia. Dlatego też w sobotę pozwolił przedstawić się zarządcy pani Russell, a w niedzielę po mszy usiedli razem z wikariuszem w jego prowizorycznej szkolnej sali.

- Chłopiec, który dziś dorasta na wsi, nie może liczyć, jak jego ojciec i dziadek, że też zajmie się rolnictwem. - Pan Atkins usadowił się na krawędzi stołu, gdzie prawdopodobnie będzie siadał, kiedy zacznie się szkoła. Zmienił sutannę na czarny surdut. Pewnie w oczach kobiety wyglądał olśniewająco. -W związku z postępem w wynajdywaniu nowych maszyn i stopniowym znikaniu małych gospodarstw wielu z tych chłopców będzie musiało opuścić dom i szukać pracy.

- Dziewcząt też. Najstarsza z córek Cheathamów na wiosnę wyjechała do Lancashire. - Wdowa siedziała na krześle

z prostym oparciem nieco na prawo od Theo z rękami splecionymi na kolanach.

- Zgadza się. - Duchowny lekko się jej skłonił. - Pani Russell zaciekle walczy o młode damy. Wkrótce przejdziemy do wyniku jej działań. - Wymienili się uśmiechem, absolutnie niepotrzebnym, i wikariusz kontynuował: - Dla chłopców we wsi edukacja jest teraz ważniejsza niż kiedykolwiek. Jeśli nadejdzie ten moment, że jeden z nich będzie musiał szukać nowego zajęcia, to zamiast skończyć w młynie lub kopalni, może znajdzie pracę jako urzędnik w jakiejś firmie i zrobi tam karierę. - Teraz nieco smutnie uśmiechnął się do Theo. - To jest główny argument, jaki przedstawiam tutaj rodzinom, i mogę go też przedstawić rodzinom mieszkającym w pana majątku, jeśli będzie pan sobie tego życzył. Jednak brak mi argumentów, by przekonać pana, że warto będzie poświęcić swój czas. Pani Russell może panu powiedzieć, że nie udało mi się przekonać pana Russella, dopóki ona się nie zjawiała i w to nie zaangażowała.

- Pan Russell był zajęty wieloma sprawami. - Powiedziała ze spuszczonego wzrokiem, jakby mówiła do własnych dłoni.

- Jestem pewna, że od początku widział zalety tego planu i potrzebował tylko, by ktoś bliżej niego przekonał go, żeby przedłożył go nad inne plany i cele, w które może zainwestować posiadacz ziemski.

- Z pewnością chciałbym usłyszeć argumenty pani Russell.

- „I doskonale wie, jakie słowa chciałbym od niej usłyszeć”. Przykrył tę myśl uprzejmym i zadumany spojrzeniem. - Powie mi pani, jakie nadzieje pokłada w edukacji dziewcząt? Zakładam, że nie widzi w nich pani przyszłych urzędników.

- Być może pewnego dnia. Teraz kobiety zaczynają pracować w młynach, kto wie, co będzie następne? - Odwróciła się

w jego stronę, jej oczy rozpalala żarliwa determinacja. - Jednak przede wszystkim mam nadzieję przygotować te dziewczęta na małżeństwo z wykształconym mężczyzną. Kiedy taki mężczyzna wybiera żonę, jestem pewna, że woli kobietę, z którą może przedyskutować sprawy zaprzatające jego umysł, niż taką, z którą może porozmawiać jedynie o wieczornym posiłku i zdrowiu dziecka.

- Pani Russell ma szlachetną wizję małżeństwa. - Wikariusz wykrzywił usta, patrząc na swoją dłoń, którą przesuwiał wzdłuż stołu.

- Wprost przeciwnie, moja wizja jest praktyczna. - Wdowa mówiła teraz do obu mężczyzn, choć jej ciało w dalszym ciągu było skierowane w stronę Theo. - Myślę też o tych przypadkach, kiedy małżeństwo nie dorosnie do nadziei, jakie w nim pokładano. Mężczyzna może wtedy spełnić się w jakimś zawodzie, który pozwoli mu robić dobre rzeczy. Ale co z żoną, która nie ma żadnego zajęcia poza małżeństwem i domem? Nawet jeśli nie będzie miała konkretnego zawodu, wykształcenie nauczy ją interesować się rzeczami wychodzącymi poza tę strefę. A to z pewnością może ją pocieszyć w mniej radosnych godzinach.

Była śliczna, kiedy zauważył ją po raz pierwszy zdystansowaną i pełną dezaprobaty w kościele. Była śliczna za każdym razem, kiedy zdejmował z niej ubranie, a ona leżała w jego ramionach, i kiedy jej rysy stawały się zamglone i niewyraźne, gdy się zatracił w rozkoszy. Jednak nigdy nie wyglądała śliczniej niż wtedy, kiedy mówiła w ten sposób, rozpalona wiedzą o krzywdach, które trzeba naprawić, i o dobru, którego można dokonać.

- Widzi pan, jak mnie przekonała. - Duchowny patrzył na Theo i prawdopodobnie sam widział zbyt wiele.

- To nie było takie proste. - Wdowa uśmiechnęła się do rozmówców. - Musiałam też kłócić się o użyteczność obecności starszych dziewcząt w klasie, gdzie będą się uczyły ich młodsze siostry.
  - Zamierzamy korzystać z metody opracowanej przez panów Bella i Lancastera, jeśli jest panu znajoma. To rodzaj nauczania, w którym starsi uczniowie pomagają uczyć młodszych.
  - Tylko nie z ich sposobami karania uczniów.
  - Nie, nie będzie czarnej księgi z zapisanymi wszystkimi przestępstwami. Ani siatki pod sufitem dla nicponi. Nie potrafiłabym się skupić na lekcji, gdybym musiała patrzeć na coś takiego.
  - I oczywiście na początku starsze dziewczynki nie będą obecne. Zrobiliśmy, co się dało, żeby przekonać kilkoro rodziców do godziny zajęć w niedzielę. Zaczniemy od tego.
  - Pani Russell zdziałała cuda. - Pan Atkins znowu skłonił się w jej stronę. - Myślę, że w przyszłym tygodniu możemy liczyć na obecność córek Farrisów.
- Aż jaśniała z zadowolenia. Jak oni się dobrze rozumieli; sposób, w jaki kończyli swoje wypowiedzi; ewidentny skutek godzin spędzonych na intelektualnych rozmowach - a to w czasie, kiedy jej małżeństwo nie oferowało przyjemności towarzystwa - mogło sprawić, że człowiekowi robi się nie-dobrze, jeśli będzie wystawiony na ten widok zbyt długo. Theo przyłożył kciuk do czoła i rozmasowywał je, wyglądając niemal na zamyślonego.
- Jest zwłaszcza jedna dziewczynka, dla której chciałabym zrobić coś, by poszerzyć jej perspektywę, jeśli to tylko możliwe.
- Czuł, jak wdowa zapala się jak trzymana w ręku pochodnia.

- To najstarsza dziewczynka w rodzinie Weaverów - powiedziała.

Pochylił głowę w jej kierunku.

- Jeden z moich robotników ma upośledzoną córkę, piętnasto- lub szesnastoletnią. Nie mam pojęcia, czy takie dziecko można czegoś nauczyć, ale może tego dowie się pan sam?

Pani Russell patrzyła na niego sekundę lub dwie, a potem przeniosła radosny i pełen nadziei wzrok na wikariusza, który przeczesywał włosy ręką.

- Nie wiem o żadnych badaniach na temat tego, co może być zrobione w kwestii edukacji takiego dziecka. - Widać było, że skupia się na przypominaniu sobie studiów na ten temat. -Ale dlaczego mielibyśmy nie spróbować? Jeśli ma umysł młodszego dziecka, może się uczyć z najmłodszą klasą. Chciałbym się zobaczyć z jej rodzicami i usłyszeć, co oni sądzą o jej umiejętnościach. - Pan Atkins nie mógł być nieszczęśliwy, kiedy stanął przed nowym zadaniem. Nic dziwnego, że wdowa go lubiła. Również Theo nie mógł go nie lubić tak bardzo, jak zamierzał.

- Mógłby pan mnie odwiedzić za dwa dni - powiedział. -Będziemy kładli nowe dachy, więc po południu rodziny będą musiały przebywać poza domem. Pomyślałem, że zorganizuję dla nich piknik. To powinno być wesołe wydarzenie, dobra okazja, by poznał pan ludzi i zaczął budować grunt do rekrutacji do szkoły. Mam nadzieję, że pani również przyjdzie, pani Russell. Będzie się pani mogła przyjrzeć dziewczętom.

Wdowa patrzyła na niego wzrokiem, który miałby siłę podpalić mu włosy. Zaskoczona bez wątpienia, że sam zorganizował wymianę dachów i zaplanował piknik. Naprawdę musi go nisko oceniać, skoro sądzi, że nie jest zdolny podołać

żadnym obowiązkom, kiedy jej nie ma w pobliżu. Pokaże jej, że potrafi zrobić kilka rzeczy samodzielnie.

- Mirkwood - powiedziała tej nocy, kiedy zaczynał myśleć o zaśnięciu. - Chcę ci coś powiedzieć. Wysłuchasz mnie?

- Oczywiście. - Położył się na boku, ledwo widząc jej kształt w świetle księżyca przesączającym się między zasłonami. Nie zaproponowała przeniesienia ich spotkań z powrotem na dzień ani do innych pokoi. Smitha i Atkinsa odwiedzali popołudniami, więc w ciągu dnia był znowu wolny. Ale nic nie powiedziała, a on również milczał.

- Mój mąż nigdy nie zgodził się na szkołę. - Słyszał, że mówiła, patrząc w górę na baldachim. - Pamiętasz, jak mówiłam, że zapominał pewne rzeczy?

-Tak.

- Czekałam na dzień, kiedy wyjątkowo stracił poczucie rzeczywistości. I następnego dnia powiedziałam mu, jak godna pochwały jest jego decyzja o zapewnieniu środków na szkołę.

- Sprytnie. - Coś mu podpowiedziało, żeby jej nie głaskać, jak miał ochotę zrobić.

- Podejrzewam, że powinnam żałować, że tak nie jest. Ktoś musiał się upewnić, że jego środki zostały wykorzystane w słusznej sprawie.

Coś mu przyszło do głowy.

- Dachy też?

- Właśnie. Powiedziałam mu, że to bardzo wspaniałomyślne z jego strony - wymiana każdego dachu aż do krokwi. A on nie pamiętał dość, by temu zaprzeczyć.

- Rzeczywiście wspaniałomyślne. My będziemy wymieniać tylko jedną lub dwie warstwy słomy. - Palcami, które pragnęły jej dotykać, zaczął kreślić wzory na prześcieradle, wypełniając



przerwę w rozmowie szelestem pościeli. - Czy wikariusz o tym wie?

- Nie ma pojęcia. - Usłyszał, że odwróciła się w jego stronę. - Chciał wstrzymać otwarcie szkoły, kiedy dowiedział się, co zawierał testament mojego męża i że wszystko prawdopodobnie przejdzie na własność jego brata. Jednak powiedziałam mu, że napiszę do pana Jamesa Russella i upewnię się, że poprzez istnienie szkoły.

- I tak zrobiłaś? - Położył palec w zagłębieniu jej łokcia.

- On tak myśli, pan Atkins. Ale nie zrobiłam tego. - Znowu skierowała wzrok na sufit. - Będzie miał o mnie bardzo złe zdanie, jeśli dowie się prawdy, a to niemal jest pewne.

- To szkoda. Ja cię lubię bardziej.

- Lubisz niegrzeczne zachowanie we wszystkim. - W tych słowach słyhać było zarys uśmiechu.

- Być może. Ale w twoim przypadku chodzi o coś innego. - Przeciągnął palcem po jej rękę. -

Ryzykujesz w imię tego, co jest dla ciebie ważne. Ryzykujesz dobrą opinię osób, na których ci zależy. To godnie podziwu.

Oddechnęła, rozważając jego słowa.

- Mirkwood - powiedziała i zawahała się. - Theo. Nie mogę wyrazić, ile dla mnie znaczy to, że zainteresowałaś się szkołą. Mam nadzieję, że jeśli mi się nie uda... - Jej głos niespodziewanie zadrżał, a Theo złapał ją za łokieć, kiedy się w sobie zbierała. - Jeśli posiadłość przejdzie na własność pana Jamesa Russella albo jeśli pan Atkins dowie się prawdy i zdecyduje...

- Chciałabyś, żebym cię zastąpił w działaniach na rzecz szkoły. Jeśli okoliczności uniemożliwią ci dalsze działanie w tej roli.

- Wiem, że proszę o wiele.

- Niezupełnie. - Wreszcie pozwolił sobie ją przytulić. -A poza tym to nie będzie konieczne. Rozczarujemy tego Jamesa Russella. Nie zapominaj o tym. - Przyciągnął ją do siebie, ich nogi splątały się, brodę oparł na czubku jej głowy. Jej oddech pozostał spokojny, a puls nie przyspieszył; można by pomyśleć, że tylko czekała na moment, w którym ją obejmie.

Poniedziałek przyniósł niespodziankę. Lokaj znalazł ją w bibliotece, gdzie poszła szukać książek z informacjami na temat produkcji mleczarskiej, i podał jej karty wizytowe trzech kobiet, których nazwisk nie знаła.

Pani Canning. Pani Kendall. Panna Leigh.

- Czy powiedziały, co je sprowadza?

- Przyszły z wizytą. - Lokaj odchrząknął. - Z towarzyską wizytą - dodał, jakby niepewny, czy ten koncept jest jej znany.

I miał prawo. Marta strzepała kurz z rąk.

- Czy mamy ciasto?

- Ciasto, proszę pani? - leciutko uniósł jedną brew.

- Tak, ciasto. Panu Mirkwoodowi smakowało to cytrynowe ciasto, kiedy przyszedł z wizytą. I myślę, że byłoby dobrze posłać po herbatę. Podam herbatę i ciasto. - Im bardziej zajmą się ciastem, tym mniej będzie musiała z nimi rozmawiać. Na niebiosa, marzyła o opanowaniu Mirkwooda, który widziałyby wizytę nieznanymi osobami jako ostatnią z cudownych przygód. - To idę do nich. Salon piwoniowy czy ten większy?

Pani Canning, pani Kendall i panna Leigh zostały wprowadzone do największego salonu w Seton Park, gdzie usiadły w rzędzie na białej aksamitnej kanapie ze złożonymi oparciami i nóżkami. Kobiety rozglądały się po pokoju, oglądając dywan z fabryki Moorfields, ciężkie kandelabry i złożone ściany.

- Cóż za czarujący pokój - powiedziała pani Canning, kiedy kobiety przedstawiły się sobie i usiadły. Była imponującą osobą o solidnej budowie i świdrującym spojrzeniu.

- Tak, rzeczywiście czarujący. - Pani Kendall z wyglądu przypominała małą myszkę, miała bystre spojrzenie i szybkie ruchy. - Właśnie tego słowa chciałam użyć.

Panna Leigh, wysoka i szczupła jak młode drzewo, jeszcze raz obrzuciła pokój wzrokiem.

- Czy to pani zajmowała się wystrojem?

- Och nie. - Marta naląła gorącej wody, by przepłukać czajnik. Doprawdy, „czarujący” było ostatnim słowem, które by wybrała do opisu tej zdobionej jaskini. - Zajmował się tym ktoś z rodziny mojego męża. Jak mi powiedziano, to styl Roberta Adama.

- Ach. - Pani Canning ponownie przyjrzała się sufitowi. -A co to dokładnie znaczy?

- Cóż, zdaje się, że chodzi o te złote zdobienia na ścianach. Dekorowane ściany. Te łukowate drzwi i okna i chyba... -urwała, płuczac czajnik. Podniosła wzrok. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. - Wylała wodę. - Dorastałam w skromnej wiejskiej posiadłości i nigdy wcześniej nie słyszałam nazwiska Roberta Adama ani o Capability Brown, jeśli już przy tym jesteśmy, ale wyszłam za mąż i zamieszkałam w tym domu.

To wyznanie sprawiło, że pozostałe kobiety nieco się rozluźniły, dzięki Bogu. Przekazano kondolencje z powodu śmierci pana Russella i pana Canninga, choć jak się okazało, ten drugi odszedł wiele lat temu. Potem padły rady dotyczące najlepszego sposobu przetrwania wczesnego okresu żałoby, podczas gdy Marta wsypała herbatę z puszki do czajnika, zalała ją wrzątkiem i przykryła czajnik pokrywką.

- Panie mieszkają w mieście, jak rozumiem? - Osiem minut, by herbata się zaparzyła oznacza osiem minut, w czasie których musi znaleźć temat do rozmowy. Można by zazdrościć swobodnego sposobu bycia Mirkwooda, łatwości, z jaką prowadził konwersację. - Obawiam się, że spędziłam tam niewiele czasu i oczywiście teraz nie mogę sobie pozwolić na taką wycieczkę. Jestem pewna, że w mieście musi być wiele możliwości, by działać coś dobrego.

W rzeczy samej. Trzy damy miały bardzo zdecydowane poglądy co do tego, co można by poprawić w mieście, od nadmiernie ekspresyjnych kazań pastora poprzez kształtowanie krajobrazu do jednego czy dwóch młodych mężczyzn, którzy zbyt długo zwodzili dziewczęta, a powinni się pospieszyć i oświadczyć.

- Nie mogę popierać takiego zachowania. - To oczywiście nie była jej sprawa, ale pozostałe kobiety zaczęły temat. - Jeśli mężczyzna nie zamierza oświadczyć się kobiecie, powinien przestać okazywać jej swoje zainteresowanie i pozwolić wziąć pod uwagę inne możliwości. Z pewnością powiedziałabym to każdemu młodzieńcowi, który przypuszczalnie bawiłby się uczuciami którejś z córek moich dzierżawców.

- Jestem zdecydowana sama poruszyć ten temat na naszym następnym zgromadzeniu. - Pani Canning uniosła głowę i przekazała tę wiadomość tonem królewskiego rozkazu. - Jeśli młody Nelson i młoda Warrander nie zachowują się jak należy do tego czasu, mogą być pewni, że usłyszą moją opinię na ten temat.

- Bardzo dobrze. - Marta podniosła sitko i czajnik. - Wątpię, czy tacy lekkomyślni młodzieńcy w ogóle zdają sobie sprawę ze smutku, który mogą wywołać. Zwrócenie im na to uwagi musi być czystą uprzejmością. - Co za rozsądne kobiety. Młode

damy mieszkające w mieście mają szczęście, że mogą liczyć na ich opiekę.

- To byłaby dla nas przyjemność zobaczyć panią kiedyś na jednym z naszych zgromadzeń. - Odezwała się pani Kendall z nagłą nieśmiałością, przyjmując talerz z ciastem. - To całkiem zacne spotkania.

Szlachta też czasami się na nich zjawia.

- Pani Rivero i panna Atcheson nieraz siadały, by pograć w karty. - Panna Leigh wzięła herbatę i ciasto od gospodyni.

- Może w przyszłym roku. - Pani Canning popatrzyła na Martę, jakby przymieszała ją do nowego stroju. - Wtedy będzie już pani nosiła lawendę i jak sędzę wyglądała równocześnie wytwornie i przyzwoicie.

- Z pewnością będę zaszczycona. Dziękuję. - „Wytwornie i przyzwoicie”. Chciałaby, żeby tak o niej myślano. Czowała się dziwnie poruszona tym miłym zaproszeniem i zupełnie niespodziewanie miała ogromną ochotę skorzystać z szansy, by zająć miejsce wśród tych matron na skromnym miastowym spotkaniu i dyskutować, który młody człowiek lub dama powinni być wzięci na stronę, by wysłuchać pouczającej uwagi, oraz tworzyć plany dotyczące tego, jak ulepszyć krajobraz i zainspirować pastora do zachowywania się bardziej subtelnie.

Rozmowa stawała się coraz rozsądniejsza. Jaki dziwny kaprys losu sprawił, że ją odwiedziły, kompletnie obcą osobę, za którą przemawia tylko jej wdowieństwo? Jednak była wdzięczna temu kaprysowi, który to sprawił.

- Wie pani, mój syn należy do piechoty i lada dzień mamy nadzieję usłyszeć, że wraca do domu. - Pani Kendall nabrała na widelczyk ostatni okruszek ciasta. - Słyszała pani jakieś wieści odnośnie do tego, kiedy można oczekiwać powrotu pani brata?

Marta zamarła z filiżanką w połowie drogi do ust i poczuła, jak na jej policzki wkrada się rumieniec.

Tylko jedyna osoba

w Sussex wiedziała o istnieniu jej brata. Jej kaprys losu przybrał kształt, wysoki i jasnowłosy. Spuściła wzrok na filiżankę i odstawiła ją na spodek. O co dokładnie zapytała ta kobieta?

- Bardzo przepraszam. - Pani Kendall nachyliła się do przodu. - Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, prawda? Nie powinnam o tym wspominać, jeśli...

- Och, nie. Zupełnie nie. - Gospodyni podniosła wzrok i zmusiła się do uśmiechu, mimo zaskoczenia.

- Po uwięzieniu Napoleona na Elbie sędzę, że powinniśmy niedługo doczekać się jego powrotu. Z tego co mi wiadomo, jego pułk stacjonuje w Antwerpii i czeka na rozkazy. A pani syn?

Coś zostało powiedziane o synu pani Kendall. Potem wymieniono jeszcze kilka uwag, niektóre z nich wygłosiła Marta. Potem rozmawiały o innych sprawach. O herbacie i cieście niemal na pewno. Chyba o pogodzie. Jednak gdyby ktoś zapytał ją minutę, godzinę lub sześć godzin później, o czym rozmawiała z gośćmi w czasie ostatnich dziesięciu minut wizyty, nie mogłaby na to odpowiedzieć, nawet gdyby zależało od tego jej życie.

Siedziała na łóżku po turecku; w koszuli nocnej, z talerzem z ciastem cytrynowym i widelcem w rękę, a jej twarz zdobił nieprawdopodobnie promienny uśmiech.

Gdyby tylko częściej raczyła go uśmiechem, nie straciłby teraz umiejętności prowadzenia rozmowy. Ale była oszczędna w uśmiechach, tak często powstrzymywała się od nich lub przebiegle ukrywała je za dłonią i rezultat był taki, że nie potrafił się przed nimi obronić, podobnie jak przed jakąś egzotyczną gorączką z najdalszego zakątka Fidżi. Stał oniemiały, odpowiadając uśmiechem, jakby wiedział, co ją tak ucieszyło. I potem w jednej chwili zrozumiał.

Przyjął ciasto z jej wyciągniętych rąk i cofnął się przed bijącym od niej blaskiem.

- No to - powiedział, nabierając kawałek ciasta na widelec -jakich godnych rzeczy udało ci się dzisiaj dokonać?

- Nie dokonałam niczego. - Jej uśmiech pogłębił się, słodki i orzeźwiający jak ciasto cytrynowe. - Miałam gości.

Szkolna klasa to wyraźnie był żywioł pana Atkinsa. Nie wygłaszał przemów, które były nieco przydługie, ale w kilku zdaniach zadawał pytanie i czerpał radość z nakłaniania lub zachęcania do odpowiedzi kogoś ze swojej gromadki. Chodził po klasie, raz zatrzymując się przy mapie, raz przy żółtej karcie zapisanej ozdobnym pismem, często wędrując między rzędami ławek, przy których siedzieli uczniowie. Marta przez ostatnie pół godziny siedziała na jednym z wolnych miejsc z tyłu pomieszczenia i słuchała pracowitego skrobania rysików.

Wszystko zmieniało się na lepsze. Wszystko. W ciągu kilku miesięcy liczba uczniów może się podwoić, jeśli do szkoły dołączą dzieci z posiadłości Mirkwooda i - trzeba mieć nadzieję - starsze dziewczęta. Może też, jeśli będzie miała czas, doprowadzić do powstania mleczarni w sąsiedniej posiadłości, a potem przenieść swoje wysiłki do miasta i tam zrobić wiele dobrego. Jeśli tylko sprawy ułożą się tak, że będzie mogła zostać w Seton Park, nadchodzące dni i lata mogą się okazać naprawę satysfakcjonujące.

Dzisiaj, kiedy pan Atkins będzie poznawał pierwsze rodziny robotników z Pencarragh, ona będzie pracowała nad tym, by się zaprzyjaźnić. W ten czy innym sposób musi tego dokonać.

Doskonały nastrój wikariusza utrzymał się nawet po tym, jak odprawił uczniów i usiadł na koźle małego wozu zaprzęgniętego w jednego konia. Przez całą drogę mówił o którymś

z dzieci, wychwalając lotność umysłu jednego lub krytykując, że inny nie może spokojnie wysiedzieć na lekcji. W trakcie drogi od powozu przeniósł uwagę na dzieci najemnych robotników i na to, jakie różnice, jeśli jakieś będą, może napotkać w ich nauczaniu. Można by podejrzewać, że nie byłby bardziej zadowolony, gdyby otrzymał tysiąc funtów rocznie.

Kiedy zbliżyli się do domu Weaverów, zobaczyli zamęt. Na dachu byli mężczyźni, słomianą strzechę zrzucano na podwórko i jak się wydawało, połowa mebli została wyniesiona na łąkę. Najmłodszy Weaverowie biegali w tę i z powrotem w towarzystwie małych dzieci z innej rodziny. Starsze dzieci siedziały, ściskając talerze i zjadając coś, co wyglądało na pieczony drób i ziemniaki. Mały Hiob lkał w ramionach jakiejś kobiety, której Marta nie знаła. Z nawyku rozejrzała się za świnią i zobaczyła ją obok drabiny. Stała z uniesionym ryjem, jakby pilnowała intruzów na dachu.

Pan Granville, który siedział wśród innych dorosłych z kubkiem piwa w ręku, na ich widok wstał i przywołał ich gestem, by ich przedstawić.

- Czy pana Mirkwooda nie ma? - zapytała Marta, gdy już poznała pana Weavera i panią Quigley. - Kiedy nas zaprosił, zakładałam, że będzie obecny.

W odpowiedzi zarządca wyciągnął rękę i wskazał na w połowie położony dach.

Theo siedział na szczycie dachu z gołą głową, jego włosy błyszczały w słońcu jak niewydany szyling. Opierał się plecami o komin, jedną nogę miał zgiętą w kolanie i opartą o krawędź, jakby odpoczywał na brzegu rzeki. W rękach okrytych grubymi rękawicami trzymał kilka rozszczepionych gałęzi. Kiedy patrzyła, wygiął jedną z nich, zbliżając do siebie końce. Potem zsunął się do krawędzi dachu, by podać gałąź



jednemu z robotników, który użył jej do przywiązania jednej wiązki słomy do drugiej. Jakby cały życie spędził na dachach, wspiał się po krokwi z powrotem na szczyt dachu.

Trzy tygodnie i dwa dni minęły, od kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Za krótko, by kobieta mogła naprawdę poznać mężczyznę. Ta przeszkoda wciąż istniała. Podobnie sprzeciw jej sumienia nie stał się ani trochę mniej ważny. A co do podziwu... Wszystko uleciało jej z głowy, kiedy Theo odwrócił się i ją zobaczył. Ją i pana Atkinsa. Uśmiechnął się jak chłopiec, który patrzył w dół z wierzchołka drzewa, i uniósł dłoń do głowy, zanim przypomniał sobie, że nie ma na niej kapelusza.

- Sądzę, że nareszcie zrozumiałem jego naturę i to, jak z nim postępować. - Zarządca podszedł do Marty i spojrzał w górę. - Jeśli z danej rzeczy odejmie się obowiązek i odpowiedzialność i pozwoli mi się osobiście zaangażować, to jest całkowicie chętny do nauki. Przyznam, że w pierwszej chwili myślałem, że jest próżniakiem.

Nie tylko pan Granville miał to na sumieniu.

- Nawet obowiązek i odpowiedzialność mogą przyjść z czasem, jak sądzę. Jest jeszcze młody.

- Z pewnością. A poza tym może wybierze żonę, dla której te wartości będą ważne, i może go w tym utwierdzić. Reasumując, jestem przekonany, że stanie się wartościowym człowiekiem.

Mirkwood zszedł już po drabinie, oddawszy resztę gałęzi jednemu z robotników. Ominął świnie i przeszedł przez ogrodzenie, by się przywitać z nowo przybyłymi.

- Proszę usiąść i się czymś poczęstować. - Wskazał na zastawiony jedzeniem stół. - Mój kucharz

bardzo się natrudził. I ktoś o panią pytał - powiedział do Marty. - Jedna z tych dziewczynek. -

Rozejrzał się. - Ach, tu jesteś. Nie chowaj się za siostrą. Jest tutaj pani Russell, tak jak chciałaś. Chodź

tutaj, usiądź koło niej i opowiedz jej wszystko o swoim kocie. - Zrobił coś, co bardzo przypominała puszczenie oka, i przeskoczył ogrodzenie, by wrócić na dach.

Mała Carrie miała bardzo wiele do powiedzenia o kocie, który najwyraźniej miał w swoim repertuarze wszystkie sztuczki typowe dla kociaków i urocze dla tych, którzy lubili takie rzeczy. Była naprawdę czarującym dzieckiem i z pewnością skorzysta na poszerzeniu horyzontów, jakie daje edukacja. Raz czy dwa Marta poczuła na sobie wzrok pani Weaver, lecz kiedy odwróciła się, żeby się do niej uśmiechnąć, mając nadzieję zachęcić ją do rozmowy, kobieta odwracała wzrok.

Za to pan Weaver niebawem usiadł na miejscu córki, sadzając ją sobie na kolanach. Był ogromnej postury, miał ogromne dłonie i mocno zarysowane czoło.

- To był dobry prezent - powiedział o kocie. - Zabił już jedną mysz i zdobył serce mojej córki.

- Bardzo się cieszę, że się przydał. U siebie mamy ich nadmiar. Prawdopodobnie mogłabym ich dostarczyć, ile tylko byłoby potrzeba.

- Pani Russell mieszka w Seton Park - wtrąciła się Carrie.

- Tak też słyszałem, psotnico. - Pełnym czułości gestem pociągnął dziewczynkę za warkoczyk. - Moja Livia pracowała tam jakiś czas. Wspominała o tym?

- Ma pan na myśli panią Weaver? - Marta odwróciła się, by spojrzeć na jego żonę. - Nie. Nie wiedziałam, że kiedyś pracowała w posiadłości. - Czy ta znekana, zmęczona kobieta naprawdę nosiła kiedyś nakrochmalony czepek i fartuch i krzątała się, załatwiając różne sprawy?

- Pracowała. Oczywiście zanim za mnie wyszła. - Mężczyzna obserwował żonę, gdy to mówił, a ona nagle spojrzała na niego ostro przez ramię. Westchnął i postawił córkę na

ziemi. - Biegnij pobawić się z innymi. Muszę już wracać do pracy. Pani Russell - dodał, gdy Carrie zniknęła - zrobiłaby mi pani uprzejmość, gdyby nie próbowała rozmawiać z panią Weaver o tej sprawie. Podejrzewam, że nie powinienem był o tym wspominać.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Ja też tego do końca nie rozumiem. Tyle tylko, że nie zgadzamy się w kwestii tego, o czym powinno się mówić, a o czym nie. - Uchylił kapelusza i wstał, a niedługo później on i pan Quinley wrócili do pracy w polu.

Słońce wędrowało spokojnie na zachód, podczas gdy ludzie dokładali sobie pieczeni i częstowali się ciastem i owocami. Czasami Marta rozmawiała z osobami znajdującymi się koło niej, czasami wycofywała, by obserwować, jak rozmawiają inni. Mirkwood znowu zszedł z dachu i na żarty boksował się z kilkoma chłopcami. Pan Atkins opowiedział trojgu najmłodszym dzieciom i najstarszej córce Weaverów historię

o kozach i gigantach. Skądś przyniesiono piłkę i nawet pan Granville został wyciągnięty ze swojego miejsca i dołączył do dzieci i młodszych mężczyzn bawiących się nią.

Marta poklepała Hioba, który w końcu znalazł się w jej ramionach i zasnął. Ona i pozostałe kobiety siedziały spokojnie i cicho, kiedy nieco dalej słychać było krzyki

i śmiechy grających w piłkę. Wdowa co jakiś czas wracała spojrzeniem do pani Weaver. Ze względu na jej męża nie powiedziała nic, co nawet w najmniejszym stopniu mogło odnosić się do zakazanego tematu. Jednak nie mogła pozbyć się go ze swoich myśli.

Wczesnym wieczorem tego samego dnia Marta odwiedziła panią Kearney w jej pokoju. Powinno się wzywać gospodynię

do salonu i pozostawić prywatność jej pokoju. Mimo to Marta poszła do niej.

Gospodyni miała w rękach jedwabną nić i mały haczyk i była zajęta robieniem koronki, jak powiedziała, na sukienkę na chrzciny dla dziecka. Marta była pod wrażeniem skomplikowanego wzoru i nalegała, by pani Kearney nie przerywała pracy.

Naprzeciwko gospodyni stał drugi fotel, więc Marta na nim usiadła. Światło wciąż jeszcze wpadało do pokoju, odbijając się od metalowych powierzchni: lustra, obudowy tarczy zegara na kominku, srebrnej tacy z herbatą stojącą obok gospodyni, i nadawało cieplejszy kolor dywanowi w jesiennych kolorach. Odetchnęła.

- Spotkałam kogoś, kto, jak mi powiedziano, kiedyś tu pracował. - Marta złożyła ręce na podolku. - Zastanawiam się, czy pani może ją pamiętać.

- Pracowało tu tak wiele osób. - Wciąż haftując, rzuciła okiem na rząd książek na półce, świadectwo jej pobytu w Seton Park. - Ale to możliwe. Mówiła, kiedy tu pracowała?

- Z nią nie rozmawiałam na ten temat. To jej mąż o tym wspomniał. Ale mają piętnasto- lub szesnastoletnią córkę, więc to musiało być wcześniej.

Widziała, jak pani Kearney skreśla w myślach kilka nazwisk. Gospodyni zacisnęła usta i podniosła wzrok.

- Gdzie pani ją spotkała?

- W posiadłości na wschód od nas. Mają tam robotników najemnych. Nie wiem, jak się nazywała wcześniej, ale po mężu nazywa się Weaver, a na imię ma Livia lub Oliwia.

Pani Kearney pokiwała głową.

- To jedna z tych dwóch. - Zrobiła kolejny malutki haft. - Jedna z dwóch kobiet, które zostały zhańbione. Druga wyje-

chała do Londynu i nigdy nie wróciła, ale ona została na wsi, gdzie się wychowała.

Tak. Właśnie to podejrzenie czaiło się w ciemnym zakątku umysłu Marty. Do tej pory nie pozwoliła mu ujrzeć światła dziennego.

- Czy jej mąż wie?

- Tak. - Kolejne kiwnięcie, a ręce gospodyni cały czas spokojnie pracowały. - Znał ją od dziecka i chyba niemal równie długo kochał. Jednak kiedy została tu zatrudniona, wyjście za syna rolnika było poniżej jej aspiracji. Kobieta ma obowiązek wybrać najlepsze możliwe małżeństwo. Miała szczęście, że w ogóle zdołała wyjść za mąż, po tym co ją spotkało. Nikt nie oczekiwał, że pan Weaver ponowi swoją propozycję. Nikt by go nie winił, gdy się od niej odwrócił. Ale za bardzo ją kochał.

- To... godne pochwały. - To było bardziej niż godne pochwały, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów, by to opisać.

- Czy rozmawiała z nią pani kiedykolwiek?

- Ani razu w ciągu szesnastu lat. - Gospodyni westchnęła i przestała haftować. Zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się.

- Nigdy jej nie winiałam za to, co się stało. Nikt ze służby jej nie winił. Ale kiedy mijam ją na drodze lub w mieście, patrzy prosto przed siebie i udaje, że mnie nie poznaje.

Fotele, stół, przybory do herbaty wszystko zniknęło przygniecione wagą tych dwóch słów.

„Szesnaście lat”. Oczywiście. „Potem i tak zostały zwolnione z powodu sytuacji, w której się znalazły”, powiedziała Sheridan.

- Została podwójnie przeklęta. - Znowu zaczęła swoją pracę.

- Każde dziecko byłoby pewnie bolesnym przypomnieniem tego, co się stało. Ale niedorozwinięte dziecko, które będzie wymagało opieki przez całe życie... - Pani Kearney pokręciła

głową i skrzywiła się. - Nie wiem, jak ona to znosi. Ja bym nie potrafiła.

Znosi się to, co trzeba znosić. Można się było nie godzić na ten układ. Chociaż czasami... być może... można się czasami podzielić takim ciężarem z przyjaciółmi i ludźmi i sobie ulżyć. To podobno skuteczne lekarstwo. Nawet kobiecie tak chłodnej i sztywnej odrobina sympatii mogłaby pomóc.

I dlaczego niby zatrzymać się na sympatii?

- Seton Park jest winien odszkodowanie tej kobiecie. Jesteśmy coś winni tej dziewczynie. - Jej nierozsądny język dotrzymywał kroku jej myślom. - Gdzie zawiodła opatrność, to my powinniśmy naprawić krzywdę. - Naprawianie błędów opatrności. Pan Atkins pobladłby ze zgrozy, gdyby ją usłyszał.

Trudno. Sprawiedliwość czegoś się od niej domagała. Pani Weaver i jej córka domagały się czegoś od sprawiedliwości, która zalegała ze spłatą. Marta podziękowała gospodyni za informacje i wyszła. Bardziej niż kiedykolwiek czuła, że musi znaleźć sposób, by zatrzymać posiadłość.

## Rozdział 13

Mogłaby powiedzieć Mirkwoodowi. Skoro zaczynał się interesować rodzinami swoich robotników, prawdopodobnie chciałby poznać tę smutną historię. Jednak kiedy przyszedł w nocy, był tak zaaferowany tym, czego się nauczył o kładzeniu strzechy, oraz czasem spędzonym na pikniku, że obciążanie go mrocznymi tajemnicami wydawało się okrutne. A potem, kiedy dostał swoją rozkosz, a ona swoje nasienie, chciał rozmawiać o projekcie mleczeni.

- Podstawowym problemem jest to, że muszę mieć zyski. - Leżał na plecach z rękami założonymi za głowę, niewyraźny cień w świetle księżyca. - Granville i mój ojciec nie poprą projektu zmieniającego Pencarragh w przedsiębiorstwo charytatywne. Choć Bóg jeden wie, że mamy dość dochodów z innych posiadłości, nie wspominając już o starej rodzinnej fortunie. Wybacz mi. - Odwrócił się do niej twarzą. - Naprawdę nie powinienem wspominać o tym, ile jesteśmy warci.

- Zważywszy na to, jak rozpoczęła się nasza znajomość, sądzę, że odniesienie do pieniędzy może być wybaczone.

Wyciągnął rękę w ciemności i uszczypnął ją w nos.

- Jeśli chcę mieć jakichś klientów, muszę mieć niskie ceny. Jednak więksi producenci mogą sobie pozwolić na pewne ekonomiczne rozwiązania, ja nie. Krów stłoczonych razem w oborach może być znacznie więcej niż krów pasących się na łące, które potrzebują dużego pastwiska.

- Rozcieńczanie mleka wodą też musi obniżać ich koszty.

- Oboje patrzyli w zamyśleniu przed siebie. Do głowy przychodziły niezbyt miłe skojarzenia wołu zaprzęgniętego obok swojego partnera. Albo konia ciągnącego zaprzęg obok swojego towarzysza niedoli.

- Gdyby rynek był inny, mógłbym mieć nadzieję, że ludzie zechcą zapłacić więcej za lepszą jakość. Ale rodzin takich jak Weaverowie nie stać na taki luksus.

- A każda rodzina, którą stać, niemal na pewno ma własną krowę. - To było sedno problemu. Będzie miał wartościowy produkt, ale w nieodpowiedniej cenie. - Potrzebujesz grupy bogatych ludzi, którzy nie trzymają krów.

- Londyńczycy na wakacjach. - Słyszała radość w jego głosie. - Czy możemy rozpocząć wycieczki do rolniczego centrum Sussex?

- Rozślawimy lecznicze właściwości jakiegoś okolicznego stawu i założymy uzdrowisko.

- I zachęcimy księcia regenta, żeby je odwiedzał. Wtedy reszta arystokratów też przyjedzie.

- Theo - Marta odwróciła się do niego i oparła na łokciu.

- Księżę regent już przyjeżdża do Sussex. I arystokracja też przyjeżdża.

- Do Brighton - zrozumiał jej tok myślenia i podążył za nim. - W Brighton jest tylu bogatych ludzi, ile może sobie tylko życzyć jakikolwiek kupiec.



- I nie podróżują z krowami. - Jej puls przyspieszył. -Mógłbyś jeździć tam ze swoimi produktami może raz na miesiąc, a może na dwa tygodnie i sprzedawać po takich cenach, do jakich przyzwyczajeni są bogaci ludzie.

- I wtedy mógłbym utrzymać niskie ceny w tej okolicy. -Podniósł dłoń i zanurzył w jej włosach, jednak bez żadnego specjalnego celu. Jego uwagę pochłaniało co innego. - Tylko że być może moi robotnicy nie byli skłonni do takich podróży. Myślę, że muszę z nimi porozmawiać. Po tym, jak porozmawiam z Granville'em. I być może potem, jak pomówię z ojcem o głównym wydatku. Albo nie, może lepiej najpierw skonsultować się z robotnikami. Nie wiem. Od czego człowiek powinien zacząć w tego typu sprawach?

Poważny, sumienny i pytający ją o opinię: mógłby ją w tym momencie poprosić o wszystko. Zacisnęła usta. Szczodrość wymaga szczodrości w odpowiedzi.

- Przemyśl to. Prześpij się z tym. Podejmiesz właściwą decyzję.

Poczuła jego zadowolenie tak dokładnie, jakby czuła jego ciało wstrząsane dreszczem na swojej skórze. To była dla niego nowość, że jest traktowany poważnie. Być może żadna kobieta - albo w ogóle nikt - nie patrzyła na niego ze spokojną wiarą i nie zachęcała go do zaufania własnym umiejętnościom.

Nie powinna go dotykać. Powinna pozwolić mu wygrzewać się w płomieniach własnej satysfakcji i nie mieszać do tego nic innego. Mimo to wyciągnęła dłoń, by złapać go za nadgarstek, i bardzo ostrożnie pochylała się i przyłożyła usta do jego czoła. Tylko tyle.

- Dobranoc, panie Mirkwood - powiedziała i odwróciła się, żeby zasnąć.

Obudziła się następnego dnia w pustym łóżku. Theo już wstał i krzątał się po pokoju oświetlonym ospałym, szarym światłem poprzedzającym świt.

- Obudziłem cię? - powiedział, wychodząc z jej garderoby. Musiał tam wejść, by przepłukać twarz wodą. Z pewnością nie poszedł tam się ubrać: nic na sobie nie miał. W tym świetle jego ciało wyglądało jak wykute z marmuru. Pomnik, który ożył, i teraz sięgał po ubranie świadomy swojej nagości. Tak różnej od nagości w świetle świec, do której zdążyła się przyzwyczaić. W świetle świec w niczym nie przypominał pomnika, jego skóra była ciepła i żywa w migotliwym oświetleniu. Był całkowicie żywy i pełen pożądania.

- Nie obudziłeś mnie. - Przetarła oczy. Nie myślała jeszcze zbyt jasno. - Chociaż zazwyczaj to robisz. - Brakuje ci tego, co? - Rzucił koszulę i spodnie na fotel i włożył bieliznę. - W takim razie będę o tym pamiętał jutro.

„Oczywiście, że za tym nie tęsknię”. Nie musiała tego mówić. Wiedział to i tylko się z nią drażnił. Patrzyła, jak się ubiera. Jego oczy były podkrążone z niewyspania. Włosy zmierzwił. Musiał się ogolić. Jej dłoń, nie czekając na pozwolenie, uniosła się i dotknęła jego policzka, by poznać strukturę nieogolonej skóry.

Odwrócił głowę i ucałował wewnątrz jej dłoni. Nieprawdopodobnie delikatny był ten pocałunek złożony w miejscu, gdzie jej skóra mrowiła od szorstkiego zarostu. Z zamkniętymi oczami został tak na kilka sekund, jakby wdychał zapach jej dłoni.

- Jesteś wolna tego popołudnia? - zapytał potem. - Wziął ją za rękę i jeszcze raz przyłożył ją do swojego policzka.

- Tak sędzę. Chyba że zrekrutowałeś kolejnych gości.

- Jeszcze nie. - Jego policzek ocierał się przyjemnie o wnętrze jej dłoni. - Dzisiaj chciałbym, żebyś razem ze mną złożyła komuś wizytę. Chciałbym, żebyś poznała jeszcze jednego mojego robotnika. Starszego mężczyznę, który pracował w mleczarni.

- Pana Barrowa. Już o nim wspominałeś.

- Właśnie tak. - Złączył swoje palce z jej, jakby zamierzał trzymać jej rękę przy swojej twarzy do końca życia. - Powinien być w domu w czasie obiadu. Możemy złożyć mu krótką wizytę.

- Chętnie.

- Doskonale. Przyjdę po ciebie. - Odwrócił jej dłoń i pocałował po kolei wszystkie palce. I Marta stwierdziła, że żałuje, kiedy dotarł do ostatniego.

Gdyby ktoś mu powiedział tego pierwszego dnia w kościele, jak potoczą się sprawy między nim a kobietą siedzącą po drugiej stronie nawy, zaczęłyby się śmiać tak głośno i serdecznie, że spadłby z ławki i wyrzucono by go z kościoła. Gdyby powiedziano mu, że powinien oczekiwać uwodzenia, wyobraziłby sobie, że to on będzie uwodził, powoli namawiając ją do poluzowania gorsetu i rozpuszczenia włosów i ucząc ją, jak oddawać się przyjemności.

- Czy pan Barrow jest wdowcem? - maszerowała obok niego i zadawała pytania, metodycznie przygotowując się, by zrobić dobre wrażenie. Znał już jej zwyczaje.

- Nigdy się nie ożenił i nie ma w pobliżu rodziny. Tym bardziej powinniśmy go odwiedzić. - Palcem poluzował fular. Miesiąc temu krawat był otoczony najwyższą czcią.

Sierpień wreszcie się kończył i powietrze przynosiło obietnicę chłodniejszej jesiennej pogody. Może nie zobaczy z niej zbyt wiele. Im więcej zdziała na rzecz polepszenia sy-

tuacji w Pencarragh, tym wyżej będzie cenił go Granville i tym szybciej zostanie uznany za godnego powrotu do Londynu. To był jego cel jeszcze nie tak dawno temu.

W domku pana Barrowa gęsi i świnia w oddzielnych klatkach jednoczyły się w robieniu zgiełku, którego natężenie wzmogło się, gdy Theo i Marta przeszli przez bramę. Mężczyzna poczuł dreszcz niepokoju wzdłuż kręgosłupa.

- Co, coś jest nie tak ze zwierzętami? - zapytała wdowa. Theo zapukał do drzwi, nie było odpowiedzi.

- Może zabrał obiad ze sobą na pole - powiedział. - W końcu nie jest tak, że przyjdzie do domu i zastanie jedzenie na stole. - To wyjaśnienie było całkowicie sensowne. Mimo to położył rękę na klamce i nacisnął ją.

Drzwi otworzyły się, ujawniając smród tak straszny, że musiał cofnąć się o krok do tyłu i zakryć nos. Stojąca obok niego kobieta sapnęła głośno, a on wyciągnął rękę, by powstrzymać ją przed wejściem do środka. Boże. Zwierzęta. He czasu minęło, od kiedy je nakarmiono?

- Nakarm inwentarz - powiedział głosem, którego nie poznawał.

- Później, na litość boską. Musimy wejść do środka i sprawdzić...

- Nie. - Aż się cofnęła, słysząc jego ton, on pewnie też by to zrobił, gdyby słyszał cokolwiek poza dudnieniem w uszach. -Ja pójdę. Poczekaj tutaj.

Kiwnęła głową, krzyżując ręce na piersi. Błada i spięta odsunęła się i pozwoliła mu wejść do środka.

Oddychając ustami podczas sześciu kroków, którymi pokonał kuchnię, doszedł do drzwi sypialni, oszczędzał sobie wdychania odoru, ale i tak czuł jego smak. Nigdy do tej pory nie widział śmierci.

Nigdy nie czuł jej smrodu. I może... ta myśl

pewnie broniła go przed paniką... może to nie był ten zapach. Jakaś część jego umysłu zaczynała rozkładać go na kilka czynników. Kilka zapachów, cuchnących odorów choroby mieszało się razem. Wszedł do sypialni. Pan Barrow leżał nieruchomo skulony pod brudnym prześcieradłem. Theo odruchowo odwrócił wzrok - żaden człowiek nie chciałby być oglądany w takim stanie - po czym zmusił się, by znowu spojrzeć. Przypomniawszy sobie, że starzec może już na zawsze być pozbawiony podobnych trosk. Podszedł do łóżka.

Pan Barrow był bardzo chory. Najwyraźniej był zbyt słaby, by sięgnąć po nocnik. Matko Boska, jak długo tam leżał bez opieki i niezauważony przez nikogo? Czy nikt nie zwrócił uwagi na jego nieobecność i nie pomyślał, by sprawdzić, co się z nim stało?

Theo przyłożył drżącą rękę do wątego gardła starca, szukając pod cienką jak papier skórą puls i... tak. Niezaprzeczalnie. Nagle oparł się plecami o ścianę i pochylił do przodu, opierając ręce na kolanach. Ulga też ma swój ciężar, powala podobnie jak zmartwienie, ale jest nieskończenie bardziej mile widziana.

- Theo? - Marta też nie brzmiała normalnie, kiedy teraz

O tym pomyślał. Przestraszona. Niepewna. Słaba. Dokładne jej przeciwieństwo.

- Zostań tam, gdzie jesteś - zawołał. - To nie to najgorsze... w każdym razie jeszcze nie. Ale nie wchodź tu.

Pan Barrow poruszył się, słysząc jego głos. Theo przykucnął przy łóżku. Wargi chorego poruszyły się, potem jeszcze raz

i przy trzeciej próbie wreszcie udało mu się powiedzieć: „wody”.

Na niebiosa, oczywiście. Starzec chciał czegoś do picia. Jak Theo mógł być tak głupi i potrzebować, żeby mu to mówiono, zwłaszcza trzy razy? Wstał i wyszedł do kuchni. Gdzie rolnicy

trzymają swoje piwo? I czy piwo to dobry pomysł w jego stanie? Może jabłecznik byłby lepszy dla kogoś tak osłabionego. Niech go szlag, jeśli wie.

Ale pytanie było czysto teoretyczne. Nie było żadnej butelki w spizarni, a w kuchni znalazł tylko pusty kubek. W takim razie przyniesie wodę ze strumienia i... ugotuje ją albo coś podobnego, żeby nadawała się do picia. Tak przecież ludzie robili z herbatą, prawda? Tak. Musi tak zrobić. Na kuchni nie palił się ogień. Będzie musiał go rozpalić. Boże. Musi rozpalić ogień, iść do strumienia, przynieść wodę, znaleźć naczynie, w którym ją ugotuje... i ile będzie się gotowała i jak długo stygła do temperatury, w której można ją wypić? Będzie ją pewnie musiał też precedzić - czym? Rozpacz zebrała w nim jak wielka fala, odstawił kubek i położył dłoń na czole.

Nie. Zapomnij o wodzie. Znajdzie lekarza. Niech go diabli, dlaczego zmarnował nawet trzy sekundy, myśląc o wodzie, kiedy powinien od razu szukać lekarza. Niech będzie przeklęta jego bezużyteczna, niepraktyczna dusza. Nie nadawał się do tego pod każdym możliwym względem.

- Theo. - Im dłużej tam był, tym większa ogarniała ją panika. - Proszę, powiedz mi, jak mogę pomóc. I nagle stanął w drzwiach blady, ale zdecydowany.

- On potrzebuje lekarza. Nie wiem, gdzie go szukać.

- Ja wiem. - Nareszcie może się na coś przydać! - Wiem, gdzie go szukać.

- Dobrze. Biegnij i znajdź jakiegoś chłopca. Powiedz mu, żeby poszedł do stajni, i wysłał kogoś konno po lekarza najszybciej, jak się da. - Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. Widziała, z jakim trudem zachowuje spokój. - Jeśli któryś z sąsiadów ma jabłecznik lub bardzo słabe piwo, to go potrzebujemy. Powiedz chłopcu, żeby kazał je przysłać.

- Mam mu powiedzieć, że zapłacisz lekarzowi? Czasami lekarz nie chce przyjść do domu biedaka. Theo zaklął i przyłożył pięść do czoła, częściowo się odwracając.

- Niech lekarz przyjedzie do mojego domu. Wtedy nie będzie wątpliwości. Przeniosę tam pana Barrowa. I tak powinno się go przenieść z tego pokoju.

- Powiem chłopcu, żeby stajenni wysłali powóz - zaczęła już iść.

- Nie. - Jego głos powstrzymał ją jak konia, któremu ostro skróciło się wodze. - Nie chcę, żeby się poobijał. Zaniosę go. Umyję go najlepiej, jak zdołam, i zaniosę do domu.

„Oszałałeś? To musi być niemal miła”. Powiedziała to tylko do siebie, ponieważ gdy to mówiła, już biegła. Biegła jak nigdy w życiu, trzymając podniesioną spódnicę i szybko przemierzając nierówną ziemię. Znalazła chłopca mniej więcej dwunastoletniego i podała mu dwa zadania: by zdobył picie i wezwał lekarza. Kiedy pobiegł z błogosławioną energią dziecka, ona pospieszyła do domu pana Barrowa, czując ból w boku ze zmęczenia.

Mirkwood był niewzruszony w swojej decyzji, by jej nie wpuszczać do środka.

- Nie chciałby, żeby kobieta oglądała go w tym stanie - powiedział i nie było dyskusji. Ale mogła przynajmniej zająć się zwierzętami. Biedne i głodne zwierzęta robiły dużo hałasu. Może znajdzie jakieś warzywa w ogrodzie, a w kuchni może będzie chleb, który pokruszy dla gęsi. Przede wszystkim potrzeba im wody.

Na tyłach domu znalazła wiadro, a Mirkwood znał drogę do strumienia. Woda, warzywa, chleb: ułożenie planu nawet

tak małego i podjęcie jego realizacji miało jak zwykle pogrzącający efekt. Pokona ten kryzys, zadanie po zadaniu.

Najwyraźniej pani Weaver mogła pokonać go razem z nią, ponieważ sypała chleb gęsiom, kiedy Marta wróciła, niosąc wodę.

- Bardziej przydałabym się w domu - oświadczyła na widok wdowy zamiast powitania. - Jestem pewna, że on nie wie niczego o zajmowaniu się chorymi, ale przyszedł, wziął ode mnie jabłecznik i uparł się, żebym została na zewnątrz.

Żeby akurat w tej chwili znaleźć wspólny grunt.

- Mnie powiedział to samo. Jakby skromność liczyła się w takich momentach. Może pani przypilnować gęsi, kiedy będę nalewała wody?

Działały z pocieszającą efektywnością; napoiły gęsi i świnię, wybrały najgorsze warzywa z ogródka i wrzuciły je do koryta. Wreszcie Mirkwood pojawił się w drzwiach.

- Ubrałem go w czystą koszulę, a teraz zabieram do swojego domu. - Jego kapelusz zniknął, a włosy były zmierzwione, jakby przeczesywał je w nerwach.

- Myślę, że musimy spalić całą pościel i materac i otworzyć wszystkie okna. Czy jest dość drewna na opał?

Pani Weaver pokręciła głową.

- Lepiej wyprać jego rzeczy. Przejrzę je i zobaczę, co można uratować.

- Nie. - Jego oczy wyglądały jak oczy kogoś obcego, stanowcze i straszne. - Spalcie je. Spalcie wszystko.

- Wątpię, czy ma więcej niż jeden komplet pościeli. - Jego wzrok nie przestraszył pani Weaver. - Wiem, że na pewno nie ma drugiego materaca. Gdzie będzie spał, jeśli wszystko spalimy?

Skrzywił się.



- Przyniosę mu przeklęty materac ze swojego przeklętego domu. - Oparł ramię o framugę i skroń o swoją rękę. Marta pamiętała tę postawę z okropnego dnia, gdy nazwał ją trupem. - Proszę, po prostu spalcie wszystko. Albo jeśli nie jesteście w stanie, powiedzcie mi, a ja wyznaczę kogoś do tego zadania.

- Możemy się tym zająć. Ja mogę. - Co ona plecie? Nigdy w życiu sama nie rozpałała ogniska.

- Dziękuję, pani Russell - powiedział wyczerpany i wdzięczny, po czym zniknął we wnętrzu domu. Cóż, od czego zacząć? Od jakiegoś miejsca, żeby ogień był z wiatrem i dostatecznie daleko od domu, żeby iskry nie mogły przeskoczyć na dach domu. Musi znaleźć drewno i hubkę z krzesiwem albo jakieś inne narzędzie do rozpalenia ognia. Jeśli będzie miała odrobinę szczęścia, pani Weaver ulituje się i dołączy do niej. Jeśli nie da sobie rady sama, tak samo jak zawsze...

Ruch przy drzwiach przerwał jej myśli, a potem wszystkie wyleciały jej z głowy, gdy stanęła jak wryta.

Mirkwood z chorym w ramionach. Wiedziała, że powinna była oczekiwać tego widoku. Ale spodziewać się czegoś, a zobaczyć, to, jak się okazało, dwie różne rzeczy. Nie była przygotowana na szczegóły. Na popielaty kolor skóry starca. Na to, jak jego ramiona bezładne jak u dziecka leżały na piersi. Na jego luźną koszulę i okropną łatwość, z jaką młodszy mężczyzna go niósł, jakby to było tylko kilka kości w worku.

Tak wyglądał jej ojciec w czasie ostatnich miesięcy. Musiał mieć wtedy ze dwadzieścia lat mniej, ale był tak samo przeraźliwie chudy. Błady. Być może pan Russell wyglądał podobnie, a jego kończyny wisały równie bezładnie, gdy rolnik znalazł jego połamane ciało.

Coś... w niej... drgnęło. Poczowała, jak coś w niej pękło, głośno jak pokrywa lodu na rzece pękająca na wiosnę. Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca i poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy.

Theo zatrzymał się w pół kroku.

- Marto.

Och, brzmiał, jakby coś ścisnęło jego wnętrzności! I popełnił straszne błąd, zwracając się do niej po imieniu przy kimś obcym. Wytarła policzki wierzchem dłoni, odwracając od niego twarz.

- Nic jej nie będzie. - Niespodziewanie poczuła dłoń na ramieniu. - To tylko szok i przerażenie tym widokiem. - Niespodziewanie spokojny, pokrzepiający głos. - Proszę iść. Pomogę jej z ogniem i nic jej nie będzie.

Wdowa zerknęła na mężczyznę. Kiwnął głową pani Weaver, czerwieniąc się - zbyt późno zrozumiał swój błąd - i odszedł, niosąc swój ciężar.

Dobry Boże. Co może teraz powiedzieć?

- Przepraszam. - Marta przetarła oczy. - To przerażenie tym widokiem, dokładnie tak jak pani powiedziała, a potem przypomniał mi się widok mojego ojca przed śmiercią.

- To minie. - Dłoń z jej ramienia zniknęła. - Pójdę sprawdzić, ile mamy drewna.

- Pani Weaver. - Co na niebiosa najlepszego narobiła? Widziała słowa, które chciała wypowiedzieć, jak kamienie spadające ze stromego zbocza, dalej i dalej wymykające się z jej zasięgu, kiedy je goniła.

- Wiem, co się pani przydarzyło w Seton Park. A raczej, co pani zrobiono. Co zrobił James Russell. - Z ogromnym wysiłkiem zmusiła się do obrócenia i opuszczenia rąk.

Pani Weaver stała twarda, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie odezwała się.

- Przykro mi, bardzo mi przykro z tego powodu.

- To nie ma z panią nic wspólnego. - Odwróciła wzrok na ogrodzenie, gdzie świnia skończyła swój posiłek i teraz ocierała się o nie grzbietem.

- Chciałabym kiedyś pani za to zadośćuczynić. I powstrzymać Jamesa Russella przed odziedzczeniem tej posiadłości i powrotem do tej okolicy. Zrobię, co będę musiała, żeby temu zapobiec.

Pani Weaver dalej patrzyła niewidzącym wzrokiem na świnie, zmarszczyła brwi i bezgłośnie poruszała ustami, rozważając te słowa. A może przypominała sobie wydarzenia sprzed szesnastu lat.

- To nie moja sprawa, co pani robi - odezwała się w końcu. - A co do zadośćuczynienia, nie wiem, jaką formę mogłoby przyjąć. Lepiej rozpalmy ogień.

Nie rozmawiały już na ten temat, ale pracowały energicznie i w zgodzie, rozpalając ogień i wynosząc z domu każdy przedmiot świadczący o chorobie pana Barrowa. Po godzinie wrócił Mirkwood - bardziej zmęczony i w bardziej pomiętym niż poprzednio ubraniu. Lekarz powiedział, że panu Bar-rowowi nie zagraża niebezpieczeństwo.

- Nie wiedziałem, czy jeszcze tu będziecie - powiedział - ale widziałem dym. Chciałem wam przekazać wiadomość i podziękować za waszą pomoc i wyrozumiałość. - Wyciągnął dłoń do pani Weaver.

Przyjęła ją, odwracając wzrok, i szybko puściła.

- Następnym razem, gdy nie będzie go w pracy, wyślę któregoś z moich chłopców, żeby go poszukał.

- Opracujemy system. Obowiązek nie będzie spoczywał wyłącznie na pani rodzinie. - Potem odwrócił się do Marty, a jego oczy pełne były tysiąca rzeczy, których nie mógł powiedzieć w obecności pani Weaver. - Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej, pani Russell.

Jakby pani Weaver mogła zapomnieć, jak się do niej zwrócił poprzednio. Absurdalność sytuacji sprawiła, że Marta poczuła, jak jej usta rozciągają się w uśmiechu, i podniosła rękę, by to zamaskować.

- Znacznie lepiej, dziękuję, panie Mirkwood. Mam nadzieję, że będę w stanie zobaczyć się z panem Barrowem innego dnia.

- Jak najbardziej. - Spuścił oczy i na chwilę zamilkł jak młody człowiek spotykający damę, która mu się podoba, i łamał sobie głowę nad tym, co powiedzieć. - Przysłać kogoś, by odwiózł panią do domu? Zaoferowałbym własne usługi, ale sądzę, że będzie lepiej, jeśli wykąpię się, zanim będę komukolwiek towarzyszyć.

- Oczywiście. Nie, przejdę się, dziękuję. - Teraz ona też patrzyła w ziemię.

Wykąpie się. Gdyby była jego żoną - na niebiosa, skąd jej to przyszło do głowy? - ale gdyby była, poszliby do jego domu razem, a ona pomogłaby mu w kąpieli. Uklękłaby na marmurowych kafelkach, namydliła go, a on pochyliłby głowę, pozwalając, by opuściło go całe zmęczenie. Rozmasowałyby mięśnie na jego karku, które spięła troska. Jego oddechy stawałyby się coraz wolniejsze, co świadczyłoby o tym, że przynosi mu ulgę. A jej dłonie powiedziałyby mu, jaka jest dumna ze wszystkiego, co dziś zrobił.

Nic z tego. Nigdy nie będzie jego żoną. Nawet gdyby życzyła sobie, żeby do tego doszło i on też by tego chciał, to nigdy nie mogłoby się to zdarzyć. Bezpieczeństwo Seton Park

zależało od jej dziecka - jeśli je zdobędzie - uznawanego za dziedzica pana Russella.

A jednak myślała o tym. Kiedy uścisnęła mu rękę na do widzenia, podczas drogi do domu i przez całe popołudnie wyobrażała sobie, jak on zanurza się w ciepłej wodzie i leniwie obraca raz w jedną, raz w drugą stronę. Jego mydło jest pewnie perfumowane. Pewnie cytrusowe albo w jednym z tych piżmowych zapachów, które mężczyźni tak lubią. Jego włosy skręcają się bardziej niż zazwyczaj w parnym powietrzu. W wodzie będzie nagi, ale w inny sposób. Nie jak marmur, nie-ocieplony przez płomień świec, ale subtelne i tajemnicze. Pozostawiając co nieco wyobraźni. Mogłaby podziwiać rozmyte kształty i czekać na moment, w którym będzie musiał wstać.

W tym momencie złapie za brzegi wanny i wstanie na pełną wysokość. Woda będzie ściekać po jego ciele. Sączyć się z jego włosów, krople będą tańczyły w słońcu, które akurat zaleje pokój. A jego spojrzenie nieomylnie powędruje do kobiety, która na niego patrzy.

Wyobrażała to sobie, gdy siedziała w bibliotece z książką na kolanach. Podczas kolacji, kiedy nabijała groszek na widelec. I w sypialni w bezwstydnym świetle dnia i znowu, kiedy położyła się do łóżka, rozważała każdy soczysty detal tej sceny z ciągłą i pełną dreszczy satysfakcją.

Co Rzymianie sobie myśleli o tej Wenus? Miłość powinna być mężczyzną, wysokim, szerokim w ramionach i błyszczącym, gdy się wynurza, nie w nudnej muszli, jak to przedstawiali malarze, ale rozbijając fale własnym ciałem i wychodząc na ląd. Byłaby to manifestacja hojności oceanu dla każdej kobiety w promieniu pięćdziesięciu mil.

Miała inne rzeczy do roboty i wiele innych sposobów na spędzanie czasu niż te grzeszne rozmyślania. Ale to przecież nie było w całości grzeszne. Wizja boga miłości wynurzającego się z rozstępującego się oceanu jakoś połączyła się ze wspomnieniem Mirkwooda stojącego w drzwiach domku i delikatnie trzymającego w muskularnych ramionach kruchego starca. Nigdy nie wyglądał tak silnie. Mógł zrobić wszystko, skąpany w łasce i potędze.

Zaproponuje, żeby ją dzisiaj pieścił. Ona będzie wysyłać sygnały, które go do tego skłonią, a kiedy to zrobi, ona się zgodzi tylko na chwilę. Znał odpowiednie miejsce. Wiedział, co robić. „Nie pozwól mi się zatracić” - powie mu, a on będzie wiedział, kiedy przestać. Mogła mu w tym zaufać.

„To dlaczego nie zaufać mu we wszystkim?” - to zuchwałe pytanie pojawiło się w jakiejś części jej umysłu. Nawet myśli zmawiały się przeciwko niej. Pozwoliła, by pytanie pozostało bez odpowiedzi i by myśli znowu skupiły się na wizji męskich nóg w wodzie.

- Jak tam twoja kąpiel? - chciała wiedzieć wdowa, kiedy tylko wszedł. Siedziała na łóżku, szczelnie opatulona kołdrą.

On nie miał jednak ochoty rozmawiać o nieistotnych wydarzeniach tego dnia. Podeszedł do niej, chwycił jej twarz i pochyliwszy się, pocałował w usta.

Była wyraźnie zaskoczona. Ale nie cofnęła się ani nawet nie zeszywniała. Przyjęła pocałunek, jej usta były miękkie i spokojne. Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

- Przepraszam, że musiałaś przez to wszystko przejść. - Jedną nogę położył zgiętą na łóżku, wciąż obejmując jej twarz. - Ale cieszę się, że tam byłaś. Pokrzepiło mnie to bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

- Ja też się cieszę. Byłeś taki dzielny. - Uniosła ręce i złapała go za nadgarstki. Kołdra opadła, odsłaniając ją, ale ona nawet tego nie zauważyła.
- Dzielny? Chyba żartujesz. - Uniósł jej podbródek i pocałował ją. - Byłem tak przestraszony, że prawie straciłem rozum.
- Tak. - Wpatrywała się w niego ciemnobrązowymi oczami. - Przestraszony i bardzo dzielny. Byłam z ciebie dumna.
- Dość tego. - Odsunął się i zaczął rozpinać guziki. - Zatrószmy się o nasienie, a potem chciałbym poznać twoje zdanie na temat mojego nowego pomysłu.
- Zostawił w niej swoje nasienie z większym pośpiechem niż zazwyczaj. Pomogła mu, słodka, wspaniałomyślna kobieta, wyginając plecy, napierając na niego i zanurzając palce w jego włosach. Ale przecież zawsze lubiła, gdy to działo się szybko. Z chęcią się jej podporządkował, pędząc do szczytu z pośpiechem, którego z pewnością by się wstydził, gdyby jego kochanką była inna kobieta.
- Teraz twoja kolej, byś była zadowolona - powiedział potem, wyciągając się obok niej. - Mam pomysł, jak sfinansować to mleczarskie przedsięwzięcie.
- Mleczarskie przedsięwzięcie. - Nie zatrzymał się, by pogasić świece i widział zaskoczenie na jej twarzy.
- Powiedziałem ci, że chcę poznać twoje zdanie, pamiętasz? Ale może jesteś zbyt zmęczona. Mogę poczekać z tym do jutra, jeśli wolisz.
- Nie... - na chwilę zacisnęła usta. Patrzyła na niego w skupieniu. - Nie, bardzo bym chciała usłyszeć o twoim pomysle. Czy to nowe argumenty do przekonania twojego ojca?
- Częściowo tak, ponieważ to zmniejszy poniesione przez niego koszty. Pomyślałem o znalezieniu inwestorów.

- Inwestorów. - Wsunęła sobie rękę pod policzek, podpierając głowę. - Tak jak ludzie inwestujący w kupiecki statek i dostający za to część zysków?

- Właśnie. Minęło dużo czasu, od kiedy złożyłem wizytę którejś z wyżej postawionych rodzin w okolicy. Jeśli będą mieli udział w zyskach, to, jak się spodziewam, chętniej będą kierować swoich pracowników, którzy nie mają krów, do nas. Być może będą też sami od nas kupowali, jeśli będziemy produkowali jakiś specjalny rodzaj sera albo inny niedostępny produkt.

- Podkreśl kwestię korzyści dla najbiedniejszych sąsiadów. Zwłaszcza jeśli będziesz rozmawiał z kobietami. - Skupienie zniknęło z jej twarzy, teraz pojawił się na niej zapal. - To będzie bardziej do przyjęcia, niż gdybyś mówił wyłącznie o zyskach. Powiedz też o ciężkiej pracy i że to będzie promowało odpowiednie wartości wśród robotników.

- Wartości. Jak najbardziej.

- I czy myślałeś, żeby zrobić niewielkie udziały? W ten sposób zamożni inwestorzy mogą kupić tuzin albo więcej, a osoba dysponująca skromniejszymi środkami może kupić jeden i mieć to samo poczucie uczestniczenia w tym interesie. Twoja mleczarnia będzie miała orędowników w każdym domu w okolicy. - Jednak lepszego orędownika niż ten, który leżał obok niego, z oczami rozpalonymi satysfakcją osadzenia mglistego pomysłu na solidnym gruncie, na pewno nie znajdzie.

Człowiek, który przekona ją do ponownego zamążpójścia, będzie szczęściarzem. Będzie mógł iść przez życie, wymyślając kolejne mgliste projekty, wiedząc, że ona każdemu z nich nada rzeczywisty kształt.

Wyciągnął rękę i musnął palcami jej policzek.



- Będzie mi tego brakowało, wiesz? Kiedy wrócę do Londynu. - Mówienie tych słów na głos od czasu do czasu, by sobie przypomnieć, że musi wrócić, było dobrym ćwiczeniem samodyscypliny. - Tego wspólnego planowania. Nigdy nie myślałem, że będę w ten sposób spędzał czas w łóżku. Ale i tak będzie mi tego brakowało.

Sprawił, że cała pojaśniała. Gdyby dopiero co ją spotkał, pomyliłby jej rumieniec podekscytowania z zaproszeniem do cielesnych rozkoszy. I podjąłby działania, które zaraz by powstrzymała.

Zamiast tego dotknął palcami własnych ust, a potem jej. Niewinne pożegnanie, absurdałne między mężczyzną a jego kochanką, niedorzeczne między kobietą i jej wynajętym ogierem, ale być może odpowiednie dla dwojga niepasujących do siebie nieznajomych, którzy znaleźli drogę do przyjaźni.

## Rozdział 14

Jest pani pewna, że wiedziała, co oznacza to, że zwrócił się do pani po imieniu? - Sheridan siedziała przy jej toalecie, przeglądając katalog z wzorami sukni na jesień i zimę.

- Z pewnością wiedziała, że to oznacza coś niestosownego, a ja właściwie powiedziałam jej resztę. Powiedziałam, że zamierzam powstrzymać Jamesa Russella przed dziedziczeniem. - Marta podeszła do okna i położyła rękę na nagrzanej szybie. Miesiąc temu byłaby cieplejsza. - Musimy mieć nadzieję, że ona też tego pragnie.

- Cały ten czas mieszkała w sąsiednim majątku! - Można było sobie wyobrazić, jak pokojówka kręci głową. - Pani Kearney nigdy nic nie powiedziała.

- Pochwalam jej dyskrecję. - Wdowa odwróciła się, opuszczając rękę. - Wiesz, Sheridan, mimo przykrych wydarzeń ostatnich tygodni doświadczyłam życzliwości ludzi. Na przykład pan Keene. Dostałam od niego niezwykle miły list dziś rano, w którym zapewnia mnie, że pracuje nad zniechęceniem Jamesa Russella do przyjazdu. Dlaczego zadaje sobie

tyle trudu? Ledwo mnie zna. Ta dobroć przekracza wszystko, czego mogłabym się spodziewać.

- Myśli pani, że uda mu się zapobiec tej wizycie? - Sheridan użyła wąskiego paska papieru, by zaznaczyć jakąś stronę, i zaczęła oglądać następną.

- Zaczynam mieć nadzieję, że tak. - Marta znowu przeszła przez pokój, przeciągając dłonią po tapecie.

- Gdyby osoba mająca przypuszczalnie odziedziczyć majątek naprawdę martwiła się o to, że wdowa ją oszuka, przyjechałaby zaraz w pierwszym miesiącu, żeby utrudnić jej takie działania, jakie ja podjęłam.

- Albo może przyjechać, gdy dostanie informację o ciąży, jak pani mówiła wcześniej, by uniemożliwić inne działania.

- Prawda. Jednak to daje panu Keene'owi kolejne miesiące na przekonanie go. - Dotknęła palcem szkatułki z rzadko noszoną biżuterią stojącej na stoliku. - Jestem dobrej myśli. Tak wiele spraw układa się ostatnio zgodnie z moimi życzeniami.

Pokojówka uniosła na chwilę wzrok, po czym spuściła go z powrotem na książkę.

- Przypuszczam, że pilnuje pani kalendarza - przemówiła cicho i ostrożnie, jakby niepewna, czy powinna poruszać ten temat.

- Próbuję myśleć o czymś innym. - Marta podniosła pierścionek z agatem i obróciła go dwukrotnie na palcu. - Dzisiaj mijają cztery tygodnie od moich ostatnich kobiecych dolegliwości. - Nie musiała tego mówić. Osobista pokojówka znała prywatne sprawy swojej pani równie dobrze jak własne.

- Czy pan Mirkwood wie? - Sheridan przewróciła stronę, nie zaznaczając jej.

- Nie zna dokładnej daty. Jednak minęło trzy i pół tygodnia, od kiedy zaczął mnie odwiedzać. Musi się tego domyślać.

- Przypuszcza pani, że coś powie? Czy będzie czekał, aż pani oświadczy mu, że nie musi już przychodzić?

To była kolejna sprawa, o której nie chciała myśleć. O tym, jak skończy się ich umowa. Postukała palcem w kamień i wreszcie pokręciła głową.

- Już dawno przestałam przewidywać, co zrobi pan Mirkwood. - Zdjęła pierścioneł i rzuciła go do szkatułki, gdzie przez chwilę kręcił się na krawędzi, zanim płasko opadł. - Musisz zaznaczać tak wiele krojów? Wiesz, że chcę tylko dwóch sukni i jesionki, najprostszych, jak to możliwe.

- Pan Barrow zawdzięcza panu życie, nie mam co do tego wątpliwości. - Granville siedział z założonymi rękami na stole, porzuciwszy herbatę i tost. - Dopilnuję, żeby Frederick się o tym dowiedział.

Theo nakładał dżem malinowy na swój tost.

- Zawdzięcza życie szczęśliwemu przypadkowi. Nie mogę teraz wspominać tego pikniku bez wstydu, bo wiem, że pół mili dalej on leżał chory, podczas gdy my beztrósko się bawiliśmy.

- Ja również odczuwam wstyd. - Do salonu wpadało słońce, oblewając zarządcę miękkim światłem. - Zarządzanie to dla pana nowe zajęcie, ale to mój zawód. Powinienem był wiedzieć, w jakim stanie jest pan Barrow.

- W przyszłości tak będzie. - Theo rozsmarował dżem na toście. - Zamierzam opracować jakiś grafik, według którego rodziny pozostałych robotników będą do niego zaglądać, jeśli znowu zachoruje, i informować pana o jego stanie. Nie mogę teraz go stracić. - Krew szumiała mu w uszach i mrowiła go skóra, jakby stado przyjaznych szerszeni ścigało się po jego ciele. Nadszedł ten moment. - Mam pomysł na to, w jaki

sposób można wykorzystać tę ziemię, i będę potrzebował jego doświadczenia niemal tak bardzo jak pańskiego.

Granville zamienił się w słuch. Siedział prosto na krześle i słuchał, wyciągnąwszy swój wszechobecny ołówek, by robić notatki. Zgodził się co do marnej jakości mleka i masła, które są dostępne.

Stwierdził, że wszyscy poza najbogatszymi rolnikami zawsze będą w gorszej sytuacji, bo nie mają możliwości, by zatrzymać ziarno i czekać na wzrost cen. Pokiwał w zamyśleniu głową, słuchając pomysłu sprzedawania nabiału w Brighton, oraz ostrzegł, że muszą ustalić, jakie produkty są już dowożone na tamtejszy rynek. Przy kwestii inwestorów natychmiast chciał zacząć robić rozliczenia; jaki byłby koszt udziałów i jak szybko udziałowiec mógłby spodziewać się zysków.

- Myślałem o dwudziestu pięciu krowach na początek i dwóch bykach. Nie chcę zapłacić więcej niż osiem funtów za zwierzę. - Uderzał łyżeczką w skorupkę jajka. Dźwięk ten pasował do skrobania ołówka zarządcy i kalkulacji mamrotanych pod nosem. - Możemy je kupić na targu w East Grin-stead w grudniu, chociaż jak rozumiem, większość tego bydła jest kupowana w Walii. Mnie bardziej odpowiadałyby krowy rasy jersey: dają dużo mleka i są małe, więc nie będą potrzebowały aż tyle paszy co te większe.

Granville odłożył ołówek i odchylił się na krześle.

- No tak. - Wreszcie podniósł filiżankę z herbatą. - Naprawdę zbadał pan ten temat.

Theo odkroił górę jajka i zjadł kawałek.

- Zarządca pani Russell, ten, który dał mi początkowe wskazówki co do kładzenia dachów, był pomocny. I zdobyłem kilka dokumentów. Nie wątpię, że ojciec będzie miał tysiąc pytań, kiedy poproszę go o pieniądze, i chciałbym przygotować tak wiele odpowiedzi, ile tylko zdołam.

- Nie będę pana zniechęcał do samokształcenia - zarządca wypił jeszcze trochę herbaty i odstawił filiżankę. - Aczkolwiek nie będzie pan musiał przekonywać sir Fredericka do czegokolwiek. Kiedy organizował pański pobyt tutaj, zezwolił na zużytkowanie konkretnej sumy pieniędzy na zrealizowanie tego typu wymyślonych przez pana planów.

- Naprawdę? - Theo zatrzymał łyżkę w połowie drogi między talerzem a swoimi ustami. - Nic mi o tym nie powiedział.

- Nie, i prosił mnie, bym także o tym nie wspomniał. Nie chciał, żeby szukał pan sposobu wydania tych pieniędzy. Wolał, żeby najpierw pojawił się pomysł, a potem możliwość jego sfinansowania.

- Dobry Panie. - Srebro stuknęło o porcelanę, gdy odłożył łyżkę. - Co na litość boską kazało mu sądzić, że kiedykolwiek będę miał jakiś plan?

Na ustach Granville'a pojawił się uśmiech.

- Miał dwadzieścia sześć lat na to, by pana obserwować. Musiał nabrać jakiegoś przekonania co do pańskich możliwości.

- Dobry Panie - powtórzył Theo. Za plecami zarządcy pyłki kurzu kłębiły się w promieniach słońca, zachęcając, by człowiek odpłynął myślami. Postawiłby pieniądze na to, że doskonale wie, co ojciec myśli o jego możliwościach. Sam by się nawet zgodził z tą oceną. Nawet teraz dobra opinia ojca - jeśli taka była - wydawała się czymś dziwnym i źle dopasowanym jak pożyczony płaszcz.

I to płaszcz pożyczony od kobiety. Nic z tego nigdy nie miałyby miejsca, gdyby nie wpływ pani Russell. Prawda? Może i miałyby jakieś mgliste pragnienie, żeby ludzie żyli w bardziej komfortowych warunkach na jego ziemi, ale nigdy nie zająłby się polepszaniem ich życia. Prawda?

- Właściwie dysponuje pan dostatecznymi środkami, by pominąć inwestorów. - Granville pokroił swój tost na kawałki; najwyraźniej jego apetyt wrócił. - Jednak przyznam, że ten pomysł zbytnio mi się podoba, że bym doradzał jego porzucenie. Mam wrażenie, że to charakterystyczne działanie dla typu właściciela ziemskiego, jakim pan będzie.

Przez sekundę Theo chciał się roześmiać. Potem ta sekunda minęła. W końcu nie było nic śmiesznego w tym, żeby ktoś myślał o nim jako o właścicielu ziemskim. Takim, który wiedział, jak godzić odmienne interesy, by tworzyć coś, co przyniesie wszystkim korzyść. Być może miał ten talent.

- W takim razie chętnie poznam pana opinię na temat następnego możliwego użycia funduszy sir Fredericka. - Sięgnął po filiżankę z herbatą. - Duchowny z Seton Park, pan Atkins, rozmawiał ze mną na temat szkoły, którą właśnie otworzył. Co pan sądzi o zachęceniu naszych robotników, by posłali do niej swoje dzieci?

Odwiedzili ją kolejni goście. Sędzia pan Riverso i jego żona tego popołudnia, a pani i panna Landers następnego. Wizyty trwały tyle, ile trzeba, a rozmowy były na odpowiednie tematy. Wszyscy popierali dobroczynne dążenia pana Mirkwooda. Wszyscy cieszyli się, że mogą ją poznać. Nalegali - co za niespodziewana uprzejmość - że musi posłać po nich, jeśli będzie potrzebowała pomocy.

Wszyscy byli obcy, dopóki Mirkwood nie namówił ich do przyjścia, i nagle stali się prawdziwymi sąsiadami, gotowymi, jej pomóc w imię obowiązku i być może czegoś więcej.

- Nigdy nie znałam kogoś, kto wzbudzałby sympatię tak jak ty - powiedziała mu wieczorem tego dnia, w którym odwiedziły ją panie Landers. - Nie tylko w stosunku do ciebie, ale

ogólnie wśród ludzi. Sądzę, że ta społeczność będzie lepsza dzięki temu, że tu przyjechałeś. - Znowu nie wysłała mu odpowiedniego sygnału i sam osiągnął szczyt. Prawdopodobnie dawno już porzucił nadzieję, że ona do niego dołączy.

- Wróć do tego, jak wzbudzam sympatię. - Leżał obok niej, odruchowo bawiąc się kosmykiem jej włosów. - Naprawdę to robię?

- Oczywiście, że tak. Wszyscy odwiedzający mnie tak uprzejmie o tobie mówili. Już cię polubili. Tchórz. Nie to chciał usłyszeć, a ona nie to chciała tak naprawdę powiedzieć.

„Znasz go od czterech tygodni. Uczucia, które kobieta może rozwinąć w stosunku do mężczyzny w takim czasie, mogą być iluzją". To stwierdzenie zawierało prawdę, a mimo to, co jak nie uczucie mogło sprawić, że chciała wypowiedzieć słowa przyjemniejsze dla nich obojga?

„Dotknij mnie - mogłaby powiedzieć - wzbudź takie uczucia, jakie tylko chcesz". Sygnały nie działały, a ona nie będzie miała więcej okazji. Minęło trzydzieści dni od jej ostatnich kobiecych dolegliwości. To jeszcze o niczym nie świadczy. Klęska może zmanifestować się w każdej chwili. Choć sukces też będzie oznaczał koniec ich związku.

Zamknęła oczy, wdychając cytrusowy zapach. Czowała tysiące malutkich, delikatnych punkcików przyjemności na głowie, gdy przeczesywał ręką jej włosy. Od czasu do czasu przypadkowo delikatnie muskał palcami skórę jej głowy.

„Dotknij mnie". Zaczyna od przyłożenia języka do górnych zębów. Mogłaby to nawet powiedzieć z zamkniętymi oczami, gdyby chciała.

- Przyjdiesz jutro, prawda? - Nagle zabrał rękę z jej włosów. - Kiedy będę się spotykał z robotnikami? Poprosiłem



Granville'a, żeby przyszedł, i chciałbym, żebyś ty też tam była, skoro uczestniczysz w tym od samego początku.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że oparł się na łokciu i patrzył na nią, jakby chciał ją siłą woli zmusić do przyjścia.

Co za absurdalna męczarnia: nigdy nie kusił jej tak silnie jak wtedy, kiedy zapominał o lubieżności i skupiał całą uwagę na jakichś obowiązkach. Jednak musi podążać za nim tą godną ścieżką i porzucić wszystko inne.

- Oczywiście, że przyjdę - powiedziała. - Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby to przegapić.

- Prawda jest taka, że nie wiem nic o młeczarniach poza tym, co czytałem albo usłyszałem od innych.

- Theo siedział u szczytu swojego ogromnego stołu w jadalni z łokciami na stole i gestykulował do wtóru słów. Gdyby stał, prawdopodobnie wyglądałyby bardziej władczo, ale dzięki tej pozycji jego słuchacze czuli się swobodniej. - Musimy również pamiętać o tym, że może mnie tu nie być, żebym nadzorował sprawę. Mam nadzieję, że w którymś momencie wrócę do Londynu. - Uśmiechnął się przelotnie do Granville'a siedzącego naprzeciwko. Wygnanie stało się czymś zupełnie innym teraz, kiedy wiedział, że ojciec zostawił dla niego pieniądze, licząc na to, że wyjdzie na ludzi. - Dlatego też sukces tego przedsięwzięcia będzie leżał nie w moich, ale w waszych rękach. Z tego powodu chciałbym usłyszeć, co o tym myślicie. Tylko szczerze, proszę. Jeśli uważacie ten plan za nierealny, musicie to powiedzieć. Zacznie pan Barrow.

Theo podniósł filiżankę z herbatą. Po jego prawej stronie starzec siedział w fotelu przyniesionym z salonu z narzutą przykrywającą ramiona.

Za panem Barrowem, który zaczął mówić o różnorodnych metodach przetwarzania mleka, Theo wyraźnie widział panią Russell siedzącą sztywno na drugim wniesionym tu fotelu. Patrzyła z zainteresowaniem i uwagą, ręce splotła na kolanach, a plecy wyprostowała. Nie należała do kobiet, które lubiły siedzieć w fotelu.

Trzy tygodnie temu - niech to, nawet dwa - nie wiedziałyby, jak dobrze wdowa się bawi. Jej przyjemność nie wyglądała jak przyjemność jakiegokolwiek innej kobiety, którą znał. Ogromną radość czerpała z wizyt gości, co wnioskował po sposobie relacjonowania tych spotkań.

- Myślał pan o zakupie jednej czy dwóch oślic? - zapytała pani Rowlandson, przyciągając jego uwagę z powrotem do dyskusji przy stole. - Ich mleko jest najlepsze dla chorych albo osieroconych dzieci, a nie sądzę, żeby w okolicy była choć jedna.

- No właśnie; wiedziałem, że mogę coś zyskać, zapraszając też panie. - Oparł łokcie na stole i znowu pochylił się do przodu. - Nigdy o tym nie słyszałem. Opowie mi pani więcej? - Kątem oka widział, jak Marta słucha tej wymiany zdań. Czy jej myśli krążą wokół aprobaty dla niego za zaproszenie żon robotników? Być może. I nie mógłby tego żałować. Jak mógłby żałować czegokolwiek, obserwując pokój pełen skromnych ludzi stopniowo poznających możliwość decydowania o własnym losie.

Marta siedziała jeszcze bardziej wyprostowana. Gdyby Mirkwood ją zapytał, powiedziała mu, żeby nie siadał w ten sposób. Łokcie na stole. Co chwila odchylał się do tyłu lub do przodu, gestykulując, jakby siedział w klubie w gronie przyjaciół i dyskutował o najlepszym sposobie wiązania krawata.

Powiedziała mu, że autorytetu dodaje chłodna stanowczość.

I nie miałyby racji.

Kiedy stał się tym człowiekiem? Tak swobodnie rozmawiającym o zarządzaniu, jakby się urodził ze znajomością tej dziedziny. Im bardziej zdawał się na doświadczenie innych, tym liczniej chcieli iść za nim. Widziała, jak ludzie zgłaszają się, by podjąć się realizacji jakiejś części jego planu. Pan Quigley i pan Weaver będą jeździli do Brighton, by zaopatrywać tamtejszy rynek. Pan Linker napisze do kuzyna, który jest poganiaczem, żeby zapytać, gdzie można nabyć krowy rasy jersey. A kilka kobiet miało już pomysły na produkcję rozmaitych serów.

Theo był ogromnie zadowolony, gdy spotkanie się skończyło, i bez wątpienia podszedłby do niej, żeby porozmawiać, ale zatrzymała go i wzięła na stronę pani Weaver. Kobieta wyciągnęła do niego rękę i powiedziała coś, czego słuchał z poważnym wyrazem twarzy, po czym odpowiedział, uśmiechając się i kręcąc głową.

- Co miała ci do powiedzenia pani Weaver? - musiała zapytać, kiedy wreszcie skończył ścisnąć dłonie gości i do niej podszedł. Nie mogła nie pamiętać, że ta kobieta prawie na pewno wiedziała, co było między nimi.

- Och, nic takiego. - Aż promieniał szczęściem, jakby był drzewem, w które uderzył piorun, a ogień wciąż tańczył wśród gałęzi. - Doszło między nami do nieporozumienia na początku mojego tu pobytu, ale już to sobie wyjaśniliśmy. Innym razem opowiem ci dokładnie. Teraz odprowadzę cię do domu i po drodze możesz mi opowiedzieć, co o tym wszystkim myślisz.

Tak. To było dokładnie to, czego chciała.

Och, ale to spotkanie dobrze poszło. Nikt nie uważał jego planu za niedorzeczny, a co więcej, wiedział, że tak się nie stanie. Zarządzanie nie było jednak czymś ponad jego siły. Być może nic nie było dziś ponad jego siły.

Krokiem, którym mógłby pokonywać całe kontynenty, oddalał się od swojego domu. Pani Russell szła u jego boku, co chwila zerkając na niego w sposób, który musiała uważać za ukradkowy.

- O co chodzi? - Musiał wreszcie zapytać, odwracając się, by spojrzeć jej w twarz. - Dlaczego patrzysz na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa?

Mimo wcześniejszych zabiegów, by spoglądać na niego tak, żeby nie widział, teraz nie odwróciła wzroku.

- Jesteś przywódcą ludzi, Mirkwood. Nigdy bym się nie domyśliła.

To były najbardziej ekscytujące słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał od kobiety. Jaką odpowiedź mógł na to znaleźć? Zaśmiał się i pokręcił głową, wydłużając krok, żeby znaleźć się nieco z przodu.

- Jeśli tak jest, dopiero się nim stałem. Więc nie miałaś możliwości się domyślić.

- Nie, myślę, że zawsze nim byłeś. - Ona też przyspieszyła. Nie zostanie w tyle. - Potrzebowałeś tylko odpowiedniego pola, by się wykazać.

Teraz to była najbardziej ekscytująca rzecz, jaką usłyszał od kobiety. Zakręciło mu się w głowie, a nogi lekko się pod nim ugięły: kto by przypuszczał, że można się upić dobrą opinią kobiety?

Weszli na leśną ścieżkę i jak tylko znaleźli się pod osłoną drzew, Theo ją objął. Powie jej, ale nie za pomocą marnych słów, jak bardzo on...

- Proszę, nie. - Wysunęła się z jego objęć. - Nie tu, gdzie mogą nas zobaczyć.

- To tam, gdzie nas nie zobaczą. - „I na miłość rozumu nie każ mi czekać do północy”. - Czy łóżko w tym niebieskim pokoju jest cały czas pościelone?

Spojrzała w dół, jakby chciała ocenić wagę tego pytania. Odwróciła wzrok.

Jakimś cudem kiwnęła głową.

- Nie mam na dziś żadnych planów. Chcesz mnie odwiedzić?

- Sama widziałaś. Jak myślisz?

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej i ruszyła dalej bez słowa, a on poszedł za nią.

Z szybkością, która mogła wprawić każdą pokojówkę w zawstydzenie, rozebrał ją do pończoch i halki, ale nie spieszył się z rozpinaniem jej włosów. Lubiła to - każdy to widział - więc zajmował się tym przez dłuższą chwilę, rozplatając każdy warkocz i rozczesując każde pasmo palcami. Posadził ją na środku sypialni na stole, który przyniósł z salonu. Widział odbicie jej spokojnej twarzy i przymkniętych oczu w dwóch różnych lustrach. I swoje także. Niemal naga kobieta i mężczyzna mający co do niej pewne zamiary; ten żywy obraz ogrzany i ozłocony popołudniowym słońcem. Przechylił rękę i spinka do włosów upadła na stojący obok stolik, delikatny dźwięk był uzupełnieniem rozmarzonego nastroju.

- Chciałbym cię zobaczyć bez czepka w pełnym słońcu - szepnął dostatecznie miękko, by mogła wziąć te słowa za niewyraźną muzykę, jeśli tak wolała. - Wszystkie te sploty upięte wysoko, błyszczące jak miód w słoju z rżniętego kryształu, a potem rozpuszczone jak lejący się miód.

- Nie musisz uwodzić mnie komplementami. - Uśmiechała się wciąż z zamkniętymi oczami. - Już się zgodziłam.

- Zgoda nie wyklucza uwodzenia. Ile ty się musisz jeszcze nauczyć. - Zanurzył palce w jej włosach, masując skórę jej głowy. - Mam cię nauczyć dzisiaj czegoś nowego?

- Tak. - Grzeczna dziewczynka. Dlaczego miałaby się nie zgodzić, kiedy tak ją masował.  
- Radzę zapytać, co zamierzam, zanim się na to zgodzisz. Albo przynajmniej wykluczyć kilka rzeczy, których nie zrobisz.

- Nie muszę. - Otworzyła oczy, jej tęczówki miały kolor świeżo rozkopanej ziemi, i spojrzała w jego oczy w lustrze. - Ufam ci, Mirkwood. - Żadna kobieta nigdy nie powiedziała mu bardziej ekscytujących słów niż te.

Jakby miał cały czas tego świata - może i miał - Mirkwood przejechał dłońmi przez długość jej włosów, pozwalając, by opadły, pieścił jej kark, wywołując dreszcz. Potem odsunął się od niej i usiadł w fotelu. Poprosił ją o coś. Ona powie „tak”. Może będzie chciał jej rozkazywać i na to też się zgodzi. Przechylił lekko głowę na bok, przyglądając się jej jak kurtyzanie wynajętej do rozrywki. Usiadł głębiej w fotelu, opierając dłonie na poręczach. Jednym palcem postukał w oparcie.

- Zdejmij pończochy - powiedział. Pochyliła się i sięgnęła do pierwszej podwiązki.

- Nie tak. - Jego głos dobiegał do niej przez mroczny pokój. - Odwróć się do mnie bokiem. Unieś nogę przed sobą. Powoli zsuń w dół pończochę i patrz na mnie, kiedy to robisz.

Zupełnie jak kurtyzana. Odwróciła się bokiem.

- Twoja żona nigdy nie będzie się nudzić.

- Nie wspominaj o mojej żonie. Sprawiasz, że czuję się niewierny.

- Niewierny w stosunku do żony, której nawet jeszcze nie poznałeś? - Rozpięła podwiązkę i zsunęła pończochę w dół.

- W stosunku do was obu. Trochę wolniej, jeśli można. Zsunęła pończochę w dół łydki, a on patrzył.

Na jego ustach

igrał lubieżny uśmiezek. Bez wątpienia odgrywał tę scenę z wieloma kobietami, ale ona nie będzie o tym myślała. Poń-

czocha ześlizgnęła się z jej nogi. Marta złożyła ją i w niego rzuciła.

Jego uśmiech stał się drapieżny.

- Wiedziałem, że będziesz w tym dobra. A teraz druga, poproszę.

Kompletnie ją zaskoczył, zwracając się do niej w tak wyuzdany sposób i okraszając rozkazy słowem „proszę”. Nie można było mieć pewności, kto w danej chwili kontrolował sytuację.

- Rzuć mi też tę drugą. - Złapał drugą pończochę w locie. Potem wstał i podszedł do łóżka, gdzie położył obie pończochy na poduszce.

Po raz pierwszy poczuła, jak jej puls przyspiesza. Mógł mieć na myśli rzeczy, w których on nie będzie równym partnerem.

- Co zamierzasz z nimi zrobić? - Skrzyżowała ręce na piersi.

- Ja? Nic. - Odwrócił się do niej, już rozwiązując fular. Jego oczy błyszczały bezwstydną. - Za to ty użyjesz ich, żeby przywiązać moje nadgarstki do oparcia łóżka, zanim zrobisz ze mną, co będziesz chciała.

Przez sekundę miała wrażenie, jakby ktoś wywrócił jej skórę na drugą stronę: od stóp do głów pokryła się krwistoczerwonym rumieńcem. Czy on naprawdę... I jak ona miała... Nie. Nie. To nie było coś, co chciała zrobić. Wstała i wyzywająco oparła ręce na biodrach.

- Musiałeś mnie pomylić z jakąś bardziej awanturniczą damą.

- Nie sądzę. - Fular niedbale opadł na podłogę. - Rozważ to przez chwilę, moja droga. - Wyciągnął koszulę ze spodni. - Nie będę w stanie zrobić niczego, czego nie pochwalasz, zgadza się? - Zdjął koszulę przez głowę. - Będę całkowicie w twojej mocy.

Niech szlag trafi tego przystojnego mężczyznę. Ani przez chwilę nie wątpił, że ona mu ulegnie. I niech szlag trafi ją za to, że się zgodziła na coś takiego.

„Odmów. Powiedz, żeby zasugerował coś innego. On zrozumie”. Jednak upór pojawiał się ostatnio w dziwnych momentach i teraz kazał jej ugryźć się w język.

- To nie brzmi zbyt... zabawnie dla ciebie - to jedyne słowa, na które się zdobyła.

- Och, pani Russell, będziesz zaskoczona tym, co mnie bawi. - Usiadł na łóżku, żeby ściągnąć buty. - Chodź, pokażę ci, jak zawiązać supły.

Nie zamierzała pytać, gdzie posiadał tę wiedzę - zawiązała pończochę na mahoniowym zdobionym słupku.

- A teraz - powiedział i poczuła, jak materac się zapada, kiedy wszedł na łóżko - tak samo zawiążesz moje nadgarstki. Nie za mocno, nie za luźno. - Z gracją skradającego się zwierzęcia przesunął się na środek łóżka. Położył się na plecach, wyciągając ręce nad głowę.

Marta owinęła pończochy wokół jego rąk i zawiązała je. To było szaleństwo. Chociaż był związany i nagi, w najmniejszym stopniu nie wyglądał na uległego. Leżał przed nią jak jakaś istota o katastroficznych mocach; istota, co do której powinna się najpierw dwa razy zastanowić, zanim zwabiła ją w pułapkę.

- Zdejmij halkę - rzucił, jak tylko go przywiązała. W jego głosie nie było błagalnego tonu.

Jednak był przywiązany. Musiała się podporządkować, tylko jeśli tego chciała. Chciała? Tak. Zdjęła halkę i rzuciła na podłogę.

- Dobrze. - Nasycił oczy jej nagością, gorączkowo jak człowiek pijący piwo po trzech dniach na pustyni. Wzrokiem błyszczącym od grzesznych zamysłów spojrzał jej w oczy. - A teraz pieprz się ze mną.



Ten rozkaz był jak garść piachu rzucona w twarz. Ale tylko przez chwilę. To on był związany. Znowu skrzyżowała ramiona na piersi.

- Jeśli chcesz, żebym współpracowała, lepiej zwracaj się do mnie uprzejmie.

- Pieprz się ze mną. - Jak najgrzeczniejszy uczeń sztuki dobrej wymowy wyartykułował te słowa; usta, język i zęby użyte w tak nikczemny sposób. - Pieprz mnie, dopóki nie zacznę się rzucać i krzyczeć pod tobą.

- Za pierwszym razem to było szokujące. Teraz już nie jest.

- Pieprz się ze mną jak z dziwką, którą jestem.

- To też nie jest szokujące. - Niech niebiosy mają ją w swojej opiece, była w tym jakaś przyjemność. W opieraniu się. -1 powiedziałam ci, że twoja rola jest bliższa zwierzęciu rozplodowemu.

- Pozwól mi ten jeden raz. - Skręcił się jak wąż. - Pozwól mi być twoją dziwką, jeśli chcę nią być.

- To ma być rozkaz, jak mniemam. - Rozplotła ramiona i dotknęła jego biodra.

- Zawsze. Wykorzystaj mnie, Marto. - Jego głos zachęcał ją do niewysłowionych rzeczy. - Ujeżdżaj mnie, dopóki nie dostaniesz swojego nasienia, a potem przyjmij rozkosz z moich ust.

Im bardziej był rozwiązły, tym ona była bardziej opanowana.

- Zastanawiasz się, prawda? - powiedział do końca pełen nadziei. - Wyobrażasz sobie, jakby to było.

Masz mnie skrepowanego. - Napiął ramiona, żeby jej o tym przypomnieć. -Możesz mnie tak trzymać całe popołudnie. I złapać za wezłowie dla równowagi, kiedy odczucia staną się zbyt mocne.

- Rzeczywiście się zastanawiam. - Bez pośpiechu przeciągnęła palcem między jego kręconymi włoskami. - Nie

wiem, czybym się na to zgodziła, gdybym wiedziała, że związanie odbierasz jako pozwolenie na bycie tak niegodziwym.

- Rozpustnym, z pewnością. - Powtórzył to słowo, jakby je smakował, obserwując jej palec. - Może lepiej mnie ukarż.

Dobry Boże, co jeszcze?

- Rzeczywiście ukarżę cię. - Przesunęła palec do podstawy jego członka. - A gdybym wyszła z pokoju i zostawiła cię tu samego, dopóki nie przypomnisz sobie, co to przyzwoitość? Czy to będzie dostateczna kara?

Uśmiechnął się, jakby uczył ją grać w szachy i właśnie zrobiłaby mądry ruch.

- Może. - Spojrzał jej w twarz i potem powoli spuścił wzrok w dół, tam, gdzie był jej palec. - Albo może powinnaś zacząć się dotykać. Zaspokoić się i kazać mi patrzeć.

- Teraz wiem ponad wszelką wątpliwość, że z kimś mnie pomyliłeś. - Obok opanowania pojawiło się coś nowego: jego każda bezwstydna wypowiedź budziła dziwne odczucia, które pojawiają się gdzieś w środku i opanowują całe ciało. -I wątpię, czy to byłaby dla ciebie kara.

- Moja droga, to byłaby tortura. - Znowu naciągnął więzy; taki silny mężczyzna na jej łasce. -

Ponieważ drażniłabyś się ze mną, prawda? Stałabyś tam, gdzie ledwo mogę cię dosięgnąć. I mówiłabyś różne rzeczy, żeby mnie rozpalić, ale nie dotknęłabyś mnie. Musiałbym leżeć tu bezradnie, patrząc, jak dajesz sobie to, czego nie weźmiesz ode mnie. - Odetchnął głęboko. - Zaczynij już teraz, jeśli można.

Co za okropny człowiek, wyłącznie niepoohamowany apetyt i żadnej przyzwoitości. I co za głupią słabość czuła wobec jego lubieżnego braku umiaru. Pieściła jego członek, a on patrzył, mrużąc oczy z przyjemności.

- Nie - powiedziała. Położyła ręce na poduszce po obu stronach jego związanych ramion. Pochylona na chwilę zamarła, pozwalając mu na siebie patrzeć. Potem nachyliła się i zbliżyła swoje usta do jego warg.

Piekło i szatani. Nigdy wcześniej go nie pocałowała. Raz w czoło. Jednak nigdy dla przyjemności - i czyją przyjemność miała teraz na uwadze? Nieważne. Jej usta musnęły jego wargi, opadł na materac, rozkoszując się tym. Nawet bez użycia rąk mógłby przejąć kontrolę nad tym pocałunkiem; mógłby poprowadzić ją jak w tańcu. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj zobaczy, gdzie dojdą, jeśli to ona będzie prowadziła.

Jej usta w porównaniu z jego ustami były małe. Były też ostrożne, a oddech ciepły. Jego przyjemność. Niemal na pewno. Zajęła się jego dolną wargą, poświęcając uwagę każdemu najmniejszemu kawałeczkowi, całowała lekko i delikatnie muskała. Jego usta stały się miękkie. „Zaproś. Nie żądaj”. Rozchylił wargi tylko tyle, by coś zasugerować i - jak płomień słońca przebijający się przez londyńską mgłę - poczuł jej słodki język.

Przeszedł go dreszcz. Zacisnęła usta, gdy kąćki lekko uniosły się do góry. Podniosła prawą rękę, dotknęła jego sutka i zaczęła go dręczyć.

Tego było za dużo. Musiał jej dotknąć.

- Zmieniłem zdanie - powiedział tuż przy jej ustach. -Rozwiąż mnie.

Uniosła głowę o tyle, żeby mu spojrzeć w oczy. Nareszcie w każdym calu czarodziejka.

- Nie - powiedziała i pochyliła się, żeby znowu go pocałować.

Niech ją diabli. Podobało jej się to. Cieszyło ją przedstawienie daremnego pożądanego. Jedną ręką sięgnął do węzłów. Uwolni się bez jej pomocy, a potem ona zobaczy...

- Nie. - Zacisnęła rękę wokół jego nadgarstka. - To był twój pomysł. Nie możesz winić nikogo poza sobą. - Spojrzała na niego jak guwernantka z czyichś perwersyjnych chłopięcych fantazji, już nie wspominając, że z jego też. - Być może następnym razem powtórnie się zastanowisz, zanim coś takiego zaproponujesz.

Dobry Boże. Naprawdę jej się to podobało. Przesunęła się, by złapać jego rękę, i teraz widział, nie dalej jak dwanaście cali od swoich ust, jej piersi, dojrzałe i ciężkie jak owoc gotowy, by go skosztować. Mógłby... Nie. Jeszcze nie.

- No to kontynuuj - powiedział specjalnie wolno, pozwalając, by te słowa zawisły w powietrzu między nimi. - Rób ze mną, co chcesz.

Puściła jego nadgarstek. Pozwoliła swojej dłoni zsunąć się po jego ramieniu do barku, a potem ześlizgnąć się z niego i oprzeć na poduszce. Usiadła na nim okrakiem. Oddychał płytko. Jego serce waliło w piersi jak przeciwnik w sparingu z dwudziestoma funtami przewagi. Co się z nim działo? Dlaczego leżał bez tchu jak oblubieniec prawiczek, skoro tyle razy posiadał już tę kobietę.

No cóż, zero, jeśli ma być dokładny. Mimo że tyle razy zostawił w niej swoje nasienie, nigdy jeszcze jej nie posiadał. To się z nim działo.

Patrząc mu w oczy, przesunęła dłoń w dół jego brzucha i zacisnęła ją na członku. Przytrzymała go i - dzięki nieznanemu bóstwu, które wprawilo ją dziś w ten nastrój - usiadła na nim. Jej wilgotne i ciepłe wnętrze ustąpiło w cudowny sposób, którego kiedyś oczekiwał.

Wdech. Wydech. Spojrzał jej w oczy.

- Pragniesz mnie - szepnął.

- Tak - powiedziała.

Wciąż mogła powiedzieć „nie”. Mogła dojść tą drogą do połowy i wycofać się. Niemal na pewno tak zrobi, bo bez pomocy jego palców inny rezultat był mało prawdopodobny. Zsunęła dłonie z jego męskości i położyła na materacu, chcąc złapać równowagę. To nie było... czy tak to wyglądało dla niego? Z pewnością ich połączenie nie sprawiło wrażenia tak niepewnego, kiedy to on był na górze.

- Czy coś się stało? - Przeniosła wzrok na swoje dłonie, ale on najwyraźniej chciał patrzeć na jej twarz.

- Chodzi tylko o to... nie wiem, jak... - Pewność ulotniła się z niej jak powietrze z balonu. Ujawniała się okrutna prawda. Jej ciało co chwila traciło kontakt z jego męskością. - Kąt jest nie taki, jak trzeba.

- Nie. Po prostu inny. - Jego głos był nieprawdopodobnie łagodny, jakby miał zastąpić uspokajającą pieszczotę, której nie mógł teraz dostarczyć. Jego twarz, gdyby zniosła teraz spojrzenie na nią, pewnie promieniowała życzliwym zrozumieniem. - Chciałabyś, żebym zamknął oczy?

„Tak”.

- Nie. - Nie podda się nikczemnemu tchórzostwu. I połowa jego przyjemności polegała na patrzeniu na różne rzeczy; nie odbierze mu tego.

- Chciałbym tylko na minutę lub dwie. Żeby spróbować czegoś nowego. - Krok po kroku palił to, co zostało z jej oporu. Jej wahanie spłonęło jak papier, do którego przyłożono świecę.

Poruszyła się. Okaze mu swoją wdzięczność, dając mu jak największą przyjemności. Jednak ta pozycja nie była taka trudna, kiedy się już do niej przyzwyczaiła. Może jednak wcale nie wygląda niezdarnie. A on pomógł, wchodząc w nią, pokazując jej rytm i głębokość, która najbardziej mu odpowiadała.

„Wykorzystaj mnie”, powiedział. Jej ciało przyjęło jego pchnięcia i domagało się więcej. Jego ust. Jego rąk. A przynajmniej jego gorącego spojrzenia. Odetchnęła.

- Mirkwood, otwórz oczy.

Otworzył. Wiedział dokładnie, czego chciała, i dał jej to. Jego wzrok mógł spalić ją na popiół. Usiadła wyprostowana, żeby mógł spojrzeć na kępkę włosów, dziką i intymną, gdzie jej ciało łączyło się z jego ciałem. Nie będzie niczego przed nim ukrywała.

- Marto. - Jej imię brzmiało jak mroczna, zmysłowa muzyka. Napinał ramiona, co chwila zapominając o tym, że jest związany. - Marto, zacznij się dotykać. Dotknij swoich sutków.

Położyła dłoń na swoim ramieniu i zaczęła przesuwając ją w dół... i nie. Nie jest jego marionetką. Po co mieć w swoim łóżku mężczyznę, jeśli trzeba samej sobie pomóc?

- Nie - powiedziała głośno. Pochyliła się nad nim, obejmując swoje piersi. - Weź je do ust.

Jęknął gardłowo i poderwał głowę, by wypełnić polecenie. Dobrze. Sprawiała mu przyjemność. Teraz on sprawi przyjemność jej.

Och i zrobił to. Dotknął jej sutka językiem, bawił się nim i nic na świecie się nie liczyło poza tym, żeby nie przestawał. Fale ognia przechodziły od jego ust do miejsca, gdzie wypełniała ją jego męskość.

Zakołysała się mocniej, podnosząc ręce z materaca i łapiąc szczeble łóżka, do których był przywiązany. Jej palce złączyły się z jego dłońmi.

- Marto - sapnął. Sutek wyslizgnął się z jego ust, a głowa opadła na poduszkę. - Rozwiąż mnie teraz.

„Teraz?”. Dyszała, niemądrze, walcząc o koncentrację.

- Nasienie. - Skrzywił się. - Musisz leżeć na plecach.

Tak. Tak. To prawda. Z ogromnym wysiłkiem oderwała się od niego, syknął przez zęby z wyraźnym cierpieniem, i pociągnęła za pierwszy węzeł.

- Szybko - powiedział. Uwolniła pierwszy nadgarstek. Zanim mogła sięgnąć do drugiego, Theo sam zaczął go rozwiązywać gorączkowymi ruchami. Ta pończocha też puściła; objął Martę obiema rękami, przetoczył na plecy i ponownie w nią wszedł.

Pchnięcia były płytkie, jakby się powstrzymywał. Jego dłoń znalazła drogę do miejsca, gdzie łączyły się ich ciała, i robiła tam coś wspaniale łobuzerskiego. Na jego twarzy malowały się skupienie, głód i pełna niedowierzania nadzieja.

- Tak - powiedziała i nie miał żadnych wątpliwości. Odchyliła głowę, uniosła biodra, by czuć mocniej jego penisa. Theo przyśpieszał, jego oddech był urywany i płytki; mgliście słyszała go ponad nieostrożnymi dźwiękami, które wyrywały się z jej ust... Widziała go nagiego nad sobą i ubranego, gdy siedzi przy stole w jadalni, pełnego wdzięku przywódcę ludzi. Wtedy odwróciła głowę i wbiła zęby w poduszkę, a cały świat stanął w płomieniach.

## Rozdział 15

Theo z zamkniętymi oczami opadł ciężko na materac obok niej. Oddał jej wszystko. Nie zostało mu nic, absolutnie nic. Był pustą skorupą.

Potępienie. Orgazm. Co za boleśnie nieadekwatne słowo. Jak jakiś nudny naukowy proces związany z roślinami, jakiś niezrozumiały temat jednego z wykładu Humphry'ego Davy'ego. Nawet w przybliżeniu nieoddający tej wstrząsającej człowiekiem do głębi wspaniałości. Tego sposobu, w jaki każdy kawałek duszy opuścił jego ciało i przelał się w jej. Tego prymitywnego, niedoścignionego tryumfu w jej zduszonych poduszką krzykach.

Poduszka. Otworzył oczy. Powinien pomóc jej położyć się na poduszce. Chociaż tak naprawdę, czy to było potrzebne? Albo była już przy nadziei, albo nie. Będzie to niedługo wiedziała i on też się dowie. Wtedy wszystko się skończy. Jednak nie powinien w tej chwili o tym myśleć.



- Pani Russell. - Między ciężkimi oddechami skierował te słowa do sufitu. - Proszę, nie mów mi, że to cały czas było takie proste. Związać mi ręce, być na górze.

Przekręciła się na bok i odwróciła do niego całym ciałem. Poszukała jego dłoni i splotła swoje palce z jego.

- To mogło pomóc. Ale przede wszystkim musiałam cię poznać, tak myślę. Dowiedzieć się, jaki naprawdę jesteś.

No cóż. Niech Bóg ma go w swojej opiece, nigdy się nie przyzwyczai do tego, co mówiła. Czuł się, jakby w gardle utknął mu kamień.

- Gdybyś powiedziała, że cały czas miałem dostęp do odpowiednich środków, myślę, że wyskoczyłbym przez okno ze wstydu.

Zaśmiała się cudownym wszystkowiedzącym śmiechem zaspokojonej kobiety. Jej oczy, teraz, kiedy pozwolił sobie w nie spojrzeć, były ciemne i pyszne jak turecka kawa.

- Nie wyskakuj dzisiaj - musnęła kciukiem wewnątrz jego dłoni - ani z mojego okna, ani ze swojego. Chcę, żebyś wrócił do mnie w nocy.

- Mogę wrócić do ciebie za jakieś piętnaście minut, jeśli chcesz. - Wolną ręką złapał ją za nadgarstek i przyciągnął bliżej. - Ty też możesz.

- Niepoprawny mężczyzno - jej głos był pełen pobłażliwości i uczucia. - Wiedziałam, że będziesz z tego żartował.

Trzydzieści jeden dni. Zbyt wcześnie, by ogłosić zwycięstwo. Zbyt wcześnie, by oddać się nadziei, która może okazać się płonna, kiedy minie więcej czasu.

Chociaż ostatnio wyobraziła sobie, lub zauważyła, lekkie nudności późnymi porankami.

Marta siedziała z tyłu klasy, jedną ręką bezwiednie dotykając brzucha, i obserwowała, jak jeszcze jeden plan daje owoce. Siedem młodych dziewcząt. Dwie córki Harrisów, Jenny Everett, jej siostra i - jaka to była cudowna niespodzianka - Carrie Weaver z zaplecionymi warkoczami i oczami rozświetlonymi zapalem.

Ledwo potrafiła czytać.

- Czy sądzi pani, że powinniśmy powiedzieć jej rodzicom, że musi chodzić na zajęcia w tygodniu z młodszymi dziećmi? - Pan Atkins przeszedł na tył sali, żeby ją o to zapytać. Ściągnął brwi z z troskaniem. Utrzymał swój przyjemny zwyczaj konsultowania z nią spraw dotyczących lekcji dla dziewcząt.

Odpowiedź sama jej przyszła do głowy, ale nie wypowiedziała jej głośno.

- A co pan sądzi? - Pochyliła się do przodu, opierając nieelegancko łokcie na stole. - W końcu to pan będzie prowadził z nią lekcje.

- Nie chciałbym jej przenosić. - Zerknął na siedem głów pochylonych nad tabliczkami, każda z uczennic zapisywała swoje imię. - Sądzę, że będzie tym zawstydzona, a jej matka może nie chce poświęcić więcej niż jednego dnia w tygodniu.

- W takim razie musimy znaleźć sposób, by została w tej klasie. Będzie musiała nauczyć się czytać w tym samym czasie, w którym będzie się uczyła historii Anglii.

- Być może, gdyby któraś z dziewcząt z Seton Park chciała jej pomóc...

- Proszę spróbować z Jenny. Świetnie czyta i może będzie miała czas w trakcie wypasania stada.

- Doskonale. - Kiwnął głową i wrócił na przód klasy. - Dzisiaj zaczniemy od królów i królowych. - Stał za swoim biurkiem, opierając jedną rękę na blacie. - Będziemy się cofać

od naszego obecnego króla Jerzego. Czy ktoś może mi powiedzieć, w którym roku wstąpił na tron? Głosy pełnego zapachu nauczyciela i początkujących uczennic splotły się w rodzaj kojącego dźwięku, który przykrył ją, by mogła odpłynąć myślami.

Nie było jej ani trochę przykro z powodu tego, co zrobiła wczoraj. A potem znowu w nocy. I jeszcze raz rano. Mirkwood wrócił do siebie, przespał się trochę i teraz zjawił się w kościele.

Przywitał się z nią skinieniem głowy i usiadł w swojej ławie. Jego spokojna postawa nie zdradzała żadnego znaku nieodpowiednich myśli lub marzeń; mimo to natychmiast opuściła głowę i poczuła ciepło na twarzy. Każdy jego ruch burzył jej koncentrację podczas nabożeństwa, domagając się jej uwagi jak gorąca dłoń przyłożona do policzka. Ten układ był niewygodny pod wieloma względami. A mimo to wciąż nie żałowała.

Nie żałowała, z pewnością. Miała być może nieco melancholijny nastrój po kolejnej nocy spędzonej w ten sam sposób i kolejnym dniu odznaczonym w kalendarzu. Słyszało się o takich symptomach - niewyjaśnionych nastrojach.

Jednak ten nastrój się utrzymywał i sprawił, że po południu wybrała się na długi spacer po wszystkich zakątkach posiadłości. W górę i dół zbocza, wzdłuż żywopłotu, obok domów dzierżawców i w końcu na brzeg strumienia, gdzie usiadła. Zbierała z ziemi gałązki i rzucała je w nurt wody. Niektóre odpływały daleko, pozwalając jej na wyobrażenie, że płyną tam, gdzie strumień łączy się z rzeką, a stamtąd podróżują aż do morza. Jednak wiele zatrzymywało się na kamieniach albo wpadało na mielizny, gdzie ich podróż się kończyła.

Rzeczy się kończą. Czasami wcześniej, niżby się chciało. Pan Russell musiał spacerować po tej ziemi wiele razy. Z pewnością wyobrażał sobie, że to wszystko przejdzie w posiadanie

jego syna. Nigdy nie przyszedł mu do głowy ten scenariusz, w którym musi zejść ze sceny zbyt wcześnie, pozwalając, by cenna posiadłość dostała się w ręce jego nikczemnego brata lub niewiernej wdowy.

„Oddałam się mężczyźnie w sposób, w jaki nigdy nie oddałam się tobie, który byłeś moim mężem”. Słowa uformowały się w jej głowie i domagały, by wypowiedzieć je na głos, chociaż nie wiadomo po co. Nie była skruszona. Jeśli zaznawanie rozkoszy z Mirkwoodem było zdradą nieżyjącego, to świadomie popełni tę zdradę znowu, tyle razy, ile jej zostało.

Mimo to wrzuciła ostatnią gałązkę do wody, wstała, otrzepała spódnice i ruszyła w stronę kościoła, obok którego na cmentarzu w rzędach spoczywały poprzednie generacje Russellów. Pan Russell został pochowany obok pierwszej żony, w niewielkiej odległości od żelaznego ogrodzenia. Jego grób porastała trawa. Kiedy jej dziecko się urodzi - jeśli zostanie nim pobłogosławiona - jego grób będzie wyglądał tak samo jak pozostałe.

Pragnął syna. Sprzeciwiał się łajdactwu brata, kiedy tak wielu mężczyzn jedynie wzruszało ramionami, słysząc o takim zachowaniu, i miał nadzieję zapobiec przejęciu przez niego prawa do Seton Park.

Marta uklękła przy nagrobku i patrzyła na daty, w których zamykał się czas jego życia. „To dziecko nie będzie z twojej krwi”, powiedziała bezgłośnie. „Może nawet nie z mojej. Ale zostanie wychowany jako Russell i przyniesie chwałę twojemu rodowi”. Niezwykłe, jeśli, się nad tym zastanowić. Nawet szybko zapomniane małżeństwo bez miłości może zakończyć się czymś wartościowym. Pan Russell poślubił ją, by dała mu syna, i ona dopilnuje, żeby go dostał.

- Zastanawiałem się, kiedy mogę panią tu zobaczyć. - Pan Atkins przeszedł przez bramę z nożycami w ręku. Popołudniowe słońce rzucało na niego ostre światło, dziwnym blaskiem oświetlając sylwetkę i rysy twarzy. Jakby był zesłanym na ziemię aniołem, by pracować wśród umarłych.

Marta odchyliła się, siadając na piętach.

- Byłam opieszła. - Otarła o siebie dłonie.

- Nie chciałem tego sugerować. Proszę wybaczyć mój nieodpowiedni dobór słów. - Wszedł w alejkę z grobami Russełów. Usłyszała, jak duchowny się zawahał, po czym odwrócił się i podszedł do grobu Rodneya Russella, gdzie przyklęknął, żeby przyciąć chwasty.

Częściowo zasłaniał go przed jej widokiem nagrobek, na którym wyryto - tak jak kiedyś ktoś wyryje na jej grobie - nazwisko żony Richarda Russella. „Ukochana żona”, napisano też. Te słowa mogą zostać pominięte na jej grobie.

- Czy jego pierwsze małżeństwo było szczęśliwe? - To pytanie padło bez udziału świadomości i jakiegokolwiek przezorności.

Wikariusz odwrócił się, by na nią spojrzeć, potem wrócił do pracy.

- Tak mi się wydaje. Z pewnością jej śmierć była dla niego strasznym ciosem. - Nożyce zadzwoniły w czasie przeciągającej się ciszy. - Od tej krytycznej chwili nastąpiło... znaczące pogorszenie jego zwyczajów. - On też mówił niemal niechętnie, jakby te słowa same mu się wymykały i zaburzały spokój cmentarza.

- Nie wiedziałam o tym. - Znowu uklękła, bo jej nogi nagle zaczęły drżeć.

- Nauczyłem się dość wcześnie rozpoznawać te symptomy. - Przerwał pracę i po prostu siedział, patrząc na nożyce przez

sekundę czy pięć. - Jeśli mogę zadać bardzo wścibskie pytanie. .. - Uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Jego brwi były jak akcenty nad francuską literą „e”. - Nigdy nie sądziłem, że był gwałtownym człowiekiem. Mam nadzieję, że się nie myliłem?

- Nie był gwałtowny. - Miała wrażenie, że jej ciało zamarzło, stało się równie nieruchome jak nagrobki i umarli leżący pod nimi.

- To dobrze. - Znowu spojrzał w dół na trzymane w ręku narzędzie i przełożył je do drugiej ręki. - Żadna kobieta nie powinna tego znosić. - Niemal widziała, że za tymi słowami czają się wspomnienia, które wisiały nad duchownym jak złowrogie chmury. Była tak zajęta ukrywaniem przed nim swoich tajemnic, że nawet przez chwilę nie zastanowiła się, jakie on może ukrywać sekrety. - Powiniennem być dla pani lepszym przyjacielem, znając sytuację.

- Był pan doskonałym przyjacielem. Skrzywił się i pokręcił głową.

- Bałem się poruszyć temat, mimo że wiem, że przydałyby się pani zrozumienie i sympatia.

- Oboje się baliśmy. Oboje wybraliśmy przyzwoitość zamiast nieprzyzwoitej bliskości. Nie ma pan powodu do przeproszenia. - A przyzwoitość złagodziła teraz swoje żądania. Od tej pory mogli rozmawiać z większą otwartością. - Przykro mi z powodu tego, co musiał pan przeżyć. Czy kiedykolwiek pan z kimś o tym rozmawiał? - Podobnie pytał ją Mirkwood bez większego skutku.

- Mój brat i ja rozmawiamy o tym, kiedy się widzimy. - Uniósł dłoń i poprawił kosmyk, który zawsze wpadał mu do oczu. Nie miał kapelusza. - Z biegiem lat nauczyliśmy się nawet śmiać z niektórych rzeczy, jeśli mam być szczery. - Drugą ręką uniósł nożyce, pochylając się, by przyciąć trawę na brzegach

grobu. - Nasza matka miała swoje sposoby, by z tym walczyć. Mój brat pragnął uczyć się w Oxfordzie, chociaż każdy Atkins szedł do Cambridge. Sam nigdy nie przekonałby ojca. Właściwie go nie przekonał. - Opowiadał tę historię z taką samą skrupulatnością, z jaką przycinał trawę. - Pewnego dnia moja matka zwyczajnie powiedziała ojcu, że przecież zgodził się na Oxford. A jego pamięć była na tyle zawodna, że nie wiedział, że to nieprawda.

Jej rękawiczki mogły pęknąć na szwach, tak mocno zaciskała pięści. Serce mogłoby przebić jej żebra. Powinna teraz być szczerą. Zbudują lepszą przyjaźń, prawdziwą, na prawdzie i otwartości w miejsce kłamstwa i uników.

- Panie Atkins - jej głos wibrował w nadziei.

- Pani Russell. - Uniósł dłoń, by powstrzymać jej słowa. Nie odwrócił się w jej stronę. - Nie mogę wiedzieć. Rozumie to pani, prawda? - Powoli, w odpowiedzi na jej milczenie, jego dłoń opadła z powrotem do trawy i nożyc.

Jednak najwyraźniej wiedział. Być może wcale go nie oszukała. I wiadomość była jasna: otwartość między nimi mogła sięgać tylko tak daleko.

Poczuła rozczarowanie. Bez żadnego dobrego powodu. Powściągliwość była właściwa. Nie można było postępować jak Mirkwood i mówić wprost wszystkiego, co człowiekowi przychodzi do głowy. Rozprostowała palce, pozwalając, by dźwięk nożyc i odległe beczenie owiec wypełniło ciszę, dopóki on znowu się nie odezwał.

- Powinna pani wiedzieć, że myślę o opuszczeniu Kościoła. To znaczy profesji - dodał szybko w odpowiedzi na z pewnością zaszokowany wyraz jej twarzy. - Odkryłem, że chciałbym więcej czasu poświęcić szkole.

- Uczenie wyraźnie panu odpowiada. - Tak. O tym mogli mówić swobodnie.
- Miałem dość szczęścia, by dowiedzieć się, do jakiej pracy stworzył mnie Pan. - Na jego ustach pojawił się psotny uśmiech. - To odpowiedź dla każdego, kto nie zgodzi się z moją decyzją. Raczej trudno z tym dyskutować, nie sądzi pani?
- Nie śmiałabym nawet próbować. Ale czy da pan radę?
- Zrobiła krok w lewo, żeby go lepiej widzieć. - Jeśli będę w stanie, to podniosę pańską płacę, jednak dopóki kwestia sukcesji Seton Park nie zostanie rozstrzygnięta, nie mam takiej władzy.
- To nie będzie konieczne. Pan Mirkwood był niezwykle hojny. Jeśli wynajmie mi pani dom w tej samej cenie, którą płacą inni, to dzięki wynagrodzeniu z Seton Park i Pencarragh oraz odrobinie zajęć rolniczych powinienem dać sobie radę.
- Z zadowoleniem człowieka, który wie, co przyniesie przyszłość, wrócił do przycinania trawy. Kiedy Mirkwood złożył mu tę ofertę? Musiał odwiedzić pana Atkinsa sam lub prowadzić z nim korespondencję. W każdym razie to było uprzejme z jego strony. Powie mu to. Miał jej złożyć wizytę tego popołudnia pod pretekstem jakiejś kwestii związanej z mleczarnią. Żadne pożądanie nie dostarczało większej przyjemności niż to, które zostało wzbudzone, gdy pojawił się szacunek. Mógł przeżyć całe życie bez odkrycia tego, gdyby nie przyjechał do Sussex. Teraz od czasu do czasu pozwalał sobie na wyobrażenie, jakby to było cieszyć się tym specjałem do końca swoich dni.
- Podobałoby się jej w Lincolnshire. Było tam wszystko, co podobało się jej w Seton Park - uprawy, hodowla bydła, dzierżawcy, życie, które można poprawić - a gdyby kiedykolwiek



czuła nostalgię za krajobrazem Sussex, mogliby przyjechać do Pencarragh. Może nawet polubiłaby Londyn, z jego wykładami i bibliotekami oraz z biedotą, która tylko czeka na pracowite, szlachetne kobiety mogące zakasać rękawy i wszystko naprawić.

Spojrzał na nią znad broszurki opisującej symptomy krowiej ospy. Jego wizyta była niezwykle przyjemna. Teraz leżał nagi na pościeli. Ona siedziała oparta o wezglowie z narzutą naciągniętą wysoko pod ramiona. Ostatnio często się uśmiechała.

Na początku nie obchodził jej jego wygląd. To było kolejne zwycięstwo. Może mu wybaczy odrobinę delikatnego triumfowania.

- Widzisz coś, co ci się podoba? - powiedział, przewracając stronę niedbałym gestem.

Zarumieniła się.

- Twoje ciało jest tak niepodobne do mojego. - Spojrzała mu w twarz. - Na początku wydawało mi się to dziwne. Ale teraz dostrzegam pewną logikę w tym, jak jesteś zbudowany.

- Miło mi to słyszeć. - Opuścił nieco broszurę. - Czy małżeństwo nie zaznajomiło cię z anatomią mężczyzny?

- Zaznajomiło. - Widział, że zacisnęła usta, myśląc o tym. - Ale jeden mężczyzna może znacznie różnić się od drugiego.

- Któryś może mieć większego penisa, to masz na myśli?

- Zupełnie nie to miałam na myśli. - A jednak kąciki jej ust zadrżały. - Chociaż jestem pewna, że ucieszy cię wiadomość, że zostałeś obdarowany hojniej niż mój zmarły mąż.

- Kochanie, biję w tej kwestii większość mężczyzn.

- Moje gratulacje. - Odłożyła książkę. - Chodzi mi raczej o to, jak kobieta odbiera pewne rzeczy. Jak to samo ciało może wydawać się nieciekawe lub pociągające w zależności od tego, do kogo należy. -

Spojrzała na chwilę na koldrę. - Jak pewne...

działania... mogą się wydawać niesmaczne z jednym mężczyzną, ale niezupełnie bezsensowne z innym.

- Działania. - Odchrząknął, gdy nagłe zaschło mu w gardle. - Jakie dokładnie działania masz na myśli?

- Zapytaj o to swoją męskość. - Miała łobuzerską minę. - Wydaje się, że ma kilka pomysłów.

Rzeczywiście, krew Theo zaczęła szybciej krążyć, spiesząc w miejsce, gdzie może się najbardziej przydać.

- Moja męskość zawsze ma różne pomysły. - Ostrożnie odłożył broszurę. - Zamieniam się w słuch.

Jej spojrzenie mieściło wszystkie kobiece sekrety znane od zarania dziejów. Na jej ustach igrał uśmiech. Bez pośpiechu odepchnęła się od wezglowia i usiadła prosto. Pościel cudownie zaszeleściła, kiedy uklękła. Błogosławiona opatrność. Zerknęła w dół, a potem znowu w górę.

- Myjesz go czasami, mam nadzieję. - Pani Russell do szpiku kości.

- Codziennie. Mając na myśli dokładnie ten powód.

- Ponieważ w każdym momencie możesz spotkać kobietę, która będzie chciała wziąć go do ust?

- Mam optymistyczne usposobienie. - Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - Robiłaś to już kiedyś?

Kiwnęła głową.

- Jednak bez przyjemności? - Kiedy pokręciła głową, zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Marto, nie rób tego, jeśli to dla ciebie niemiłe. Nie potrzebuję tego.

Uniosła brwi. Patrzyła na niego przez chwilę. Potem pochyliła się i dotknęła ustami jego najbardziej wrażliwego miejsca.

Na ognie piekielne.

- Marto. - Odwróciła głowę, wciąż nisko pochylona, jak jakaś petentka z jego najbardziej niegrzecznych snów. - Nie będę chciał, żebyś przestała, jeśli już zaczniesz.
- Tak podejrzewam.
- Ale musisz. Jeśli będzie to dla ciebie nieprzyjemne, musisz przestać, nawet jeśli będę błagał, żebyś kontynuowała. Obiecaj mi to.
- Obiecuję. - Łagodne spojrzenie, naga uległość, jego petentka. Z przodu zakrywała ją pościel, ale jej krągły tyłeczek był dokładnie w zasięgu jego wzroku.
- No dobrze. - Opadł na poduszkę i zamknął oczy, całym ciałem wyczekując momentu, w którym ona... tak. Jej usta w połowie jego męskości, muskające jego skórę i wywołujące iskry. Potem inny dotyk, to musiał być czubek jej języka. Potem nic. Jej oddech. Czuł jej oddech, spokojny i ciepły, tam gdzie zwilżyła językiem jego skórę.
- Czekał.
- Czy to...? - Jego słowa były urywane i niewyraźne. - Zdecydowałam, że nie chcesz tego robić? Odpowiedziała za pomocą języka. Theo się szarpnął. Potem zsunął się w dół, dopóki nie leżał zupełnie płasko. Marta znowu przestała i tylko oddychała.
- Dobry Panie. Wykończy go w ten sposób.
- Proszę - wyszeptał. Nie spodziewał się, że tak szybko zacznie błagać.
- Jej oddech stał się nierówny. Zaśmiała się.
- Czy to rozkaz?
- Kobieto, cokolwiek, jeśli ma sprawić, że twoje usta szybciej mnie dotkną. W moim umyśle to było błaganie, ale jeśli wolisz rozkaz, to tak. Spraw mi rozkosz bez dalszej zwłoki. Nakazuję ci.

Nie musiał mówić nic więcej. Spokojnie jak niezmacona woda leżał i poczuł dotyk jej ust w jednym miejscu, a potem w następnym, jak krople deszczu na powierzchni jeziora, łagodny początek tego, co skończy się jako ulewa.

- Najlepiej jest na końcu - mruknął. - Tam, gdzie jest zaokrąglony. Zwłaszcza pod spodem. Tam to jest najprzyjemniejsze.

- Cierpliwości - powiedziała to przy jego skórze, tak że czuł każdą sylabę. Niespiesznie pokonywała drogę w górę jego członka, badając go ustami i językiem. Cierpliwości. Jego ciało wyginało się, by znaleźć jej usta za każdym razem, gdy była tak okrutna, że je odsuwała.

On nie wytrzyma. Będzie po nim, jak tylko ona weźmie go do ust... albo... och... może nie. Może wytrzyma to jeszcze kilka sekund. Piekło i szatani. Czy to pan Russell ją tego nauczył? Tych szybkich, grzesznych linii kreślonych językiem? Tego, jak objęła go ustami? Będzie musiał podziękować temu człowiekowi w przyszłym życiu. Kto by przypuszczał.

Sięgnął do jej głowy i zanurzył palce w jej włosach, masując skórę, tak jak to lubiła. Za kilka minut da jej więcej przyjemności. Już on się postara. Nie mogła mu teraz odmówić.

Wytrzyma jeszcze sekundę. Nie, dwie. I trzy. I... nie. Sięgnął granicy. Przesunął jej głowę, a potem położył dłoń na ramię. Zamrugła ze zdziwieniem, kiedy niezdarnie przewrócił ją na plecy, odrzucił kołdrę, wszedł we właściwie miejsce.

- Nasienie - wyjaśnił ochryłym głosem i dał jej pół sekundy, zanim oddałby je pościeli.

Przedziwne obrazy pojawiły się w jego umyśle, kiedy wracała mu świadomość. Dziecko. Więcej niż jedno. Podobne do niego i do niej na wiele różnych sposobów. Chłopiec, wysoki i jasnowłosy, ale z oczami w kolorze kawy. Dziewczynka o nienagannej postawie, spokojnej twarzy, z jego ustami stwo-

rzonymi do śmiechu. Dziecko za dzieckiem, każde piękniejsze od poprzedniego.

Zsunął się z niej i opadł na materac. Jedną ręką pogłaskał ją po policzku i założył kosmyk włosów za ucho. Miał jej coś do powiedzenia. Ale najpierw miał coś do zrobienia.

Zmarszczyła brwi, gdy usiadł i wziął ją w ramiona, jedną rękę wsuwając pod plecy, drugą pod kolano. Podniósł ją, ale nic nie powiedziała. Dopiero kiedy posadził ją w fotelu przed największym z luster, odezwała się.

- Co robisz?

- Patrz i odkrywaj. Załóż nogę na oparcie fotela. Którąkolwiek.

Przeszedł ją dreszcz.

- Nie chcę. Nie chcę patrzeć.

Mniej rozkazów. Więcej namawiania. Zmienił ton głosu.

- Dam ci coś, na co warto patrzeć. Obiecuję. Jednak najpierw daj mi popatrzeć na siebie. - Stał przed fotelem z jedną ręką na plecach i powiedział:

- Wyglądasz tak władczo, siedząc w ten sposób. Patrz na swoją twarz. Albo na moją. - W lustrze pochylał się nad nią, przesuując jedną rękę na poręcz fotela. Złapał ją za kolano. Zacisnęła usta.

- Chciałbym mieć koronę, żeby włożyć ci ją na skroń. Myślę, że musisz wyobrazić sobie teraz, że jesteś królową.

- A ty jesteś moim królem? - Jej oczy w lustrze były w niego wbite.

Pokręcił głową.

- Stajennym. - Nie opierała się, gdy uniósł jej kolano i założył na oparcie krzesła. - Słusznie zbudowanym stajennym, który wpadł królowej w oko i został wezwany, by jej służyć.

- To bardzo szokujące zachowanie. - Przeszedł ją kolejny dreszcz; tym razem przyjemniejszy.
- Jesteś szokującą królową. - Pozwolił jej zobaczyć, jak jego wzrok wędruje po jej nagim ciele w jednym kierunku. - Każdy mężczyzna w pałacu, od pierwszego ministra po szczurołapa, zna twoje zwyczaje i żyje nadzieją, że któregoś dnia zostanie wybrany.
- Nie jestem pewna, czy to pochwalam. Jestem zamężna? Zbyt dużo myślenia. Jak zawsze.
- Formalnie. - Pocałował jej ramię oraz delikatną skórę na szyi. - Króla to nie obchodzi, jeśli tylko nie będzie z tego bękarta. A nie będzie. - Znowu pocałował ją w ramię i obsypał pocałunkami jej rękę, idąc w dół, gdy równocześnie z diabelską gracją przenosił się do przodu zza fotela.
- Teraz będzie kawałek, który zechcesz zobaczyć - powiedział i opadł przed nią na kolana. Przenosiła wzrok z jego odbicia w lustrze na twarz. Zbladła od emocji, które tylko mogła nazwać. Jeszcze jaśniejsze były wnętrza jej ud, gdzie położył dłonie. A między nimi oczywiście delikatny róż jej kobiecości.

Nachylił głowę i pocałował ją tam. Zaskoczona wstrzymała oddech. Dobrze. W takim razie był pierwszy.

- Niech się wstydzi twój niedbały mąż. - Odsunął się tylko tyle, by to powiedzieć, a potem nie było już nic do zrobienia poza doprowadzeniem jej do szaleństwa i zagubienia się w niej, w tym delikatnym, tajemniczym i wyśmienitym miejscu - wyraźnie stworzonym, by pasowało do jego języka.

Jej ciało otworzyło się przed nim jak kwiat w oranżerii. Położyła rękę na jego głowie i przesunęła się do krawędzi fotela, żeby dostać jeszcze więcej, dostać wszystko, co miał do oddania.

A miał mnóstwo. Przesunął jej drugą nogę na oparcie fotela, by jeszcze bardziej ją otworzyć - nie była już w stanie stawiać

nawet najmniejszego oporu - i położył ręce na jej biodrach, by ją przytrzymać, kiedy chciała się ruszyć. Prawdopodobnie będzie o to wściekła, ale im lepiej kontrolował tempo i nacisk, tym dłużej mógł sprawiać jej rozkosz.

Walczyła z jego rękami, wyrażając swoją frustrację gardłowymi, zwierzęcymi jękami. Pieścił ją mocniej i szybciej, jego nieubłagany język był w trzech miejscach naraz, jego nieubłagane dłonie przytrzymywały ją w jednym miejscu. Każdy ruch i skręt, który udaremniał, odbijał się echem w jej ciele. Kopała i młóciła rękami, nie była już człowiekiem ani nawet zwierzęciem, ale żywiołem, czystym i rozszalałym pod jego dotykiem. Powietrze, ogień, ziemia i woda: jego trąba powietrzna, jego piekło, jego lawina, jego prywatna tropikalna burza.

Och, ale był samolubnym mężczyzną. Samolubnym, bo trzymał ją uwięzioną w jej rozkoszy, i samolubnym, bo to jego rosnąca potrzeba sprawiła, że w końcu rozluźnił uchwyt i pozwolił jej zejść z tego szczytu, na którym ją trzymał.

Walczyła o oddech. Patrzyła szeroko otwartymi oczami w lustro, a potem w dół, na Theo, który cały czas przed nią klęczał.

- To było... - Znowu w lustro. - To było... - Znowu na jego twarz. - Co to było?

- Najwspanialsza kobieca sztuczka. - Wstał, biorąc ją na ręce, i ruszył do łóżka. - A teraz, moja pani, jestem twoim królem. Z królewskim nasieniem i królewską żądzą, której nie można odmówić.

Nie była teraz kobietą, która mogła czegokolwiek odmówić mężczyźnie. Położyła się na łóżku i przyjęła go, po raz trzeci tego popołudnia. Niech to piekło pochłonie, ale naprawdę czuł się przy niej jak król. Doszedł w niej, wstrzymując oddech; miał

wrażenie, że czas się wokół nich zatrzymał. Przytulił do piersi, opierając podbródek na jej głowie.

- Marto - powiedział, gdy tylko zaczął oddychać spokojnie - kocham cię.

Czuła pulsowanie krwi na jego szyi, mniej niż cal od jej oczu. To była tętnica szyjna? Czy żyła? Nie wiedziała tego. Ale może to sprawdzić w książce. W każdym razie jego puls był przyspieszony.

Zamknęła oczy.

Można się było spodziewać, że to nastąpi. Widziała pewne znaki. I on był z natury uczuciowym mężczyzną. Miesiąc spędzony w wyłącznym towarzystwie jakiegokolwiek kobiety pewnie miałby ten sam skutek. To bez wątpienia minie, kiedy wróci do wszystkich rozrywek Londynu.

Jej serce, traktujące go równie ciepło jak każde wrażliwe serce traktowałoby każdego mężczyznę po zaledwie miesięcznej znajomości, domagało się, by coś powiedziała. Ona też miała mu coś wyznać.

Delikatnie odsunęła się, by móc się do niego zwrócić, widząc jego twarz.

- Mam ci coś do powiedzenia - odezwała się.

Jaka była szansa, żeby jej słowa brzmiały: „też cię kocham”? Niewielka. Kiwnął głową i czekał.

- Spodziewałam się kobiecych dolegliwości od pięciu dni. Zaczynam wierzyć, że jestem brzemienna.

- Jej twarz pojaśniała, jak to ostatnio miała w zwyczaju. To od początku był powód ich spotkań.

- Marto, kocham cię. - Już to mówił. - Chcę cię poślubić. Położyła dłoń na jego policzku. Poczł przerażającą potrzebę, by ją odepchnąć.

- Lubisz mnie. - Jakby była mądrym dorosłym poprawiającym chłopca, któremu coś się pomieszało. - Tak jak ja ciebie.



Ale oboje od początku znaleźliśmy ograniczenia tego układu. Nie może zakończyć się niczym w rodzaju małżeństwa.

- Nie mówię o niczym w rodzaju małżeństwa. - Z trudem utrzymywał spokojny ton głosu. - Nie ma nic w rodzaju małżeństwa. Jest tylko małżeństwo i nie wiem, żeby cokolwiek w naszej umowie je wykluczało. Tylko twoje serce może to zrobić.

- Moje serce nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii. - Te słowa mogły wywołać gęsią skórę i rozgorączkowanie mężczyzny, mimo że ich ton był ciepły i szczery. - Przysięgałam ocalić Seton Park przed Jamesem Russellem. Nie mogę wyjść za mąż i mu go oddać.

- Dlaczego, na litość boską? Czy zrówna je z ziemią? Czego się z jego strony obawiasz? Zawahała się, zaciskając usta. Nawet tego mu nie powie?

- Ja niczego się nie obawiam - powiedziała nagle. - Ale służące mają się czego obawiać. Wiem, że w przeszłości dopuścił się wobec nich nikczemności.

Ach. Oto, co skłoniło ją do podjęcia działań tak na początku niezgodnych z jej odczuciami. Mógł się domyślić, że to będzie coś w rodzaju krucjaty.

- Jednak nie możesz być pewna tego, co zrobisz w przyszłości. I czy ciężar bezpieczeństwa wszystkich służących musi spoczywać tylko na twoich barkach?

- A kto będzie dźwigał ten ciężar jak nie ja? - Każde słowo utwierdzało ją w jej decyzji. - Nikt nie interesuje się dobrem takich kobiet. Twoja pani Weaver może ci to powiedzieć. I nie postawię na to, że być może groźba nie istnieje. Stawka jest zbyt wysoka.

Każde słowo odpychało go coraz dalej. Zachowała tę główną misję w tajemnicy przed nim.

Najwyraźniej znała sekrety pani Weaver, do których on nie został dopuszczony.

- Marto. - Nie będzie pytał o te sekrety, nie da się odciągnąć od swojego celu. - Sądzę, że mógłbym być z tobą szczęśliwy. - Najlepiej ująć to jak najprościej. - Mam nadzieję, że ty też byłabyś ze mną szczęśliwa. A ty, ja i to dziecko jesteśmy rodziną. Jak możesz to wszystko odrzucić?

Przełknęła. Widział - czuł w środku - jak ona traci nadzieję, że on kiedykolwiek to zrozumie.

- Są ważniejsze sprawy niż szczęście - powiedziała. O rodzinie nie powiedziała nic. Przetoczył się na plecy. Spojrzał na baldachim, niebieski altembas tylko odrobinę mniej podatny na wpływy niż kobieta obok niego. Przewidział to, nieprawdaż? Ten groteskowy koniec. Nie wiedział tylko, że na dnie studni będzie po pierś w lodowatej wodzie, która niemal uniemożliwi oddychanie.

- Nie powiesz nawet, że przyjmiesz mnie, jeśli nosisz dziewczynkę? - Obraz wrócił do niego z bolesną wyrazistością; dziewczynka o jej figurze i jego uśmiechu.

- Nie mogę. - Coś nowego było w jej głosie. Wstyd. - Jeśli nie urodzę chłopca, zdobędę go innym sposobem.

- Dobry Panie. - Skrzywiła się, kiedy to usłyszała, ale on nie mógł się powstrzymać. - Naprawdę jesteś do tego zdolna?

- Jestem zdolna do wszystkiego, co konieczne, by być godną zaufania, które pokładają we mnie te kobiety. - W jej głosie pojawił się nowy ton, gniew i desperacja. - Sądzę, że akurat ty ze wszystkich ludzi powinienes to wiedzieć.

Oczywiście. Teraz przedstawi cały ich związek, włączając w to tych kilka cudownych dni, jako coś, co musiała znosić z zaciśniętymi zębami w imię jej szlachetnego celu, dla dobra kogoś innego.

Ogarnęło go znużenie i czuł się jak przemoczony wełniany koc. Nie miał już żadnych pytań. Jak dokładnie zdobędzie tego

chłopca - to nie jego sprawa. Co wiedziała o pani Weaver - to sprawa pani Weaver. Zależało mu, a teraz nie będzie już o to dbał.

- W takim razie nie pozostało mi nic innego, jak życzyć ci szczęścia. - Pojawiło się jeszcze jedno niegodziwe uczucie jak ostry nóż w jego ręku. - I jak sądzę również wikariuszowi.

- Słucham? - Boże w niebiosach, to ją rozgniewało jak nic dotąd, zmrużyła oczy i zmarszczyła brwi.

- Widzę, jaki będzie tego koniec. - Wzruszył ramionami i usiadł. - Jeszcze kilka lat cnotliwych rozmów i tęsknych spojrzeń; potem, gdy minie czas żałoby, spełnienie romantycznych marzeń, które pewnie istniały już od dawna.

Z szybkością strzału z bicia Marta usiadła, ale on zerwał się na nogi równie szybko i sięgnął po koszulę, nie patrząc w jej stronę.

- Wyrządzasz panu Atkinsowi straszną niesprawiedliwość. - Nigdy nie słyszał u niej takiego tonu. Interesujące. - Podejrzewam, że niewinna przyjaźń łącząca damę i dżentelmena może być dla ciebie obcym konceptem, ale ja...

- Przyjaźń. - Wciągnął koszulę gwałtownym gestem. - Jeśli tak to chcesz nazwać.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. - Widział ją kątem oka, bladą, zamarłą i zimną jak alabaster. - Pan Atkins jest wartościowym, honorowym człowiekiem. Uważam, że to dla mnie zaszczyt, że go zatrudniam.

Zatrudnia. Niech to diabli.

- Zapewniasz nieustanne zatrudnienie jego prawej ręce wieczorem; tu się z tobą zgodzę.

Cisza miała ciężar i fakturę; trwała kilka sekund. Bez wątplenia Marta próbowała się opanować.

- Niech ci się nie wydaje, że odpowiem na tak złośliwą, ordynarną uwagę - powiedziała wreszcie. - Kiedy skończysz już

przywracać sobie przyzwoity wygląd, a raczej kiedy się ubierzesz, możesz wyjść. Nie będzie mnie dla ciebie w domu jutro ani żadnego innego dnia. - Nawet na niego nie spojrzała.

Gniew i - niech to piekło pochłonie, powinien mieć więcej rozsądku - idiotyczny żal ścisnął go w środku. W ciągu pięciu minut zniszczył to, co mieli. Mogli spotykać się jeszcze kilka dni i przynajmniej rozstać w przyjaźni.

Nie. Nawet cienia smutku, nawet śladu uczucia nie zmarnuje na kobietę, która nigdy nie będzie w stanie odpowiedzieć na to tym samym. Niech to szlag, mężczyzna musiał mieć swoją dumę.

Niespiesznie zapiął spodnie, zakrywając ciało, którego nieprzyzwoitość tak bardzo ją obraziła. Fular. Kamizelka. Skarpetki. Buty. Zakładał wszystko jedno po drugim tak spokojnie i metodycznie, jakby był sam w pokoju.

Kiedy zatrzymał się przed lustrem, zawładnął nim ostatni okrutny impuls. Gestem, którego nie mogła przegapić, wyciągnął chusteczkę i starł z ust jej smak. Potem wyrzucił zmięty kawałek materiału i - więc tak to się kończy - wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

## Rozdział 16

Mijały dni. Dwa, może trzy. Lepiej myśleć o nim jak najmniej, nawet jeśli wszyscy goście o nim wspominali. Najwyraźniej nie próżnował. Realizował swój mleczarski projekt bez jej udziału i mimo okrucieństwa tych ostatnich minut w jej towarzystwie, cały czas przysyłał jej odwiedzających. Nie mogło to wymazać jego złośliwych słów o panu Atkinsie. Złośliwych i nawet w najmniejszym stopniu nieprawdziwych.

Może nie. Odruchowo kiwała głową i uśmiechała się do pana Travistocka i jego żony, którzy siedzieli obok siebie na kanapie w jej największym salonie. Chcieli dobrze, ale męczyli człowieka komicznymi anegdotami, których humor nie stawał się oczywisty od razu. Trzeba było nieustannie obserwować żonę, gdy mąż przemawiał, i śmiać się w tym samym momencie co ona. Mirkwood śmiałby się we wszystkich odpowiednich i nieodpowiednich chwilach i nigdy nie odczułby ciężaru rozmowy. Musi przestać o nim myśleć.

I rzeczywiście, kiedy państwo Travistock wyszli, pojawiło się coś, co zajęło wszystkie jej myśli, zastępując te drobne zmar-

twienia. Lokaj przyniósł list od pana Keene'a. Nie udało mu się jednak zniechęcić Jamesa Russella do przyjazdu. Marta musi się go spodziewać za tydzień.

- Najpierw upewnimy się, że każde drzwi zamykają się od środka na zasuwę. - Marta przechadzała się w tę i z powrotem w jadalni, gdzie jak miesiąc wcześniej zebrały się wszystkie służące. - Zamek nie jest dostatecznym zabezpieczeniem. Proszę podnieście rękę, jeśli nie macie zasuw w drzwiach, a pani Kearney zapisze wasze nazwisko. - Jej puls bił szybko, tak samo jak w chwili, w której czytała list pana Keene'a. Trudno. Jeśli nie może nakazać swojemu ciału spokoju, poradzi sobie jak jeździec na kłusującym koniu.

Cóż za cudownie rozjaśniającą umysł moc miał kryzys. Wiedziała, co musi zrobić - ochronić swoje służące przed Jamesem Russellem - i każde działanie i decyzja zdawały się służyć temu celowi.

- Przez cały czas jego pobytu wiedźcie, że nie jesteście mu winne szacunku. - Zatrzymała się i spojrzała na siedzące przy stole kobiety. - Jeśli odezwie się do was w zbyt poufały sposób, możecie odpowiedzieć mu tak ostro, jak uznacie za stosowne. A potem natychmiast mnie powiadomcie.

Sheridan wyprostowała się na krześle, z oczami błyszczącymi na myśl o tej perspektywie.

- Możemy go też uderzyć?

Z pewnością ktoś powinien. Marta znowu zaczęła chodzić.

- Zostawiam tę decyzję wam. Pamiętajcie tylko o własnym bezpieczeństwie.

- Tacy mężczyźni nie dają szansy się bronić - powiedziała z ponurym wyrazem twarzy jedna z pokojówek. - Pierwsze, co robią, to unieruchamiają rękę.

- W takim razie musicie wzywać lokaja. - Marta położyła ręce na stole i skinęła głową pani Kearney siedzącej po drugiej stronie stołu. - Poinformuje pani pana Lawrence'a o tej sprawie, żeby mógł uczulić na to lokajów? - Teraz męska część służby również pozostanie poinformowana. Cała posiadłość zjednoczy się przed tym plugastwem.

- Gdybym tylko wiedziała, jak uniknąć unieruchomienia rąk. - Sheridan wbiła zatroskany wzrok we wzór na obrusie między dłońmi Marty. - Gdybyśmy mogły się nauczyć, w jakie miejsce najlepiej uderzyć mężczyznę, żeby go obezwładnić... gdybyśmy miały kogoś, kto wie na przykład, jak się boksować, żeby nas pouczył...

- Ale nie mamy, więc odwołam się do środków, które są nam dostępne.

W jakiś sposób pokojówka wiedziała, że sprawy między jej panią a Mirkwoodem zakończyły się źle. Nieważne, że Marta twierdziła, że układ spełnił swoje zadanie i został zakończony, nieustannie napotykała jednak współczujące spojrzenie służącej, która czasami rzucała nieodpowiednie aluzje, słabo zawołowane sugestie, że Marta mogłaby podjąć jakieś działanie, by zażegnać konflikt. Jakby to było to, czego ona albo Mirkwood pragnęli.

Zraniła go. To oczywiste. Zaoferował jej serce, a ona odmówiła w sposób, w jaki odmawia się dokładki rzepy. Jaki mężczyzna mógł to znieść ze spokojem?

Jednak on nie był jedyną osobą, która przeżyła rozczarowanie. Pokazała mu najlepszą stronę siebie - tę zdolną do ogromnych poświęceń dla szlachetnej sprawy - i widziała, że wcale tego nie docenił. Zawód przebijał ją jak nóż za każdym razem, gdy pozwalała sobie na to wspomnienie. Jak mógł twierdzić, że ją kocha, kiedy nie kochał tego, przyświecało jej decyzjom.

Nie żeby to miało znaczenie. Jeśli małżeństwo było niedopuszczalne, miłość nie może mieć znaczenia.

- Jutro zajmiemy się zamkami. - Wyprostowała się i złożyła ręce za plecami. - Jeśli macie inne pomysły, jak chronić ten dom, z chęcią ich wysłucham.

- Powiedziano mi, że możemy stracić panią Russell. Słyszał pan o tym? - Granville rzucił tę uwagę w trakcie sortowania różnych narzędzi złożonych w jednym z budynków gospodarczych w posiadłości Pencarragh.

Minął tydzień, od kiedy z nią rozmawiał, i jakby nie dość, że nawiedzała go w snach, tutaj też musi się mu narzucać.

- Były jakieś trudności z wykonaniem testamentu? - Theo potrząsnął praszą do sera. Wyrabianie sera straciło sporo ze swojego uroku. Nie wiedział o udziale żołądków cielęcych, dopóki ostatnio o tym nie przeczytał. Biedne, niewinne, skazane na zagładę cielaki.

- Okazuje się, że posiadłość może przejść w ręce brata pana Russella. W takim przypadku pani Russell nie dostanie nawet domu, jeśli wierzyć słowom radcy prawnego rodziny. - Zarządca zatrzymał się, by coś zapisać. - To cztery dobre dębowe wiadra. Trafił pan na sito?

- To do odcedzania mleka? Myślę, że to może być to. Proszę spojrzeć. - Podniósł dziwny wynalazek wyglądający jak miska z odciętym dnem, by Granville go zobaczył. - Jak to możliwe, że ten człowiek omawia prywatne sprawy pani Russell? Jako osobisty radca powinien mieć więcej dyskrecji.

- Z pewnością. Temat pojawił się tylko dlatego, że ten brat przyjedzie do Seton Park w ciągu tygodnia. Pan Keene chciał, żebym o tym wiedział, zwłaszcza że być może jego pobyt tutaj może się przedłużyć.



- Przyjeżdża tu teraz? - Nie jego sprawa. Pani Russell mogła szukać męskiej pomocy u swojego uroczego wikariusza.

- Niezbyt uprzejme działanie z jego strony, prawda? Wygląda to tak, jakby przewidywał, że to on odziedziczy posiadłość, a tym samym, że panią Russell czeka rozczarowanie. Widziałem, że pan Keene nie popierał jego zachowania. Ach, dobrze. Te misy są wyłożone cyną. Słyszałem, że te wyłożone samym żelazem mają tendencję do pokrywania się rdzą.

Nie był jej nic winien. Właściwie to ona była mu winna pięćset funtów. Albo cztery razy tyle, jeśli rzeczy przyjmą obrót, którego pragnęła.

Jednak w ciągu ostatniego miesiąca nabył niewygodnych skłonności i teraz jego myśli powędrowały do służących w Seton Park. Nie mógł stać z boku i udawać, że nie wie, w jakim mogą się znaleźć niebezpieczeństwie. Musi przynajmniej złożyć wizytę pani Russell i wysłuchać, co zamierzała zrobić. Przekłęte obowiązki. Westchnął i wyjął swój zegarek. Jeśli pośpieszy Granville'a z tą inwentaryzacją, to być może zdąży wybrać się z wizytą dziś po południu.

Marta siedziała przy stoliku w bibliotece, stukając suchym piórem w kartkę papieru. Rozmawiała ze służącymi cztery dni temu i od tamtej pory każdego dnia Sheridan udawało się w jakiś sposób wspomnieć o Mirkwoodzie. O tym, jak musi mu być ciężko planować otworenie mleczarni bez rozsądnych rad Marty. O tym, że całkiem nieźle, jak na dżentelmena, układał jej włosy w tych dniach, kiedy podejmował się tego zadania. Same niemądre uwagi, jasne co do motywu i nadające się tylko do zignorowania.

Mimo to siedziała przy stole z kartką i piórem. Musi tylko wysłać wiadomość. Być może chciałaby wiedzieć o bliskim przyjeździe Jamesa Russella.

A z drugiej strony, dlaczego miałyby go to obchodzić? Oddzielił swoje troski od jej trosk. A może ona to zrobiła? W każdym razie nie mogła oczekiwać, że on będzie przejmował się tą sprawą, która go nie obchodziła. Rzuciła pióro i właśnie wstawała z krzesła, kiedy w drzwiach stanął lokaj.

- Pan Mirkwood pragnie się z panią zobaczyć. Zaprowadziłem go do mniejszego salonu.

Zatrzymała się w pół ruchu. Jej serce biło w piersi jak przerażony ptak.

„Nie będzie mnie dla ciebie w domu jutro ani żadnego innego dnia”. Co go mogło sprowadzić, pomimo tych słów? Może przyszedł po swoje pięćset funtów.

- Dobrze. Dziękuję. Pójdę do niego. - Automatycznie wstała i pozwoliła nogom się prowadzić, krok za krokiem, z biblioteki przez długi korytarz i do salonu piwonioowego z przodu domu.

Theo stał przy oknie, jedną ręką przytrzymując zasłonę, by zyskać lepszy widok. Zawsze będzie tym człowiekiem, prawda? - przyciąganym przez jasne obrazy, przyjemności i inne lekkie rzeczy. Słyszając jej kroki na dębowej podłodze, puścił zasłonę i odwrócił się.

Te oczy widziały wszystko, co teraz skrywała jej suknia. Te usta robiły rzeczy, których nie da się opisać. Ten podbródek opierał się o jej głowę każdej nocy, jego puls i oddech grały w ciszy koncert z jej pulsem i oddechem.

Zarumieniła się, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. Uścisnął jej dłoń i uklonił się, po czym puścił ją i zaplótł ręce za plecami.

- Słyszałem, że spodziewasz się wizyty brata pana Russella. - Przechyliwszy głowę, poważnymi niebieskimi oczami wpatrywał się w nią.

- Zgadza się. Pod koniec tygodnia. Usiądziesz? - Powiedziała mu, żeby jej nie odwiedzał. A i tak ją odwiedził. Teraz zapraszała go, by został.

Pokręcił głową.

- Przyszedłem tylko zapytać, co planujesz i czy potrzebujesz pomocy. - Zwracał się do niej z rozmysłem formalnie. - Nie chcę się narzucać.

Głupie, płochliwe serce. Mówił o miłości i odpowiedziała ze spokojem. Zmusił się do przyjścia z poczucia obowiązku, kolana się pod nią ugięły.

- Miło z twojej strony, że się o to dowiadujesz. - Przesunęła się w stronę krzesła, o które mogła się oprzeć. - Damy sobie radę. Kazałam zamontować zasuwę na drzwiach do pokoi służących i poinstruowałam je, by wzywały pomocy, jeśli on spróbuje czegoś za dnia.

- W takim razie doskonale. - Kiwnął głową.

Teraz sobie pójdzie. Nie. Nie mógł. Zaoferował pomoc mimo gniewnych słów, które między nimi padły. A teraz odsunął na bok uczucia do niej w imię większego dobra i prawdopodobnie musiał pokonać swoją dumę. Nagle puściła krzesło i zrobiła jeden długi krok, by zagrozić mu drogę.

- Potrzebujemy pomocy. Kobiety chciałyby wiedzieć, jak najbardziej skutecznie uderzyć mężczyznę. Ktoś musi je tego nauczyć.

Uśmiech czystej chłopięcej radości pojawił się na jego twarzy. Szybko się go pozbył i ponownie kiwnął głową.

- Oczywiście, pani Russell. Jestem do usług.

- Co jest największą słabością kobiety w porównaniu z mężczyzną? - Jak kapral robiący przegląd swoich wojsk, pani Russell spacerowała w tę i z powrotem wzdłuż rzędu

zebranych kobiet. Siedziały na krzesłach w sali balowej Seton Park, pełne zapału i jednocześnie obawy. Theo stał pod jedną ze ścian z grupą lokajów i stajennych, którym zdradzono szczegóły sprawy.

- Słabość ciała. - To pokojówka pani Russell, ta, która teraz jako jedyna zajmowała się ubieraniem jej i rozbieraniem. -Również szybkość. Mężczyźni są szybsi i silniejsi od nas.

- To prawda, jednak dla naszych celów możemy to przewyciężyć. - Kryzys zdawał się tylko utwierdzać pewność siebie Marty, dziwna z niej kobieta. - Słabość, którą musimy przewyciężyć, moje panie, to nasza skłonność do litości. -Spojrzała przelotnie na Theo. Spędzili dobrą godzinę na opracowywaniu strategii i uzgodnili, że to powinien być kamień węgielny ich podejścia.

- Czy którakolwiek z was kiedyś uderzyła mężczyznę? -Staneła, wskazując po kolei służące, jakby chciała policzyć odpowiedzi. Jednak żadna z kobiet się nie odezwała. - Czy któraś została obrażona przez mężczyznę i później żałowała, że go nie uderzyła? - Teraz pięć czy sześć kobiet pokiwało głowami i podniosły ręce. Pani Russell założyła ręce za plecami i wyprostowała się jeszcze bardziej. - Czy którakolwiek chciałaby, żeby jej córka, jeśli zostanie nią pobłogosławiona, zносиła tego typu obrazę bez możliwości obronienia się? - Triumfalnie i z wiarą w siłę argumentu rozejrzała się po swojej widowni, zanim znowu się odezwała. - Musimy bronić się z tym samym zdecydowaniem, jakiego pragnęłybyśmy dla naszych córek. Nasz sąsiad, pan Mirkwood, wspinałomyślnie zaoferował, że pokaże nam, jak możemy zranić mężczyznę. Powinniśmy odpowiedzieć na jego uprzejmość, obiecując, że nie zawahamy się wykorzystać tego, czego nas nauczy. - Zrobiła krok w tył i oddała mu głos.

Theo wyszedł na środek sali.

- Nawet najdrobniejsza z kobiet może obezwładnić mężczyznę przynajmniej na czas potrzebny na ucieczkę, uderzając go w jedno z kilku wrażliwych miejsc. Pokażę wam te miejsca i to, jak zadać bolesny cios. - Pokojówka Marty i kilka innych kobiet były wyraźnie chętne, żeby to zobaczyć. - Jednak najpierw pokażę wam, z pomocą pani Russell, kilka sposobów, by uwolnić się, gdy ktoś spróbuje was unieruchomić. Jeśli pani pozwoli, pani Russell.

Powtarzali to całe popołudnie. Ostrożnie i uprzejmie pracowali razem, wdowa upierała się, że musi dać dobry przykład kobietom, które będą obawiały się ćwiczyć w ten sposób z mężczyzną. Raz za razem łapał ją za nadgarstek albo łokieć bądź obejmował, najpierw myśląc o ich zniszczonej intymności, potem o dziecku, malutkim i niemającym jeszcze kształtu, gdzieś wewnątrz jego objęć. Jej policzki zaróżowiły się od wysiłku i podekscytowania, kontrastując z ponurym ubiorem. Jej oczy błyszczały jak oliwiony mahoń.

- A teraz proszę wszystkich o wstanie, a panów o dołączenie do nas. Zobaczycie, jak szybko to opanujecie. - Kiwnęła mu głową, i rozdzielili się, dołączając do reszty.

Jeśli spędził kiedyś godzinę, robiąc coś bardziej użytecznego, nie mógł sobie teraz tego przypomnieć. Och, z pewnością osiągnął kilka rzeczy w kwestii biznesu mleczarskiego i być może pomógł panu Barrowowi, ale była to ciężka praca. Pomaganie tym kobietom, robiąc coś, co przychodziło mu tak łatwo, było dla niego przyjemnością ponad wszelką miarę.

Krażył po pokoju, instruując jedną z dziewczyn pomagających w kuchni, jak ustawiać nogi, praczkę, jak fatalne w skutkach jest wahanie. Widział, jak Marta kraży wśród kobiet, zachęca je

i namawia te, które się wahają, żeby też spróbowały. Pokazała z pomocą lokaja, jak wykręcić komuś ramię i uwolnić swój nadgarstek. Wyglądała na onieśmiałą istotę, jak zawsze wyprostowaną i surową, gdy pozwalała, by dotykali jej służący, i zachęcała inne kobiety, by robiły to samo. Zdecydowana, spowita w czerń wojownicza i obrończyni swojej płci, jej niewrażliwa natura wreszcie odnalazła swoje miejsce.

W pewnym momencie ich drogi się przecięły. Stali nieco z boku, łapiąc oddech i oceniając, gdzie są potrzebni.

- Myślę, że na razie idzie nieźle - powiedziała cicho. Wstążki jej czepka poluzowały się. - Co sądzisz? To coś nowego. Szczere odwołanie do jego oceny. Kiwnął głową, skrzyżował ramiona i patrzył na służącą i stajennego ćwiczących najbliżej nich. - Kobiety z Seton Park szybko się uczą.

- I w większości chętnie. Naliczyłam tylko trzy, których nie mogę przekonać, żeby spróbowały.

- Przekonasz je, zanim skończy się popołudnie.

- Tak sądzisz? - Słyszał w jej głosie, że też chciałyby w to wierzyć.

- Nie mam żadnych wątpliwości. - Odwrócił twarz nieco w jej stronę. - Jesteś przywódczynią kobiet, pani Russell. Wiedziałem od tym od jakiegoś czasu. - Ukłoniwszy się lekko, wrócił do pracy.

Trzy dni później Theo stał w oknie jednego z salonów i obserwował zatrzymujący się na podjeździe czterokonny powóz.

- Nie szedł na te konie, nieprawdaż? - mruknął. Po jego prawej stronie pan Perry, jeden ze stajennych, wyciągnął szyję, by lepiej widzieć. - Ma własny majątek?

- Słyszałem, że wzenił się w bogatą rodzinę. - Odezwała się jedna ze starszych pokojówek, panna Morehouse, stojąca przy sąsiednim oknie.
  - Jest żonaty. Łotr. Ciekawe, czy jego żona wie.
  - Popatrzcie na panią Russell. - Panna Sheridan, po jego lewej stronie wspięła się na palce. - Czy nie wygląda jak królowa przygotowująca się do przyjęcia u siebie swojego wroga?
  - I we śnie pozbawić go głowy, jak można mieć nadzieję. -Poczuł znajomy skurcz, naprawdę, nie tak fatalny jak wcześniej, kiedy patrzył na jej szczupłą, czarną sylwetkę, stanowczo i zdecydowanym krokiem idącą w stronę podjazdu. Dzień stał się nieco chłodny, miała więc na ramionach szal, który wyglądał jak królewski płaszcz.
  - Wysuwają schodki - powiedział Perry i wszyscy patrzyli ciekawi widoku Jamesa Russella. Z tej odległości wyglądał na nijakiego człowieka, średnich rozmiarów i bez żadnego widocznego stylu w ubiorze.
  - To on? - Głos panny Sheridan podniósł się o oktawę. - Spodziewałam się jakiegoś ogromnego potwora.
  - Zniszczy go pani, jeśli się do pani zbliży. - Szkoda, że sam nie mógł tego zrobić.
  - To na pewno. - Przyłożyła pięść do szyby wyciętej w romb. - Zakładając, że pani Russell nie zrobi tego pierwsza.
- Wdowa wyglądała na zdolną do tego. Nie podeszła, żeby spotkać się z gościem, ale stała królewska i niedostępna w tym samym miejscu. „Wiem, kim jesteś” - mówiło wszystko w jej postawie, nawet z tej odległości.
- A oto i żona - odezwała się panna Morehouse. Otyła, bogato ubrana dama wysiadła z powozu. A potem skromnie ubrana szczupła kobieta. To z pewnością guwernantka, po-

nieważ za nią wysiadło dwóch chłopców w wieku około dziesięciu i ośmiu lat.

Theo zobaczył, że wdowa zrobiła mały krok do przodu. Zrozumienie przeszło go jak dreszcz.

- Nie wiedziała, że ma dzieci. - Odwrócił się, by spojrzeć na pokojówkę.

Panna Sheridan odezwała się równocześnie z nim.

- Nie wiedziała, że ma synów.

Miał synów. Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że to możliwe? Spuściła wzrok na swoje dłonie, udając, że poprawia szal, a potem zmusiła się, by jeszcze raz popatrzeć.

Chłopcy mieli jasnoniebieskie oczy, młodszy jasne włosy matki, a starszy - ten, który zostanie pozbawiony należnych mu praw - był ciemnowłosy o rumianych policzkach. Stali wyprostowani jak żołnierze u boku guwernantki, która bez wątplenia sporo czasu spędziła, ucząc ich odpowiedniej postawy. Może często używała dyscypliny jak panna York.

Nie. Żadnych tego typu współczujących refleksji, które mogą zaszkodzić jej sprawie. To, że musi pozbawić te dzieci spadku, było nieszczęściem, ale nic nie można było na to poradzić. Grzechy ojca i tak dalej.

Sam ojciec był zaskakująco mizernej postury. Niższy niż jego brat, na jego twarzy malował się pełen wyższości uśmieszek, a postawę miał nieco lizusowską. Jego sylwetka nie mogłaby zamajaczyć przerażająco na tle otwartych drzwi do pokoju biednej pokojówki, jak Marta to sobie wyobrażała, zasłaniając złowrogo światło wpadające z holu. Co najwyżej mógł się wkraść jak łasica, cicho zamykając za sobą drzwi, kliknięcie zamka wyraziłoby groźbę, której nie ujawniał jego wygląd. Czy to byłoby gorsze? Naruszenie czci przez tak znikomego człowieka? Lekko ścisnęło ją w żołądku, kiedy do niej pod-



szedł. To było dostatecznie złe doświadczenie podczas nocy poślubnej, na którą się zgodziła.

Dołączyć do tego bólu, zdziwienia i poczucia obnażenia bezsilność i przerażenie, które musiała czuć pani Weaver i ta druga służąca, było szokiem niemal nie do wyobrażenia.

- Pani Russell. - Jego głos też nie nosił żadnych cech łotrostwa. Właściwie bez trudu można go było zignorować i przenieść uwagę na żonę, podczas gdy on ciągnął swoje wyraźnie fałszywe uprzejmości. Jego żona była pulchna i kiedyś mogła być ładna. Miała na sobie niebieską wełnianą sukienkę, obficie ozdobioną wstążkami. Stała w połowie drogi między powozem a mężem z rękami splecionymi z przodu i podniosła głowę, by przyjrzeć się posiadłości. Nagle, jakby poczuła na sobie wzrok Marty, spuściła oczy i zapatrzyła się na bruk na podjeździe.

Coś w jej zachowaniu sprawiło, że wdowa poczuła ukłucie w sercu; to, jak ta kobieta stała, oddzielona od męża i od dzieci, które trzymały się guwernantki, najwyraźniej czekając na jej kolejne polecenie.

Co za okropna sytuacja, cierpieć taką izolację wśród własnej rodziny.

Na litość boską, żadnego więcej współczucia!

- Z radością obejrzę, czego dokonał Richard w kwestii ulepszeń - mówił James Russell. Był, jak się okazało, jednym z tych ludzi, którzy kierowali połowę swoich słów do biustu rozmówczynie, zamiast do twarzy. Marta powinna zmusić się do częstych rozmów z nim, żeby to ordynarne zachowanie mogło przypominać jej o celu i utwierdzić w postanowieniu.

- W ostatnim czasie poświęcał uwagę raczej domom dzierżawców niż swojemu domowi i ziemiom. Jestem pewna, że podobnie jak ja będzie pan usatysfakcjonowany skutkami. Jednak muszą być państwo zmęczeni podróżą. - Przeszła obok tego

podłego, gapiącego się na kobiece biust mężczyzny i odezwała się do jego żony. - Proszę wejść i napić się herbaty. Ja poproszę o przygotowanie większej liczby pokoi. Gościć wszystkich państwa to taka rozkoszna niespodzianka.

Do czasu, kiedy tego wieczoru udała się na spoczynek, była wykończona. Zabawianie nawet życzliwego towarzystwa przez pół dnia mogło być męczące. Ale obserwowanie Jamesa Russella, wymienianie spojrzenia z każdą służącą, która akurat znalazła się w pokoju; usiłowanie odczytać z jego zachowania znaki perfidnych myśli lub zamiarów - to wyczerpało ją bardziej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać.

Jeśli poprawił się w ciągu ostatnich szesnastu lat, to nie tyle, by stać się dobrym człowiekiem. Prawie nie zwracał uwagi na swoją żonę i spędzał czas podczas jedzonej w niezręcznej atmosferze kolacji na wypijaniu najlepszego czerwonego wina jej zmarłego męża i racząc Martę coraz bardziej potoczystymi opowieściami o swoim dzieciństwie w Sussex. Druga pani Russell konsumowała w spokojnym skupieniu duszonego zająca, jakby nie pozwolono jej uczestniczyć w rozmowie. James Russell przechadzał się też po pokojach aroganckim krokiem, który sugerował, że uważa je już za swoje. Chociaż oczywiście można to było zrozumieć. Dorastał tutaj i mieszkał w tych pokojach znacznie dłużej niż Marta. Obiektywny obserwator, niewiedzący nic o jego zbrodniach, mógłby nawet powiedzieć, że ma większe prawo do Seton Park.

Gdyby tylko mężczyźni nosili jakiś znak takich czynów na twarzy albo odpowiednio cuchnęli! Gdyby tylko nie mieli żon i dzieci, którzy muszą razem z nimi odpowiadać za ich zbrodnie. O ile łatwiejsze byłoby to wszystko, gdyby pozostawał daleko, czysty potwór w jej wyobrażeniach, a nie ten zupełnie zwyczajnie wyglądający mąż i ojciec. Nic w jego wy-

gładzie nie sugerowało, że jest zdolny do stworzenia zagrożenia, na które przygotowało się całe to domostwo.

A jednak kiedy nazajutrz się obudziła, poczuła panikę, która opanowała jej całe ciało.

- Nie bój się - powiedział głos przy jej uchu. - To ja, Mirkwood. Theo. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- O co chodzi? Co się stało? - chciała wiedzieć, jak tylko cofnął rękę. Jej serce waliło jak kopyta spłoszonego konia. Nic nie widziała.

- Nic. Ciii. - Założył kosmyk włosów za jej ucho, jak to często robił, kiedy dzielili łóżko. Walczyła z odruchem, żeby złapać go za nadgarstek i przytrzymać. - Przepraszam, że musiałem cię obudzić w ten sposób, ale nie chciałem, żebyś obudziła się później i przestraszyła, że tu jestem.

- Nie rozumiem. - Panika ustępowała, ale niezrozumienie stawało się coraz większe. Usiadła z dala od jego dłoni. - Jak tu wszedłeś?

- Dałaś mi klucz, pamiętasz? - Miejsce, z którego dobiegał jego głos, uległo zmianie; musiał wstać. - I dokładnie tak jak podejrzewałem, zamontowałaś zasuwę na wszystkich drzwiach z wyjątkiem swoich.

- Teraz słyszała, jak coś podnosi. - Zamierzam siedzieć w tym fotelu, tuż obok twoich drzwi do rana. Dzisiaj i każdej nocy, dopóki brat twojego męża stąd nie wyjedzie.

Stopniowo docierały do niej jego słowa.

- Nie jesteś mi winien tej przysługi.

- Nie. Pewnie nie. - Brzmiał, jakby był bardzo daleko, chociaż dzieliło ich nie więcej niż tuzin stóp.

- Zastanawiam się, czy zamiast tego nie powinienes pilnować klatki prowadzącej do pokoiów służby, żeby go przyłapać, jeśli będzie cokolwiek próbował.

- Hawkins i Perry się tym zajmują. - Słyszała, jak się przeciąga, by wygodniej usiąść.
- Kto?
- Henry Hawkins, Jack Perry, stajenni. - W jakimś momencie najwyraźniej zaprzyjaźnił się z mężczyznami, którzy dla niej byli bezimiennymi służącymi. - Jeśli Russell zbliży się do tych schodów, zostanie złapany i doprowadzony przez oblicze sprawiedliwości. Jeśli spróbuje wejść tutaj, spotka go coś znacznie gorszego.
- Nie wydaje mi się, żebym była w niebezpieczeństwie. - Tak, znowu myślała trzeźwo. - On wcześniej nie...
- Marto. - Mógłby do niej mówić z księżycą, jego ton był tak odległy. - Nie mam zamiaru o tym dyskutować i marnujesz czas, próbując to robić. Nie pozbędziesz się mnie z tego fotela bez podniesienia alarmu na cały dom. Biorąc wszystko pod uwagę, wątpię, żebyś to zrobiła. Położyła się z powrotem. Jeśli wstrzymywała oddech, słyszała, jak on oddycha. Nie wydawał żadnego innego dźwięku.
- Przepraszam - powiedział po minucie lub dwóch.
- Niepotrzebnie. Chcesz wyświadczyć mi przysługę, a ja jestem niewdzięczna. - Po raz sześćdziesiąty ósmy.
- Nie za to - jego głos był ledwie słyszalny. - Żałuję, że powiedziałem niektóre rzeczy. I dziwna rzecz: może „kocham cię” było jedną z tych rzeczy.
- Nieważne. Zrobiłeś dla mnie zdecydowanie więcej dobra niż zła. I to musiało się jakoś skończyć, prawda? Równie dobrze w gniewie.
- Pani Russell. - Jego cichy śmiech niósł się przez pokój. - Jesteś pijana?
- Co? - Oparła się na łokciu. - Nikt ci nigdy wcześniej nie wybaczył?

- Wiele razy. - Słyszała, że patrzył w jej stronę. - Tylko nigdy nie spodziewałem się tego po tobie. Zaslugiwała na to bez wątpienia. Opadła na poduszkę.
- Biorąc wszystko pod uwagę, jesteś wspaniałym człowiekiem. - Zdusiła ziewnięcie. - To bardzo dobrze, że pomyślałeś, żeby umieścić tych mężczyzn w domu.
- Nie zrobiłem tego. - Odwrócił twarz i brzmiał, jakby sam chciał ziewać. - To był ich pomysł. - Rozległo się lekkie skrzypienie, kiedy usiadł głębiej w fotelu. - Masz więcej sprzymierzeńców, niż zdajesz sobie sprawę, jeśli tylko nauczysz się im ufać. A teraz idź spać. Obudzę cię, jeśli będzie taka potrzeba.

Wyszedł trochę po świcie. Przespał cztery czy pięć godzin, zanim wstał do pracy z Granville'em. A kiedy nad Sussex zapadła noc, z powrotem znalazł się w fotelu przy drzwiach jej sypialni.

- On ma synów. - Nie widząc jej, nie mógł być pewien, czy mówi do niego, czy do siebie. Kiedy przyszedł na drugą noc swojego czuwania, zobaczył, że zostawiła pojedynczą palącą się świecę, ale już dawno ją zgasił. Jej zapach wciąż jeszcze był lekko wyczuwalny w powietrzu.
- Widziałem ich. Byłem tu wczoraj, obserwując z okna z częścią służących ich przyjazd. - Odruchowo sięgnął po zegarek, chociaż oczywiście nie mógłby nic na nim zobaczyć.
- Nie wiedziałam, że ma synów. - Jej słowa popłynęły przez pokój, przytłumione jak płomień tej świecy, którą zapaliła, żeby oświetlić mu drogę.
- Postąpiłabyś inaczej, wiedząc o tym?
- Nie wiem, co innego miałabym zrobić.
- Jednak jest ci przykro. - W chwilach ciszy słyszał cichy świst wiatru w kominie.

- Nie mogę teraz zmienić planów. Wszyscy na mnie liczą. -W jej głosie słychać było ukryty desperacki ton, jakby kłóciła się o to sama ze sobą od jakiegoś czasu.
  - Z pewnością. Ale możesz równocześnie być zdecydowana i mieć wyrzuty sumienia. Możesz być wierna swojej misji i wciąż żałować, ile to będzie kosztowało tych chłopców.
  - Tak jest. - Poruszyła dłonią na pościeli, słychać było szelest lnu. - Dziękuję.
  - Za co? - Mimo że jej nie widział, odwrócił się w jej stronę.
  - Wiesz, jak powiedzieć rzeczy, których ja nie umiem. Niewątpliwie. Na przykład „kocham cię”. Odrzucił tę niegodną myśl.
  - A co z żoną? Byłaś w stanie wyrobić sobie opinię o niej?
  - Z trudem. Jestem pewna, że nie jest szczęśliwa. Mówi bardzo niewiele, a bardzo dużo je.
  - Tak, wygląda na to.
  - To nieuprzejme.
  - Nie taki był mój zamiar. - Wyciągnął nogi, krzyżując je w kostkach. - Zaznawałem przyjemności w towarzystwie kobiet o podobnych kształtach. Ogromnej przyjemności. -Z czasem może znowu będzie w stanie.
- Wróci do Londynu. Znajdzie następną kochankę. I wdowa stanie się, czy tego chciał, czy nie, jeszcze jedną kobietą z jego przeszłości. I w końcu pierwszą kobietą, którą pokochał, a nie jedyną. Ta prawda odbijała się po pokoju jak piłka po popękanej marmurowej podłodze.
- Pościel znowu zaszeleściła. Być może ścisnęła kołdrę w dłoni.
- Nie zapomnę cię - powiedziała.
  - Oczywiście, że nie. Będziesz miała małą pamiątkę, prawda? - Przynajmniej jedno z nich będzie ją miało.

- Małą, a potem nie taką małą. Jeśli zostaniemy pobłogosławione dobrym zdrowiem. - Jej włosy otarły się o poduszkę, gdy odwróciła głowę. - Jednak i tak bym o tym pamiętała.

Cztery kroki dzieliły go od łóżka. Mógłby leżeć obok niej ten jeden ostatni raz, wdychając jej perfumy pachnące bzem. Usiadł głębiej w fotelu.

- Jak twoje zdrowie? Odczuwasz jakieś niedogodności? - Jeśli się zarumieniła, to nie widział.

- Trochę, w połowie poranka. Nie jest to zbyt dokuczliwe.

- Ach. Dobrze. - Nawet mąż i żona mogą odczuwać nieśmiałość i zażenowanie w rozmowie o tych sprawach. Pewnego dnia się ożeni i kiedy jego żona będzie brzemienna, dowie się tego. Wtedy będzie mógł myśleć o dziecku, by oderwać myśli od tego drugiego dziecka, tej malutkiej istoty powstałej z miłości i determinacji, którego nigdy nie pozna.

Chryste. Odchylił głowę do tyłu, mrugając w ciemności.

- Będiesz go kochać, prawda? Albo ją? - jego głos brzmiał, jakby dobiegał z dna studni. I oczywiście tak było.

Chwila ciszy, kiedy przyswajała to pytanie.

- Wiem, dlaczego o to pytasz. Nie jestem z natury uczuciowa i poczęłam to dziecko z powodu planu, a nie dla niego samego. Albo jej samej. - Odetchnęła. - Ale zawsze lubiłam dzieci, a to... - Kolejna przerwa. Kolejny oddech. - Będzie mój. Albo moja. Będę kochała to dziecko jak nigdy nikogo w swoim życiu.

- No to - przez sekundę lub dwie nie mógł wydobyć kolejnego słowa - bardzo dobrze. - Nic więcej nie było właściwie do powiedzenia.

James Russell nie wstał dostatecznie wcześnie, by zdążyć do kościoła, co można by wziąć za przyzwolenie opatrzości. Im dłużej Marta mogła go trzymać z dala od pana Atkinsa, tym

dłużej mogła uniknąć utraty łask wikariusza. W pierwszym rzędzie, obok żony Jamesa Russella, guwernantki i dwóch chłopców, przesiadła przez długie, ale raczej dodające otuchy kazanie o cudzołożnicy, w którą nikt nie odważył się po raz pierwszy rzucić kamieniem. Od czasu do czasu zamykała oczy i oddychała głęboko, by uspokoić swój żołądek.

Walczyła też z pragnieniem, by spojrzeć w stronę Mirk-wooda, który siedział na swoim miejscu w trzecim rzędzie. Prawie oczekiwała, że on też nie będzie na mszy po dwóch nieprzespanych nocach. Ale przyszedł, wyglądał na nieco znużonego nawet w świeżym ubraniu. I słyszała jego głos - ładny, dźwięczny, musiała to przyznać, przeplatający się z innymi w trakcie każdego hymnu, był dowodem, że nie zasnął w swojej ławce.

Być może będzie spał potem. Położy się w ubraniu. Albo może przebierze się w nocą koszulę. Albo może nic nie będzie miał na sobie. Zrzucenie ubrania może być wszystkim, co da radę zrobić, zanim wczółga się pod kołdrę. Zimna pościel będzie pieściła jego ciało o ostrych kantach.

Brakowało jej widoku jego ciała. Nic nie można było z tym zrobić. Okoliczności odseparowały ich od siebie.

- To było rozważne kazanie - odezwała się żona Jamesa Russella w drodze do domu. - Może nieco za długie dla dzieci, ale przemyślane. - To była pierwsza opinia, jaką kobieta wygłosiła w obecności Marty.

- Nie za długie dla pani synów, sądząc po ich zachowaniu. - Chłopcy szli gęsiego za guwernantką nieco z przodu. - Zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni.

- Dziękuję. - Powiedziała to miękko, jakby nieprzyzwyczajona do komplementów jakiegokolwiek rodzaju. - Panna Grey bardzo dobrze sobie z nimi radzi. - Spuściła wzrok. -



Mam nadzieję, że już pani lepiej, teraz, kiedy wyszliśmy na świeże powietrze.

- Tak. Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzałam pani w kościele. Obawiam się, że będę musiała zrezygnować z chodzenia na msze szybciej, niż się spodziewałam.

- Ja też musiałam z pierwszym dzieckiem. - Jej oczy, gdy zerknęła na Martę, były jasnoniebieskie i otoczone gęstymi rzęsami. Mogłaby być ładna, gdyby na jej twarzy nie malowało się tak ogromne przygnębienie. - Przykro mi z tego powodu. Kościół jest doskonałą pociechą. - Zarumieniła się, jakby się z czegoś zwierzyła, i odwróciła wzrok.

Równie dobrze mogła sięgnąć pulchną dłonią do klatki piersiowej Marty i ścisnąć jej przepelnione poczuciem winy serce. Żona Jamesa Russella była więcej niż nieszczęśliwa. Zrozpaczona, opuszczona i powierzała to drobne wyznanie komuś, kto zamierzał oszukać jej synów, pozbawiając przysługujących im praw.

- W takim razie musi pani tęsknić za swoim kościołem w Derbyshire. Jestem pewna, że z radością tam pani wróci.

Bezwzględność podyktowała te słowa - bezwzględność może być wszystkim, co pewnego dnia z niej zostanie - i druga pani Russell nie próbowała już nawiązać przyjaznych kontaktów przez resztę spaceru.

- On ma nadzieję urządzić się tu z kochanką, a ją zostawić w Derbyshire. - Panna Sheridan pochyliła się w fotelu w nie-biesko-srebrne paski z rękami założonymi na kolanach. - Jej pokojówka mówi, że nawet czasami sprowadzał kochankę do ich domu.

- Ale żona może się za coś takiego rozwieść, prawda? -Marta siedząca na kanapie obok niego złapała za poręcz bladą

dłonią. Można by pomyśleć, że to ona nie spała od dwóch dni, na tak wyczerpaną wyglądała. - Za kochankę pod dachem jej domu?

- Nie ma gdzie odejść. - Co za imponujące źródło informacji, pokojówka damy. - Jej ojciec nie przyjmie jej z powrotem i nie ma żadnych braci, do których mogłaby się zwrócić.

Theo usiadł w rogu kanapy. Brakowało mu tego salonu. Z tej kanapy Marta wstała ubrana tylko w tę różową podomkę w dniu, w którym bardzo potrzebował takiego gestu.

- Wiedziałam, że jest nieszczęśliwa. - Biedna wdowa. Odkryła, że nie jest tak pozbawiona serca, jak na to liczyła. - Ale nie wiedziałam, jak okropne jest jej położenie.

Nie zastanawiając się, położył jej rękę na plecach i pogłaskał pocieszającym gestem. Panna Sheridan odwróciła oczy, jakby odruchowo. Wiedziała, co ich łączyło. Współczujący gest nie mógł jej w związku z tym zaszokować.

- Panna Gilliam mówi, że zawsze miał jakąś kochankę. - Pokojówka z powrotem spojrzała na Martę. - Mówi, że nie tknął żony od narodzin ich drugiego syna.

Czuł, jak wdowa jeszcze bardziej się garbi. Sam usiadł bardziej prosto.

- To, jak sądzę, raczej jej szczęście. Czy pokojówka wiedziała, jak niepokoił służące?

- Żadna nie lubi, jak na nią patrzy. Ale nie wie, czy kiedykolwiek czegoś próbował.

Pani Russell schowała twarz w dłoniach.

- Prawie wołałabym, żeby tak było - powiedziała przez palce. - Jeśli nie stwarza żadnego zagrożenia dla służących, to pozbawiam jego synów dziedzictwa bez powodu. A jeśli miałby odziedziczyć posiadłość i przeprowadzić się tu z kochanką, to kto wie, czy nie byłoby lepiej dla jego żony i dzieci?

- Marto. - Co się stało z jego kochanką o żelaznej woli?

- Nie możesz być pewna, że nie stwarza żadnego zagrożenia, i nie wiesz, czy groźba nie istnieje. Sama mi tak powiedziałaś, jak pamiętam. Obiecałaś lojalność wobec kobiet z Seton Park. Musisz robić, co dla nich najlepsze, bez względu na to, jaki to wywrze wpływ na innych.

- Wiem. Tylko że spodziewałam się, że będę się czuła wspaniale i chwalebnie, robiąc to. Nie myślałam, że będę się czuła tak skołowana.

Panna Sheridan zakasłała lekko, jakby chciała im przypomnieć o swojej obecności w pokoju. Theo kiwną głową w jej stronę.

- Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

- Tylko tego, że podejrzewa, iż pani Russell udaje ciążę. Jednak jego żona jest przekonana, że to nieprawda.

Stracił kontakt z jej plecami, gdy wdowa wstała.

- Dziękuję, Sheridan. Doskonale się spisałaś. Mam nadzieję, że powiesz nam, jeśli będziesz miała następne informacje.

- Przerwała i zwróciła się do niego. - Wrócisz później wieczorem, jak sądzę?

- Właściwie to nie planuję wychodzić. Pamiętam, że ta kanapa była doskonałym miejscem do drzemania. Panno Sheridan, przyślesz kogoś, żeby mnie obudził, jeśli prześpię czas, w którym pani Russell się położy?

Pokojówka wstała i się ukloniła.

- Pani Ware powiedziała, że może pan przyjść do kuchni w czasie kolacji. Zostawi coś panu.

- Pani Ware. Cudownie. - Zdjął buty i położył nogi na kanapie. Wdowa patrzyła na niego, bez wątplenia zaszokowana, że znał nazwisko jej kucharki. - Zostawisz mi zapaloną świecę? To było wczoraj pomocne.

Marta kiwnęła głową i obie panie wyszły.

Mirkwood musiał przyjść w nocy - świeca była zgaszona -ale już go nie było, podobnie jak w poprzednie dwa poranki, kiedy się obudziła.

Szkoda, ponieważ obudziła się z nowym pomysłem i to on go jej podsunął. „Masz więcej sprzymierzeńców, niż zdajesz sobie sprawę” - powiedział. A gdyby poprosiła ich o pomoc? Inni ludzie, jeśli da się im szansę, mogą zainteresować się losem Seton Park. Albo bezpieczeństwem porządnych kobiet. Innych ludzi może obchodzić sprawiedliwość. Mogą zacząć działać, kiedy ona się zawaha, i bronić sprawy w jej imieniu. W sojuszu z takimi ludźmi mógłby osiągnąć to, czego ona nie dała rady zrobić sama.

Skończy, nieważne jakimi środkami, to, co zaczęła. A jeśli skrzywdzi synów, cóż... Trudno. Będzie miała dość czasu na obwinianie się, kiedy zabezpieczy Seton Park.

Usiadła tego poranka przy stoliku w bibliotece i pisała do dostojnego pana Riverso i jego żony, do wesołych państwa Tavistock. Do sumiennego pana Keene, szlachetnego pana Granville'a i do trzech rozsądnych dam z miasta. Słowa, tak dziwne na początku: „Potrzebuję państwa pomocy” i „Proszę mi wybaczyć poruszanie takiego tematu” - przychodziły łatwiej, kiedy się je ćwiczyło, jak odkryła.

A kiedy wszystkie listy zostały wysłane, ruszyła złożyć kilka wizyt.

- Nie miałem o tym pojęcia. - Pan Atkins wysłał uczniów do domu i siedział na brzegu biurka, mnąc papier, który trzymał w ręku, kiedy Marta zaczęła mówić. - Nie miałem zielonego pojęcia. A pani?

- Dopiero od niedawna. Oboje byliśmy tego nieświadomi. -Patrzyła na niego z ławki w pierwszym rzędzie. Oboje byli nie-

świadomi. Naturalni sprzymierzeńcy. Dlaczego nie poprosiła go o pomoc dawno temu? - Sądzę, że ukrywanie takich spraw tylko zachęca tego typu ludzi do zbrodni i chroni przed potępieniem, na które zasługują. Zamierzam z tym skończyć.

- Jak najbardziej. Może pani liczyć na moją pomoc. - Zmarszczył brwi. - Ale pani Weaver nie zostanie wymieniona z imienia, mam nadzieję? Dla dobra jej dzieci, zwłaszcza Christine, niewiedza może okazać się lepszą drogą. - Jak szybko przyjął tę obronną postawę wobec swoich uczniów, nawet tych, którzy nigdy nie odwiedzali kościoła.

- Uważam tak samo. - Splotła dłonie. - Ale zostawię tę decyzję samej pani Weaver.

Cóż, to siedzenie po nocach przygotowuje go przynajmniej na przestawienie się na londyńskie godziny aktywności. Chociaż jeśli James Russell zostanie dłużej, Theo będzie musiał jakoś wyjaśnić Granville'owi, dlaczego tak długo śpi rano albo dlaczego wieczorem nie można go znaleźć.

Spojrzał na zegar w garderobie. Wpół do trzeciej. Odpowiednia godzina do załatwiania większości spraw. Właśnie skończył wiązać fular i cieszył się myślą o śniadaniu, kiedy w drzwiach pojawił się lokaj z wizytówką, którą Theo po raz pierwszy widział dokładnie sześć tygodni temu. Proste, czarne litery na białym tle, żadnych zdobień. Żadnej informacji o właścicielce, z wyjątkiem nazwiska.

Czekała na niego w salonie, siedząc na najmniej wygodnym krześle, jej ręce w rękawiczkach leżały splecione na kolanach. Wbiła w niego spojrzenie, zagorzałe i zdecydowane, jak tylko przeszedł przez próg.

- Mam pewien plan - powiedziała. - I potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście. Powiedz, co mogę zrobić. - Wyraźnie w jakiś sposób udało jej się odzyskać wolę działania, a on pomoże jej się tego trzymać.

Przelotny, wdzięczny uśmiech rozjaśnił jej twarz, zanim z powrotem przybrała wyraz zdecydowania, który znał tak dobrze.

- Najpierw chciałabym, żebyś mi towarzyszył w trakcie wizyty u Weaverów.

## Rozdział 17

Powiedz mi, co mogę zrobić" - powiedział Mirkwood. „Może pani liczyć na moją pomoc" - brzmiały słowa pana Atkinsa. To byli przyjaciele i być może czuli się w obowiązku, by odpowiedzieć na jej wezwanie.

Co jednak skłoniło do dobroczynności pozostałe piętnaście osób, które siedziały przy stole w jej jadalni?

Ani jedna osoba jej nie odmówiła. Były tu pani Canning, pani Kendall i panna Leigh, zerkające na okazałe portrety poprzednich Russellów. Był pan Riverso z żoną, mur chroniący przed wszelkiego rodzaju niegodziwością. Byli tu pan Lawrence i pani Kearney, najdłużej służący w majątku, wyglądający na równych szlachcie, wśród której siedzieli. Wszyscy stanęli na wysokości zadania, prawie jakby tylko czekali na zadanie, w którym mogą się sprawdzić.

Mirkwood siedzący w połowie stołu po lewej stronie spotkał jej spojrzenie i dyskretnie kiwnął głową. To on był odpowiedzialny za poznanie jej z sąsiadami i mógł usiąść gdziekolwiek, ale wybrał krzesło obok pana Atkinsa. Teraz rozmawiali przy-

ciszonymi głosami, prawdopodobnie o szkole. Ten widok sprawił, że poczuła dziwne pieczenie pod powiekami.

Musi się wziąć w garść. Musi dać przykład spokoju. Odwróciła się w prawą stronę.

- Jest pani gotowa? - zapytała i pani Weaver skinęła głową, a jej mąż położył swoją szorstką dłoń na jej dłoni. - Panie Lawrence. - Marta uniosła głos, słyszano ją na końcu. - Wyśle pan lokaja, by przyprowadził tu pana Jamesa Russella.

Theo siedział tyłem do drzwi, ale nawet gdyby był głuchy, nie przegapiłby momentu, w którym James Russell wszedł do jadalni. Pani Canning i jej dwie znajome jednocześnie zmrużyły oczy, jakby to był jakiś manewr, który ćwiczyły. Wszyscy siedzący po drugiej stronie stołu wyteżyli uwagę. Zobaczył, jak pan Weaver napina ogromne ramiona. Pani Russell wsunęła prawą rękę pod stół pod dziwnym kątem i Theo zrozumiał, że wzięła panią Weaver za rękę. Pani Weaver poczerwieniała na twarzy.

- Proszę usiąść, panie Russell. - Wdowa nigdy nie sprawiała bardziej królewskiego wrażenia. Bez wątpienia wymierzyłyaby sprawiedliwość samodzielnie, gdyby okoliczności ją do tego zmusiły. Jednak nie było takiej potrzeby. Siedemnaście osób było gotowych, by jej w ty pomóc. Nie, osiemnaście. Lokaj Pinnock stanął na końcu stołu, za panem Russellem, który zajmował swoje miejsce.

Szokujące, jak mężczyzna może być winien takich potworności i wciąż wyglądać zupełnie normalnie. Miał cofnięty podbródek, rumianą cerę i głęboko osadzone oczy i zęby, które błagały, żeby je wybić jednym czy dwoma celnymi ciosami.

- To pańscy sąsiedzi. - Pani Russell puściła dłoń pani Weaver i położyła na stole. - Może ich pan zna, a może nie, ale proszę nie mieć wątpliwości, oni doskonale znają pana.



- O co, do licha, chodzi? - James Russell rozglądał się na prawo i lewo, widząc ponure spojrzenia rzucone mu z każdej strony.

Sędzia Rivers otoczony aurą autorytetu pochylił się nieco do przodu.

- Zaprzecza pan, że zachował się niegodziwie w stosunku do kobiet, które nie miały możliwości domagać się sprawiedliwości, kiedy mieszkał pan w tym domu?

Przez sekundę pan Russell wyglądał na zaskoczonego. Potem jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Nie będę tu siedział i tego znosił - oświadczył i zaczął wstawać.

Theo zerwał się na równe nogi, a Pinnock natychmiast się do niego zbliżył.

- Sugeruję, żeby pan usiadł. - Theo zastanawiał się, czy to naprawdę jego głos? Dobry Panie. Sam był niemal przestraszony. - Ci ludzie zadali sobie sporo trudu, żeby tutaj przyjść, i wysłucha pan, co mają do powiedzenia. - Kiedyś musi nauczyć się tego władczego tonu pana Riversa. Dzisiaj ton pełen ledwo wstrzymywanej wściekłości będzie musiał wystarczyć. Czekał, aż Russell usiądzie, zanim wrócił na swoje miejsce.

- Są pewne sprawy, których nie będziemy tolerować. - Podjął sędzia, jakby nie było żadnej przerwy. - To jest porządna okolica. Ci z nas, którzy zatrudniają służbę, troszczą się o jej dobro. Pozwolić, by taka abominacja, której się pan dopuścił, przeszła niezauważona, to plama na dobrym imieniu nas wszystkich.

- Nie rozumiem, jak coś, co stało się w tym domu tak wiele lat temu, jeśli w ogóle do czegoś doszło, może państwa obchodzić. - Russell rozejrzał się zaczepnie wokół stołu.

- Możemy zacząć od tego, że obchodzi mnie - odezwał się łysiejący mężczyzna w okularach, którego Theo nigdy do tej pory nie widział, siedzący po prawej stronie wdowy. - Zhańbił

pan dom, z którym łączyły mnie długie i pełne szacunku stosunki. Pańska obecność tutaj, kiedy nie zadał pan sobie trudu przybycia ani na ślub, ani na pogrzeb pana Russella, sugeruje dokładnie ten rodzaj chciwości i podejrzeń, które zdążył już pan wyrazić wprost w rozmowie ze mną. Obawiam się, że nie mogę już służyć jako radca prawny Seton Park, jeśli pan tu zostanie.

- Będzie pan musiał znaleźć także kogoś innego do prowadzenia niedzielnych nabożeństw. - Sprytny diabeł, ten Atkins. Jakby nie powiedział już Theo jakieś piętnaście minut temu, że planuje wystąpić z kościoła.

- Niepokoją mnie te podejrzania. - Pani Landers siedząca na lewo od niego miała wspaniały sposób mówienia, każde jej słowo było jak klejnot wyjmowany spośród nieoszlifowanych kamieni. - Czy on ośmiela się pomawiać o coś wdowę po zmarłym panu Russellu?

- Nikt nie może odmówić dżentelmenowi prawa do zabezpieczenia jego interesów. - Czelnosc tego człowieka była niezwykła. Odchylił się na krześle, skrzyżował ramiona na piersi; jego postawa była bezceremonialnym zaprzeczeniem zdolności osądu każdego w tym pokoju. - Wdowy czasami oszukują prawych dziedziców. Wszyscy o tym słyszeliśmy.

- Czas na myślenie o prawach dżentelmena był z pewnością szesnaście lat temu. - Jeszcze raz przemówił radca prawny, jego okulary błysnęły w słońcu. - Zanim zdecydował się pan wyrządzić takie podłości i krzywdy, które pozbawiły pana prawa, by kiedykolwiek jeszcze być nazywanym dżentelmenem. Odnośnie zaś do pańskich insynuacji dotyczących pani Russell, nie zaszczycę pana żadną odpowiedzią.

Theo musiał naturalnie spojrzeć na wdowę, by zobaczyć, jak przyjęła tę obronę. Przypominała jedną z męczennic na ilustracjach w modlitewnikach. Jej ramiona tworzyły pełen gracji łuk,

splotła palce i spuściła wzrok, jakby odwoływała się do boskiej cierpliwości, podczas gdy jej podbródek sugerował słuszną dumę. Gdyby teraz oświadczył ludziom zebranych przy tym stole, że spał z tą kobietą, nikt by mu nie uwierzył.

Odchrząknął i przywołał tak wiele niewinności, ile tylko był w stanie.

- Czy mam rozumieć, że zamierza pan tu przebywać, wyczekując i niepokojąc porządną kobietę, aż do nadejścia wydarzenia, które zdecyduje o sukcesji tej posiadłości?

- To moje prawo. - Russell oparł się lekko na piętach jak przegrywający pięściarz. Jego palce drżały, złapał się za łokcie. - To nie jest jej dom. Nie może mi zakazać przebywania w nim.

- Nikt z nas nie może. - Theo spojrział na sędziego Riversa, panią Rivers, Granville'a, na panią Canning i jej przyjaciółki. - Jednak możemy uczynić sprawę nieprzyjemnymi dla pana tak długo, jak zdecyduje się pan tu pozostać. Nieważne, jak teraz będzie pan postępował, to i tak sąsiedzi będą pana postrzegali i traktowali jak człowieka, który naruszył cześć niewinnej dziewczyny. Nie może pan oczekiwać, że będzie tu traktowany jak dżentelmen.

- Ani w mieście. - Pani Canning wbiła pełen nienawiści wzrok w nogę stołu. - Może pan być pewien, że uświadomimy każdego w promieniu dziesięciu mil, kim pan jest.

- I gdyby musiał pan znieść tylko tyle, mógłby pan powiedzieć, że niech to diabli, i tak zostać. -

Włączył się cicho pan Weaver. Przez większość spotkania patrzył na obrus i teraz też, nawet kiedy mówił. - Pozwoli pan więc, że ujmę to prosto: z mojej strony może się pan obawiać czegoś gorszego.

- Mogło go tu dziś nie być. Powiedział wczoraj, że nie przyjdzie, jeśli jego żona sobie tego nie życzy. Jednak najwyraźniej zdecydowała inaczej. - Shańbił pan moją żonę. Nie było w tym jej

winy, ale od tego czasu musi żyć z tym piętnem, podczas gdy pan żył sobie życiem dżentelmena, nigdy nie oglądając się wstecz. Proszę się nie spodziewać, że pozwolę, żeby to trwało.

- Ujmę to jeszcze prościej. - Pani Weaver podniosła wzrok, który mógł sprowadzić na mężczyznę koszmary. Jej głos drżał od uczuć zbyt mrocznych, by je nazwać. - Jeśli zostanie pan w tym hrabstwie, wbiję nóż w pana ohydne gardło. Mimo że pójdę za to na galery i osierocę dzieci, obiecuję, że to zrobię.

Pan Russell zmienił pozycję, unikając jej spojrzenia bazyliuszka. Jeśli ją poznał, nie dał tego po sobie znać.

- Grozili mi. Wszyscy byliście tego świadkiem. - Szukał oznak sympatii na kolejnych twarzach. - Czy nikt nie zamierza nic zrobić?

To zdecydowanie brzmiało, jakby pani Weaver zamierzała coś zrobić. Theo ugryzł się w język, ale pokusa była silna. Radca prawny się skłonił.

- Jeśli mimo wszystko odziedziczy pan posiadłość i zdecyduje, biorąc wszystko pod uwagę, że nie zamierza pan tu zamieszkać, z radością sporządzę panu umowę najmu dla odpowiedniego dzierżawcy. Nikt inny nie miał nic do powiedzenia. Wdowa kiwnęła głową.

- Dobrze. W takim razie, panie Russell, dziękuję za czas i uwagę. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Bez patrzenia komukolwiek w oczy Russell odsunął krzesło i wyszedł z pokoju. Atkins wymienił spojrzenia z gospodynią i też wstał.

- Idzie pan za nim? - Dobry Panie. Po co?

- Jestem duchownym. Muszę wierzyć, że każdy jest do uratowania. - Uśmiechnął się. - I jeśli on w to uwierzy, to może

przyczynić się sprawie pani Russell. - Skłonił się wszystkim i wyszedł.

Inni też zaczęli wstawać. Radca pograżył się w rozmowie z trzema damami z miasta. Gospoia z Seton Park podeszła do pani Weaver z wyciągniętą niepewnie ręką i powiedziała kilka słów. Pan Weaver kiwnął głową, wyglądając na zawstydzonego, gdy rozmawiał z nim pan Rivers. Cały czas stał obok żony.

Bycie mężem to trudne zadanie. Wiedzieć, kiedy być towarzyszem żony, a kiedy pozwolić jej działać samodzielnie. Tak wiele małych i dużych umiejętności, które Theo musi opanować poza prostym zaspokajaniem kobiety w łóżku. Kolejna lekcja, którą dostał w Sussex.

Ponad ramieniem pani Travistock spojrział w oczy Marty, która słabo się uśmiechnęła. Wyglądała na zmęczoną. Z pewnością zachowanie spokoju wyczerpało ją bardziej, niż się spodziewała, i pewnie będzie spała, gdy on przyjdzie w nocy. Niech tak będzie. Nie zostało zbyt wiele rzeczy, które mogli sobie powiedzieć.

Dokonała tego. Nie, oni tego dokonali. Sprzymierzeńcy zebrali się teraz wokół niej i przy odrobinie szczęścia James Russell opuści ten dom. Może i był niegodziwy, ale na pewno nie tak bezczelny - i głupi - żeby zostać w świetle groźby pani Weaver.

Marta złapała luźne końce swojego szala, żeby nie łopotały na wietrze, i szczelniej się nim owinęła. Wszyscy już wyszli, z wyjątkiem pana Atkinsa, który najwyraźniej podejmował próbę sprowadzenia pana Russella na drogę poprawy. Życzyła mu szczęścia i na tym koniec.

Dobiegł ją śmiech dochodzący z ogrodu. Obeszła żywopłot, by zobaczyć dwóch młodych Russellów rzucających patyki temu samemu psu, którego trenował pan Farris w dniu, kiedy

odczytano testament jej męża. Matka i guwernantka siedziały z boku na ławce.

Przystanęła, by wziąć głębszy oddech. Nic nie można było zrobić. Nie pozbawiłaby ich należnego im dziedzictwa, gdyby mogła tego uniknąć, ale zwyczajnie nie było innego rozwiązania.

Zona Jamesa Russella zobaczyła ją i wstała.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, że chłopcy się tu bawią. Uważamy, żeby nie deptali kwiatów.

- Nie, oczywiście. Większość roślin i tak nie zakwitnie już w tym sezonie. - Zapadła niezręczna cisza.

O czym na litość boską mogła rozmawiać z tą kobietą? - Czy pani chłopcy mają w domu psa?

Pani Russell pokręciła głową.

- Mąż ma psy myśliwskie, ale woli, żeby się z nimi nie bawić ani ich nie głaskać. Uważa, że to je psuje.

- Ach. Ten też ma swoją pracę, chociaż wydaje się, że dość łatwo o tym zapomina. - Uśmiech, którym podkreśliła tę uwagę, wydał jej się napięty jak źle dopasowana rękawiczka. - Proszę usiąść. Może tu pani zostać, tak długo jak pani chce.

- Pani też usiądzie? Mam nadzieję, że uprzedzano panią, by się za bardzo nie forsowała. - Policzki pani Russell zarumieniły się lekko, kiedy nieśmiało wypowiedziała te słowa. Guwernantka przeniosła się, żeby być bliżej chłopców i Marta musiała usiąść obok zbytecznie uprzejmej żony Jamesa Russella. Siedziały w ciszy, obserwując chłopców. Po minucie obserwacji pytanie, czy mają psa, okazało się zbyteczne. Gonili go, uciekali przed nim i drapali za uszami z niezmordowaniem, które było właściwe tylko komuś, dla kogo pies był nowością. Ta bezgraniczna i szczerą radość, ich wesołe krzyki sprawiały, że Marta czuła się coraz bardziej jak jakaś ogrzyca z bajki, która

planuje przygotowanie posiłku z niewinnych dzieci, które miały pecha trafić do nieodpowiedniego domu.

- Mogę o coś zapytać, pani Russell? - Kobieta ta była nieśmiałym cieniem prawie przepraszającym za wszystko, co odważyła się powiedzieć. Jej blade niebieskie oczy nie patrzyły na Martę, lecz na bawiące się dzieci.

- Rozmawiała pani, jak sędzę, dziś rano z moim mężem. Czy coś się stało?

Wdowa poczuła nieznośny ciężar w sercu. Zaciśnęła usta.

- Nic istotnego. Chciałam tylko, by poznał niektórych sąsiadów.

- Rozumiem. Dziękuję. - Żona Jamesa Russella nie zadawała już żadnych pytań.

Będzie dla niej lepiej, jak nie pozna prawdy. Trzeba odsunąć od siebie litość i iść naprzód. Może pan Atkins namawiał w tej chwili Jamesa Russella do poprawy. Skupi się na tym i to z pewnością złagodzi poczucie, że w jej żyłach płynie trucizna i zatruwa jej ciało.

Wikariusz spotkał się z nią, gdy wróciła do domu, a na jego twarzy malował się wyraz satysfakcji, że mogła zgadnąć, jakie ma wieści.

- Namówił go pan do wyjazdu.

- To zrobiła pani Weaver. - Uśmiechnął się, poprawiając surdut. Wcielenie szlachetnej skromności. - Ale pomogłem mu, jak mam nadzieję, postrzegać ten ruch raczej jako zgodne z zasadami wycofanie się niż tchórzliwą ucieczkę.

- W takim razie posłuchał pana?

- Pochlebiam sobie, że chyba rzeczywiście tak. Nie spodziewam się, że w najbliższym czasie przyjmie czyjkolwiek rozkaz, ale życzliwy słuchacz potrafi zdziałać cuda w przypadku mężczyzny w jego stanie. - Popatrzył w głąb korytarza

i Marta ruszyła za nim do wyjścia - Wszyscy mamy na sumieniu złe uczynki, nieważne jakie, i bycie zmuszonym do konfrontacji z nimi, kiedy się wydawało, że to już przeszłość, to ciężki test dla każdego człowieka.

- Proszę mi wybaczyć, ale zarezerwuję swoje współczucie dla kobiet, w stosunku do których źle postąpiono.

- Nikt nie może pani za to winić. - Schylił głowę, gdy przechodzili przez frontowe drzwi.

Pojawiła się niechciana myśl: co, jeśli za jakieś szesnaście lat stanie przed podobnym trybunałem co dziś James Russell? Nie przed siedzącymi wokół stołu sąsiadami, ale dwoma synami Russella oskarżającymi ją o oszustwo, kłamstwo i cudzołóstwo? „Miałam dobre powody” - powiedziałyby. „To wszystko było dla dobra kogoś innego”. Jednak jej powody mogą być nieważne dla tych, których skrzywdziła.

I czy kogokolwiek przekonałaby tym kawałkiem, że miała na względzie dobro kogoś innego? Niech niebiosy mają ją w swojej opiece, jeśli ktoś postanowi to sprawdzić. Jeśli przyprowdzi Mirkwooda, by zeznał prawdę.

- W każdym razie powiedział, że jutro wyjedzie. Proszę po mnie posłać, gdyby podejrzewała pani, że zamierza wycofać się z danego słowa. - Włożył ręce do kieszeni, kiedy powiał wiatr. - Ale prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby musiała się pani do tego uciekać. Naprawdę wierzę, że to koniec tej sprawy.

- Tak. - Schowała dłonie pod szalem. - Chyba nareszcie dotarłam do końca.

Kiedy Theo przyszedł tej nocy, paliło się pięć świeczek, Czekwała na niego.

- Powiedziałbym, że to spotkanie było ogromnym sukcesem, nieprawdaż? - Zdjął surdut i rzucił go na fotel, po czym



podszedł, by usiąść na łóżku. Pewnie będzie chciała jeszcze raz przeżyć wydarzenia poranka i ich zwycięstwo.

Kiwnęła głową, jej włosy błyszcząły w miękkim świetle i poruszyła ubranymi w muślin ramionami.

- Russellowie wyjeżdżają jutro. - Nie uśmiechnęła się.

Nic dziwnego w tym spokoju. Nigdy nie pogodziła się do końca z oszukaniem tych chłopców, a jej serce wciąż żałowało ich matki.

Przysunął się nieco wyżej i ścisnął ją za rękę.

- Nie wąż w sobie. Pomyśl o służących, które uratowałaś. I o tych, które pomściłaś. Pomyśl o dobru tej okolicy.

Znowu kiwnęła, ale będzie musiała sama to rozpracować, a on da jej dość przestrzeni. Rozluźnił uścisk i chciał wstać. Zacisnęła palce, zatrzymując go.

- Theo, zostań. Proszę.

- Nie masz się czego obawiać. Jeśli zamierza wyjechać jutro, ja tej nocy będę pilnował twoich drzwi.

- Nie o to chodzi. - Zacisnęła smutno usta. Jej oczy zabłyśły desperacją. I kiedy odczytywał znaczenie tego spojrzenia, jej niepokój, ona pochyliła się i go pocałowała.

Och, Boże. Czy nie wiedziała, jak bardzo się starał, żeby tego nie chcieć? Pozwolił jej dokończyć pocałunek, zanim wziął jej twarz w dłonie i delikatnie ją odsunął. Potem opuścił ręce, pozbawiony jej dotyku i zawieszony między jedną a drugą rozpaczą.

Och, Boże. On nie chce. Wzięła jego pożądanie za pewnik, a teraz zniknęło.

Z przerażenia zalala ją fala gorąca. Jego spojrzenie powędrowało do jej policzków, widział, jak pokrywa je rumieniec, sprawiając, że czerwień jeszcze się pogłębiła. Niech tak będzie.

- Proszę - powiedziała ponownie bojaźliwie i w ogóle się już nie przejmowała.

Odwrócił wzrok i spojrzał na świecę. Potem na nią. Nieskończone zmęczenie odmalowało się na jego twarzy; smutek i rezygnacja przyciemniły jego oczy. Uniósł dłoń, zawahał się i dotknął fularu. Patrzył na nią smutno i spokojnie, kiedy zaczął go rozwiązywać.

„Kocham cię” byłoby okrutne w tych okolicznościach. „Kocham cię, jednak nie wyjdę za ciebie”. Okrutne dla nich obojga. Być może uda jej się sprawić, żeby to odczuł. Wyciągnęła ręce i położyła na jego dłoniach, a potem sięgnęła do jego kamizelki. Z czułością żony pomogła mu się rozebrać. Jakby miał męczący dzień, a teraz szukał w jej ramionach wytchnienia. Mogłaby mu to dać, gdyby tak wiele spraw potoczyło się inaczej.

Zdjęła mu koszulę przez głowę. Włosy na jego piersi w świetle świec wydawały się złote. Mięśnie na ramieniu zagrały, gdy sięgnął do wstążki przytrzymującej jej włosy.

Nie rozmawiali. Ich ostrożne oddechy i szelest materiału ocierającego się o skórę były jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w pokoju.

- Mam zgasić świecę? - zapytał w końcu ledwo słyszalnie, kiedy pozbył się ubrania i był gotowy, by wejść do łóżka. Pokręciła tylko głową.

Tym razem nie proponował, że będzie jej stajennym, i nie domagał się wyrafinowanych pieśczot. Nie próbował jej też zaszokować ostrymi słowami. Objął ją i spojrzał jej w oczy. Prawdopodobnie - te myśli pojawiły się w jej głowie, zadając ból - prawdopodobnie tak często wyglądały relacje między kochającymi się mężem i żoną. Nie ogień pożądania, ale spokojna, ciepła łuna żaru, który tlił się nawet wtedy, gdy przygasały płomienie. Prawdopodobnie. Ona nigdy się o tym nie dowie.

- Nie płacz - powiedział. - Proszę, nie płacz. - Powtórzył to więcej niż raz, scałowując jej łązy z policzków, i za każdym

razem wiedziała, że zaczęła płakać tylko dlatego, że powiedział te słowa. Nie zapytał, co się stało. Musiał się domyślić.

Rozkosz przyszła w słodko-gorzkich falach, zbyt szybko jak na ostatni raz. Przyłgnęła do niego, szczytując, obejmując go ramionami i nogami; dotykając jego ciała w tak wielu miejscach, jak to tylko możliwe. Zadrżał od rozkoszy, tłumiąc wszystkie odgłosy poza oddechem; wdech, wydech przez zaciśnięte zęby. I dokonało się. Dotarli do końca.

Potem leżał obok niej, przytulony do jej pleców, z rękami na jej brzuchu.

- Nic jeszcze nie czuć - powiedziała. Łamał jej serce.

- Nie masz racji. - Przejechał dłonią po jej brzuchu. - Jesteś tutaj nieco bardziej zaokrąglona niż wcześniej.

Wymyślał to sobie. Jej ciało nie mogło zmienić się tak szybko. I z jakiegoś powodu to jeszcze bardziej złamało jej serce.

- Przykro mi - powiedziała, powstrzymując łzy.

- Wiem. - Westchnął i zgiął nogi w kolanach. - Ale bez względu na to, jaką drogę wybierzesz, nie powinnaś niczego żałować. Zrobiłaś dokładnie to, co sobie zamierzyłaś. Z pewnością w tym musi być jakaś pociecha.

Ona też tak kiedyś myślała. Ale teraz, w jego objęciach, gdy patrzy w przyszłość bez niego, nie widziała nic, w czym mogłaby znaleźć pociechę.

Następnego ranka obudziła się z jeszcze jednym, ostatnim już pomysłem. Genialnym, niosącym nadzieję pomysłem, który mógł powstać tylko na skutek miłości, nieustrudzonej pracy jej serca, kiedy spała w ramionach Mirkwooda.

Wyszedł, nie budząc jej. Nie przyjdzie dziś wieczorem, więc ona musi złożyć mu wizytę w Pencarragh i powiedzieć mu, czy jej plan się powiódł. Wtedy też będzie mogła mu powie-

dzieć wszystko, przed czym do tej pory powstrzymywały ją okoliczności.

Znalazła żonę Jamesa Russella w salonie śniadaniowym, zrozpaczoną postać wpatrującą się w śledzia na talerzu. Nie biorąc nawet tostu ze stołu, Marta usiadła naprzeciwko niej. Kobieta przywitała ją ze zrozumiałą ostrożnością i wdowa odetchnęła głęboko.

- Chciałabym zrobić dla pani przysługę, pani Russell. Mam plan, który, jak sędzę, przyniesie pani korzyści. Oczywiście pani wie najlepiej, czego by sobie życzyła, a czego nie. - Pod stołem zaciskała nerwowo ręce. Pani Russel nie zobaczy, jak jest zdenerwowana, gdy zachowa spokojną twarz. - Wiem, że wcześniej niespecjalnie dałam pani powody, by mi ufać. Niemniej proszę panią o szczerłość. Mam nadzieję, że od tej pory będzie się pani do mnie zwracać „Marto”. I zacznę od powiedzenia, że wiem, co to znaczy być nieszczęśliwą w małżeństwie i bez widoku na ratunek.

Godzinę później James Russell siedział naprzeciwko niej przy tym samym stole, krzywiąc się i popijając kawę. Lokaj, miej go Panie w opiece, przeniósł się, stanął za gościem.

- Propozycja. - Russell wypił nieco kawy. - Dlaczego miałaby pani przedstawiać mi jakąkolwiek propozycję? Już się pani upewniła, że nie mogę pokazać się w tej okolicy, nieważne, czy urodzi pani dziedzica, czy nie.

W jakichś najskrytszych zakamarkach swojej duszy wstydził się tego, co zrobił, o czym zapewnił ją pan Atkins, i odgrodził się od tego wstydu gniewem.

- Sądziłam, że powinnam panu uświadomić, jak zostałby pan przyjęty, gdyby się pan tu osiedlił. - Dłonie spokojnie położyła na stole. Dziwne, jak dużo bardziej stresująca była

rozmowa z jego żoną. - Ale rozumiem, że pana zainteresowanie Seton Park nigdy nie wynikało z pana interesów, ale miał pan na względzie dobro starszego syna. - Nic takiego nie zauważyła. Jednak pochlebstwo mogło czasami nakłonić do tego, do czego nie mogłaby przekonać zwykła szczerłość.

- To naturalne, że mężczyzna chce chronić interesy swoich synów.

- Naturalne i szlachetne. W tym się zgadzamy. Właściwie jestem przygotowana, by się odsunąć i pozwolić, żeby posiadłość przypadła w udziale panu, dla dobra pana synów, bez względu na kwestię, która wyjaśni się za osiem miesięcy.

Zakrzuszył się kawą i odstawił filiżankę.

- Zmianę warunków testamentu nie leży w pani mocy.

- Nie bezpośrednio. Jednak mogłabym powiedzieć panu Keene'owi i innym, że straciłam dziecko, i kiedy potem przeprowadzę się w jakieś odległe miejsce, nikt nigdy nie będzie wiedział, że jest inaczej. Zmrużył oczy, rozważając jej słowa.

- Chce pani czegoś w zamian?

- Nie więcej niż sam pan pragnął. - Wiem, że planował pan zorganizować sobie dom, by by zamieszkać sam, bez żony.

Jeśli był zaskoczony, że ona o tym wie, albo obrażony, że poruszyła ten temat, to zdołał stłumić swoje emocje w imię zyskania posiadłości.

- Być może. - Wzruszył ramionami. Potem na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. - Ach, uważa pani, że ona też musi być przede mną chroniona?

- Proponuję tylko wariację układu, który już pan planował. - Pochyliła się lekko w jego stronę. Jej brat adwokat musi się tak czuć, kiedy przemawia w sądzie. - Niech pan zostawi żonę tutaj wraz z synami. Pan może dalej korzystać z jej fortuny

i z dochodów, które ma w Derbyshire. Będzie pan też kontrolował fortunę Russellów.

- A co z dochodem z Seton Park? - Chciwy, podły człowiek.

- Część stanowi moje uposażenie. Nie mam sposobu tego zmienić. Reszta może służyć pani Russell, a nadatki mogą być odkładane dla pańskich synów. Jestem pewna, że pan Keene z przyjemnością będzie działał jako pana pełnomocnik i przygotuje plan.

Jego spojrzenie wędrowało po obrusie, jakby szukał w myślach lepszego rozwiązania.

- Jeśli nie będzie pani miała syna, to wszystko i tak będzie moje.

- To prawda. Jednak jeśli będę miała, pan zostanie z niczym. I za każdym razem, kiedy pan spojrzy na swojego dziedzica, będzie pan wiedział, że miał szansę zagwarantować mu majątek, ale zmarnował pan tę okazję. - Podniosła swoją filiżankę i sięgnęła po czajnik. - Wiem, co bym zrobiła na pana miejscu. Ale decyzja należy do pana.

Świadomość poświęcenia się przeszła ją jak nóż, gdy przechodziła przez trawnik. Ta ziemia, którą kochała, te wzgórza i dom, dla których tyle zrobiła, nie będą należały do niej. Oddała je komuś, kto miał do nich większe prawo, i zagwarantowała bezpieczeństwo służącym.

Będzie tu czasami przychodziła. Oni będą przychodzili. Nawet jeśli będą mieszkali w Lincolnshire, będą chcieli odwiedzać to hrabstwo, gdzie się poznali. Pokażą też swoim dzieciom ścieżki, jakimi chodzili do kościoła, chociaż oczywiście będą musieli wymyślić jakąś stosowniejszą historię zawarcia znajomości. Będą mieli na to czas.

Na schodach Pencarragh wyjęła swoją wizytówkę i trzymała ją w ręce, kiedy lokaj podszedł do drzwi.

Mężczyzna uklonił się, nie biorąc od niej wizytówki.

- Obawiam się, że pana Mirkwooda już nie ma, proszę pani. Wyjechał do Londynu dziś rano.

- Do Londynu? - Przycisnęła rękę do piersi, gdzie koliber nagle zajął miejsce jej serca. - Nie miałam pojęcia, że zamierzał wyjechać.

- Nie, zawsze zamierzał tam wrócić. Przyjechał tylko na pewien czas.

- Oczywiście. Tylko nie zdawałam sobie sprawy... - Przerwała. Niczego nie mogła zyskać, pozwalając temu służącemu domyślić się natury jej związku z Mirkwoodem. - On i kilku innych sąsiadów spotkało się ze mną wczoraj. Życzyłabym mu pomyślniej podróży, gdybym wiedziała. Czy wspomniał, kiedy może wrócić w te okolice?

- Nic nie mówił. Po prostu spakował się i wyjechał wcześniej rano.

- Rozumiem. Dziękuję. Proszę przekazać mu moje pozdrowienia, jeśli znowu zawita do Sussex. -

Wreszcie lokaj wziął jej wizytówkę i zaczęła schodzić po schodach. Na ostatnim schodku potknęła się i upadła na podjazd, siła upadku pozbawiło ją tchu.

Przez chwilę po prostu leżała bez ruchu. Miotający się koliber rozrósł się do rozmiarów sowy, a jego skrzydła biły niemiłosiernie o jej zębra. Nikt do niej nie podszedł - lokaj zdążył już zamknąć drzwi - i nikt nie przyjdzie. Mirkwood przybiegłby jej na pomoc, gdyby tu był. Ale wyjechał bez pożegnania. Zamknęła oczy. Obmyśliła plan polegający na tym, że wyjdzie za mąż, i zapomniała najpierw znaleźć sobie męża.

Powoli wracał jej oddech, a serce zmniejszyło się do rozmiarów kolibra. Otworzyła oczy i spojrzała na niebo nad Sussex. Potem wstała i ruszyła w długą drogę powrotną do Seton Park.

## Rozdział 18

Nie chodziło o to, że przestały go cieszyć londyńskie rozrywki. Sklepy na Bond Street, gra w bilard i w karty w White's, zgiełk Covent Garden, wszystko sprawiało mu tę samą przyjemność co zawsze. Jego mieszkanie powitało go melancholijnym jesiennym światłem, odpowiednim, by delikatnie zachęcić mężczyznę do wstania rano z łóżka. Opera jak zwykle wywoływała jego zachwyt, tajemnicza jak zawsze, wywołując gęsią skórkę i każąc mu mrużyć oczy, nawet gdy przyglądał się publiczności, by zobaczyć, jakie szlachetne osoby pojawiły się tego wieczoru na przedstawieniu.

Nie, problemem było pragnienie, które pojawiało się teraz razem z przyjemnością, kiedy zastanawiał się, jak ona odebrałaby każdą z nowości. Chciałby wracać do niej do domu i opowiedzieć o jakimś zabawnym wydarzeniu, które miało miejsce w klubie. Chciałby mieć powód, by rano zostać dłużej w łóżku. Zabrałby ją do opery, obejmowałby, żeby bezpiecznie przeprowadzić przez tłum w Covent Garden. Siedziałyby



na fotelu obok niego, uderzając go w kolano złożonym wachlarzem, gdyby zobaczyła, że odpływa myślami.

A raczej nie, nie robiłaby tego. Jej stan powstrzymałby ją przed bywaniem w towarzystwie przez jakiś czas.

Theo wiercił się niespokojnie w fotelu, gdy sopran zaczął śpiewać arię oplakującą stratę miłości jej niewiernego męża. Był w mieście od pięciu dni i w dziwnych chwilach ta wiedza wracała do niego jak cios w brzuch: porzucił kobietę noszącą jego dziecko.

To był jej wybór oczywiście. Zgodnie z umową. „Porzucenie” nie było właściwie odpowiednim słowem, kiedy dżentelmen prosi o rękę kobietę i zostaje odrzucony.

Mimo to był tutaj, w Londynie, i jeśli dziecko albo jego matka znajdą się w niebezpieczeństwie bądź palącej potrzebie, nie będzie o tym wiedział. Nie miał żadnego sposobu, by służyć im pomocą.

Pomijając miłość i rodzinę, pozostawała kwestia obowiązku, prawda? To niezwykle, by przywieźć takie odczucie z Sussex, niemniej w nim było.

Inne obowiązki też leżały mu na sercu. Inni ludzie. Ganville, który był tak pomocny w kwestii przedsiębiorstwa mleczarskiego, a teraz pozostał sam, by zajmować się szczegółami cudzego planu. Robotnicy. Och, powiedział, że w końcu wróci do Londynu, ale musieli oczekiwać, że zostanie przynajmniej tak długo, by nadzorować zakup krów.

Wprawdzie on też na to czekał. Chciał spędzić czas z panem Barrowem lub innym wartościowym człowiekiem i nauczyć się, jak odróżnić dobrą krowę od nie najlepszej. Doprawdy, dlaczego to nie miałyby być równie interesujące jak aukcja koni w Tattersall's?

- Mirkwood. - W tym głosie słychać było zniecierpliwienie, jakby jego właściciel usiłował zwrócić na siebie uwagę już od

jakiegoś czasu. - Co do licha cię dzisiaj ugryzło? Myślałem, że ożywisz naszą lożę, ale zrobiłbym lepiej, zapraszając własną babcię. - Przyjaciel spojrzał na niego swoimi ciemnymi oczami, marszcząc brwi, próbując okazać surowość.

Ha. „Widziałem surowe spojrzenie ciemnych oczu mistrza. Tobie, mój drogi, do niego daleko”.

- To znaczy równie dobrze mógłbyś zostać w Sussex, tyle jest z ciebie pożytku. Jaki temat tak zajął twoje myśli?

Oto i proszę cała sprawa wyłożona w prostych słowach. Co on do diabła tu robi? Powinien był tam zostać. Myślał, że jego związek z Sussex był jedynie kwestią jego związku z panią Russell, wyjechał, gdy ta historia się skończyła. Ale czy nie był czymś więcej niż tylko sumą swoich uczuć? Niech to piekło pochłonie, są rzeczy, których musi się nauczyć i projekty do zrealizowania. Nie był takim człowiekiem, który porzuci dopiero w połowie zrealizowany projekt mleczarni.

- Krowy - powiedział, kiedy orkiestra zagrała głośniejszy akord, jakby chcąc podkreślić jego kształtujące się zdecydowanie. - Zajmują mnie krowy. - Tak. Wiedział, co musi zrobić. - A raczej bydło, bo to, jak sądzę, dokładniejszy termin, gdy odnosi się do większej ich liczby.

- Och, rozumiem. - Uniesione do góry brwi; oczy pełne dezaprobaty.

- Summerson. - Theo wstał, nie zastanawiając się, jakby sama muzyka kazała mu się poderwać. - Znasz jakieś modlitwy?

- Modlitwy? - Summerson zagapił się na niego. - No cóż, wygrałem wprawdzie nagrodę w szkole za recytowanie biblijnych wersów, ale...

- Wyśmienicie. - Puls Theo walił jak oszalały. Poprawił surdut i ruszył do wyjścia z loży. - Wybierz kilka dobrych i zmów je za mnie.

- Co masz na myśli? Dobry Boże. Mirkwood, dokąd idziesz? Odwrócił się z ręką na klamce.
- Dzisiaj do domu, by się przespać. Jutro... - Krótka przerwa, kiedy aria osiągnęła punkt kulminacyjny i otoczyła ich jak fale oceanu. - .. Jutro idę w paszczę lwa.

Marta przestąpiła z nogi na nogę, obejmując się ciasno ramionami, gdy pierwszy z powozów wjechał na podjazd. Cztery konie i to z pewnością ostatnie z wielu zmian zaprzęgu. Northumberland leżał bardzo daleko.

Palcami prawej stopy wyczuła krawędź stopnia. Trzy stopnie. Zejdzie po nich z wigorem, z twarzą rozjaśnioną siostrzanym uśmiechem. Pierwsza wyciągnie rękę. „Jak podróż?”, zapyta i od tego przejdą do innych uprzejmości, które wymienia się przy takich okazjach. To, co nie przychodziło jej naturalnie, mogła wyćwiczyć i równie dobrze może zacząć już teraz.

Powóz zatrzymał się i lokaj zeskoczył, by otworzyć drzwi. „Teraz”. Weszła na schody. „Idź teraz. Uśmiechnij się”.

Zmusiła się do ruchu, pokonała pierwszy schodek, gdy spokojna, czarnowłosa postać wyłoniła się z powozu. Marta biegiem pokonała resztę schodów i podjazd i wpadła w otwarte ciepłe ramiona. Kitty jak zawsze pachniała jaśminem.

- Dobry Boże, Marto. - Taki dystyngowany głos i taki słodko znajomy. - Dobrze się czujesz?
- Och, tak. Po prostu strasznie się cieszę, że cię widzę. - To była prawda.
- Wyjechałam, jak tylko dostałam twój list. - Odwróciła się i wskazała głową powóz. - Przejechałam przez Londyn i zobacz, co ci przywiozłam.

- Nick! - Marta wyśliznęła się z jednych ramion, by rzucić się w drugie, gdy jej brat wyskoczył z powozu. - Nie miałam pojęcia, że też przyjedziesz.

- Dobry Boże. - I ten głos, tak mocno pachnący dzieciństwem i domem. - Kim jest ta istota i jak sądzisz, gdzie ukryła naszą siostrę?

Z pewnością wyglądała na niemądrą, nabierając dzieciennych zwyczajów w tak późnym wieku.

Trudno. Jej serce miało dość umiaru i nic - prawie nic - nie mogło ucieszyć jej bardziej niż łagodne docinki tych ludzi, do których należała.

- Właściwie to czuję ulgę, widząc cię taką. Wyznaję, że martwiłem się o ciebie po pogrzebie. - Nick puścił ją i jeszcze raz zwrócił się do Kitty. - Powinnaś była ją widzieć. Była taka biała i wychudzona i prawie się nie odzywała.

- Przykro mi, że nie mogłam przyjechać. Biedna Marta, nie miał kto jej pocieszyć poza dwoma niezdarnymi braćmi.

- Nie przejmuj się tym. - Z powozu wysiadło kilku służących i Marta podeszła, by od bony wziąć małe zawiniątko. - Miałaś najlepszą wymówkę na świecie.

- Kochanie, nie miałam nawet najlepszej wymówki w rodzinie. Czy któreś z nas miało jakieś wiadomości od Willa?

Nick dostał list i przekazał, że Trzydziesty Pułk Piechoty wciąż stacjonuje w Antwerpii.

- Co oni sobie myślą? Mogłabym zrozumieć, gdyby wysłali go na Elbę, żeby osobiście pilnował Napoleona, ale przecież wojna się skończyła i angielscy żołnierze powinni wrócić do domu - oburzyła się Kitty.

Nick nie zgadzał się z siostrą i dyskutowali na ten temat całą drogę do domu, a Marta szła za nimi z nisko pochyloną głową, by czuć zapach najmłodszego siostrzeńca. Mały Charles będzie miał kuzyna za rok, jeśli pozwolą niebiosom i jej zdrowiu. Daleko

na północy Anglii, skąd informacja o dziecku miała niewielkie szanse dotrzeć do Sussex i zmienić jej układ z Jamesem Russellem.

Potem wymyśli, co powiedzieć Kitty i jej mężowi. Na razie nie miała najmniejszego pojęcia, co to będzie.

„To nie będzie pierwszy raz, kiedy go zawiodłeś. Prawdopodobnie to nawet nie będzie ostatni raz”. Theo wyprostował się i wszedł po schodach rodzinnego domu w Londynie. Oczywiście wysłał wizytówkę, gdy przyjechał do miasta, ale do tej pory nie pojawił się osobiście. I nie z takimi wieściami.

Milczący lokaj pokazywał mu drogę, jakby Theo potrzebował, żeby go wprowadzać. Na lewo i w prawo na tyły domu. Sir Frederick będzie w salonie z wybraną grupą członków rodziny, obecną bez wątplenia, by zwiększyć hańbę Theo.

Trudno. Dobra opinia ojca nie będzie w końcu wiele warta, jeśli będzie się opierała na fałszu i strategicznych pominięciach prawdy. A jeśli straci szacunek sir Fredericka, no cóż, przez większość swojego życia dawał sobie radę bez niego.

Na progu salonu lokaj szczęśliwie powstrzymał się od anonsowania go i odszedł, skłoniwszy się. Theo wszedł do środka.

Mimo sprawy, która go tu sprowadziła, ogarnął go dobry nastrój, gdy przeszedł przez próg. Tak wiele przyjemnych godzin spędził w tym pokoju, przegrywając pieniądze z tym z rodzeństwa, kto zgodził się zagrać z nim w warcaby, albo zwyczajnie siedząc tu, podczas gdy jego siostry haftowały, a jeden z jego młodszych braci czytał na głos książki.

W salonie nie było żadnego z braci, tylko Sophia, jego najstarsza siostra, która odłożyła robótkę i wstała z kanapy, by wyrazić, jak bardzo się cieszy, że oboje są akurat w mieście. Matka również bardzo się ucieszyła. Ojciec skłonił się, praw-

dopodobnie serdecznie, zza biurka stojącego w rogu, gdzie zawsze zasiadał, pogrążony w czytaniu dokumentów.

No to do rzeczy. Theo przeprosił kobiety i przeszedł przez pokój, by usiąść na krześle przed biurkiem baroneta, z kapeluszem w dłoni.

Ojciec był groźnie wyglądającym człowiekiem, nawet w dojrzałych latach. Ten sam poważny profil i głęboko osadzone, surowe oczy, które widać było na portretach w galerii w Broughton Hall. Szkoda, że zakochał się w kobiecie wyglądającej jak nordycka księżniczka i większość jego potomków odziedziczyła blond włosy.

- Tak? - Sir Frederick przechylił głowę, by pokazać, że jest gotów wysłuchać syna, jednak wciąż trzymał pióro w ręce.

„Zdecydowałem, że raczej go lubię, ale jeszcze mu tego nie wyperswadowałem”. Czulość była w jego naturze. Nic się nie da na to poradzić.

- Przyjechałem ci powiedzieć, że zamierzam osiedlić się w Pencarragh. Zrezygnowałem z mieszkania z Londynie i zamierzam zostać w Sussex co najmniej do następnego lata. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

Ojciec podniósł ściereczkę i zaczął skrupulatnie wycierać pióro, ale jego usta z każdą sekundą były gotowe rozciągnąć się w szerokim uśmiechu.

- To wchodzi w krew, prawda? - powiedział w końcu, odkładając pióro. - Zarządzanie ziemią i posiadłością. Miałem podejrzenia, że tak to się może skończyć.

Ta źle skrywana duma i zadowolenie były jak koło tortur, na którym rozciągnięto sumienie winnego człowieka. Theo odchrząknął.

- Granville pisał ci, jak sądzę, o naszym mleczarskim przedsięwzięciu. Jest sporo pracy do wykonania, by to zorganizować, i uważam, że powinienem dopilnować realizacji tego projektu.

Mógł na tym skończyć. To nie były fałszywe powody powrotu, były szczerze. Jednak po dwudziestu sześciu latach był zmęczony nieustannym unikaniem nieprzyjemności. Ostatnio chciał być człowiekiem, który nie boi się niczego. Takim człowiekiem, jakim powinien być mężczyzna, który zostanie ojcem.

- Ale jest jeszcze jeden powód. Kolejne zobowiązanie. - Obrócił kapelusz w dłoniach, jeden pełen obrót, i zacisnął palce na rondzie. - Prawda jest taka, że postawiłem pewną damę w trudnej sytuacji. - Z drugiego końca pokoju dobiegł go hałas; Sophia upuściła nożyczki. W takim razie słuchały. Wyśmienicie.

Duma i zadowolenie zniknęły z twarzy sir Fredericka. Spuścił wzrok na biurko, jakby nie mógł zdzierżyć patrzenia na syna. Zacisnął usta. Obrócił pióro w podstawce. Nagle podniósł wzrok.

- Nie tę owdowiałą sąsiadkę. Theo był zaskoczony.

- Skąd wiesz?

- Prosiłem Granville'a, by miał na ciebie oko. Zapewnił mnie, że nie widział, żebyś spędzał czas z jakąkolwiek kobietą, z wyjątkiem wdowy z sąsiedniej posiadłości. Ale był pewien jej cnotliwości.

- Miał do tego pełne prawo. - Spuścił wzrok na obracany w rękach kapelusz. - Nigdy w życiu nie miałem takich problemów z uwiedzeniem kogokolwiek.

- Bez względu na twoje zwyczaje, będziesz chociaż udawał przyzwoitego w obecności swojej matki. - Jak piorun z wysokości ta reprimenda. Baronet był w swoim żywiole. - Czego żąda? Pieniądzy? Małżeństwa?

- Nic w tym stylu. Właściwie w ogóle niczego. - Czas na najgorszą informację. - Owdowiała na tyle niedawno, że dziecko może być uznane za potomka jej zmarłego męża, a co za tym idzie, wdowa dostanie spadek, który zapewni jej utrzymanie.

- Dobry Panie. Co to za kobieta? - Ton ojca sugerował, że już to wie.

- Uczciwa i honorowa, którą strata przytłoczyła i uczyniła bezbronną na fortele doświadczonego uwodziciela. - Wyszkolonego, rzeczywiście. Ćwiczył te słowa, które złożą winę na jego barki, przed lustrem. Pochylił głowę z udawaną skruchą, starannie unikając spojrzeń matki i siostry.

- Na czym w takim razie polega zobowiązanie? - spytał sir Frederick. - Z pewnością cała sprawa jest ogromnie wstydliva, ale skoro może twierdzić, że to dziecko męża, w czym leży trudność, o której wspomniałeś?

To też przećwiczył. „Obowiązek wymaga, żebym znalazł sposób, by być pomocny temu dziecku. Nieważne, czy uważasz to za słuszne, czy nie, nieważne, czy ona uważa to za słuszne, czy nie, jestem w tej sytuacji odpowiedzialny i nie będę przed tą odpowiedzialnością uciekał”.

Theo obrócił kapelusz dnem do góry, po czym podniósł głowę i spojrzał ojcu w oczy.

- Trudność polega na tym, że ją kocham. Nie chcę, byśmy żyli oddzielnie. - Och, Boże, co on mówił?

Po drugiej stronie pokoju usłyszał gwałtowny wdech. Sophia. Może nawet matka.

- Akurat, do diabła! - Na policzku ojca zadrgał mięsień. - Jeśli choć przez chwilę myślałeś, że zaakceptuję utrzymywanie przez ciebie jakichkolwiek relacji z niemoralną kobietą, najwyraźniej przekracza to nawet twój...



- Nie czekam na twoje pozwolenie. - Theo powiedział to spokojnie, składając dłonie na kapeluszu. - I nalegam, żebyś dla własnego dobra nie czynił więcej uwag o jej moralności.
- Grozisz mi? - Sir Frederick nawet w tym wieku wyglądał na zdolnego przeskoczyć biurko i sprać na kwaśne jabłko każdego, kto by to zrobił.
- Nie. Jednak kiedy ją poznasz, to ją pokochasz. - Skąd się wzięły te słowa? Theo wszedł do tego pokoju pewien tego, co chce powiedzieć: „obowiązek nakazuje mi powrót do Sussex”. Jakim cudem zmieniło się to w deklaracje i górnolotne słowa?
- Theo - matka musiała wreszcie przemówić. - Jak możesz mieć nadzieję, że ją poślubisz, jeśli zamierza twierdzić, że nosi dziecko jej zmarłego męża?
- A nawet bez dziecka ona nie może myśleć o tak szybkim powtórny zamążpójściu. - Ojciec przyjął łagodniejszy ton, jakby chciał poprzeć żonę. - Nie bylibyście przyjmowani nigdzie przez przyzwoite towarzystwo.
- Linfield i ja byśmy was przyjmowali. - Sophia rzuciła jedno odważne spojrzenie znad robótki, cały czas pracując igłą. - Jestem pewna, że wszystkie twoje zameżne siostry by was przyjmowały. Serce Theo zalała wdzięczność. Przez chwilę nie był w stanie się odezwać.
- Mam nadzieję w końcu skorzystać z waszej gościnności.
- Skinął głową siostrze. - Jednak spodziewam się, że ona nie przystanie na małżeństwo co najmniej przez rok. - Jeszcze jedno spojrzenie na ojca. - Być może będzie to czas, żebyś przekonał się do tego mariażu.
- Przekonał się? - Baronet ponownie zwracał się do biurka.
- Do wnuka z nieprawego łoża i uznawanego syna innego mężczyzny? Do skandalicznego małżeństwa? - Pokręcił

głową. - Mimo wszystkich lat wypełnionych twoimi głupimi czynkami nigdy nie podejrzewałem, że shańbisz naszą rodzinę. Mogę tylko powiedzieć, że żałuję, że Edwin nie jest starszym synem, a ty młodszym.

Jakby to nie było jasne, od kiedy Theo miał jakieś dwanaście lat. Włożył kapelusz.

- Przykro mi, że przysporzyłem ci zmartwień. I wiem, że do tej pory nie dałem ci wielu powodów, żebyś był ze mnie dumny.

- Dumny z ciebie.

- Właśnie. - Wstał. - Obawiam się jednak, że podjąłem decyzję. Jestem lepszym człowiekiem dzięki pani Russell. To, że tego nie dostrzegasz, nie sprawia, że to przestaje być prawdą. Z radością przywitam twoją dobrą opinię w dniu, w którym postanowisz mnie nią obdarzyć, ale nie będę tracił czasu, czekając na nią. Moje uszanowanie. - Skłonił się.

Twarze matki i siostry emanowały niemym współczuciem i sympatią, kiedy się z nimi żegnał. Będzie miał kogoś po swojej stronie. Niech to diabli. Sam sir Frederick zmieni zdanie, kiedy tylko pozna Martę. To była najgłupsza strona całej tej sprawy: gdyby zamierzał szukać kobiety o charakterze i przekonaniach podobających się jego ojcu, nie mógłby wybrać lepszej niż nieugięta i zdecydowana Marta Russell.

Teraz pozostawało tylko ją przekonać. I nawet jeśli zajmie mu to rok - nawet jeśli zajmie mu to dziesięć lat albo dwadzieścia, albo wszystkie lata reszty jego życia - znajdzie sposób, żeby tego dokonać.

Pencarragh, bez względu na to, jak niewielką było posiadłością, wydało mu się domem, kiedy wjechał na podjazd. Wskoczył z powozu bez czekania, aż stangret postawi stopnie,

i ruszył do domu, żeby sprawdzić, co mogło się zmienić podczas tygodnia jego nieobecności. Niewiele, a jednak inaczej postrzegał ściany, okna i podłogi. Stąd zacznie kampanię nieustępliwej perswazji i tu będzie świętował, kiedy ona wreszcie zgodzi się połączyć życie dziecka i swoje z jego życiem.

W bibliotece zastał Granville'a pracującego przy biurku. Theo podniósł kilka wizytówek i listów, które dla niego zostawiono, i je przeglądał, mgliście opowiadając zarządcy o czasie spędzonym w Londynie.

- Otrzymaliśmy smutne wieści, kiedy pana nie było. - Powiedział Granville. - Panią Russell spotkał zawód i musi opuścić Seton Park. Z tego, co wiem, zamieszka u brata lub siostry.

Korespondencja Theo upadła na podłogę. Zamrugał, ale zobaczył tylko feerię kolorów tam, gdzie wcześniej stał zarządca.

- Straciła dziecko?

- Usłyszałem o tym wczoraj od pana Keene'a. Posiadłość przechodzi jednak na własność pana Jamesa Russella. Nie boję się powiedzieć, że będzie mi piekielnie przykro stracić taką sąsiadkę.

Podejrzewam, że wszyscy tak czują.

Theo stał bez ruchu i nie mógł wydusić słowa. Myślał, że wie, jak to jest znaleźć się na dnie studni. Nie miał jednak pojęcia.

- Widział pan ją?

- Tak. - To były słowa, których potrzebował.

- Czy czuje się dość dobrze, by przyjmować gości? Granville udzielił jakiejś odpowiedzi, ale równie dobrze

mógł zaśpiewać jak ptak. Jeśli leżała w łóżku, Theo i tak się z nią zobaczy. Schylił się, by pozbierać listy, a potem zostawił je. Nie czas na drobiazgi.

Powiedział coś zarządcy - Bóg jeden wie, co zarządca pomyśli o jego pośpiechu - i wypadł z pokoju. Stajnia. Koń. Przez

podjazd i na drogę, którą szli tego dnia, kiedy wyliczała przyczyny, dla których nie może zaznawać z nim rozkoszy. Poprzez rozpacz dotarła do niego myśl jak odległy brzeg widziany przez mgłę: „Powód do niezgadzenia się na małżeństwo zniknął”. Ale jego jedyną odpowiedzią na to było ukłucie wstydu, że taka myśl nie powinna w ogóle pojawić się w takiej chwili.

Ktoś musiał zabrać od niego konia przed drzwiami Seton Park i ktoś musiał wprowadzić go do środka. Ale wszystko działało się jak we śnie. Wiedział tylko, że mijał jakichś służących. Wszedł do salonu, kiedy jeszcze go anonsowano. Była tam pani Russell.

Siedziała na kanapie, odwróciła ku niemu głowę zaskoczona. W pokoju byli też inni ludzie. Nie liczyli się. Czterema krokami pokonał odległość do kanapy, z której podniósł Martę i ją przytulił.

- Słyszałem, co się stało - powiedział do jej ucha. - Tak mi przykro, że mnie tu nie było. Tak mi przykro, że musiałaś sama to znosić.

- Na ognie piekielne, kto to jest? - Powiedział ktoś za jego plecami, ale Marta odezwała się w tym samym czasie, więc Theo się nie odwrócił.

- Nie wiem, co masz na myśli. - Zaczęła się uwalniać z jego objęć. Nie ma szansy, nie ma szansy na niebie czy w piekle, żeby to się stało. - Co słyszałaś i od kogo?

Jak mogła od razu nie wiedzieć, o czym on mówi? Złapał ją za ramię i nieco odsunął, by spojrzeć jej w oczy.

- Granville powiedział mi, że straciłaś dziecko - powiedział szeptem.

- Niech szlag trafi pańską zuchwałość, proszę natychmiast ją puścić!

Theo kątem oka zauważył, że ktoś zerwał się na równe nogi.

- Chwileczkę. - Wyciągnął dłoń w tamtą stronę.
- Marta? - Nagle zaczęła w nim narastać nadzieja, nieproszona jak natarczywy gość na progu domu. Nie wiedziała, o czym mówił. I nie wyglądała ani nie brzmiała jak zrozpaczona kobieta. Zerknęła na pozostałych obecnych w pokoju ludzi i pokręciła głową.
- To nieprawda. - Odpowiedziała również ledwo szły-szalnym szeptem. - Wciąż jestem brzemienna. Poczł ogromną ulgę, opadł na kanapę i schował twarz w dłoniach. Marta usiadła obok niego.
- Marto, co to wszystko znaczy? - Przez palce Theo zobaczył właściciela tego głosu: dżentelmena mniej więcej w jego wieku, z włosami w odcieniu miodu i oczami w kolorze kawy, który nieco uniósł się ze swojego miejsca. Dama z ciemniejszymi włosami, ale identycznymi oczami siedziała obok w fotelu, trzymając filiżankę herbaty.
- Tak, Theo też chciałby się tego dowiedzieć.
- Dlaczego, do diabła Granville, powiedział mi coś innego? - Uniósł głowę. - Powiedział, że opuszczasz Sussex. - Podejrzenie przebiło go jak nóż. - Co ci ludzie tu robią?
- Jak pan śmie o to pytać? - Mężczyzna wyraźnie prosił się o bójkę. - Więzy krwi upoważniają nas do troski o jej dobro. Niech pana szlag, jeśli będzie pan twierdził, że ma podobne prawo.
- Proszę. - Theo wyciągnął ze znużeniem rękę. - Proszę pozwolić mi zostać na pięć minut i porozmawiać z panią Russel. Potem możemy wyjść na zewnątrz i może mnie pan pobić za moją impertynencję, jeśli pan chce.
- Nick. - Nieznajoma dama odezwała się znad filiżanki, jej oczy błyszczały ciekawością. - Daj mu te pięć minut. Podejrzewam, że to będzie niezwykle interesujące.

- Zamierzasz zamieszkać z jednym z nich, prawda? - Theo nachylił się do jej ucha. - Ale dlaczego, jeśli.
- Oddałam Seton Park żonie Jamesa Russella i jej synom. - Jej słowa były tylko nieco głośniejsze od szeptu. - Mogłam to zrobić, tylko mówiąc wszystkim... - Zaciśnęła usta i czekał, aż on pojmie resztę. I pojął. Usiadł prosto.
- Zgodziłem się na ten układ, rozumiejąc, że syn odziedziczy posiadłość, a córka będzie miała uposażenie. - Nie mógł się teraz zmusić do poufnego tonu. - Nie mówiąc już o znanym ojcu. Nie waż mi się powiedzieć, że zamierzasz uczynić wnuka baroneta ubogim bękartem.
- Och, Marto. - Kobieta spojrzała na wdowę, a potem na jej brzuch. - Coś ty najlepszego zrobiła?
- Miałam dobre powody. - Ze zniecierpliwieniem wyprostowała plecy. - To był dobry plan. Tylko okoliczności zmieniły się w sposób, którego nie przewidziałam.
- Nieważne pięć minut, nieważne bicie. - Mężczyzna znowu wstał z krzesła. - Dajcie mi dwa pistolety i załatwimy to od razu.
- Nicholas, usiądź. - W jednej chwili Theo zobaczył, jak Marta musiała rządzić starszym rodzeństwem od wielu lat. Jej chłodna pewność siebie była niezachwiana w obliczu gwałtownych i trudnych do opanowania emocji pozostałych. - Albo jeśli się upierasz, że musisz się z kimś pojedynkować, pojedynkuj się ze mną. Pan Mirkwood nie jest winien niczemu poza zgodą na moją propozycję biznesową. A twoje zapalczywe, niecywilizowane zachowanie musi przedstawiać naszą rodzinę w nieprzychylnym świetle, i to dokładnie w chwili, kiedy miałam nadzieję, że ucieszy go myśl dołączenia do niej.
- Dobry Panie. - Theo wbił wzrok w Martę. - Czy to były oświadczenia?

- Najgorsze, jakie kiedykolwiek słyszałam. - Stwierdziła siostra, odstawiając filiżankę, a brat opadł z powrotem na fotel.
- Zdecydowanie. Przedstawię lepsze, jeśli twoje rodzeństwo da nam minutę prywatności. Albo raczej osiem minut. - Serce waliło mu w piersi jak królik uwolniony z sideł. Chciała go poślubić. Jego dziecko miało się dobrze i będzie znane światu jako jego.
- Nic takiego pan nie robi. - Ta siostra, Katharine, też miała przerażający rys. Z czasem być może będą mówić sobie po imieniu. - Jest wdową dopiero od dwóch miesięcy. Żaden ksiądz nie zgodzi się udzielić wam ślubu.
- Znam takiego, który się zgodzi. - Marta przeniosła uwagę na siostrę i brata, jednak kiedy Theo wyciągnął dłoń, natychmiast ją chwyciła. - Jednak musimy zawrzeć legalne małżeństwo najszybciej, jak się da, ze względu na dobro dziecka.
- Pomyśl o skandalu. Nie będziecie przyjmowani w żadnym przyzwoitym domu. Ach, on już przechodził tę rozmowę.
- Moja rodzina to kilka przyzwoitych domów i wszyscy z radością będą nas u siebie gościli. Byłem właśnie w Londynie i przygotowałem ich na to. - Marta, słysząc to, cudownie ścisnęła jego dłoń, - To wystarczy na początek. A teraz postawię sobie za cel zdobycie również waszego poparcia.
- Wszyscy w tej okolicy też nas zaakceptują. - Z zapalem pochyliła się do przodu, wciąż ściskając jego rękę. - Przemyślałam to dokładnie. - No oczywiście. - Wszyscy słyszeli o moim rozczarowaniu i zmianie mojej sytuacji. Wszyscy tu poważają pana Mirkwoda. Wszyscy uwierzą, że poślubił mnie, by uratować przed żalosną, zależną od kogoś innego egzystencją. Z tego powodu będą mieli o nim jeszcze lepsze

zdanie. - Słyszał, jak jej nieustępliwość wzrasta z każdą sylabą. - A nawet jeśli nie, i tak go poślubię.  
- Teraz mam obowiązek cię poślubić. - Ujął jej dłoń. Razem mogli stawić czoło wszystkim  
sceptycznym braciom i siostram świata.

- Tak. Obowiązek. - Całe jej ciało napięło się w słodkim skrępowaniu, jakby musiała znaleźć sposób,  
by wypowiedzieć kolejne. - I moje serce. Kocham go. - Jej policzki pokryły się szkarłatem. Postronny  
obserwator mógłby dojść do wniosku, że przyznał się do jakiegoś przerażającego nieszczęśliwego wy-  
padku.

Nie roześmiał się, ale uśmiechał się tak szeroko jak głupiec z wiadrem melasy. Tego, że żywi takie  
uczucia, można się było spodziewać. Tego, że powie o tym z wdziękiem, że w ogóle o tym powie, już  
nie. Wszystko, co mógł zrobić, to dać jej powód, by mówiła mu to często w ciągu następnych lat.

Tego samego wieczoru, kiedy przemknął przez klatkę dla służby, a potem przez trzy korytarze do  
pokoju, w którym zostawiła zapaloną świecę, bo wiedziała, choć nic nie mówił, że przyjdzie - wtedy  
ćwiczyła i ćwiczyła do utraty tchu. „Kocham cię” - powiedziała. Słowami i w inny sposób, co  
sprawiało ogromną satysfakcję mężczyźnie. I z głębi duszy odpowiadał, niezmordowanie. Ponieważ  
miał taki obowiązek.



Jeśli podobała ci się  
*Grzeszna namiętność*

nie będziesz w stanie się oprzeć  
*Zakazane pragnienia*  
(tytuł roboczy)

kolejnej zapierającej dech w piersi powieści Cecilii Grant, która ukaże się jesienią 2012 roku.  
Przeczytaj fragment tej intrygującej historii...

Marzec, 1816

Trzy kurtyzany były piękne. Jego wzrok naturalnie zatrzymał się na czwartej. Stare nawyki utrzymywały się wbrew wszystkiemu, co życie mogło przynieść.

Will oparł się na łokciu i podparł policzek dłonią. Była to niedbała poza, która sugerowała najwyższą pewność siebie w grze, a równocześnie pozwalała mu na zerkanie na mężczyznę naprzeciwko i lepsze przyjrzenie się kobietom. Nie w konkretnym celu oczywiście. Przyszedł do tego przybytku z poważnym zadaniem i na kurtyzany nie było miejsca w jego planie.

Mimo to mężczyzna mógł sobie popatrzeć. Wyprostowany kolejno obserwował wszystkie cztery kobiety. Robił to cały wieczór, kiedy siadały w różnych konfiguracjach przy ich karcianym stole, jakieś piętnaście stóp od lepszych stołów, gdzie grali dżentelmeni. I podczas gdy każda z nich - kusicielka o lśniących włosach w kolorze mahoni, delikatna blondynka o kryształowej cerze - cieszyła jego oko, tylko jedna dała radę rozproszyć jego koncentrację.

Obserwował ją teraz - jej powieki były nieco opuszczone, a palce precyzyjne, kiedy rozłożyła świeżo rozdane karty. Nie była piękna. Może ładna, a raczej przystojna: młodemu mężczyźnie służyłby tak orli nos i te ostro zarysowane brwi.

Studiowała karty bez przesuwania którejkolwiek z nich, choć grali w twista i trzech pozostali gracze układali karty według koloru. Zerknęła na swojego partnera. Szaroniebieskie oczy nie zdradzające niczego. Mogła mieć w ręku same atuty i nikt by o tym nie wiedział.

- Nie masz szans, Blackshear. — Te słowa dotarły do niego z chmurą tytoniowego dymu, ledwo słyszalne ponad szumem tuzina otaczających ich rozmów. - Wszystkie są już zajęte. - Lord Cathcart przełożył fajkę z jednej strony ust na drugą, sprawdzając swoje karty. Królowa i dziesiątka przez chwilę znalazły się w zasięgu wzroku Willa. Szczęście lubiło sprzyjać bogaczom.

- Nie byłoby szans, nawet gdyby były wolne. Najmłodszy syn bez fortuny nie zajdzie zbyt daleko z kobietami tego pokroju. - Odpowiedział tak samo przyciszonym głosem i podniósł róg własnej karty. Siódemka trefl do pary jego siódemki pik.

- Och, nie wiem. - Wicehrabia obrócił się nieco w jego stronę. - Najmłodszy syn, który właśnie sprzedał swój patent oficerski, może mierzyć trochę wyżej niż lubiąca przygody wdowa.

- Wdowy mi pasują. Nie ma hańby ze sprzedawania się; żadnych zmartwień, że namówisz kobietę na coś, czego będzie żałowała. - Te słowa brzmiały kiepsko i fałszywie w jego ustach. To była pozostałość po życiu, jakie wiódł kiedyś. Skinął w stronę stołu kurtyzan. - W każdym razie te rajskie ptaki są nieco zbyt kolorowe jak na mój gust.

- Ha. Idę o zakład, że gdzie indziej znajdziesz coś interesującego. Zwłaszcza w kwestii tej prostytutki o ostrych rysach

z greckim kokiem. Nie dobieram - dodał wicehrabia, kiedy nadeszła jego kolej w grze.

- Dzielę - powiedział Will i pokazał swoje siódemki. Jego puls przyspieszył, co nie miało nic wspólnego z prostytutką o ostrych rysach. Dołożył drugą stawkę i całą uwagę poświęcił dwóm nowym kartom.

Ósemka podniosła jedną rękę do piętnastu. Duża szansa na przegraną przy wzięciu trzeciej karty i niewielka szansa na przebicie rozdającego, jeśli nie dobierze. Druga ręka była lepsza: as dawał mu szansę niedobierania kart przy osiemnastu punktach, a także kusił szansą na dobranie do pięciu kart, jeśli policzy asa jako jeden zamiast jedenaście i jeśli następne trzy karty będą dobre.

Czy była na to jakaś szansa? Dwadzieścia jeden minus osiem dawało trzynaście. Jak wiele kombinacji trzech kart dawało trzynaście lub mniej? Przy stu dwudziestu kartach w grze... Osiem asów, osiem dwójek i tak dalej... i jedenastu innych mężczyzn przy stole, którzy muszą mieć już w rękach niektóre z tych kart. Niech to, powinien był lepiej uważać na lekcjach matematyki. Świetnie wykorzystuje zapewnioną mu przez ojca edukację w Cambridge, niech Pan świeci nad jego duszą.

- Dobieram po jednej. - Kolejnych dwadzieścia funtów. Lepiej podtrzymywać pozór przesadnej brawury wczesnym wieczorem, gdy stawki są małe. Rozwaga może poczekać kilka godzin, gdy ci mężczyźni będą pijani - to znaczy bardziej pijani - i skłonniejsi do stawiania kwot, których rano będą żalowali.

Dostał dwie nowe karty i uniósł ich rogi. Piątka i trójka. Dwadzieścia i dwadzieścia jeden. Albo dwadzieścia i jedenaście, z dwoma kartami i dziesięcioma oczkami do podwójnej wypłaty za pięć kart.

Postukał palcem w jedną z kart. Naprawdę to rozważał? Kupienie kolejnej karty, kiedy może zostać przy dwudziestu jeden? To jego pierwszy wieczór w tym miejscu i już zachęcał fortunę do złego. No cóż, w tym nie było nic nowego, prawda? Miał już niezłe pojęcie o tym, co potrafi zrobić fortuna. Strata trzydziestu funtów była ledwo godna wzmianki.

- Jeszcze jedną tutaj. - Położył kolejny banknot przed drugą ręką.

Walet kier wyszczerzył do niego zęby, kiedy podniósł nową kartę. Poczował ulgę, co sprawiło, że się rozluźnił. Nie będzie pięciu kart, ale nie zostanie też ukarany za swoją lekkomyślność. Jeśli rozdający nie pokona go własnym black jackiem, Will będzie miał przynajmniej jedną wygrywającą rękę. Może dwie.

- Nie dobieram - powiedział i ponownie oparł policzek na dłoni, kiedy kolejka przeszła na gracza po lewej. Panie rozegrały dwie lewy w pikach, kolorze autowym. Ta o ostrych rysach wykladała karty sprawnie i szybko.

Cathcart mógł mu dogryzać, ile chciał. Taka dziewczyna działała na męską wyobraźnię. Niech piękne kobiety pokazują swoją atrakcyjność jak pranie rozwieszane na sznurze do bielizny powiewające na wietrze, żeby każdy mógł je zobaczyć. Kobieta, która coś ukrywała, która nosiła swój urok jak jedwabną bieliznę i wyzywała mężczyznę, by ją odkrył - zawsze będzie potrafiła rozpalic jego wyobraźnię.

Nawet jeśli nie mógł pozwolić, by rozpalila coś jeszcze. Westchnął.

- Co to jest grecki kok? - zapytał, ponownie ściszej glos. - Masz na myśli sposob upięcia włosów?

- Jesteś beznadziejny - syknął wicehrabia z fajką w ustach. - To musi być dziwny rodzaj, te wdowy, które tak ci się po-

dobają. Zauważ, że twoja jastrzębia Afrodyta nie może mieć zbyt wyrobionego gustu, zważywszy na to, w jakim towarzystwie przebywa. - Wskazał ruchem głowy mężczyznę, z szeroką szczęką, przystojnego, o dobrotliwym wyglądzie, który zapewnił sobie wygraną, zdobywając dwadzieścia jeden punktów dwiema pierwszymi kartami.

Ciekawość przeszła Willa jak uderzenie bicia. Otrząsnął się z tego uczucia. Nie przyszedł tu plotkować. Wybór opiekuna to sprawa tej kobiety.

- Doprawdy, jastrzębia? - Odchylił się na krześle i rozciągnął ramiona. - Spróbuj się zachowywać. Chociaż musiał przyznać, że to nie było odpowiednie do tego miejsce. Butelki na stole. Nie tylko Cathcart palił, mimo obecności w pokoju dam, a przynajmniej kobiet. Prawdziwy dom gry był prawdopodobnie gorszy, przyznawał. Gillray, artylerzysta, twierdził, że około czwartej lub piątej nad ranem można było wyczuć w powietrzu zapach desperacji. Była to odpychająca woń potu, bardziej cierpka niż w przypadku zwykłego wysiłku. I dlaczego nie? Strach miał swój zapach, rzekomo wydawałoby się, że bitwa będzie miejscem, gdzie można się tego dowiedzieć, ale wśród wielu zapachów żaden nigdy nie dał się poznać jako zapach strachu - dlaczego więc desperacja nie miałaby swoiście pachnieć?

Dość zastanawiania się nad tym. Poruszył nadgarstkami, rozciągając ścięgna, kiedy korpulentny mężczyzna przekroczył dwadzieścia jeden i kolejny zaczął swoją kolejkę. Przy stole kobiet dziewczyna o ostrych rysach wzięła trzecią lewą i spokojnie zapisała punkty na kartce po prawej stronie.

Jastrzębia. Doprawdy. Will założył ręce za głowę. A jednak było coś niezaprzeczalnie ptasiego w jej nosie, jej pustym spojrzeniu, jej rudobrazowych włosach przypominających

ubarwienie strzyżyka. Chłodne, małe istotki, te ptaki, mimo ich miękkich piór i ślicznych treli. Zjedzą na śniadanie twój mózg bez najmniejszego wahania. Człowiek uczy się na wojnie dziwnych rzeczy. Rozdający zatrzymał się na dziewiętnastu i Will wzbogacił się o pięćdziesiąt funtów. Jeden mały krok w górę. Zabrał swoje pieniądze i przesunął karty w stronę opiekuna jastrzębiej dziewczyny.

Mężczyzna wyglądał na jego rówieśnika. Dwadzieścia pięć lat lub coś koło tego. Nabrał nowego zdecydowania, skoro to on rozdawał. Poprawił fular, zanim zaczął tasować karty. Nachylił głowę z otaczającą go aurą wyćwiczonego protekcjonizmu i rozmawiał z sąsiadem po prawej stronie, który, jak się okazało, mówił o tej dziewczynie.

- Wyznaję, Roanoke - powiedział sąsiad słyszalnym półgłosem. - Nigdy nie stawiałabym na to, że zatrzymasz ją tak długo. Nie jest nawet w połowie tak urodziwa jak ta, którą miałeś zeszłego lata. To była całkiem urocza istotka.

Jedynie lekko zaciśnięte usta „Kwadratowej Szczęki” zdradziły, że obraziło go kwestionowanie jego wyboru.

- Tamta dała mi dziecko bękarta. - Spinki do mankietów z zielonymi klejnotami błysnęły w świetle świecy, kiedy wyciągnął ręce, żeby zebrać karty. - Ta nie może.

- Albo tak ci mówi, to na pewno - padła już głośniejsza odpowiedź, by więcej osób mogło podziwiać jej dowcipność.

- Nie może - powiedział z cierpliwością księcia przyzwyczajonego do służusów o kiepskim poczuciu humoru. - Coś jest nie tak z jej narządami. Nie ma kobiecych dolegliwości.

Urocze. To z pewnością nieco więcej, niż którykolwiek z mężczyzn chciał wiedzieć. Will zerknął na wicehrabiego, który tylko wzruszył ramionami. Ewidentnie ten rodzaj dyskusji był tu normalny.

- Chętnie chciałbym taką dla siebie - swoje zdanie wyraził mężczyzna o prostackim wyglądzie, ubrany w jasnozielony surdut. - Dostępna przez wszystkie dni w miesiącu, no nie? Nie może twierdzić, że jest niedysponowana, i odmówić. Gdzie na nią trafiłeś?

- Zabrałem ją z przybytku pani Parrish. - Roanoke wygładził krawędzie wszystkich kart, zanim odłożył talię na stół. - I jak się domyślacie, odpowiednio ją wyszkolili. Jeśli jest coś, czego nie robi w łóżku, to jeszcze tego nie odkryłem.

Dom pani Parrish. Nawet mężczyzna, który nigdy nie postawił nogi w tym miejscu, wiedział co nieco o jego charakterze. Słyszało się o wynalazkach, dzięki którym mężczyzna był obsługiwany przez jedną kobietę, a druga biczowała go gałązką ostrokrzewu. Plotkowano również o kobietach, które same dawały się biczować albo zgadzały się na wszelkie niegodziwe i rozpustne praktyki, jakie tylko wymyślił mężczyzna. Jakie perwersyjne akty sprawiły, że „Kwadratowa Szczeka” poznał swoją kochankę?

Niech to diabli. To nie była sprawa Willa, a spekulowanie o prywatnych sprawach kobiety nie świadczyło o nim dobrze. Właściwie nie świadczyło dobrze o żadnym z mężczyzn przy stole, którzy zasypywali teraz Roanoke'a ordynarnymi pytaniami, czy ona robi to, czy pozwala mu na tamto? - Ten cham odpowiadał jedynie monosylabami, mglistymi w porównaniu z ogromnym zainteresowaniem, i rozdawał karty.

Will rozgniewał się. Ona musi to słyszeć. Na pewno widziała, jak odwracają głowy, by jeszcze raz się jej przyjrzeć. Nie widział zmiany w jej zachowaniu, jej postawie albo szybkości, z jaką zagrywała kolejne karty, jednak ile wysiłku kosztowało ją zachowanie spokoju, gdy słyszała, jak sprowadza się ją w rozmowie do obiektu ogólnej rozrywki bandy szakali.

- Jak się nazywa? - To był jego głos przebijający się przez inne. Co do diabła wyprawiał? Chciał wzbudzić podejrzenia całego tego towarzystwa? Cathcart nieznacznie się wyprostował, co świadczyło o jego wzmożonym zainteresowaniu, choć wicehrabia się nie odwrócił.

Roanoke to zrobił. Leciutko zmarszczył swoje arystokratyczne brwi, a potem się rozluźnił.

- Ma na imię Lidia - powiedział i rozdał kolejną kartę. „Zostaw to, Blackshear”. Jednak znowu górę wzięła temperament.

- Miałem na myśli nazwisko, którym można się do niej zwracać. - Piekło i szatani. Czy on nigdy się nie nauczy, co jest, a co nie jego sprawą?

- Ma pan jej coś konkretnego do powiedzenia? - Mężczyzna spojrział na niego uważnie jak większość zebranych przy stole. Wyładowanie jak pierwsza błyskawica w czasie burzy zageściło atmosferę. Jeśli wybierze odpowiednie słowa, będzie odpowiadał „Księżycowi Kwadratowej Szczęce” z odległości dwudziestu kroków.

To byłby odpowiednio absurdalny koniec. Wyzwany z powodu kwestii kultury osobistej. Zabity z powodu kobiety, z którą nawet nie zaznał przyjemności.

Szum rozmów dobiegający z innych stolików stał się czymś odległym i niewyraźnym, gdy Will rozważał tę perspektywę. Dość łatwo mógł sprowokować tego człowieka, by celował mu w głowę, podczas gdy sam strzeli w niebo.

Jak bardzo taka psota mogłaby zaszkodzić jego rodzinie? Andrew z pewnością by się to nie spodobało. Jednak szacunek, którym cieszył się jego brat, mógł z pewnością pokonać rodzinny skandal. Kitty i Marta były już zamężne. Nie mógł im w ten sposób zrujnować przyszłości.



Jednak pozostawał Nick. Jego drugi starszy brat miał ambicje polityczne i nawet teraz potrzebował dobrego imienia, by utrzymać praktykę. Nie, Nickowi nie wyrządzi przysługi lekkomyślnym zachowaniem.

Poza tym miał jeszcze sporo pieniędzy do wygrania.

- Nie mam jej nic do powiedzenia. - Powiedział cierpko, wytrzymując spojrzenie Roanoke'a. Nie musi całkowicie się wycofywać. - Jestem tylko nieprzyzwyczajony, by mówiono w ten sposób o kobiecie i otwarcie nazywano ją jej imieniem. Jednak bardzo długo przebywałem z dala od towarzystwa. Może obyczaje się zmieniły.

- Był pan na półwyspie, to ma pan na myśli? - Jasnooki mężczyzna, który ledwo wyglądał na dość dorosłego, by wieczorem wyjść z domu, wyrwał się z tym. - Albo może w rozstrzygającej bitwie pod Waterloo?

Will spotkał się z tym z żenującą częstotliwością. Mężczyźni, którzy musieli przełknąć gorzką pigułkę i zostali w domu - pierworodni, których życia nie można było ryzykować, nieszczęśliwi, którzy nie mogli wskrobać funduszy na patent - teraz chcieli usłyszeć każdy szczegół z tego, co ich ominęło.

- Porucznik Trzydziestego Pułku Piechoty. - Kiwnął głową. - Brałem udział w bitwach pod Quatre Bras i pod Waterloo. - Jeśli ten smarkacz chciał wiedzieć coś więcej, to musi z niego wyciągnąć siłą. Na szczęście dżentelmen trzy miejsca dalej miał jakąś opinię o Wellingtonie, którą chciał się podzielić. Ktoś inny odpowiedział na to zdaniem o działaniach Blutchera, co doprowadziło do zwyczajowych kpin na temat księcia orańskiego i zgody zgromadzonych, że szczęśliwym dniem w historii Anglii był osiemnasty czerwca poprzedniego roku. Nastrój przy stoliku

uległ zmianie: napięcie między Willem a Roanoke'em zamigotało jak wypalająca się świeca i zniknęło.

Will odchylił się na krzesło, równo i spokojnie oddychając. Przynajmniej mógł słuchać tego typu rozmów. Niektórzy żołnierze nie potrafili. Słyszało się o mężczyznach, którym zaczynało się kręcić w głowie i musieli opuszczać pokój, jeśli ktoś poruszył ten temat. Albo takich, co wpadali w szal, słysząc, jak o okropieństwach wojny opowiada się w kategoriach jakiegoś chwalebnego sportu, jak o tysiącu rozgrywanych równocześnie pojedynków bokserskich wzbogaconych jedynie strategią, pięknymi mundurami i bronią, która robiła dużo dobrego hałasu.

- Rzeź - mruknął Cathcart, wydmuchując kłęby dymu.

No i proszę. Ci mężczyźni, którzy nie idealizowali tych wydarzeń, musieli wspominać o tym, jak bardzo to był „podły interes”, kiedy najlepsi żołnierze byli w odległej Hiszpanii lub Portugalii i tylko niefortunni młodzi i niżsi rangą oficerowie musieli przedzierać się do Hougoumont.

Will już to wcześniej słyszał. Ale z ust przyjaciela to wciąż bolało.

- Ogromna strata wielu istnień. - Uspokoił swój głos i nadał mu niski i beztroski ton. - Rzeź po obu stronach, mogę cię zapewnić.

Wicehrabia pokręcił głową.

- To jej nazwisko. Twoja bezpłodna nimfa nazywa się panna Slaughter, czyli panna Rzeź. - Dostał kartę i podniósł róg, żeby sprawdzić. - Bronienie honoru córki Koryntu to niezbyt oryginalny gambit, ale zazwyczaj dość skuteczny.

Ach, kochanka. Tak, to miało sens. Will znał Cathcarta od siedmiu lat i widział, że ten zawsze brał życie jako niekończące

się pasmo figli i zabaw. Dlaczego teraz nagle miałby zacząć wygłaszać opinię o wojskowych strategiach?

- Zapewniam cię, że nie dla żadnego gambitu - odpowiedział z porywcznością. Czuł się dostatecznie obco w towarzystwie starych przyjaciół i bez wprowadzania między nimi tego typu przepaści, więc sto razy bardziej wolał kłócić się o kobietę niż o bitwę. - Doprawdy, czyżbym był jedynym mężczyzną w tym pokoju, który ma siostry? Tu chodzi o zwykłą przyzwoitość. Żadna kobieta nie zasługuje, żeby słyszeć o sobie takie rzeczy. - Nie mógł się powstrzymać przed kolejnym ukradkowym spojrzeniem, lecz jeśli panna Slaughter słyszała cokolwiek z jego nieprzemyślanej szarmanckości, nie okazała tego po sobie. Sprawnie odznaczyła kolejne punkty i odchyliła się, siadając prosto z uniesioną głową. Jej spojrzenie było nieugięte i bezlitosne jak spojrzenie sokoła - ani razu nie odwróciła się w jego stronę. Fortuna również tym razem nie uznała go za wartego zainteresowania. Wzbogacił Roanoke'a o dwadzieścia funtów z jednej ręki i trzydzieści z drugiej, tracąc ponad jedną trzecią zysku z tego wieczora. Niech to go oduczy mieszania się w nieistotne intrygi. Wstał od stołu zde gustowany. To był czyjś dom, zanim stał się klubem dla ludzi o luźnych zasadach moralnych. Kilka ścian zostało zburzonych, by stworzyć potrzebną przestrzeń na pokoje do gry i salę restauracyjną. Jednak zostały pewne ślady po poprzednim przeznaczeniu budynku. Na przykład salon na końcu drugiego piętra obecnie zajmowały panie, które nie chciały grać w karty. Will, chcąc uwolnić się od szumu rozmów, znalazł skromną bibliotekę, w której nawet były książki. Żadnych zapalonych świec albo ognia w kominku, co tylko zwiększało prawdopodobieństwo, że będzie miał ten pokój dla siebie.

Półki były zwrócone w stronę pojedynczego wykuszowego okna i cienie ujawniały stojący pod nim kształt, który okazał się fotelem. Idealnie. Will usiadł na nim i zamknął oczy. Przez otwarte drzwi słyszał dźwięki dochodzące z innych pomieszczeń, odległe i niewyraźne. Rozmowy. Śmiechy. Cichą muzykę - skrzypce? - dochodzącą z sali balowej piętro niżej. Bez wątpienia później zaczną się tańce. To było jedno z tych pomysłowych udogodnień, które czyniły ten dom nie obskurnym klubem, ale miejscem zabaw dżentelmenów. Miejscem, gdzie można było zatańczyć walca z kurtyzaną, upić się na umór oraz doprowadzić do ruiny, na czym skorzystają towarzysze, a nie jakiś bezosobowy właściciel.

„I czy będziesz ich za to potępiał?”. Zapadł się głębiej w fotelu, krzyżując ramiona. Czasami wydawało się, że stracił całą zdolność do... beztroskiego cieszenia się życiem. Tak jak mężczyzna powinien i tak jak on się kiedyś cieszył. Minęło prawie osiem miesięcy, od kiedy wrócił do Anglii. Odrzucał zaproszenia, unikał znajomych i przyjaciół ze szkoły, nie mógł sobie przypomnieć, jak się z nimi rozmawia. Tylko gruboskórny, wesoły Cathcart upierał się przy utrzymaniu kontaktów i w końcu zwyciężył. Nie dzięki sile przyjaźni, ale dlatego, że zwabił Willa zaletami klubów gry, dokładnie kiedy ten musiał zdobyć kilku tysięcy funtów.

Jakaś twarda krawędź zaczęła naciskać na jego przedramię. Kwadratowy kształt w kieszeni na piersi, którego zupełnie nie pamiętał...

O Chryste. Tabakiera. To był surdut, który miał na sobie, gdy pierwszy raz złożył wizytę pani Talbot. Wyciągnął pudełko, a potem wstał i obszedł półkę, dopóki światło księżycy wpadające przez okno nie padło na jego otwartą dłoń.

Taka ładna rzecz w posiadaniu człowieka o skromnych środkach do życia. Złoty zamek i złote zawiasy, emaliowane wieczko, na którym wyryto scenę z końmi i ogarami. Prawdopodobnie była warta sporo pieniędzy. Dlatego właśnie tabakiera została w jego kieszeni, kiedy zobaczył, jak jej krewni walczą o inne drobne przedmioty, które zwrócił. Kiedy pani Talbot będzie niezależna od tych ludzi, odda jej tabakierę, żeby mogła zatrzymać ją dla dziecka. Nie będzie potrzebowała pieniędzy, więc zniknie pokusa, żeby sprzedać ten przedmiot.

Zacisnął dłoń na pudełku i ponownie ją otworzył. Przechylił i emalia zaślniła w świetle księżyca. Zbyt wiele myśli tego wieczora. Będzie beznadziejny w grze, jeśli ich nie uciszy. Ponownie zacisnął dłoń na tabakierze.

Właśnie chował ją w kieszeni, kiedy usłyszał kroki w korytarzu. Bez żadnego dobrego powodu cofnął się do skrytego w cieniu fotela i podciągnął nogi, by w jego oficerkach nie odbijało się światło.

Człowiek wracał z wojny z niewytłumaczalnymi odruchami. Przecież Francuzi nie mieli w zwyczaju podkradania się do samotnych żołnierzy. Podobnie też te kroki, jeśli naprawdę prowadziły do tego pokoju, najpewniej nie oznaczały żadnego niebezpieczeństwa.

Dwie pary kroków, jedna nieco lżejsza i bez wątpienia zmierzająca w stronę biblioteki. Mężczyzna i kobieta. Tak, powinien był to przewidzieć. Sam dość często korzystał w ten sposób z ciemnych pokoi na różnych zgromadzeniach w beztróskich latach.

Coś powstrzymało go przed natychmiastowym wstaniem z fotela. Może skrępowanie wywołane koniecznością tłumaczenia, dlaczego siedział tutaj sam w ciemnościach. Może przekonanie, że przecież był tu pierwszy i dlaczego miał im ustępować? W każdym razie wciąż siedział w ciemności, kiedy

dwa cienie pojawiły się w wejściu. Wyższy delikatnie zamknął drzwi i kiedy snop światła padający z korytarza stawał się coraz mniejszy, błysnęły zielone spinki przy mankietach.

Roanoke i jego kochanka. Albo może Roanoke i jakaś inna kobieta - to było bardziej prawdopodobne, skoro „Kwadratowa Szczeka” mógł się cieszyć swoją kochanką w domu bez pośpiechu i ukrywania się. Drzwi się zamknęły i Will porzucił pomysł szybkiego wyjścia. Jeżeli zaczną to, po co tu przyszli, on się wymknie, kiedy ich uwaga będzie skupiona na czymś innym. Może spróbuje sprawdzić, kim jest kobieta - ale po co? Jeśli ten mężczyzna zdradzał pannę Slaughter, to nie miało nic wspólnego z Willem. Czyżby zamierzał zdobyć miejsce obok niej na kolacji i rzucać zgubne aluzje dotyczące tego, co tu widział?

To pytanie było zbyteczne. Para ruszyła prosto w stronę okna i Will poznał ją po sylwetce.

Wyprostowana i nieco odległa, jakby dystansowała się od powietrza, którym oddychała. Podeszli do okna - mógł niemal dotknąć jej spódnicy, kiedy przechodziła obok niego. Dzięki Bogu ich oczy nie przywykły jeszcze do ciemności. Zasłony skrzypnęły na karniszu a wąski płomień światła stał się jeszcze węższy. Potem nastąpiła cisza, z wyjątkiem kilku szelestów. Cokolwiek planowali, najwyraźniej nie wymagało to wcześniejszej rozmowy.

Bez wątpienia istnieli mężczyźni, którym podobałoby się siedzenie tutaj w roli ukrytego świadka tych działań. Szkoda, że któryś z nich nie mógł zająć tego miejsca. Wszystko, czego pragnął Will, to kwadrans w ciszy i ciemności. A teraz musi się zastanawiać, jak niezauważony ma opuścić pokój, w który on miał większe prawo przebywać.

Spróbuje za trzydzieści sekund. Wcześniej mogą nie być dostatecznie sobą zajęci. Dużo później ich oczy mogą się już przy-

zwyczać do ciemności i większe będzie prawdopodobieństwo, że go zobaczą. Do szelestów doszły niewyraźne pomruki. Will ostrożnie przesunął dłonie na poręcz fotela i je zacisnął. Dwadzieścia sekund. Nie więcej.

Niech szlag trafi tych spółkujących głupców. Zwłaszcza ją za to, że pozwala „Księżciu Kwadratowej Szczęce” wykorzystać się czterdzieści minut po tym, jak w ohydny sposób zniesławił jej imię. Czy w ogóle nie dbała o swoją godność? W takim razie on też nie będzie się nią przejmował. Koniec ze źle ukierunkowaną szarmanckością, z której mógłby kpić Cathcart.

Dziewiętnaście, dwadzieścia. Odgłosy świadczyły o dostatecznym zaangażowaniu. Powoli podniósł się z fotela, zerkając ukradkowo za półkę, żeby się upewnić, czy go nie zauważą.

Zatrzymał się w połowie ruchu.

Przygotował się na coś plugawego, na brutalne spółkowanie między natrętnym gburem i ladacznicą, która nauczyła się swojego fachu u pani Parrish. I oczywiście plugawe było ukrycie się w bibliotece i plugawy był też „Kwadratowa Szczęka” z ustami przy jej szyi i ramionach.

Jednak ona. Ona... niech go szlag, jeśli mógł chociaż zacząć szukać odpowiedniego słowa. Wiedział tylko, że „plugawa” zupełnie nie pasowało.

Stała oparta o zasłonę z zamkniętymi oczami i odchyloną głową, cała wyginała się z rozkoszy.

Zarzuciła nagie ramiona Kiedy Will patrzył, zarzuciła nagie ramiona na ścianę, gdzie złączone w nadgarstkach wiły się z wężową gracją. Jak jedna z tych tancerek z opowieści, które oczarowywały mężczyzn i nakłaniały ich do ścinania głowy innym. Jej nagie palce zacisnęły się na aksamitnej zasłonie. Wiedział, jakie to uczucie dotykać grubego i miękkiego aksamitu. Wiedział też, jakie

to by było uczucie zostać tym aksamitem pod jej dłonią. Will złapał za jedną z pólerek i mocno się jej przytrzymał.

Wcześniej myślał, że nie jest piękna. W świetle księżyca, nawet tak skąpym, widział, jak jest naprawdę. Jej ostre rysy wyrzeźbione przez cienie; zwawy taniec światła i ciemności na jej nosie, policzkach i brodzie. Jej skóra była blada jak światło księżyca, blada i obiecująca jak opal na dnie czystego, niezmaconego jeziora. Błada szyja. Błade ramiona. Błade piersi cudownie kształtne i wylewające się teraz z gorsetu. Ale nie pozwoli, by jego spojrzenie tam pozostało. W rzeczy samej powinien odejść stąd, tak jak zamierzał.

Jedno ostatnie spojrzenie na jej twarz. Odchyliła głowę nieco w lewo, a potem nieco w prawo, jakby rozciągała mięśnie szyi. Opuściła brodę, zmieniając układ cieni i światła. Otworzyła oczy i spojrzała prosto na Willa.

Nic nie powiedziała. Nie odskoczyła od kochanka, nie podciągnęła gorsetu i nie zasłoniła się ramionami. Tylko jej oczy, szeroko otwarte i błyszczące w ciemności, zdradzały, że jest świadoma obecności Willa. I to tylko przez sekundę lub dwie, choć ten czas był wystarczająco długi, by poczuł się jak bezczelny cham.

Róg półki wbił się mocno w jego dłoń. Zdawał się niezdolny do odwrócenia wzroku, nie mówiąc już o przeproszającym ukłonie i pospiesznym wyjściu z pokoju. Stał bez ruchu, a ona odzyskała oponowanie. Jej twarz przybrała charakterystyczny wyraz obronny: „Oceń mnie, jeśli się odważysz”. Potem ten wyraz również zniknął i pozostała tylko jej sokoła pustka. Popatrzyła poprzez niego, odpływając spojrzeniem.

Przestał zasługiwać na jej zainteresowanie. To, czy patrzył, czy nie, było dla niej sprawą bez znaczenia. Opuściła ręce -nawet teraz z wdziękiem tancerki - i położyła je na ramionach



niczego nieświadomego Roanoke'a, który w trakcie tego zdarzenia cały czas całował jej ramię i szyję, ale teraz zaczął podciągać jej spódnicę.

I wreszcie Will puścił półkę. Nie chciał widzieć tego, co nastąpi. Prawdopodobnie będzie to widział w snach i to będzie dostateczną udręką.

Impuls wynikający z uporu kazał mu się uklonić. Ona nie patrzyła w jego stronę i „Książę Kwadratowa Szczeka” też nie podniósł głowy, kiedy Will skradał się cicho do drzwi. Uchylił je tylko tyle, by wyjść - co powinien był zrobić już dawno - i cicho zamknął je za sobą.